

LIANE MORIARTY

Piekielnie dobra książka. Śmieszna i straszna.

STEPHEN KING

NOWY
MINISERIAL
HBO

NEW YORK TIMES BESTSELLER

WIELKIE KŁAMSTEWKA



LIANE MORIARTY

WIELKIE KŁAMSTEWKA

Przełożyła
Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
LITTLE LIES

Copyright © Liane Moriarty, 2014
All rights reserved

Projekt okładki
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce
© Ildiko Neer/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Anna Czech

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8097-908-6

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Dla kochanej Margaret

*Na górze róże, na dole fiołki,
a my się kochamy jak dwa aniołki.*

*Na górze róże, na dole bez –
my się kochamy jak kot i pies.*

(dziecięca wyliczanka)

Szkoła Podstawowa Pirriwee Public
...gdzie mieszkamy i uczymy się nad oceanem!

W Pirriwee Public nie ma miejsca na dokuczanie.
Nie dokuczamy.
Nie akceptujemy dokuczania.
Nigdy go nie zatajamy.
Gdy ktoś dokucza naszym kolegom,
mamy odwagę powiedzieć o tym na głos.
Dokuczaniu mówimy stanowcze NIE!

Rozdział pierwszy

– To nie brzmi jak wieczorek integracyjny – mruknęła pani Patty Ponder do Marii Antoniny. – Bardziej jak rozróżba. – Kotka milczała. Drzemała na kanapie i nie miała ochoty się integrować. – Masz to w nosie, co? Niech jedzą ciastka! Tak sobie pomyślałaś? Oni faktycznie pochłaniają dużo ciastek, prawda? Te stoiska z wypiekami. O raju! Chociaż nie wydaje mi się, żeby matki też jadły. Chude szprychy. Zupełnie jak ty.

Maria Antonina z zadowoleniem przyjęła komplement. To „niech jedzą ciastka” dawno już przeszło do lamusa, poza tym jedna z wnuczek pani Ponder stwierdziła ostatnio, że to zdanie tak naprawdę brzmiało: „niech jedzą brioszki”. A tak w ogóle Maria Antonina wcale tak nie powiedziała.

Pani Ponder sięgnęła po pilota od telewizora i ściszyła *Taniec z gwiazdami*. Wcześniej podgłośniła, bo deszcz łomotał o szyby, ale teraz zelżał.

Słyszała krzyki. Wściekłe wrzaski dudniły w chłodnym, wieczornym powietrzu. Ich dźwięk sprawiał pani Ponder pewną przykrość, jakby gniew wymierzony był w jej osobę. (Pani Ponder miała wybuchową matkę.)

– O raju!... Myślisz, że kłócą się o stolicę Gwatemali? Czy wiesz, co jest stolicą Gwatemali? Nie? Ja też nie. Musimy sprawdzić. Nie patrz na mnie tak ironicznie. – Maria Antonina prychnęła. – Sprawdźmy, co się tam dzieje – zaproponowała pani Ponder. Była podenerwowana i dlatego zachowywała się energicznie przy kocie, tak jak niegdyś przy dzieciach, gdy pod nieobecność męża zaniepokoił ją jakiś hałas w nocy.

Podniosła się za pomocą balkonika. Maria Antonina wślizgnęła się między jej nogi (nie dała się nabrać na animusz), kiedy właścicielka, wsparta o balkonik, ruszyła korytarzem przez dom.

Pokój do szycia wychodził prosto na boisko Pirriwee Public. „Zwariowałaś, mamó? Kto to widział mieszkać tak blisko szkoły podstawowej”, oburzyła się jej córka, kiedy pani Ponder zaczęła rozglądać się za domem. Ale ona uwielbiała dziecięcą paplaninę na przerwach, a że nie jeździła już

samochodem, wcale jej nie przeszkadzało, że ulica była zatłoczona modnymi obecnie wielkimi limuzynami, których kierowcy, kobiety w wielkich okularach słonecznych, wymieniały się na cały regulator pilnymi informacjami na temat baletu Harriet bądź logopedy Charliego.

Matki traktowały dziś macierzyństwo z taką śmiertelną powagą. Te ich nawiedzone twarzyczki. I zaaferowane tyłeczki ściśnięte legginsami. Rozbujane kucyki. Oczy wlepione w telefony komórkowe, ściskane w rękach jak kompasy. Pani Ponder śmiała się z nich. Ale życzliwie. Jej trzy córki, chociaż starsze, zachowywały się dokładnie tak samo. I wszystkie były jak malowane.

„Jak się macie?!”, wołała zawsze, kiedy piła na ganku herbatę lub podlewała ogród, a matki przechodziły nieopodal. „Urwanie głowy, pani Ponder! Szału można dostać!”, odkrzykiwały, sunąc drobnymi kroczkami i szarpiąc dzieci za ręce. Były miłe i uprzejmie, może nieco protekcyjne, ale nie potrafiły inaczej. Była taka stara! A one takie zabiegane!

Ojcowie, a tych przybywało, bardzo się od nich różnili. Rzadko się spieszyli i chodzili raczej wyluzowani. Grunt to spokój. Wszystko pod kontrolą. Taki komunikat wysyłali. Pani Ponder z nich też podśmiewała się życzliwie.

Ale teraz wyglądało na to, że rodzice z Pirriwee Public źle się zachowywali. Podeszła do okna i odsunęła firankę. Szkoła zapłaciła jej ostatnio za siatkę na okno, po tym jak piłka do krykieta stłukła szybę i mało nie zabiła kota. (Grupa trzecioklasistów własnoręcznie zrobiła dla niej kartkę z przeprosinami, którą pani Ponder powiesiła na lodówce.)

Po drugiej stronie boiska stał dwupiętrowy budynek z piaskowca, z aulą na piętrze oraz dużym balkonem z widokiem na ocean. Pani Ponder była tam przy paru okazjach: na wykładzie miejscowego historyka, na lunchu organizowanym przez Przyjaciół Biblioteki. Sala robiła wrażenie. Czasami absolwenci urządzali tu swoje wesela. Tam też miał się odbyć wieczorek integracyjny. Zbierali pieniądze na tablice interaktywne, cokolwiek to było. Oczywiście panią Ponder też zaproszono. Bliskie sąsiedztwo zapewniało jej rodzaj statusu honorowego członka, mimo że ani jej dzieci, ani wnuczeta nie uczęszczały do tej szkoły. Grzecznie podziękowała za zaproszenie. Szkolne wydarzenia bez udziału dzieci nie miały jej zdaniem żadnego sensu.

W auli odbywał się też cotygodniowy apel. W każdy piątkowy rano pani Ponder zasiadała w pokoju do szycia z filiżanką herbaty English Breakfast i ciastkiem imbirowym. Śpiew dzieci, napływający z drugiego piętra gmachu,

niezmiennie doprowadzał ją do płaczu. Tylko w takich chwilach wierzyła w Boga.

Teraz nikt nie śpiewał.

Pani Ponder słyszała już w swoim życiu liczne wiązanki. Nie miała nic przeciwko wulgaryzmom, jej najstarsza córka klęła jak szewc, jednak to konkretne słowo na pięć liter, wykrzykiwane raz po raz tam, gdzie zwykle słyszało się dziecięce głosiki, wyprowadziło ją z równowagi.

– Schlali się czy co? – rzuciła pod nosem.

Zachlapane deszczem okno znajdowało się na wysokości wejścia do budynku, z którego nagle zaczęli wysypywać się ludzie. Światła alarmowe rozjaśniły chodnik niczym padające na scenę reflektory. Opary mgły potęgowały teatralny efekt.

Widok był przedziwny.

Rodzice z Pirriwee Public przejawiali zaskakujące upodobanie do przebieranek. Nie mogli urządzić zwykłego wieczorku integracyjnego. Wiedziała z zaproszenia, że jakiś geniusz wymyślił temat przewodni „Audrey i Elvis”, co oznaczało, że wszystkie panie miały się przebrać za Audrey Hepburn, a panowie wystąpić jako Elvis Presley. (Był to kolejny powód, dla którego pani Ponder odrzuciła zaproszenie. Nie znosiła przebieranek.) Wyglądało na to, że największym wzięciem cieszyło się *Śniadanie u Tiffany’ego*. Wszystkie kobiety miały na sobie długie, czarne sukienki, białe rękawiczki oraz kolie z pereł. Za to mężczyźni w większości postanowili oddać hołd Elvisowi z późniejszego okresu. Przebrali się w lśniące białe kombinezony z głębokimi dekoltami i obwiesili błyskotkami. Kobiety wyglądały prześlicznie. A biedni faceci – jak kretyni.

Na oczach pani Ponder jeden Elvis przyłożył drugiemu w szczękę. Ten zatoczył się i wpadł na jedną z Audrey. Dwóch Elvisów złapało go od tyłu i odciągnęło na bezpieczną odległość. Inna Audrey ukryła twarz w dłoniach i się odwróciła, jakby nie mogła na to patrzeć. Ktoś krzyknął: „Przestańcie!”.

No właśnie. Co pomyślałyby sobie wasze piękne dzieci?

– Wezwać policję? – zastanowiła się na głos pani Ponder, ale w oddali usłyszała wycie syreny i w tej samej chwili jakaś kobieta na balkonie zaczęła wrzeszczeć.



Gabrielle: Nie tylko matki zawiniły. Nie doszłoby do tego, gdyby nie ojcowie. Chyba od matek się zaczęło. Były głównymi rozgrywającymi, że tak powiem. Mamuśki. Nie znoszę słowa „mamuśka”. Jest beznadziejne. „Mama” lepiej brzmi. I szczuplej. Tak powinniśmy mówić. À propos, mam lekką obsesję na punkcie wagi. Kto nie ma?

Bonnie: Doszło do strasznego nieporozumienia. Ludzie poczuli się urażeni i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Jak to zwykle bywa. Każdy konflikt sprowadza się do zranionych uczuć, nie uważa pani? Rozwód. Wojna światowa. Proces sądowy. No, może nie każdy proces sądowy. Napije się pani ziołowej herbaty?

Stu: Powiem pani, co się stało. *Babki nie odpuszczają*. Nie twierdzą, że faceci są bez winy. Ale gdyby kobitki nie miały kija w dupie... Nie żebym był uprzedzony, ale takie są fakty, niech pani spyta pierwszego z brzegu faceta, nie jakiegoś tam metroseksualnego fagasa, tylko prawdziwego faceta, to zaraz pani powie, że kobiety to mistrzyni pretensji. Powinna pani zobaczyć w akcji moją żonę. A są gorsze od niej.

Panna Barnes: Nadopiekuńczy rodzice. Zanim przyszedłam do pracy w Pirriwee Public, myślałam, że to wyolbrzymienie, te wszystkie doniesienia o rodzicach przesadnie zaangażowanych w życie swoich dzieci. Wie pani, moi rodzice mnie kochali i interesowali się mną, kiedy dorastałam w latach pięćdziesiątych, ale nie mieli na moim punkcie obsesji.

Pani Lipmann: Doszło do tragedii, to rzecz godna najwyższego ubolewania i musimy się z tego otrząsnąć. Nie mam nic więcej do dodania.

Carol: To wszystko wina Erotycznego Klubu Książki. Bynajmniej ja tak uważam.

Jonathan: Erotyczny Klub Książki nie miał nic wspólnego z erotyką, za darmo to pani powiem.

Jackie: Wie pani co? Moim zdaniem ta sprawa ma feministyczne podłoże.

Harper: Jakie znowu feministyczne podłoże? Co tu jest grane? Powiem pani, od czego się zaczęło. Od drzwi otwartych w przedszkolu.

Graeme: Ja uważam, że to rozgrywka między bezrobotnymi mamuškami a mamuškami pracującymi. Jak na to mówią? Wojny mamuškowe! Moja żona się nie mieszała. Nie ma czasu na takie głupoty.

Thea: Dziennikarzom spodobał się ten motyw z francuską nianią. Słyszałam, że ktoś wspomniał w radiu o „francuskiej pokojówce”, którą wcale nie była Juliette. Renata ma też gosposię. Niektórym to się powodzi. Ja mam czwórkę dzieci i żadnego „personelu” do pomocy! Jasne, że nie mam problemu *per se* z pracującymi matkami, zastanawiam się tylko, po co w ogóle rodziły dzieci.

Melissa: A wie pani, co ich najbardziej nakręciło? Wszy. O matko, nie przypominajcie mi o wszach!

Samantha: Wszy? A co mają do tego wszy? Kto pani tak powiedział? Założę się, że Melissa, co? Biedaczka ma stres pourazowy po tym, jak jej dzieci ciągle były zawszone. Przepraszam. To nie było zabawne. Wcale się nie śmieję.

Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Chciałbym się jasno wyrazić. To nie cyrk, tylko dochodzenie w sprawie morderstwa.

Rozdział drugi

PÓŁ ROKU PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

Czterdzieści. Madeline Martha Mackenzie obchodziła dziś swoje czterdzieste urodziny.

– Mam czterdzieści lat – oznajmiła na głos, prowadząc samochód. Przeciągnęła kluczowe słowo. – Czterrrrrrrrrrdzieści.

Podchwyciła wzrok córki w lusterku wstecznym. Chloe wykrzywiła buzię w uśmiechu i zaczęła ją przedrzeźniać.

– Mam pięć lat. Pięęęęęęc.

– Czterdzieści! – zaśpiewała Madeline jak śpiewaczka operowa. – Tra la la la!

– Pięć! – zawtórowała jej Chloe.

Madeline spróbowała zarapować, wystukując rytm na kierownicy.

– Czterdzieści, tak, tak, czterdzieści...

– Dosyc tego, mamusiu – ucięła stanowczo Chloe.

– Przepraszam.

Madeline wiozła Chloe do przedszkola na rekonesans. W sumie Chloe nie potrzebowała żadnego rekonesansu przed rozpoczęciem w styczniu nauki. O Pirriwee Public wszystko już wiedziała. Wcześniej tego ranka rozstawiała po kątach swojego brata Freda; wprawdzie był starszy o dwa lata, ale często wydawał się młodszy. „Fred, zapomniałeś włożyć plecak do koszyka! O, tak. Dobrze. Grzeczny chłopiec”. Fred posłusznie wrzucił plecak do właściwego koszyka, a następnie pognął założyć Jacksonowi nelsona. Madeline udała, że tego nie dostrzega. Jacksonowi pewnie się należało. Matka Jacksona, Renata, też nie zwróciła na to uwagi, gdyż była pochłonięta rozmową z Harper, podobnie jak ona zestresowanej edukacją swego zdolnego maleństwa. Renata i Harper chodziły na te same cotygodniowe spotkania dla rodziców szczególnie uzdolnionych dzieci. Madeline wyobraziła sobie, jak siedzą

w kóleczeniu i załamują ręce, a w ich oczach tli się tajona duma.

Kiedy Chloe zajmie się rozstawianiem po kątach dzieci na rekonesansie (miała niebywały talent do narzucania swojej woli, kiedyś z pewnością stanie na czele korporacji), Madeline pójdzie do kawiarni ze swoją przyjaciółką Celeste. Bliźniacy Celeste też zaczynali szkołę w przyszłym roku, więc będą dawać czadu na drzwiach otwartych. (Ich talentem był wrzask. Madeline dostawała migreny po pięciu minutach w ich obecności.) Celeste zawsze kupowała wyszukane i bardzo drogie prezenty, więc będzie miło. Potem Madeline podrzuci Chloe do teściowej i pójdzie na lunch z koleżankami, zanim wszystkie wyruszą po swoje pociechy. Świeciło słońce. Miała na nogach swoje nowe boskie szpilki od Dolce i Gabanna (kupione przez internet z trzydziestoprocentową zniżką). Zanosilo się na cudny, wspaniały dzień.

„Ogłaszam otwarcie Święta Madeline!” oznajmił rankiem jej mąż Ed, przynosząc kawę do łóżka. Madeline słynęła z upodobania do świętowania urodzin oraz wszelkiego rodzaju okazji. Nie przepuszczała żadnej możliwości, żeby się napić szampana.

A jednak. Czterdzieści.

Podążając znajomą trasą do szkoły, myślała o tej nowej, wspaniałej epoce w swoim życiu. Czterdzieści. To słowo wciąż miało dla niej ten sam wydźwięk jak wówczas, kiedy miała piętnaście. Taki bezbarwny wiek. Wyalienowana w połowie życiorysu. Kiedy przekraczasz czterdziestkę, wszystko traci sens. Wszelkie odczucia bledną, bo czterdziestka jest jak poduszka powietrzna.

„Znaleziono martwą czterdziestolatkę”. Ojej.

„Znaleziono martwą dwudziestolatkę”. Rozpacz! Tragedia! Szukajcie mordercy!

Madeline zmuszona była ostatnio zweryfikować nieco swoje nastawienie, kiedy usłyszała w wiadomościach o umierającej czterdziestoparoletniej kobiecie. Chwila, przecież mogło paść na mnie! To dopiero byłaby klęska! Ludzie byliby smutni, gdybym umarła! Zrozpaczeni nawet. Światem rządzi obsesja na punkcie wieku. Może i mam czterdzieści lat, ale jestem kochana.

W sumie to chyba naturalne, że śmierć dwudziestolatki budzi większy smutek niż śmierć czterdziestolatki. Tej drugiej przypadło w udziale dwadzieścia lat więcej. I dlatego, gdyby w okolicy szalał snajper, Madeline czułaby się zobligowana zasłonić dwudziestolatkę własnym ciałem. Poświęciłaby się za młodość. Właśnie tak należałoby postąpić.

No cóż, gdyby chodziło o miłą młodą osobę, nie wahałaby się ani chwili. Ale nie w przypadku jednej z tych nieznośnych, jak smarkula w niebieskim mitsubishi przed nią. Nawet nie próbowała ukryć, że rozmawia w czasie jazdy przez telefon, może pisze SMS-y albo wrzuca posty na Facebooka. Widzicie? Smarkula nawet nie zauważyłaby snajpera! Gapiłaby się tępo w telefon, a Madeline oddałaby za nią życie! Szału można dostać.

Samochodzik z listkiem na szybie wyglądał na wypełniony do cna młodzieżą. Co najmniej troje siedziało z tyłu: głowy im podskakiwały, gestykulowali żywo. Zaraz, czy to aby nie stopa wystaje przez okno? Sami się proszą o nieszczęście. Powinni uważać na drogę. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Madeline poszła na szybką kawę po aerobiku i przeczytała w gazecie o młodzieży, która ginie przez pisanie SMS-ów w czasie jazdy. „Jadę! Zaraz będę!”. Tak brzmiały ich ostatnie, głupie (często usiane literówkami) słowa. Madeline rozplakała się nad zdjęciem zrozpaczonej matki ściskającej bez sensu komórkę córki, jakby w ramach przestrogi dla czytelników.

– Mali kretyni – powiedziała na głos, gdy samochód niebezpiecznie zboczył na przeciwny pas.

– Jacy kretyni? – zainteresowała się Chloe z tylnego siedzenia.

– Dziewczyna przed nami jest kretynką, bo rozmawia w czasie jazdy przez telefon.

– Tak jak ty, kiedy dzwonisz do tatusia, że się spóźnimy?

– Tylko raz! – obruszyła się Madeline. – Poza tym ja zawsze uważałam! Mam czterdzieści lat!

– Dopiero od dzisiaj – zaznaczyła córka. – Masz czterdzieści lat od dzisiaj.

– Owszem! Zresztą ja tylko szybko zadzwoniłam, że pisałam wiadomości! Nie można pisać i jednocześnie patrzeć na drogę. Pisanie wiadomości jest niegrzeczne i nielegalne. Masz mi obiecać, że nigdy tego nie zrobisz, kiedy będziesz nastolatką.

Głos zadrzał jej na myśl o nastoletniej Chloe za kierownicą.

– Ale dzwonić można?

– Nie! To też jest nielegalne.

– W takim razie złamałaś prawo – oznajmiła Chloe z satysfakcją. – Jak bandyta.

Chloe była ostatnio zafascynowana bandytami. Kiedyś będzie uganiać się za chuliganami. Za chuliganami na motorach.

– Trzymaj się porządnych chłopaków, Chloe! – poradziła Madeline po

chwili. – Takich jak tatuś. Chuligani nie przynoszą kawy do łóżka, powiem ci to za darmo.

– Co ty tam gędzisz, kobieto? – westchnęła Chloe. Podchwyciła ten tekst od ojca, bezbłędnie naśladowując jego rezygnację. Za pierwszym razem niebacznie wybuchnęli śmiechem, dlatego w kółko to powtarzała, zawsze z doskonałym wyczuciem czasu, że boki zrywali.

Tym razem Madeline zdołała zachować powagę. Chloe balansowała ostatnio na granicy dobrego smaku. Podobnie zresztą jak matka.

Madeline stanęła na światłach za niebieskim mitsubishi. Dziewczyna za kierownicą nadal gapiła się w komórkę. Madeline nacisnęła klakson. Ujrzała, jak dziewczyna zerka na nią we wstecznym lusterku, a pasażerowie wyciągają szyje.

– Odłóż ten telefon! – wrzasnęła. Udała, że pisze SMS-a, stukając palcem we wnętrze dłoni. – To nielegalne! Stanowisz zagrożenie! – Dziewczyna pokazała jej środkowy palec w charakterystycznym geście. Tego było już za wiele. Madeline zaciągnęła hamulec ręczny i włączyła światła awaryjne. – Sama tego chciałaś!

– Co ty wyprawiasz? – zapytała spanikowana Chloe, gdy Madeline rozpięła pas i szarpnęła za klamkę. – Przecież idziemy na drzwi otwarte! Spóźnimy się! O losie!

„O losie!” pochodziło z książki, którą czytali Fredowi, kiedy był mały. Obecnie cała rodzina tak mówiła. Podchwycili to nawet rodzice Madeline i część znajomych. Było jak zaraźliwa choroba.

– Tylko spokojnie – powiedziała Madeline. – To zajmie tylko chwilę. Ratuję im życie.

Stukając nowymi szpilkami, pomaszerowała do auta dziewczyny i załomotała w okno.

Szyba zjechała na dół, a niewyraźny cień tuż za nią przeobraził się w prawdziwą dziewczynę o białej skórze, błyszczącym kolczyku w nosie i rzęsach posklejanych tuszem.

Rzuciła Madeline na poły agresywne, na poły przestraszone spojrzenie.

– O co pani chodzi? – Wciąż od niechcienia trzymała komórkę w lewej ręce.

– Schowaj ten telefon! Możesz zabić siebie i swoich kolegów! – Madeline zwracała się tym samym tonem do Chloe, kiedy ta była bardzo niegrzeczna. Sięgnęła przez okno, wyrwała telefon i rzuciła go na tylne siedzenie. – Słyszałaś? Natychmiast przestań! – wrzasnęła jeszcze i odwróciła się na

pięcie.

Odprowadzał ją gromki śmiech, ale miała to w nosie. Czuła się przyjemnie pobudzona. Za jej samochodem stanął inny pojazd. Przepraszająco kiwnęła ręką kierowcy i przyspieszyła kroku, żeby zdążyć przed zmianą świateł.

Wtedy wykręciła kostkę. W jednej chwili trzymała ją prosto, w drugiej postawiła pod niewłaściwym kątem. Gruchnęła ciężko na bok. O losie!



Od tego prawie na pewno wszystko się zaczęło.

Od skręconej kostki.

Rozdział trzeci

Jane stanęła na czerwonym za wielkim, lśniącym SUV-em na światłach awaryjnych i patrzyła, jak ciemnowłosa kobieta wraca poboczem do samochodu. Miała na sobie zwiewną, niebieską sukienkę i sandałki na wysokim obcasie; z wdziękiem pomachała do Jane przepraszająco. Poranne słońce odbiło się od jednego z kolczyków, który zajaśniał wręcz niebiańską poświatą.

Migotka. Starsza od Jane, ale wciąż efektowna. Jane całe życie obserwowała takie dziewczęta z naukowym zainteresowaniem. Może nawet z pewnym nabożeństwem. I odrobiną zawiści. Niekoniecznie były najładniejsze, ale ozdabiały się z pietyzmem, z jakim stroi się choinki – wiszącymi kolczykami, brzęczącymi bransoletkami i bezsensownymi mgiełkami apaszek. W czasie rozmowy bez przerwy cię dotykały. Szkolna przyjaciółka Jane była taką migotką. Jane miała do nich słabość.

Nagle kobieta gruchnęła na ziemię, jakby ktoś wyciągnął jej chodnik spod nóg.

– Auć... – mruknęła Jane i czym prędzej odwróciła wzrok, aby oszczędzić tamtej zakłopotania.

– Coś ci się stało, mamusiu? – zapytał z tylnego siedzenia Ziggy. Zawsze się zamartwiał, że matka coś sobie robi.

– Nie – odpowiedziała Jane. – Coś się stało tamtej pani. Upadła.

Czekała, aż kobieta się pozbiera i wróci do auta, ale ona wciąż leżała. Zadarła głowę, a na jej twarzy malował się wyraz cierpienia. Zapaliło się zielone i samochodzik przed SUV-em ruszył z piskiem opon.

Jane włączyła kierunkowskaz, aby przejechać obok. Jechali na drzwi otwarte do nowego przedszkola Ziggy’ego i nie miała pojęcia, jak tam trafić. Chciała tam być z wyprzedzeniem. Oboje się denerwowali, chociaż udawali, że tak nie jest.

– Czy tamtej pani nic nie jest? – zapytał Ziggy.

Jane poczuła to dziwne ukłucie, którego czasem doświadczała, gdy coś ją rozproszyło i ktoś (na ogół Ziggy) przypominał, jak przystoi się zachować. Gdyby nie Ziggy, na pewno by odjechała. Była tak skoncentrowana na swoim celu – dowiezieniu go na czas do przedszkola – że zostawiłaby na poboczu zwijającą się z bólu kobietę.

– Pójdę sprawdzić – oznajmiła, jakby od początku miała taki zamiar. Pstryknęła światła awaryjne i otworzyła drzwi, świadoma swego samolubnego ociągania. Diabli cię nadali, migotko... – Czy wszystko w porządku? – zawołała.

– Tak, tak! – Kobieta próbowała usiąść prosto, ale jęknęła, łapiąc się za kostkę. – Au... Jasna cholera! Źle stanęłam, to wszystko. Ależ ze mnie idiotka. Wsiadłam, żeby przygadać dziewczynie z samochodu przede mną za pisanie SMS-ów w czasie jazdy. Mam za swoje. Niepotrzebnie biorę się za wychowywanie cudzych dzieci.

Jane przykucnęła obok. Kobieta miała dobrze ostrzyżone, ciemne włosy do ramion i delikatne piegi na nosie. W tych piegach było coś estetycznie krzepiącego, niczym dziecięce wspomnienie lata, a delikatne zmarszczki pod oczami i rozkołysane kolczyki przyjemnie je uzupełniały.

Resztki oporu Jane stopniały. Poczowała przyplływ sympatii do tej kobiety. Naprawdę chciała jej pomóc. (Chociaż, jak to mówią? Gdyby miała do czynienia z bezzębną babą-jagą, czy poczułaby to samo? Co za niesprawiedliwość. Co za okrucieństwo. Będzie miła dla kobiety, bo ta ma fajne piegi.)

Niebieska sukienka miała pod szyją misterny kwiatowy haft. Jane widziała przebijającą spod niego opaloną, piegowatą skórę.

– Trzeba zaraz przyłożyć lód – powiedziała. Znała się na urazach kostek jeszcze z czasów siatkarskich; na kostce migotki już pojawił się obrzęk. – I podeprzeć nogę.

Przygryzła wargę i rozejrzała się w nadziei, że ktoś podjedzie. Nie miała pojęcia, jak to wszystko zorganizować.

– Dzisiaj są moje urodziny – oznajmiła ze smutkiem kobieta. – Czterdzieste.

– Wszystkiego najlepszego – odpowiedziała Jane. Nawet ją ujęło, że kobieta w *tym* wieku jeszcze przyznaje się do urodzin. Spojrzała na jej sandałki i paznokcie u stóp, pomalowane na jaskrawoturkusowy odcień. Obcasy były niebotycznie wysokie i cienkie jak wykałaczki. – Nic dziwnego, że zaliczyła pani wywrotkę – stwierdziła. – W takich butach nie da się chodzić!

– Wiem. Ale czyż nie są boskie? – Kobieta wykręciła nogę, żeby zademonstrować. – Au! Kurwa, jak boli! Przepraszam za wyrażenie.

– Mamusiu! – Dziewczynka o ciemnych, kręconych włosach ozdobionych lśniąca tiarą wyjrzała przez okno. – Co ty robisz? Wstawaj, bo się spóźnimy!

Duża migotka. Mała migotka.

– Dzięki za troskę, kochanie! – odskrzyknęła kobieta i uśmiechnęła się do Jane żałościwie. – Jedziemy na drzwi otwarte do przedszkola. Bardzo to przeżywa.

– Do Pirriwee Public? – spytała Jane. Nie posiadała się ze zdumienia. – My też. Mój syn Ziggy w przyszłym roku zaczyna naukę. Wprowadzamy się tu w grudniu. – Nie mieściło się jej w głowie, że może mieć coś wspólnego z tą kobietą, że ich ścieżki mogą na siebie nachodzić.

– Ziggy? Jak Ziggy Stardust? Co za fantastyczne imię! – zawołała kobieta. – Tak w ogóle to jestem Madeline. Madeline Martha Mackenzie. Zawsze wtrynam tę Marthę. Nie pytaj dlaczego.

Wyciągnęła rękę.

– Jane – odpowiedziała Jane. – Jane bez drugiego imienia Champan.



Gabrielle: Szkoła podzieliła się na dwa obozy. Jak w czasie wojny domowej. Byłeś po stronie Madeline albo po stronie Renaty.

Bonnie: Ależ nie, to straszne. To się nigdy nie zdarzyło. Nie było żadnych obozów. Jesteśmy bardzo zżyta społecznością. Po prostu za dużo wypili. I była pełnia księżyca. Każdemu trochę wtedy odbija. Mówię poważnie. To potwierdzone naukowo.

Samantha: Była pełnia? Wiem tylko, że lało. Włosy mi się napuszyły.

Pani Lipmann: To potwarz i niedorzeczność. Bez komentarza.

Carol: Wiem, że bez przerwy wracam do tego Klubu Erotycznego, ale na pewno doszło do czegoś na jednym z ich, uhm, spotkań, w cudzysłowie.

Harper: Wie pani co, na wieść, że Emily ma talent, ryczałam jak bóbr. Pomyślałam: O nie, tylko nie to, znowu! Przerabiałam to z Sophią, toteż wiedziałam, co się święci! Renata miała tak samo. Dwoje zdolnych dzieci. Nikt nie rozumie, jakie to obciążenie. Renata martwiła się o Amabellę, czy będzie miała w szkole wystarczająco bodźców i tak dalej, więc kiedy ten dzieciak o głupim imieniu, ten Ziggy, zrobił to, co zrobił, i to w czasie rekonesansu, nic dziwnego, że wyszła z siebie. Od tego wszystko się zaczęło.

Rozdział czwarty

Jane zabrała książkę do poczytania w samochodzie na czas, kiedy Ziggy będzie w przedszkolu, ale zamiast tego odwiozła Madeline Marthę MacKenzie (to brzmiało jak imię zadziornej bohaterki książki dla dzieci) do nadmorskiej kafejki o nazwie Blue Blues.

Kafejka mieściła się w pokracznym, podobnym do jaskini budynku tuż przy promenadzie biegnącej wzdłuż Pirriwee Beach. Madeline dokuśtykała tam boso, wsparta ciężko, lecz bez najmniejszych oporów na ramieniu Jane, jakby znały się od wieków. Było to dość intymne doświadczenie. Jane czuła zapach jej perfum, cytrusowy i smakowity. Od pięciu lat nie dotykał jej nikt dorosły.

Gdy tylko stanęły w drzwiach, zza kontuaru wyłonił się młody mężczyzna w czerni, z jasnymi loczkami surfera i kolczykiem w nosie.

– Madeline! – zawołał, wyciągając ramiona. – Co ci się stało?

– Jestem poważnie ranna, Tom – oznajmiła Madeline. – Do tego mam urodziny.

– O losie! – stwierdził Tom. I puścił oko do Jane.

Podczas gdy Tom instalował Madeline przy stoliku w rogu, biegał po lód, zawinięty w ścierkę do naczyń, i podkładał jej poduszkę pod nogę, Jane rozglądała się wokół. Lokal był urzekający, używając sformułowania jej matki. Jaskrawoniebieskie, nierówne ściany podparte były rozchwianymi półkami pełnymi używanych powieści. Drewniana podłoga połyskiwała złociście w porannym słońcu. Jane wciągnęła w nozdrza odurzającą woń kawy, ciasta, oceanu i starych książek. Front był przeszkłony, a krzesła ustawiono tak, że zewsząd było widać wodę, jakby grała tu główną rolę. Jane poczuła niedosyt, jaki często ogarniał ją w nowym, ładnym miejscu. Gdybym tylko tu była, nasuwało jej się wówczas stwierdzenie. Kawiarenka była tak cudna, że Jane pragnęła tu być z całego serca, przy czym oczywiście była, więc nie miało to żadnego sensu.

– Jane? Co ci zamówić? – spytała Madeline i nie czekając na odpowiedź

dodała: – Stawiam kawę i ciasto w podziękowaniu za wszystko! – A potem zwróciła się do nadskakującego baristy: – Tom! To jest Jane! Mój rycerz na białym koniu. Moja rycerka.

Jane odwiozła Madeline i jej córkę do szkoły, zaparkowawszy uprzednio, z duszą na ramieniu, jej wielki samochód na bocznej ulicy. Przełożyła też do swojego małego kombi fotelik Chloe, obok Ziggy’ego.

Uf, co za przedsięwzięcie. Ale wyszła z tego małego kryzysu zwycięsko.

Żeby przeżywać taki drobiazg. Ładnie to świadczy o jej nudnym życiu.

Ziggy też był zaferowany i zawstydzony obecnością drugiego dziecka, zwłaszcza tak rezolutnego i charyzmatycznego jak Chloe. Małej usta się nie zamykały przez całą drogę, objaśniała chłopcu wszystko, co musiał wiedzieć o nauczycielkach i szkole, i że muszą myć ręce przed wejściem do klasy i wycierać je *jednym* papierowym ręcznikiem, gdzie siadają w czasie przerwy śniadaniowej, i że nie mogą mieć kanapek z masłem orzechowym, bo niektórzy są na nie uczuleni i mogą *umrzeć*, i że ona ma już śniadaniówkę z Dorą, a Ziggy z czym?

– Z Buzzem Astralem – odparł natychmiast, grzecznie, ale niezgodnie z prawdą, bo Jane nie kupiła mu jeszcze śniadaniówki; ba, nawet nie poruszyli tego tematu. Na razie trzy razy w tygodniu chodził do żłobka, a tam posiłki miał zapewnione. Jane będzie zmuszona oswoić się z tematem drugiego śniadania.

Kiedy dotarli do szkoły, Madeline została w samochodzie, a Jane odprowadziła dzieci. W zasadzie to Chloe prowadziła, krocząc na czele pochodu w tiarze, od której w słońcu aż bił blask. Jane wymieniła z synem ukradkowe spojrzenie, znaczące tyle, co: „Skąd one się urwały?”

Jane denerwowała się trochę rekonesansem i miała świadomość, że musi to zataić przed synem, któremu łatwo się udzielało napięcie. Czuła się jak w przededniu rozpoczęcia nowej pracy – na stanowisku matki ucznia szkoły podstawowej. Będzie musiała przestrzegać zasad i procedur. Przybycie tu w towarzystwie Chloe niespodziewanie z miejsca dało jej fory. Natychmiast doskoczyły do nich dwie matki.

– Chloe! A gdzie mama? – Następnie przedstawiły się Jane, a ta opowiedziała im o kostce Madeline. Zaraz nadbiegła panna Barnes, przedszkolanka, która też chciała posłuchać, i Jane znalazła się w centrum uwagi, co – musiała przyznać – było całkiem miłe.

Szkoła mieściła się w pięknym gmachu na skraju cypla, przez co Jane wciąż

widziała kątem oka połyskujący ocean. Klasy znajdowały się w podłużnych, niskich budynkach z piaskowca, a porośnięty drzewami plac zabaw wydawał się pełen tajemniczych zakątków służących pobudzaniu fantazji: zacisznych dziupli między drzewami i zadaszonych ścieżek. Nie zabrakło też labiryntu, w sam raz na dziecięce gabaryty.

Po wyjściu matki Ziggy wparadował do klasy za rękę z Chloe, zarumieniony i szczęśliwy, a Jane jak na skrzydłach wróciła do samochodu – też zarumieniona. Madeline czekała na fotelu pasażera; z rozkosznym uśmiechem machała do niej z daleka jak do serdecznej przyjaciółki. Jane poczuła, jakby coś w niej odpuściło, jakby się poluzowało.

Teraz siedziała obok Madeline w Blue Blues, gdzie czekała na swoją kawę i wpatrywała się w wodę, a słońce muskało jej twarz. Może przeprowadzka tutaj okaże się początkiem czegoś – albo końcem, co byłoby jeszcze lepsze.

– Niedługo przyjdzie moja przyjaciółka Celeste – oznajmiła Madeline. – Może widziałas ją w szkole, odprowadzała swoich chłopców. Dwa jasnowłose harpagony. Wysoka blondynka, piękna i zaaferowana.

– Nie sądzę – odpowiedziała Jane. – A czymże jest zaaferowana, będąc wysoką i piękną blondynką?

– No właśnie – skwitowała Madeline, jakby to miała być odpowiedź na pytanie. – Do tego ma równie pięknego, bogatego męża. Nadal trzymają się za ręce. I jest miły. Kupuje dla mnie prezenty. Naprawdę, pojęcia nie mam, dlaczego się z nią przyjaźnię. – Spojrzała na zegarek. – Och, jest beznadziejna. Zawsze się spóźnia! Nic, może chociaż czegoś się o tobie dowiem. – Nachyliła się i skupiła na Jane całą swoją uwagę. – Przyjechałaś na półwysep niedawno? W ogóle cię nie kojarzę. Nasze dzieci są rówieśnikami, mogliśmy wpaść na siebie na placu zabaw albo na czytaniu w bibliotece.

– Wprowadzamy się w grudniu – powiedziała Jane. – Teraz mieszkamy w Newtown, ale stwierdziłam, że miło byłoby pomieszkać przy plaży. Ot, takie widzimi się.

To „widzimi się” pojawiło się znikąd, ucieszyło ją, a zarazem wprowadziło w zakłopotanie.

Próbowała zbagatelizować całą historię, aby wyjść na jak najbardziej spontaniczną. Opowiedziała Madeline, że pewnego dnia przed kilkoma miesiącami zabrała Ziggy’ego na wycieczkę nad ocean, zobaczyła na bloku szyld z napisem „Mieszkanie do wynajęcia” i uznała, że czemu nie.

Nie mijają się z prawdą. Niezupełnie.

Dzień na plaży, powtarzała sobie raz po raz, jadąc długą, krętą drogą, jakby ktoś podsłuchiwał jej myśli i podważał motyw.

Pirriwee Beach była w pierwszej dziesiątce najpiękniejszych plaż na świecie! Jane gdzieś to wyczytała. Jej syn zasługiwał na widok plaży z pierwszej dziesiątki najpiękniejszych na świecie. Jej piękny syn, jedyny w swoim rodzaju. Zerknęła na niego we wstecznym lusterku i serce jej się krajało.

Nie wspomniała Madeline, że gdy wracali do samochodu, trzymając się za oblepione piaskiem ręce, coś w niej krzyczało „pomocy”, jakby o coś błagała: o lek, rozwiązanie, chwilę wytchnienia. Wytchnienie od czego? Lek na co? Rozwiązanie czego? Z trudem łapała oddech. Czuła, że się poci.

Potem zobaczyła znak. W Newtown kończyła się im umowa najmu. Dwupokojowe mieszkanie mieściło się w brzydkim, bezdusznym bloku z czerwonej cegły, ale od plaży dzieliło je zaledwie pięć minut spaceru.

– A gdybyśmy tak przeprowadzili się tutaj? – rzuciła do Ziggy’ego, któremu oczy się rozjaśniły, i nagle poczuła, że to mieszkanie spada jej z nieba. „Zmiana perspektywy”, tak to nazywano. Czy jej i synowi nie należała się zmiana perspektywy?

Nie powiedziała Madeline, że od urodzenia Ziggy’ego jeździ po Sydney i wynajmuje mieszkania na pół roku, w nadziei na znalezienie własnego miejsca na świecie. I że być może każde kolejne przybliżało ją do Pirriwee Beach.

Nie wspomniała też, że po podpisaniu umowy i wyjściu z agencji nieruchomości po raz pierwszy zwróciła uwagę na tutejszych mieszkańców – o złocistej skórze i włosach czesanych wiatrem – i przypomniała sobie swoje białe nogi pod nogawkami spodni, a następnie pomyślała o rodzicach, dla których przeżyciem będzie jazda krętą autostradą, o zbiegających na kierownicy palcach taty, który rzecz jasna nie piśnie słowa skargi, i nagle ogarnęło ją przekonanie, że dała ciała, i to w sposób niewybaczalny. Ale kłamka zapadła.

– I tak się tu znalazłam – podsumowała jak skończona idiotka.

– Spodoba ci się! – wykrzyknęła Madeline. Poprawiła lód na kostce i wzdrygnęła się z bólu. – Au... Surfujesz? A twój mąż? Powinnam raczej powiedzieć „partner”. Chłopak? Dziewczyna? Jestem otwarta na wszystkie możliwości.

– Nie mam męża – odpowiedziała Jane. – Ani partnera. Jestem tylko ja. Samotna mama.

– Serio? – spytała Madeline, jakby Jane obwieściła coś śmiałego i cudownego.

– Owszem. – Jane uśmiechnęła się głupio.

– Wiesz co, ludzie tego nie pamiętają, ale ja też byłam samotną matką. – Madeline zadarła podbródek, jakby zwracała się do tłumu, który zaprzeczał jej słowom. – Były mąż rzucił mnie, kiedy moja starsza córka była malutką. Abigail. Ma czternaście lat. Też byłam wtedy młoda, jak ty. Miałam zaledwie dwadzieścia sześć lat. Chociaż oczywiście myślałam, że najlepsze czasy już za mną. Nie było łatwo. Bycie samotną matką to katorga.

– No, mogę liczyć na moją mamę i...

– Och, jasne, jasne. Nie twierdzę, że zostałam bez wsparcia. Ja też miałam rodziców do pomocy. Ale, Boże jedyny, bywały noce, kiedy Abigail była chora albo kiedy ja byłam chora, albo co gorsza, obie byłyśmy chore i... A zresztą. – Madeline urwała i wzruszyła ramionami. – Mój były ożenił się drugi raz. Mają córkę w tym samym wieku, co Chloe. Nathan stał się wzorowym ojcem, jak często bywa z facetami, którzy dostają drugą szansę. Abigail świata nie widzi poza tatusiem, tylko ja chowam urazę. Podobno lepiej puścić urazy w niepamięć, ale czy ja wiem? Jestem do mojej bardzo przywiązana. To moja mała pieszczołka.

– Ja też nie jestem za wybaczeniem – stwierdziła Jane.

Madeline z uśmiechem wycelowała w nią łyżeczkę.

– I dobrze. Nigdy nie wybaczasz. I nigdy nie zapominasz. To moje życiowe motto.

Jane nie była pewna, czy mówi to na serio.

– A jak jest z tatą Ziggy’ego? – podjęła Madeline. – Całkiem się wyautował?

Jane nawet okiem nie mrugnęła. Miała pięć lat, żeby się z tym uporać. Poczwała, że zastyga.

– Zgadza się. W sumie to nigdy z nim nie byłam. – Bezbłędnie wyrecytowała swoją kwestię. – Nawet nie wiem, jak miał na imię. To był... – Cisza. Pauza. Ucieczka spojrzaniem. – To... więcej się nie powtórzyło.

– Chcesz powiedzieć, że miałaś przygodę na jedną noc? – podsunęła natychmiast Madeline ze współczuciem, na co Jane mało nie parsknęła śmiechem. Większość ludzi, zwłaszcza w wieku Madeline, reagowała lekko zniesmaczoną miną, mówiącą: W porządku, nie mam nic przeciwko temu, ale mam na twój temat swoje zdanie. Jane nigdy nie czuła się urażona ich niesmakami. Ją też to mierziło. Chciała tylko raz na zawsze uciąć temat i na

ogół tak się działo. Ziggy to Ziggy. Taty nie było. Koniec i kropka.

„Dlaczego po prostu nie powiesz, że się z nim rozstałaś?”, dziwiła się na początku matka. „Kłamstwa mają krótkie nogi”, skwitowała Jane. Jej matka nie miała w nich wprawy. „A w ten sposób nikt nie wraca już do tego tematu”.

– Pamiętam takie przygody – rzuciła z rozmarzeniem Madeline. – Robiłam to w latach dziewięćdziesiątych. Boże miłosierny. Mam nadzieję, że Chloe nigdy się nie dowie. O losie! A twoja była chociaż warta grzechu?

Jane w pierwszej chwili nie zrozumiała pytania. Madeline chciała wiedzieć, czy jednorazowy seks był wart grzechu.

Na chwilę powróciła myślami do szklanej windy sunącej bezszelestnie środkiem hotelu. Do swojej dłoni zaciśniętej na szyjce butelki szampana. Do dłoni na jej krzyżu, która ją przyciągała. Tak się zaśmiewali. Miał głębokie zmarszczki wokół oczu. Ledwo trzymała się na nogach ze śmiechu i pożądania. Drogie zapachy.

Chrząknęła.

– Tak mi się zdaje.

– Wybacz – powiedziała Madeline. – Trochę mnie poniosło. To dlatego, że przypominałam sobie własną burzliwą młodość. A może dlatego, że ty jesteś taka młoda, a ja taka stara i próbuję dotrzymać ci kroku. Ile właściwie masz lat? Jeśli mogę spytać?

– Dwadzieścia cztery – odrzekła Jane.

– Dwadzieścia cztery – westchnęła Madeline. – A ja dzisiaj kończę czterdzieści. Już ci to mówiłam, prawda? Pewnie myślisz, że nigdy nie będziesz mieć tyle, co?

– Hm, mam nadzieję, że będę – przyznała Jane. Zdążyła zauważyć, że kobiety w średnim wieku mają bzika na punkcie upływu czasu, bez przerwy z niego żartują, narzekają i wciąż się nad nim rozwodzą, jakby proces starzenia stanowił zagadkę nie do rozwiązania. I o co tyle hałasu? Koleżanki jej mamy wręcz nie miały innych tematów, przynajmniej nie w rozmowie z nią. „Ach, jaka ty jesteś młoda i piękna, Jane” (choć nie było to zgodne z prawdą, one zachowywały się tak, jakby jedno z drugiego wynikało, a młodość stanowiła automatyczną gwarancję urody!). „Ach, jesteś taka młoda, Jane, może naprawisz mój telefon/komputer/aparat (podczas gdy wiele z nich było bardziej otrząskanych technicznie od niej). „Ach, jesteś taka młoda, Jane, masz tyle energii” (podczas gdy ona padała z nóg).

– A, słuchaj, z czego się utrzymujesz? – zainteresowała się z troską

Madeline, prostując się, jakby chodziło o problem wymagający natychmiastowej interwencji z jej strony. – Pracujesz?

Jane kiwnęła głową.

– Jestem księgową, pracuję na zlecenie. Mam swoich klientów, sporo małych firm. Jestem szybka, biorę jedno zlecenie za drugim. Wystarczy na czynsz.

– Mądra dziewczynka – odrzekła Madeline z aprobatą. – Ja też sama się utrzymywałam, kiedy Abigail była mała. Przynajmniej na ogół. Czasem Nathan miał zryw i wysyłał czek. Ciężko było, ale miałam satysfakcję, mogłam mu pokazać. No wiesz.

– Jasne. – Jane nic nikomu nie pokazywała. Przynajmniej w sensie, o który chodziło Madeline.

– Będziesz zdecydowanie jedną z najmłodszych mam – dorzuciła Madeline. Wypiła łyk kawy i uśmiechnęła się złośliwie. – Jesteś nawet młodsza od uroczej żonki mojego byłego. Przyrzeknij, że nie zaprzyjaźnisz się z nią. Ja byłam pierwsza.

– O, na pewno nawet jej nie poznam – odparła Jane ze zdziwieniem.

– Ależ tak – skrzywiła się Madeline. – Jej córka też idzie do przedszkola. Masz pojęcie? – Jane nie miała. – Mamuśki będą się umawiać na kawę, a żona mojego byłego zasiądzie na honorowym miejscu, sącząc ziołową herbatę. Spokojnie, nie dojdzie do żadnych spięć. Niestety, jesteśmy na nudnej, serdecznej i cywilizowanej stopie. Bonnie nawet cmoka mnie na powitanie. Interesuje się jogą, czakrami i innym badziewiem. Kojarzysz te straszne macochy z bajek? Moja córka uwielbia swoją. Bonnie jest taka „opanowana”, zobaczysz. Zupełne przeciwieństwo mnie. Mówi takim cichym.. niskim.. śpiewnym głosem, od którego masz chęć walić głową o ścianę. – Jane parsknęła śmiechem, rozbawiona tą wersją niskiego, śpiewnego głosu. – Na pewno zaprzyjaźnisz się z Bonnie – stwierdziła Madeline. – Nie sposób jej nie lubić. Nawet mnie jest trudno, a nie trawię wielu osób. Muszę się do tego solidnie przyłożyć. – Przyłożyła okład z drugiej strony kostki. – Na wieść o tym, że skręciłam nogę, na pewno coś mi ugotuje. Pod byle pretekstem przynosi mi żarcie. Wie od Nathana, jaką byłam marną kucharką, więc próbuje coś udowodnić. Chociaż najgorsze w niej jest to, że ona pewnie nic nie stara się udowodnić. Jest cholernie życzliwa i tyle. Jej żarcie lądowałoby w śmietniku, ale jest przepyszne. Rodzina chyba by mnie zabiła. – Nagle wyraz twarzy Madeline uległ zmianie. Pomachała komuś, rozpromieniona. – Och,

nareszcie! Celeste! Tutaj! Chodź, zobacz, co narobiłam!

Jane podniosła wzrok i serce w niej zamarło.

To nie miało znaczenia. Wiedziała, że nie powinno. Lecz fakt, że po świecie chodzili tak niewybaczalnie, bezwstydnie piękni ludzie, wzbudzał w niej poczucie wstydu. I bezlitośnie obnażał jej niższość. Tak powinna wyglądać kobieta. Właśnie tak. Ona wyglądała jak trzeba, Jane wręcz przeciwnie.

„Ty tłusta, brzydka smarkulo”, szepnął uparty głosik w jej głowie, wionąc cuchnącym oddechem.

Zadrzała, siląc się na uśmiech pod adresem niewyobrażalnie pięknej kobiety, która kroczyła w ich stronę.



Thea: Na pewno już pani słyszała, że Bonnie jest żoną byłego męża Madeline, jak mu tam, Nathana? Rzecz była bardzo skomplikowana. Radziłabym się temu przyjrzeć. Oczywiście pani nie pouczam, nic w tym rodzaju.

Bonnie: To nie miało absolutnie nic do rzeczy. Utrzymywałyśmy poprawne stosunki. Nie dalej jak dziś rano zostawiłam im na progu lasagne dla jej biednego męża.

Gabrielle: Byłam tam nowa. Nikogo nie znałam. „Och, to bardzo opiekuńcza szkoła”, powiedziała mi dyrektorka. Bajuj, bajuj. Coś pani powiem: gdy tylko weszłam na plac zabaw w czasie rekonesansu, pomyślałam sobie: klika. Klika, klika, klika. I wcale się nie dziwię, że ktoś przypłacił to życiem. Hm, no dobrze. Może przesadzam. Trochę się zdziwiłam.

Rozdział piąty

Celeste otworzyła szklane drzwi Blue Blues i od razu zobaczyła Madeline. Siedziała przy stoliku z drobną, szczupłą dziewczyną w dżinsowej spódnicy i zwykłej białej koszulce z dekoltem w szpic. Celeste jej nie kojarzyła. Poczuła nagle, dotkliwe ukłucie zawodu. „Będziemy tylko my dwie”, zapowiedziała Madeline.

Celeste zweryfikowała swoje oczekiwania względem poranka. Wzięła głęboki oddech. Ostatnio zauważyła, że dzieje się z nią coś dziwnego, kiedy ma do czynienia z więcej niż jedną osobą. Jakby nie potrafiła się zachować. Czy ja za głośno się zaśmiałam, myślała sobie. Czy zapomniałam się zaśmiać? A może się powtarzam?

Z jakiegoś powodu przy Madeline zawsze czuła się po staremu. Jej osobowość nie doznawała szwanku. Może dlatego, że tak długo się znały.

Może potrzebowała soli trzeźwiących. Tak powiedziałyby jej babcia. Tylko skąd je wziąć?

Prześliznęła się między stolikami. Jeszcze jej nie zauważyły, pochłonięte rozmową. Dokładnie widziała profil dziewczyny. Była stanowczo za młoda na matkę dziecka z ich szkoły. Na pewno niania albo au pair. Chyba au pair. Może Europejka? I słabo zna angielski? To tłumaczyłoby jej z lekka nienaturalną, sztywną pozycję, jakby musiała się skupić. A może wcale nie ma nic wspólnego ze szkołą? Madeline miała szerokie grono znajomych, zawierała dozgonne przyjaźnie, choć częściej robiła sobie dozgonnych wrogów. Madeline lubowała się w konfliktach, a stan wzburzenia był jej ulubionym.

Rozjaśniła się na widok przyjaciółki. Zmieniała się wówczas na twarzy, jakby cały świat przestawał dla niej istnieć, co stanowiło jeden z jej niezaprzeczalnych atutów.

– Cześć, jubilatko! – zawołała Celeste. Towarzyszka Madeline obróciła się na krześle. Brązowe włosy miała zaczesane gładko do tyłu, jakby pracowała w wojsku albo policji. – Co ci się stało, Madeline? – zapytała Celeste na

widok podpartej nogi przyjaciółki. Uśmiechnęła się uprzejmie do dziewczyny, która się skuliła, jakby Celeste zamiast uśmiechu posłała jej drwiące spojrzenie. (O Boże, chyba tak nie było, co?)

– To Jane – Madeline dokonała prezentacji. – Uratowała mnie z pobocza, po tym, jak skręciłam kostkę, próbując ratować dzisiejszą młodzież. Jane, poznaj moją przyjaciółkę Celeste.

– Cześć – powiedziała Jane. W jej twarzy było coś nagiego i pierwotnego, jakby za mocno ją wyszorowano. Żuła gumę, lekko, jakby ukradkiem mieląc szczęką.

– Jane to nowa mama z przedszkola – oznajmiła Madeline, kiedy Celeste usiadła. – Tak jak ty. Dlatego uważam za swój obowiązek zapoznać was z układami, jakie panują w Pirriwee Public. To istne pole minowe, dziewczęta. Pole minowe, mówię wam.

– Układy? – Jane zmarszczyła brwi i oburącz mocno pociągnęła za kucyk, aby jeszcze bardziej go ścieśnić. – Nie zamierzam się mieszać w żadne szkolne układy.

– Ja tak samo – zgodziła się Celeste.



Jane zawsze potem wspominała, jak lekkomyślnie kusiła los tamtego dnia. „Nie zamierzam się mieszać w żadne szkolne układy”, powiedziała, a ktoś tam na górze usłyszał ją i nie spodobała mu się ta postawa. Stanowczo zbyt pewna siebie. „Jeszcze zobaczymy”, mruknął, po czym siadł i urządził sobie zabawę jej kosztem.



Celeste przyniosła Madeline w prezencie zestaw kryształowych kieliszków do szampana firmy Waterford.

– O mój Boże, są cudowne! Jestem absolutnie zachwycona – oznajmiła Madeline. Ostrożnie wyjęła jeden z kartonika i uniosła go do światła, podziwiając misterny wzorek, rzędy malutkich półksiężyców. – Musiały kosztować fortunę. – Mało nie dodała: „Chwała Bogu, że jesteś taka bogata, skarbie”, ale w porę ugryzła się w język. Powiedziałyby tak, gdyby siedziały

tylko we dwie, jednakże Jane, młoda samotna matka, zapewne groszem nie śmierziała i nieładnie byłoby mówić przy niej o pieniądzach. Nawet ona o tym wiedziała. (Ostatnie zdanie skierowała w duchu do męża, który zawsze wypominał jej naruszanie konwenansów.) Dlaczego niby mieli obchodzić się z pieniędzmi Celeste jak z jajkiem? Jakby dobrobyt był jakąś wstydliwą chorobą. Podobnie rzecz się miała z urodą Celeste. Obcy ludzie zerkali na nią ukradkiem jak na inwalidę bez nóg, a gdy Madeline nawiązywała do jej wyglądu, Celeste sprawiała wrażenie skrepowanej. „Ciii”, mówiła, rozglądając się z lękiem, żeby nikt nie usłyszał. Każdy chciał być piękny i bogaty, lecz prawdziwie piękni i bogaci musieli udawać, że niczym nie odstają od reszty. Ależ to skomplikowane. – A więc szkolne układy, dziewczęta – podjęła, odłożywszy kieliszek do pudełka. – Zaczniemy od samej góry, czyli od Blond Paziów.

– Blond paziów? – Celeste zmrużyła oczy, jakby Madeline miała ją później z tego egzaminować.

– Blond Pazię rządzą szkołą. Chcesz być w radzie rodziców, musisz mieć blond pazię. – Madeline zademonstrowała ręką wymaganą długość włosów. – To pierwsze kryterium.

Jane wydała z siebie cierpki, krótki chichocik i Madeline stwierdziła, że bardzo chciałyby znów ją rozśmieszyć.

– Czy te kobiety są miłe? – zapytała Celeste rzeczowo. – Czy powinnyśmy ich unikać?

– Hm, mają dobre chęci – odrzekła Madeline. – Mają bardzo, ale to bardzo dobre chęci. Są, jak by to określić... To matki służbistki. Bardzo poważnie traktują swoją rolę. To dla nich świętość. Matki fundamentalistki.

– Czy wśród mam przedszkolaków też są Blond Pazię? – zapytała Jane.

– Pomyślmy... – Madeline zastanowiła się. – O tak, Harper. Kwintesencja Blond Pazię. Jest w radzie rodziców, a do tego ma diabło uzdolnioną córkę z lekkim uczuleniem na orzechy. Zatem należy do elity, szczęściara.

– Nie gadaj, Madeline! Ładne mi szczęście mieć dziecko z alergią na orzechy – zaoponowała gwałtownie Celeste.

– No wiem. – Madeline wiedziała, że się popisuje przed Jane. – Przecież żartuję. Jedziemy dalej. Kogo my tam mamy? Carol Quigley. Ma bzika na punkcie higieny. Biega po szkole w butelką odkażacza.

– Niemożliwe – sapnęła Celeste.

– Owszem!

– A ojcowie? – Jane otworzyła paczkę gum i chyłkiem wsunęła do ust nowy listek, jak kontrabandę. Miała obsesję na punkcie tej gumy, chociaż prawie nie rzucało się w oczy, że ją żuje. Zadając to pytanie, unikała wzroku Madeline. Czyżby liczyła na poznanie jakiegoś samotnego tatusia?

– Ptaszki ćwierkają na dachu, że w tym roku mamy co najmniej jednego niepracującego tatę – oświadczyła Madeline. – Jego żona jest grubą rybą w korporacji. Jackie jakaś tam. Prezesem banku czy coś w tym rodzaju.

– Chyba nie Jackie Montgomery – rzuciła Celeste.

– Właśnie.

– O matko...

– Pewnie nawet się nie ujawni. Matki, które pracują na pełen etat, nie mają lekko. Kto jeszcze? Ach, Renata. Siedzi w finansach... akcje czy tam obligacje, sama nie wiem. Tak to się nazywa? A może jest analitykiem. Chyba tak. Analizuje. Ilekroć proszę, aby wyjaśniła mi, czym się zajmuje, zapominam słuchać. Jej dzieci to też geniusze. No ba!

– Czy Renata jest Blond Paziem? – spytała Jane.

– Nie, nie. To karierowiczka. Ma nianię na pełen etat, zdaje się, że właśnie sprowadziła nową z Francji. Lubuje się we wszystkim, co europejskie. Renata nie ma czasu pomagać w szkole. Zawsze albo jest na zebraniu zarządu, albo wraca z zebrania zarządu, albo przygotowuje się na zebranie zarządu. Czy ten zarząd tak często się zbiera?

– No, to zależy od... – zaczęła Celeste.

– To było pytanie retoryczne – przerwała jej Madeline. – Chodzi o to, że wciąż o tym gada, tak jak Thea Cunningham musi na każdym kroku wszystkim przypominać, że ma czwórkę dzieci. Ona też jest przedszkolną matką, nawiasem mówiąc. I nie może przeżyć tego, że ma czwórkę dzieci. Czy jestem złośliwa?

– Owszem – odpowiedziała Celeste.

– Przepraszam – rzuciła Madeline. Naprawdę czuła się trochę winna. – Próbuję was zabawić. To przez moją kostkę. Mówiąc poważnie, szkoła jest bombowa, wszyscy są bombowi, czekają nas bombowa zabawa i nowe, bombowe znajomości.

Jane znowu parsknęła i przeżuła dyskretnie. Piła kawę, jednocześnie żując gumę. Ciekawe.

– O co chodzi z tymi małymi geniuszami? – spytała. – Dzieci są jakoś sprawdzane czy jak?

– Przechodzą skrupulatną weryfikację – oznajmiła Madeline. – Mają specjalne programy i „możliwości”. Chodzą do tej samej klasy, co pozostałe, ale dostają trudniejsze zadania i czasem biorą udział w specjalnych sesjach z ekspertami od różnych dziedzin. Jasne, że nikt nie chce, aby jego dzieciak nudził się w klasie w oczekiwaniu, aż reszta go dogoni. Ja to rozumiem. Po prostu trochę mnie... Na przykład w zeszłym roku miałam, powiedzmy, małe starcie z Renatą.

– Madeline uwielbia starcia – poinformowała rzeczowo Celeste, gdy Madeline brała oddech.

– Otóż Renata znalazła czas między zebraniem, aby poprosić nauczycielki o zorganizowanie małej wycieczki, tylko dla zdolnych dzieci, rzecz jasna. Na przedstawienie. No dajcie spokój, chyba nie trzeba być geniuszem, żeby lubić teatr. Pracuję w administracji Pirriwee Peninsular Theatre, więc w porę się dowiedziałam.

– I dopięła swego – znów wtrąciła Celeste z uśmiechem.

– Jasne, że dopięłam – stwierdziła dumnie Madeline. – Dostałam specjalną zniżkę dla grupy i pojechały wszystkie maluchy, rodzice w czasie przerwy mieli szampana za pół ceny i świetnie się bawiliśmy.

– Ach! O wilku mowa! – zawołała Celeste. – O mało nie zapomniałam, że przyniosłam ci szampana! Czy ja go... ach, mam. – Gorączkowo przetrząsnęła zawartość przepastnego koszyka i wyjęła butelkę bollingera. – Kto to widział, kieliszki do szampana bez szampana.

– Napijmy się teraz! – Madeline wzniosła butelkę w przypływie natchnienia.

– Nie, nie – zaoponowała Celeste. – Zgłupiałaś? Za wcześnie na alkohol. Za dwie godziny musimy odebrać dzieci. Zresztą i tak nie jest schłodzony.

– Szampan na śniadanie! – upierała się Madeline. – Trzeba go z czymś połączyć. Wypijemy szampana z sokiem pomarańczowym. Pół na pół! Mamy dwie godziny. Jane? Wchodzisz w to?

– Wezmę łyżeczek – ustąpiła Jane. – Marny ze mnie pijak.

– Nie wątpię, przy twojej masie – skwitowała Madeline. – Widzę, że się dogadamy. Uwielbiam marnych pijaków. Więcej zostaje dla mnie.

– Madeline, zatrzymaj go sobie na potem – perswadowała Celeste, ale Madeline nie dawała się przekonać.

– Przecież jest Święto Madeline – powiedziała ze smutkiem. – I mam kontuzję.

Celeste przewróciła oczami.

– Dobra, dawaj kieliszek.



Thea: Jane była wstawiona, kiedy odbierała Ziggy’ego z drzwi otwartych. Od razu wiadomo, z kim mamy do czynienia, prawda? Młoda, samotna matka od rana pijąca alkohol. Z gumą w buzi. Kiepskie pierwsze wrażenie. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Bonnie: Na litość boską, nikt nie był pijany! Wypiły toast w Blue Blues z okazji czterdziestych urodzin Madeline. Miały tylko dobry humor. Przynajmniej tak słyszałam; nie było nas na drzwiach otwartych, gdyż byliśmy na warsztatach rozwoju rodziny w Byron Bay. Nieprawdopodobne duchowe przeżycie. Podać pani adres strony internetowej?

Harper: Od początku było widać, że Madeline, Celeste i Jane trzymają się razem. Przyszły objęte jak dwunastolatki. Renata i ja nie zostałyśmy zaproszone na ich bankiet, chociaż znałyśmy się, odkąd nasze dzieci chodziły razem do przedszkola. Ale tak jak powiedziałam Renacie wieczorem, gdy byłyśmy na boskiej degustacji w Remy (jeszcze zanim Sydney oszalało na punkcie tego lokalu, à propos), miałam to w nosie.

Samantha: Byłam w pracy. Stu zabrał Lily na drzwi otwarte. Wspomniał, że kilka matek wróciło z zakrapianego śniadania. „Gadaj które”, powiedziałam. „Musimy się z nimi spiknąć”.

Jonathan: Ja tam nic nie widziałem. Rozmawiałem ze Stu o krykocie.

Graeme: Trochę się pani zagalopowała. Jeden głupi kieliszek chyba nie ma związku z morderstwem i całym tym burdelem, prawda?



Szampan nigdy nie jest błędem. To zdanie przyświecało Madeline niczym

mantra.

Ale potem się zastanawiała, czy nie doszło jednak przypadkiem do lekko skrzywionej oceny sytuacji. Nie dlatego że były pijane. Nie były pijane. Dlatego że gdy weszły roześmiane do szkoły (nie chciała zostać sama w samochodzie i przegapić, jak Chloe wychodzi z klasy, więc pakużyła, uwieszona łokci Jane i Celeste), wniosły ze sobą powiew dobrej zabawy.

A ludzie nie lubią być pomijani.

Rozdział szósty

Jane nie była pijana, gdy zjawiała się w szkole po Ziggy'ego. Wypiła co najwyżej trzy łyeczki szampana.

Ale rozpieierała ją euforia. Złożyło się na nią wiele czynników: wystrzał korka od szampana, niecodziennosc sytuacji wraz z poczuciem, że robią coś zakazanego, załamanie światła na smukłym kieliszku, przystojny barista, który przyniósł trzy cudne babeczki, każdą ze świeczką, zapach oceanu, a także świadomość, że być może znajdzie przyjaciółki w tych kobietach, które – starsze, zamożniejsze, bardziej wyrafinowane – tak bardzo różniły się od jej innych znajomych.

„Znajdziesz nowe koleżanki, kiedy Ziggy pójdzie do szkoły!”, powtarzała do znużenia jej matka, co działało Jane na nerwy, jakby sama była naburmuszoną, drażliwą nastolatką w przededniu liceum. Jej matka miała trzy serdeczne przyjaciółki, które poznała przed dwudziestu pięciu laty, kiedy Dane, starszy brat Jane, szedł do przedszkola. Pierwszego dnia poszły na kawę i od tamtej pory się nie rozstawały. Gdy zakomunikowała matce, że nie potrzebuje nowych koleżanek, ta zapewniła: „Owszem, potrzebujesz. Musisz się przyjaźnić z innymi mamami. Będziecie się wspierać nawzajem! One zrozumieją, przez co przechodzisz”.

Ale Jane próbowała już tego w grupie matek, bez powodzenia. Nie umiała się odnaleźć wśród rozgadanych, wesołych papug oraz ich ożywionych konwersacji o mężach, którzy „się objali”, niedokończonych remontach i wspaniałych czasach, kiedy były tak zabiegane i zmęczone, że „wychodziły z domu bez makijażu!” (Jane, która nigdy się nie malowała, zachowywała wówczas kamienną twarz, ale coś w niej krzyczało: „O czym wy, kurwa, gadacie?!”.)

A jednak, o dziwo, znalazła wspólny język z Madeline i Celeste, chociaż nie łączyło ich nic oprócz dzieci w tym samym wieku. I choć Jane miała niezbitą pewność, że Madeline też nigdzie się nie rusza bez makijażu, czuła, że ona

i Celeste (która też się nie malowała, ale i bez retuszu porażała urodą) mogą żartobliwie kpić z Madeline, a ona nie pozostanie im dłużna, jakby znały się jak łyse konie.

I dlatego właśnie nie była gotowa na to, co się stało.

Straciła czujność. Za bardzo pochłonęła ją szkoła (wszystko było takie słodkie i funkcjonalne, a wszechobecny ład napawał otuchą), cieszyła się piękną pogodą oraz zapachem oceanu, który nadal był dla niej nowością. Czuła radość na myśl, że Ziggy pójdzie do szkoły. Po raz pierwszy od urodzenia syna odpowiedzialność za jego dzieciństwo przestała jej ciążyć. Zamieszkają kilka minut spacerem od szkoły i będą chodzić na piechotę, wzdłuż plaży i na wzgórze wysadzone drzewami.

Z jej szkoły podstawowej na przedmieściach roztaczał się widok na sześciopasmową autostradę, a z sąsiedniego sklepu napływał zapach pieczonego kurczaka. Nie było tam sprytnie urządzonego placu zabaw z zacienionymi zakątkami wykładanymi kolorową mozaiką przedstawiającą uśmiechnięte delfiny i wieloryby. Na ścianach nie było malowideł z podwodnymi scenami, a pośrodku piaskownicy nie było kamiennego zółwia.

– Jak tu ładnie – powiedziała do Madeline, gdy wspólnie z Celeste pomagały jej usiąść na ławce. – Jak w bajce.

– Prawda? Na zeszłorocznym wieczorku integracyjnym zbieraliśmy pieniądze na remont placu zabaw – odrzekła Madeline. – Blond Pазie znają się na zbieraniu kasy. Motywem przewodnim były „nieżyjące gwiazdy”. Ale była zabawa! Lubisz wieczorki integracyjne, Jane?

– No ba. Wieczorki integracyjne i układanki to moja specjalność.

– Układanki? – powtórzyła Madeline, sadowiąc się na niebieskiej, drewnianej ławce wokół figowca i prostując nogę. – Prędzej wydłubałabym sobie oczy.

Po chwili obiegł je tłumek rodziców. Madeline grała pierwsze skrzypce, przedstawiając Jane i Celeste matkom starszych dzieci i opowiadając każdemu, jak skręciła sobie kostkę, ratując „dzisiejszą młodzież”.

– Cała Madeline – powiedziała do Jane kobieta o imieniu Carol. Miała łagodną twarz i ubrana była w kwiecistą sukienkę z bufkami oraz wielki, słomkowy kapelusz. Wyglądała, jakby się wybierała na mszę do białego drewnianego kościółka z *Domku na prerii*. (Carol? Czy to nie ona miała bzika na punkcie higieny? Schludna Carol.) – Zawsze szuka zwady. Nasi synowie grają razem w piłkę nożną. W zeszłym roku pokłóciła się na boisku z jednym

wielkim tata. Pozostali mężowie zwiali, a ta mało mu oczu nie wydrapała. To cud, że jej nie zabił.

– Ach, ten! Koordynator z bożej łaski. – Madeline wypluła te słowa, jakby chodziło o seryjnego mordercę. – Szkoda słów na takiego typka!

Tymczasem Celeste stała nieco z boku, rozmawiając na ten swój spłoszony, powściągliwy sposób, w którym Jane zaczęła dostrzegać jej cechę charakterystyczną.

W pewnym momencie zwróciła się do Jane:

– Mówiłaś, że jak twój syn ma na imię?

– Ziggy.

– Ziggy – powtórzyła niepewnie Celeste. – Czy to etniczne imię?

– Cześć, jestem *Renata*! – Na wprost Jane stanęła z wyciągniętą ręką kobieta o symetrycznej fryzurze w modnym odcieniu siwizny i o świdrującym spojrzeniu brązowych oczu za okularami w czarnych oprawkach. Miała manierę osoby na świeczniku. Dziwnie zaakcentowała swoje imię, jakby Jane spodziewała się jej przybycia.

– Cześć! Mam na imię Jane. Jak się masz? – Jane próbowała stanąć na wysokości zadania. Zastanawiała się, czy ma do czynienia z dyrektorką.

W tym samym momencie podeszła do nich elegancka blondynka, w której Jane rozpoznała jednego z Blond Paziów Madeline. W dłoni dzierżyła żółtą kopertę.

– Renato – zagaiła, nie zaszczycając Jane spojrzeniem. – Mam ten raport edukacyjny, o którym rozmawialiśmy przy kolacji...

– Za chwilę, Harper – przerwała jej Renata z lekkim zniecierpliwieniem i zwróciła się z powrotem do Jane: – Miło cię poznać, Jane! Jestem mamą Amabelli i mam Jacksona w drugiej klasie. Amabelli, nie Annabelli. To francuskie imię. Sami go nie wymyśliliśmy.

Harper dalej sterczała obok, z szacunkiem przytakując jej słowom, jak ludzie, którzy stają za politykami na konferencjach prasowych.

– Chciałam cię tylko przedstawić niani Amabelli i Jacksona, która pochodzi z Francji! *Quelle coincidence*¹! Poznaj Juliette. – Renata wskazała na drobne dziewczę z krótkimi, rudymi włosami. Juliette miała niezwykłą twarz zdominowaną przez wielkie usta o nietypowo pełnych wargach. Wyglądała jak bardzo ładna kosmitka.

– Miło mi poznać. – Podała Jane wiotką dłoń. Miała silny francuski akcent

i wyglądała na śmiertelnie znudzoną.

– Mnie również – odpowiedziała Jane.

– Zawsze uważałam, że nianie powinny się znać. – Renata przeniosła wzrok z jednej na drugą. – Mała grupa wsparcia, że tak powiem! Skąd pochodzisz?

– Ona nie jest nianią, Renato – wtrąciła Madeline z ławki. Z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

– No to au pair, wszystko jedno – ucięła Renata ze zniecierpliwieniem.

– Posłuchaj, co do ciebie mówię: Jane jest mamą – oznajmiła Madeline. – Tyle że młodą. No wiesz, tak jak my kiedyś.

Renata spojrzała niepewnie na Jane, jakby czuła, że ktoś ją nabiera, ale zanim Jane zdążyła coś powiedzieć (a czuła się zobligowana poprosić o wybaczenie), ktoś rzucił: „Idą!” i wszyscy rodzice ruszyli hurmem w stronę ładnej nauczycielki z dołeczkami (która wyglądała na wręcz stworzoną do tej posady), wyprowadzającej właśnie dzieci z klasy.

Dwaj mali chłopcy skoczyli naprzód jak wystrzeleni z armaty i natarli na Celeste.

– Uf... – stęknęła, kiedy dwie jasne głowy grzmotnęły w jej brzuch.

„Chciałam mieć bliźnięta, dopóki nie spotkałam małych diabełków Celeste”, powiedziała Madeline, kiedy rano piły szampana i sok pomarańczowy, a Celeste uśmiechnęła się z roztargnieniem, jakby te słowa wcale jej nie dotknęły.

Chloe wymaszerowała z klasy z dwiema innymi księżniczkami pod rękę. Jane niespokojnie rozejrzała się za synem. Czy Chloe go zostawiła? Oho, jest. Wyszedł z klasy jako jeden z ostatnich, ale miał zadowoloną minę. Jane uniosła kciuk, pytając, czy wszystko w porządku, na co Ziggy uniosł dwa kciuki i się uśmiechnął.

Nagle nastąpiło poruszenie. Wszyscy odwrócili wzrok na dziewczynkę z kędziorkami, która wyszła z sali na samym końcu. Płacząc, kuliła ramiona i trzymała się za szyję.

– Ojej... – rozczuliły się matki, bo wyglądała tak żałośnie i miała takie śliczne włosy.

Jane patrzyła, jak Renata podbiega do małej, a za nią niespiesznie podąża kosmiczna niania. Matka, niania oraz ładna, jasnowłosa nauczycielka nachyliły się w stronę małej, aby posłuchać, co ma do powiedzenia.

– Mamusiu! – Ziggy podbiegł do Jane, która porwała go w ramiona. Czuła, jakby wieki go nie widziała, jakby wrócili z wyprawy w dalekie kraje.

Zanurzyła nos w jego włosach.

– I jak tam? Fajnie było?

Podniesiony głos nauczycielki uprzedził jego odpowiedź:

– Poproszę państwa o uwagę. Spędziliśmy uroczy poranek, ale musimy o czymś porozmawiać. Sprawa jest dosyć poważna. – Jej dołeczki zadrżały, jakby chciała je schować na bardziej stosowną okazję.

Jane postawiła Ziggy'ego na ziemi.

– Co się dzieje? – padło pytanie.

– Chyba coś się stało Amabelli – odpowiedziała któraś z matek.

– O rany – dorzucił trzeci głos. – Renata zaraz wykopie topór wojenny.

– Ktoś zrobił przykrość Annabelli... przepraszam, Amabelli, i chciałabym, aby tu przyszedł i przeprosił, bo to bardzo nieładne zachowanie – wyartykułowała oficjalnie nauczycielka. – Jeśli nam się zdarzy coś takiego zrobić, zawsze przepraszamy, bo tak postępują duże przedszkolaki.

Zapadła cisza. Dzieci gapiły się tępo na panią lub kołysały się tam i z powrotem ze wzrokiem utkwionym pod nogi. Niektóre ukryły twarze w mamusinych spódnicach.

Jeden z bliźniaków pociągnął Celeste za koszulę.

– Jestem głodny!

Madeline dźwignęła się z ławki i stanęła obok Jane.

– Na co czekamy? – Rozejrzała się wokół. – Nawet nie wiem, gdzie jest Chloe.

– Kto to był, Amabello? – zapytała Renata. – Kto cię skrzywdził?

Dziewczynka wymamrotała coś niewyraźnie.

– Czy to był wypadek, Amabello? – rzuciła desperacko nauczycielka.

– Jaki znowu wypadek, na litość boską! – warknęła Renata. Jej twarz płonęła słusznym gniewem. – Ktoś próbował ją udusić. Widzę ślady na jej szyi. Chyba zostaną siniaki.

– O Jezu – powiedziała Madeline.

Jane patrzyła, jak nauczycielka przyklęka obok dziewczynki, otacza ją ramieniem i szepcze coś do ucha.

– Widziałeś, co się stało, Ziggy? – zapytała, ale chłopiec energicznie potrząsnął głową.

Nauczycielka wstała i stanęła twarzą do rodziców, bawiąc się kolczykiem.

– Podobno jeden z chłopców... hm, no tak. Sęk w tym, że dzieci nie znają jeszcze swoich imion, więc Amabella nie potrafi mi powiedzieć, który...

– Nie puścimy tego płazem! – przerwała jej Renata.
– Wykluczone! – poparła ją skwapliwie koleżanka z jasnymi włosami. Harper, pomyślała Jane, próbując zapamiętać wszystkie imiona. Harpia Harper.

Nauczycielka wzięła głęboki oddech.

– Nie. Nie puścimy. Proszę, aby wszyscy chłopcy podeszli tu na chwilę.

Rodzice ponagli synów delikatnym pchnięciem między łopatki.

– No, biegnij – powiedziała Jane.

Ziggy chwycił ją za rękę i spojrzał błagalnie w oczy.

– Chcę do domu.

– W porządku – odpowiedziała. – Zaraz pójdziemy.

Poszedł i stanął obok chłopca, który był wyższy od niego o głowę, miał rozłożyste barki i czarne loki. Wyglądał jak mały mafioso.

Chłopcy ustawili się przed nauczycielką w szeregu. Było ich około piętnastu, przeróżnej tuszy i wzrostu. Jasnowłosi bliźniacy Celeste stanęli na końcu: jeden z nich jeździł bratu samochodziem po głowie, a drugi opędzał się od niego jak od natrętnej muchy.

– Jak na policji – zauważyła Madeline.

Ktoś zachichotał.

– Przestań, Madeline.

– Powinni zaprezentować się en face, a potem z profilu – ciągnęła Madeline.

– Celeste, jeśli to któryś z twoich chłopców, mała ich nie rozróżni. Będzie trzeba przeprowadzić testy DNA. Chwila... czy bliźnięta jednojajowe mają to samo DNA?

– Łatwo ci się śmiać, Madeline, twoje dziecko nie jest na liście podejrzanym – wtrąciła jakaś matka.

– Mają to samo DNA, ale różne odciski palców – wyjaśniła Celeste.

– W takim razie trzeba zdjąć odciski – zdecydowała Madeline.

– Ciii – mruknęła Jane, usiłując zachować powagę. Było jej okropnie żal matki, którą czeka publiczna kompromitacja.

Dziewczynka o imieniu Amabella kurczowo trzymała rękę mamy. Ruda niania skrzyżowała ręce na piersi i cofnęła się o krok.

Amabella tylko chwilę przyglądała się kolegom.

– To był on – powiedziała bez wahania, wskazując małego mafiosa. – Chciał mnie udusić.

Wiedziałam, pomyślała Jane.

Ale nagle, nie wiedzieć czemu, nauczycielka położyła rękę na ramieniu Ziggy'ego, dziewczynka pokiwała, a Ziggy pokręcił głową.

– To nie ja!

– A właśnie, że tak – oznajmiła Amabella.



Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Prowadzimy sekcję w celu ustalenia przyczyny zgonu, lecz na razie mogę potwierdzić, że ofiara doznała pęknięcia żeber po prawej stronie, złamania miednicy oraz pęknięcia podstawy czaszki, złamania dolnego odcinka kręgosłupa i prawej stopy.

¹ *Quelle coincidence* (franc.) – Cóż za zbieg okoliczności.

Rozdział siódmy

O losie! – pomyślała Madeline.

No pięknie. Właśnie zaprzyjaźniła się z matką małego bandyty. A w samochodzie był taki rozkoszny. Chwała Bogu, że nie próbował udusić Chloe. To dopiero byłoby niezręczne. Chociaż Chloe umiałaby się obronić.

– Ziggy nigdy by nie... – Jane nie dokończyła.

Zbladła jak ściana. Miała zmartwiałą minę. Madeline zobaczyła, że pozostali rodzice cofają się chyłkiem, pozostawiając wokół Jane pustą przestrzeń.

– Przecież nic się nie stało. – Madeline otoczyła troskliwie Jane ramieniem.

– To tylko dzieci! One jeszcze nie wiedzą, jak się zachować!

– Przepraszam. – Jane weszła prosto w tłumek rodziców, jakby wkraczała na scenę. Położyła rękę na ramieniu syna. Madeline mało serce nie pękło. Jane wzbudzała w niej macierzyńskie odruchy. Była nawet trochę podobna do Abigail: równie najeżona, z identycznym, oschłym poczuciem humoru.

– O matko – mruknęła stojąca obok Celeste. – Paskudna sytuacja.

– Ja nic nie zrobiłem – oznajmił dźwięcznym głosem Ziggy.

– Ziggy, wystarczy, że przeprosisz Amabellę, to wszystko – powiedziała panna Barnes.

Bec Barnes była przedszkolanką Freda, zaraz po studium nauczycielskim. Była dobra, ale wciąż bardzo młoda i zbyt nadskakiwała rodzicom, co pasowało Madeline, jeśli chodziło o nią samą, ale budziło jej gwałtowny sprzeciw w przypadku Renaty, która pałała żądzą zemsty. Ale fakt, każdy rodzic domagałby się przeprosin, gdyby jakiś smarkacz dusił jego dziecko. (Na dodatek Madeline wyśmiała Renatę za to, że wzięła Jane za nianię. Renata nie lubiła, gdy ją wyśmiewano. W końcu jej dzieci to geniusze. Musi dbać o swoją reputację. Chodzić na zebrania zarządu.)

Jane spojrzała na Amabellę.

– Kochanie, czy jesteś pewna, że to był ten chłopiec?

– Prosiłabym, żebyś przeprosił Amabellę. Byłeś dla niej bardzo niedobry –

Renata zwróciła się do Ziggy'ego. Mówiła grzecznie, ale stanowczo. – A potem wszyscy pójdziemy do domu.

– Ale to nie byłem ja – zaproponował Ziggy. Oznajmił to głośno i dobitnie, patrząc Renacie prosto w oczy.

Madeline zdjęła okulary słoneczne i przygryzła zausznik. A może to jednak nie on? Może Amabelli coś się pomieszało? Ale była taka zdolna! I do tego urocza. Bawiła się z Chloe i wyglądała na bezproblemową. Pozwalała sobą pomiatać i chętnie grała drugoplanową rolę.

– Nie kłam – burknęła Renata do Ziggy'ego i natychmiast porzuciła postawę zatytułowaną „Jestem miła, nawet jeśli cudze dzieci duszą moje”. – Wystarczy, że przeprosisz.

Madeline zauważyła, że Jane zareagowała odruchowo, jak zwierzę przyczajone do skoku. Wyprostowała plecy i zadarła głowę.

– Ziggy nie kłamie – powiedziała.

Publiczność zamarła. Ucichły nawet dzieci, nie licząc bliźniaków Celeste, którzy gonili się po placu zabaw, wykrzykując coś o wojownikach ninja.

– Wygląda na to, że utknęliśmy w martwym punkcie. – Panna Barnes nie wiedziała, co począć. Miała dwadzieścia cztery lata, na miłość boską.

Chloe stanęła obok Madeline, zdyszana po harcach na drabinkach.

– Chcę popływać – obwieściła.

– Ciii – mruknęła Madeline.

Chloe westchnęła.

– Czy mogłabym popływać, mamusiu? Proszę.

– Cicho, powiedziałam. – Bolała ją kostka. Ładne mi czterdzieste urodziny, szkoda gadać. Dziękuję za takie Święto Madeline. Miała ochotę usiąść, ale wkroczyła w sam środek akcji. – Renato – zaczęła – wiesz, jakie twoje dzieci potrafią być...

Renata szarpnęła głową i spojrzała na nią wrogo.

– Ten mały musi wziąć odpowiedzialność za to, co zrobił. Musi zrozumieć, że trzeba płacić za swoje czyny. Nie może bezkarnie dusić innych dzieci i udawać, że tego nie zrobił! A zresztą, co ci do tego, Madeline? Pilnuj swojej patelni.

Madeline aż się zagotowała. Chciała tylko pomóc! Poza tym to szczyt chamstwa mówić komuś „pilnuj swojej patelni”. Od czasu zatargu o spektakl dla uzdolnionych dzieci miała z Renatą na pieńku, choć na pozór nadal się przyjaźniły.

W sumie Madeline nawet lubiła Renatę, ale od początku istniało między nimi coś na kształt rywalizacji. „Wiesz co, umarłabym z nudów, gdybym miała tylko zajmować się dziećmi”, wyznała jej kiedyś Renata, wcale nie uszczypliwie, ponieważ Madeline pracowała na pół etatu, ale to zawsze ona była tą mądrzejszą, ona musiała się rozwijać, bo to o n a robiła karierę, a Madeline miała tylko pracę. Jakby tego było mało, Jackson, starszy syn Renaty, wsławił się w szkole zwycięstwami w turniejach szachowych, podczas gdy Fred, syn Madeline, zasłynął jako jedyny uczeń w historii Pirriwee Public, który wspiął się na wielki figowiec i wykonał brawurowy skok na dach sali muzycznej, skąd zebrał trzydzieści cztery piłki tenisowe. (Trzeba było wezwać straż pożarną, żeby go zdjęła. Talent wspinaczkowy Freda był znany na całą okolicę.)

– Nic się nie stało, mamusiu. – Amabella podniosła na matkę wciąż załzawione oczy. Madeline widziała na jej szyi czerwone ślady palców.

– Ależ stało – ucięła Renata. Następnie zwróciła się do Jane: – Każ swojemu dziecku przeprosić.

– Renato... – mitygowała Madeline.

– Nie wtrącaj się, Madeline.

– Tak, moim zdaniem nie powinnyśmy się w to mieszać, Madeline – powiedziała Harper, która oczywiście stała w pobliżu i której życie polegało na przytakiwaniu Renacie.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę go do tego zmusić, jeśli twierdzi, że czegoś nie zrobił – oznajmiła Jane.

– Twoje dziecko kłamie – oświadczyła Renata. Jej oczy błysnęły za okularami.

– Jestem innego zdania – odparła Jane, unosząc głowę.

– Ja chcę do domu, mamusiu – zakwiliła Amabella, a potem rozszłochała się na całego. Kosmiczna francuska niania, która ani razu się nie odezwała, wzięła ją na ręce; Amabella oplótła ją nóżkami w pasie i ukryła twarz w zagłębieniu jej szyi. Na czole Renaty pulsowała żyła. Na przemian zaciskała i rozluźniała pięści.

– To kompletnie... niedopuszczalne – ofuknęła nieszczęsną pannę Barnes, która pewnie zachodziła w głowę, czemu nie przerabiała tego na studiach.

Renata nachyliła się, przez co jej twarz zawisła o centymetry od twarzy Ziggy’ego.

– Jeszcze raz tkniesz moją córeczkę, to popamiętasz.

– Chwila! – zaproponowała Jane, ale Renata nie zwróciła na nią uwagi. Wyprostowała się i spojrzała na nianię.

– Idziemy, Juliette.

Przedefilowały przez plac zabaw. Pozostali rodzice udawali pochłoniętych własnymi dziećmi.

Ziggy odprowadził je wzrokiem. Następnie zerknął na mamę i podrapał się po nosie.

– Ja chyba już nie chcę chodzić do szkoły.



Samantha: Wszyscy rodzice muszą iść na policję i złożyć zeznania. Ja jeszcze nie byłam. Na samą myśl mnie skręca. Pewnie pomyślą, że jestem winna. Mówię poważnie, czuję się winna, kiedy radiowóz staje obok mnie na światłach.

Rozdział ósmy

PIĘĆ MIESIĘCY PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

– Renifery zjadły marchewki!

Madeline otworzyła oczy w bladym świetle poranka i ujrzała pod nosem nadgryzioną marchewkę. Ed, który pochrapywał obok niej, włożył wczoraj dużo pracy i serca, żeby marchewki wyglądały jak uszczknięte przez renifera. Chloe, w piżamie, siedziała okrakiem na brzuchu matki: miała włosy jak strzecha, uśmiech od ucha do ucha i ani myślała wrócić do swojego łóżka.

Madeline przetarła oczy i spojrzała na zegar. Szósta. W sumie mogło być gorzej.

– Myślicie, że Święty Mikołaj zostawił Fredowi ziemniaka? – zapytała z nadzieją Chloe. – Bo w tym roku bardzo rozrabiał!

Madeline zapowiedziała dzieciom, że jeśli będą niegrzeczne, Mikołaj zostawi im ziemniaka w sreberku, a one będą się zastanawiać, jaki wspaniały prezent mogły dostać zamiast niego. Najgorętszym życzeniem Chloe na święta był ziemniak dla brata. Pewnie uszczęśliwiłby ją bardziej niż domek dla lalek, który znalazłaby pod choinką. Madeline całkiem poważnie brała pod uwagę ziemniaki dla nich obojga; może to skłoniłoby ich do lepszego zachowania w przyszłym roku. „Pamiętacie ziemniaka?”, mogłaby mówić. Ale Ed jej nie pozwolił. Był wręcz cholernie dobry.

– Czy twój brat już wstał? – zwróciła się do córki.

– Zaraz go obudzę! – wrzasnęła Chloe i zanim Madeline zdążyła ją powstrzymać, już biegła z hukiem przez przedpokój.

Ed się poruszył.

– To jeszcze nie rano, prawda? Nie może być rano.

– Przybieżeli do Betlejem pasterze! – zaśpiewała Madeline. – Tra la la la la la la!

– Zapłacę ci tysiąc dolarów, jeśli natychmiast przestaniesz – obiecał Ed

i zasłonił twarz poduszką. Jak na tak miłego faceta, był bezlitosny dla jej talentu.

– Nie masz tysiąca dolarów – przypomniała Madeline i zaintonowała *Cichą noc*.

Gdy usłyszała dźwięk SMS-a, nie przestając śpiewać, podniosła komórkę z nocnego stolika.

Wiadomość była od Abigail. W tym roku spędzała Boże Narodzenie z ojcem i Bonnie oraz przyrodnią siostrą. Skye, która przyszła na świat trzy miesiące po Chloe, była jasnowłosym aniołkiem, który biegał za Abigail jak szczeniak. Na dodatek wyglądała zupełnie jak Abigail w dzieciństwie, co drażniło Madeline, a czasem doprowadzało ją do płaczu, jakby z czegoś ją ograbiono. Nie ulegało wątpliwości, że Abigail woli Skye od Chloe i Freda, którzy bynajmniej nie wielbili ziemi, po której stąpa. Madeline często przyłapywała się na myśli: Ależ Abigail, Fred i Chloe to twoje prawdziwe rodzeństwo, powinnaś ich bardziej kochać! co niezupełnie się zgadzało. Madeline nie przyjmowała do wiadomości, że wszyscy troje są na równych prawach.

Odczytała wiadomość:

„Wesołych Świąt, mamó. Tata, Bonnie, Skye i ja od 5.30 jesteśmy w schronisku! Obrałam już czterdzieści ziemniaków! To cudowne przeżycie móc tak pomagać. Czuję się wyróżniona. Ściskam, Abigail”.

– Ona w życiu nie obrała zakichanego ziemniaka – mruknęła Madeline, wystukując odpowiedź: „To wspaniale, kochanie. Wszystkiego najlepszego i do zobaczenia, buziaczki!”.

Z hukiem rzuciła telefon na stolik przy łóżku. Nagle poczuła się bardzo zmęczona, wściekłość aż ją zaślepiła.

„Czuję się wyróżniona... Cudowne przeżycie...”

I kto to mówi? Czternastolatka, który robi wielką łaskę, żeby nakryć do stołu. Jej córka zaczyna się upodabniać do Bonnie.

– Faj – powiedziała na głos.

W zeszłym tygodniu Bonnie poinformowała Madeline, że w pierwsze święto wybierają się całą rodziną do schroniska dla bezdomnych. „Nienawidzę tej komercyjnej otoczki Bożego Narodzenia, a ty?”, rzuciła, gdy wpadły na siebie w sklepie. Madeline robiła właśnie świąteczne zakupy i targała wypchane siaty. Fred i Chloe lizali lizaki, wyglądali jak kłowni. Tymczasem Bonnie niosła doniczkę z bonsai, a Skye obok niej chrupała gruszkę. („Zasraną gruszkę”, Madeline opowie później Celeste. Uczepi się tej gruszki jak rzep

psiego ogona.)

Jakim cudem Bonnie zwlokła byłego męża Madeline z łóżka o tej porze i zapędziła go do pracy w schronisku dla bezdomnych? Kiedy byli małżeństwem, Nathan nie wstawał przed ósmą. Bonnie musi mu nieźle obciągać.

– Abigail ma „cudowne przeżycia” w schronisku dla bezdomnych z Bonnie – oznajmiła Edowi.

Ed zdjął poduszkę z twarzy.

– To oburzające – powiedział.

– Prawda? – podchwyciła Madeline. I za to go kochała.

– Kawa – rzucił ze współczuciem. – Przyniosę ci kawę...

– PREZENTY! – dobiegł z drugiego pokoju ryk dzieci.

Komercyjna otoczka była dla nich jak znalazł.



Harper: To musi być dziwne dla Madeline, że jej córka chodzi do przedszkola z dzieckiem byłego męża, prawda? Pamiętam, że rozmawialiśmy o tym z Renatą. Martwiłyśmy się, czy to źle nie wpłynie na klasę. Oczywiście Bonnie robi dobrą minę do złej gry. „Ach, jemy razem świąteczny obiad”. Litości. Widziałam je na wieczorku integracyjnym. Widziałam, jak Bonnie oblewa Madeline swoim drinkiem!

Rozdział dziewiąty

Właśnie świtało, kiedy Celeste obudziła się w świąteczny poranek. Perry spał jak suseł, a w sąsiednim pokoju chłopców panowała cisza jak makiem zasiał. Byli przeszczęśliwi, że Mikołaj znajdzie ich w Kanadzie (wysłali stosowne listy z informacją o zmianie adresu), a po podróży bardzo długo nie mogli zasnąć. Tarzali się po wielkim łóżku i siłowali, raz wybuchali śmiechem, raz płaczem, aż w końcu Perry krzyknął z drugiego pokoju: „Chłopcy, spać!” i nagle zrobiło się cicho. Kiedy Celeste zajrzała do nich po chwili, obaj leżeli na wznak z rozrzuconymi rękami i nogami, jakby senność dopadła ich w tej samej chwili. „Chodź zobaczyć”, szepnęła, a Perry stanął obok niej, po czym wymienili uśmiechy i poszli oblewać Wigilię.

Teraz wyśliznęła się spod puchowej kołdry i stanęła przy oknie z widokiem na zamrożone jezioro. Oparła rękę na szybie. Była zimna, ale w pokoju panowała przyjemna temperatura. Pośrodku jeziora ustawiono ogromną choinkę, połyskującą zielonymi i czerwonymi światełkami. Padał puszysty śnieg. Było tak pięknie, że prawie czuła na języku smak tej atmosfery. Wspominając te święta, poczuje właśnie smak: nieco cierpki i owocowy, jak grzane wino, które pili.

Dziś, po tym jak chłopcy otworzą prezenty i zjedzą śniadanie zamówione do pokoju (placki z syropem klonowym!), pójdą się pobawić na śniegu. Ulepią bałwana. Perry zarezerwował kulig, a potem zamieści na Facebooku zdjęcia, na których będą dokazywać w białym puchu. Podpisze je: „Pierwsze białe święta maluchów!” czy coś w tym rodzaju. Perry uwielbiał Facebooka. Wszyscy dokuczali mu z tego powodu. Wielki pan bankier, zamieszczający na portalu społecznościowym zdjęcia i żartobliwe komentarze pod przepisami koleżanek żony.

Celeste obejrzała się na łóżko. Perry zawsze spał z małą zmarszczką między brwiami, jakby sny zbijały go z pantałyku.

Zaraz po przebudzeniu będzie chciał wręczyć Celeste prezent. Uwielbiał

dawać prezenty. Zrozumiała, że chce za niego wyjść, widząc, w jakim napięciu czekał, aż matka otworzy urodzinowy prezent od niego. „Podoba ci się?”, nie wytrzymał, kiedy zerwała papier. Cała rodzina śmiała się z niego wtedy, że zachowuje się jak wielki dzieciak.

Celeste nie będzie musiała udawać zadowolenia. Na pewno trafił w dziesiątkę. Zawsze szczyliła się swoją intuicją w wyborze prezentów, ale Perry bił ją na głowę. Podczas ostatniej delegacji znalazł w sklepie kompletnie odjechany, różowy korek do szampana. „Od razu pomyślałem o Madeline”, oznajmił. Oczywiście Madeline była zachwycona.

Dzisiejszy dzień będzie doskonały pod każdym względem. Facebookowe zdjęcia pokażą całą prawdę. Tyle radości. Jej życie było nią usłane. To był niezbity fakt.

Naprawdę nie musiała go zostawiać, dopóki chłopcy nie skończą średniej szkoły. To będzie czas, żeby odejść. Gdy zdadzą ostatnie egzaminy. „Pora już kończyć”, zabrzmiał polecenie kuratora oświaty. A Celeste zakończy swoje małżeństwo.

Perry otworzył oczy.

– Wesołych Świąt! – powiedziała z uśmiechem.



Gabrielle: Spóźniłam się na wieczorek integracyjny, bo mój były jak zwykle miał poślizg, więc musiałam zaparkować daleko i drałować w deszczu. No i zobaczyłam Celeste i Perry’ego w zaparkowanym samochodzie, w pobliżu wejścia do szkoły. Dziwnie to wyglądało, bo nie rozmawiali, tylko siedzieli ze wzrokiem utkwionym przed siebie, przebrani w swoje kostiumy. Oczywiście Celeste wyglądała bosko. Na własne oczy widziałam, jak pochłania węglowodany. Na tym świecie nie ma sprawiedliwości, tyle pani powiem.

Rozdział dziesiąty

Jane obudziły okrzyki „Wesołych świąt!” pod oknem jej mieszkania. Usiadła na łóżku i obciągnęła mokrą od potu koszulkę. Śniło jej się, że leży na plecach, a Ziggy stoi obok w krótkiej piżamce z Benem 10 i z uśmiechem przyciska stopą jej gardło. „Przestań, Ziggy, nie mogę złapać oddechu!”, próbowała wykrztusić. Wtedy on przestał się uśmiechać, spoglądał na nią z chłodnym zainteresowaniem, jakby przeprowadzał eksperyment naukowy.

Podniosła rękę do szyi i nabrała tchu.

To był tylko sen. Sny nic nie znaczą.

Ziggy leżał obok, przyciśnięty do niej ciepłymi pleckami. Odwróciła się do niego i przyłożyła palec do miękkiej, delikatnej skóry tuż nad kością policzkową.

Co wieczór kładł się u siebie, po czym lądował u niej. Ponieważ żadne z nich nie pamiętało, jak się tu znalazł, uznali, że to za sprawą czarów. „Może dobra czarownica mnie przynosi”, stwierdził z wytrzeszczonymi żarliwie oczami, ale uśmiechnął się lekko, bo nie do końca wierzył już w takie rzeczy. „Kiedyś przestanie”, mawiała matka Jane, kiedy Jane o tym wspominała. „Przecież nie będzie tego robił, kiedy skończy piętnaście lat”.

Na nosie chłopca pojawił się nowy pieg, którego Jane wcześniej nie zauważyła. Miał teraz trzy. Tworzyły zarys żagla.

Któregoś dnia zaśnie obok kobiety i to ona będzie się w niego wpatrywać. Będzie miał czarne kropeczki zarostu nad górną wargą, a zamiast chudych, dziecięcych ramionek rozłożystą klatkę.

Na kogo wyrośnie?

„Na łagodnego, uroczego mężczyznę, zupełnie jak dziadziuś”, zapowiadała jej matka, jakby wiedziała to ponad wszelką wątpliwość. Wierzyła, że wnuk jest wcieleniem jej ukochanego ojca. A przynajmniej udawała, że w to wierzy. Nikt nie wiedział, czy mówi poważnie. Dziadziuś zmarł pół roku przed narodzinami Ziggy’ego, akurat kiedy matka Jane była w połowie ciąży

o chłopcu będącym rzekomo wcieleniem pilota z czasów II wojny światowej. Myśl, że wnuk może być jej ojcem, utkwiała jej w głowie. I pomogła przetrwać czas żałoby. Poza tym, rzecz jasna, nie miała zięcia, który poczułby się urażony gadaniem, że jego syn jest w istocie dziadkiem żony.

Jane może nie utwierdzała jej w tym przekonaniu, ale nie miała też nic przeciwko temu. Może faktycznie Ziggy był dziadkiem? Czasem dostrzegała w nim cień podobieństwa, zwłaszcza kiedy się skupiał. Miał identyczne wypukłe czoło.

Matka wściekła się na wieść o incydencie w czasie drzwi otwartych. „To jakiś skandal! Ziggy w życiu nie dusiłby koleżanki! Muchy by nie skrzywdził. Jest dokładnie taki jak dziadziuś. Pamiętasz, jak dziadziuś nie mógł zabić muchy? Babcia skakała, wykrzykując: „Zabij ją, zabij, Stan! Zabij to cholerstwo!” W słuchawce zapadła cisza, co oznaczało, że matka dostała ataku śmiechu. Chichotała bezgłośnie. Jane odczekała, aż znów będzie mogła mówić. „Och, ale mi to dobrze zrobiło!”, oznajmiła wreszcie roztrzęsionym głosem. „Śmiech jest cudowny na trawienie. Na czym to stanęłyśmy? Aha! Ziggy! Co za bachor! Nie, oczywiście nie Ziggy, mówię o tej małej. Jak śmiała oskarżyć nasze maleństwo!” „No właśnie”, odparła Jane. „Ale sęk w tym, że ona nie wygląda na bachora. Jej matka to koszmar, ale nie ona. Nie jest bachorem”. Słyszała niepewność w swoim głosie, podobnie jak matka. „Ależ kochanie, chyba nie sądzisz, że Ziggy mógł chcieć kogoś udusić?” „Jasne, że nie”, ucięła Jane i zmieniła temat.

Poprawiła poduszkę i ułożyła się wygodniej. Może jeszcze zaśnie. „Ziggy obudzi cię o świcie”, zapowiedziała matka, ale on nie wyglądał w tym roku na zbyt przejętego Bożym Narodzeniem. Jane zastanawiała się, czy przypadkiem go nie zawiodła. Często nachodziło ją niemiłe wrażenie, że fałszuje mu życie i zapewnia udawane dzieciństwo. Starła się, jak mogła, by tworzyć małe rytuały i kultywować tradycje rodzinne przy okazji świąt i urodzin. „Powieśmy skarpetę na prezenty!” Tylko gdzie? Za często się przenosili, żeby mieć stałe miejsce. Na ramie łóżka? Na kłamce? Miotła się po pokoju, a jej głos nabierał coraz bardziej piskliwych tonów. Było w tym coś oszukańczego. Rytuały różniły się od tych w innych rodzinach, gdzie byli mama, tato i przynajmniej jeden brat lub siostra. Niekiedy czuła, że Ziggy ciągnie to przez wzgląd na nią, że przejrzał ją na wylot i wie, że dostaje tylko namiastkę tego, co inne dzieci.

Patrzyła, jak jego pierś miarowo wznosi się i opada.

Był taki piękny. Niemożliwe, że skrzywdził tę małą, a potem skłamał.
Ale przecież wszystkie śpiące dzieci są piękne. Nawet te najbardziej niegrzeczne. Jak mogła mieć pewność, że tego nie zrobił? Czy człowiek zna swoje dziecko? Przecież ono ciągle się zmienia, znika i powraca. Z każdym dniem przybywa mu nowych cech.

A do tego...

Nie myśl o tym. Ani się waz o tym myśleć.

Wspomnienie zatrzepotało jak ćma uwięziona w jej głowie.

Nie mogła się od niego uwolnić, odkąd ta mała wskazała na Ziggy'ego.
Ucisk na jej szyi. Fala strachu zalewająca jej umysł. Krzyk uwięzły w krtani.

Nie, nie, nie.

Ziggy to Ziggy. Nie mógłby. W życiu. Przecież go zna.

Drgnął. Zadrzały powieki oplecione błękitnymi żyłkami.

– Zgadnij, jaki dzień dziś mamy – powiedziała Jane.

– Boże Narodzenie! – krzyknął Ziggy.

Zerwał się z takim impetem, że grzmotnął ją głową w nos. Padła z powrotem na poduszki. Z jej oczu trysnęły łzy.



Thea: Zawsze uważałam, że z tym dzieciakiem jest coś nie tak. Z tym Ziggym. Źle mu z oczu patrzyło. Chłopcy potrzebują męskiej ręki. Przepraszam, ale takie są fakty.

Stu: Uwzięli się na tego małego. Sam nie wiedziałem, komu wierzyć.

Rozdział jedenasty

– Latasz tak wysoko, jak ten samolot, tatusiu? – zapytał Josh. Lecieli już siedem godzin z Vancouver do Sydney. Na razie wszystko było w porządku. Obyło się bez kłótni. Chłopcy siedzieli przy oddzielnych oknach, a Celeste i Perry obok nich.

– Nie. Nie pamiętasz, co ci mówiłem? Muszę latać naprawdę nisko, żeby unikać radarów – oznajmił Perry.

– Aha. – Josh odwrócił się z powrotem do okna.

– A dlaczego musisz unikać radarów? – spytała Celeste.

Perry potrząsnął głową i wymienił pobłażliwy uśmiech z siedzącym obok Celeste Maxem, który nachylił się, żeby posłuchać.

– Przecież to oczywiste. Prawda, Max?

– To ściśle tajne, mamusiu – powiedział uprzejmie Max. – Nikt nie wie, że tatuś potrafi latać.

– Ach, no tak – odrzekła Celeste. – Przepraszam. Że też nie pomyślałam.

– Widzicie, gdyby mnie złapali, pewnie zostałbym poddany całej serii testów – objaśnił Perry. – Chcieliby wiedzieć, skąd mam taką supermoc, a potem zwerbowałiby mnie do sił powietrznych i musiałbym wyruszać na tajne misje.

– No tak, a tego nie chcemy – zauważyła Celeste. – Tata i tak dosyć się najeździ.

Perry wyciągnął rękę i ze skruchą nakrył jej dłoń.

– Ty nie umiesz naprawdę latać – oświadczył Max.

Perry uniósł brwi, wytrzeszczył oczy i lekko wzruszył ramionami.

– Czyżby?

– Tak mi się zdaje – odpowiedział niepewnie Max.

Perry puścił do Celeste oko. Od lat opowiadał chłopcom, że posiadał dar latania; nie szczędził przy tym nedorzecznym szczegółów na temat tego, jak odkrył go w wieku lat piętnastu. Ich pewnie czeka to samo, jeśli odziedziczyli

po nim tę moc i będą jeść wystarczająco dużo brokułów. Chłopcy nigdy nie wiedzieli, czy mówi poważnie.

– Ja wczoraj latałem, kiedy przejechałem nad tym rowem na stoku – oświadczył Max i zademonstrował ręką trajektorię. – Ziuuuu!

– Tak, tak, latałeś. Mało nie dostałem zawału. – Max zachichotał, a Perry złączył ręce przed sobą i przeciągnął się. – Au. Daliście mi w kość. Nie nadążam za wami. – Celeste przyjrzała mu się uważnie. Dobrze wyglądał: opalony i zrelaksowany po pięciu dniach szusowania i jeżdżenia na sankach. W tym problem. Nadal beznadziejnie ją pociągał. – No co? – Podchwycił jej spojrzenie.

– Nic.

– Fajnie było?

– Cudownie – odpowiedziała z uczuciem. – Bajecznie.

– Myślę, że to będzie dla nas dobry rok – oznajmił Perry. Przytrzymał jej wzrok. – Nie uważasz? Chłopcy pójda do szkoły, ty będziesz miała więcej czasu dla siebie, a ja... – Urwał i przejechał kciukiem po poręczy, jakby sprawdzał jakość tapicerki. Potem znów spojrzał na żonę. – Zrobię, co w mojej mocy, żeby to był dla nas dobry rok. – Uśmiechnął się, skrzepowany.

Czasem to robił. Mówił bądź robił coś, przez co czuła się nim oczarowana, jak przez pierwszy rok po tym, gdy poznali się na nudnym, służbowym spotkaniu. Wtedy po raz pierwszy zrozumiała znaczenie słów „stracić dla kogoś głowę”.

Poczuła, jak ogarnia ją spokój. Stewardesa częstowała pasażerów czekoladowymi ciastkami pieczonymi na pokładzie samolotu. Pachniały obłędnie. Może to naprawdę będzie dla nich dobry rok?

Może jednak zostanie. Zawsze ogarniała ją bezbrzeżna ulga na myśl o tym, że mogłaby zostać.

– Po powrocie pójdziemy na plażę – oświadczył Perry. – Zbudujemy wielki zamek z piasku. Jednego dnia bałwan, drugiego zamek. Można wam tylko zazdrościć takiego życia, dzieciaki.

– No. – Josh ziewnął i przeciągnął się rozkosznie na fotelu w klasie biznesowej. – Jest całkiem fajne.



Melissa: Pamiętam, że widziałam Celeste i Perry'ego z bliźniakami na plaży w czasie ferii świątecznych. Powiedziałam do męża: „To jedna z nowych mam”. Mało mu oczy nie wypadły. Celeste i Perry byli tacy szczęśliwi i roześmiani, pomagali dzieciom budować okazały zamek z piasku. W sumie to przykre. Nawet ich zamek był lepszy od naszego.

Rozdział dwunasty

Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Rozważamy każdą hipotezę, wszystkie ewentualne motywy.

Samantha: Czyli z tym morderstwem to... tak na serio?



CZTERY MIESIĄCE PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

– Chcę się pobawić z Ziggym – oznajmiła Chloe pewnego ciepłego, letniego wieczoru na początku nowego roku.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Madeline.

Nie odrywała wzroku od starszej córki. Abigail najpierw w nieskończoność kroiała swój stek na małe kawałeczki, a teraz układała z nich mozaikę. Nie zjadła jeszcze ani kęsa. Teraz odłożyła widelec i zwróciła się do siostry:

– Powinnaś się bawić ze Skye. Bardzo się cieszy, że będziecie chodzić do jednej klasy.

– Jak to miło, prawda? – odezwała się Madeline sztucznym, lukrowanym tonem, jak zawsze, gdy rozmowa schodziła na córkę byłego męża. Doskonale o tym wiedziała. – Czy to nie wspaniałe?

Ed zakrztusił się winem. Spojrzała na niego spode łba.

– Skye jest tak jakby moją siostrzyczką, prawda, mamusiu? – zapytała Chloe. W przeciwieństwie do matki była zachwycona perspektywą chodzenia do tej samej klasy co Skye i wspominała o tym milion razy na dzień.

– Nie, Skye jest przyrodnią siostrą Abigail – wyjaśniła cierpliwie Madeline.

– Przecież ja też jestem siostrą Abigail! – zaproponowała Chloe. – To oznacza, że Skye i ja musimy być siostrami! Mogłybyśmy być bliźniaczkami, jak Josh

i Max!

– À propos, widziałaś się z Celeste po ich powrocie z Kanady? – zainteresował się Ed. – Perry zamieścił na Facebooku świetne zdjęcia. My też musimy urządzić sobie kiedyś białe święta. Jak już wygramy na loterii.

– Brrr... Wyglądali na przemarzniętych – stwierdziła Madeline.

– Pojeździłbym na desce – rozmarzył się Fred.

Madeline wzdrygnęła się wewnątrz. Fred był jej ukochanym śmiałkiem. Jeśli było na co wleźć, wlaził. Nie mogła patrzeć, jak śmiga na tej swojej deskorolce. Miał dopiero siedem lat, a wyczyniał akrobacje jak dwa razy starsze dzieciaki. Ilekroć widziała w telewizji luzaków, którzy opowiadali o swojej ostatniej wspinaczce/skoku na bungee/misji samobójczej, widziała Freda. Nawet wyglądem ich przypominał – z tymi przydługimi kosmykami.

– Trzeba ci skrócić włosy – stwierdziła.

Fred z niesmakiem zmarszczył piegowaty nos.

– Nie trzeba!

– Zadzwoń do mamy Ziggy’ego – powiedziała do Chloe. – To się umówimy.

– Madeline, czy to na pewno dobry pomysł? – zapytał cicho Ed. – Czy to nie ten mały zabijaka? Ten, no wiesz...

– Nie mamy pewności.

– Przecież mówiłaś, że Amabella Klein go wskazała.

– Historia zna wielu niewinnie skazanych.

– Jeśli ten dzieciak tknie Chloe...

– Na miłość boską, Ed! – Madeline straciła cierpliwość. – Chloe potrafi o siebie zadbać. – Zerknęła na talerz Abigail. – Dlaczego nie jesz?

– Lubimy Renatę i Geoffa. – Ed nie dawał za wygraną. – Więc jeśli ich córka twierdzi, że ten mały, ten Ziggy, ją dusił, powinniśmy trzymać ich stronę. A zresztą co to za imię, Ziggy?

– Aż tak ich nie lubimy – oznajmiła Madeline. – Abigail, jedz!

– Nie lubimy? – upewnił się Ed. – Myślałem, że lubię Geoffa.

– Tylko go tolerujesz. Mowa o ornitologu, Ed, a nie o golfiście.

– Serio? – Ed zrobił zawiedzioną minę. – Jesteś pewna?

– Masz na myśli Garetha Hajka.

– O kurczę...

– No właśnie – skwitowała Madeline. – Przestań wymachiwać widelcem, Chloe. Fred mało nie stracił oka. Źle się czujesz, Abigail? Czy dlatego nie

jesz?

Abigail odłożyła sztuce i oświadczyła:

– Chyba zostanę weganą.

Bonnie była weganą.

– Po moim trupie – warknęła Madeline.

Po czymś na pewno.



Thea: Wiecie, że Madeline ma czternastoletnią córkę Abigail z pierwszego małżeństwa? Bardzo mi żal dzieci z rozbitych domów. Tak się cieszę, że mogę zapewnić dzieciom spokojne warunki. Dałabym głowę, że Bonnie i Madeline pokłóciły się o Abigail na wieczorku integracyjnym.

Harper: Na własne uszy słyszałam, jak Madeline powiedziała: „Zabiję kogoś, zanim ten wieczór się skończy”. Uznałam, że chodzi o Bonnie. Oczywiście niczego nie sugeruję.

Bonnie: Tak, Abigail jest moją pasierbicą, i to prawda, że miała różne, hm, problemy, typowe dla dziewczynki w jej wieku, ale Madeline i ja próbowałyśmy jej pomóc wspólnymi siłami. Czujecie pani mirt i cytrynę? Wypróbuję to nowe kadzidło. Ponoć łagodzi nerwy. Proszę głęboko odetchnąć. O, tak. Wygląda pani na zestresowaną, jeżeli mogę tak powiedzieć.

Rozdział trzynasty

To był jeden z tych dni. Minęło trochę czasu. Ostatnio miał miejsce na długo przed świętami. Celeste czuła suchość w gardle. Głowa ją pobolevała. Szła przez boisko za chłopcami i Perrym, trzymając się sztywno i stąpając ostrożnie, jakby była szklanką, z której zaraz coś się wyleje.

Miała wyostrzone zmysły: czuła ciepłe powietrze na gołych ramionach i paski sandałów na stopach, widziała każdy liść figowca i jego zarys na tle błękitu. Było to uczucie podobne do tego, kiedy człowiek się zakocha, zajdzie w ciążę albo po raz pierwszy prowadzi samochód. Wszystko się liczyło.

„Kłóćcie się z Edem?”, zapytała kiedyś. „Jak pies z kotem”, odpowiedziała wesoło Madeline.

Chyba miały na myśli coś innego.

– Czy możemy najpierw pójść z tatusiem na drabinki?! – krzyknął Max.

Szkoła rozpoczynała się dopiero za dwa tygodnie, ale sklep z mundurkami był otwarty dziś rano przez dwie godziny, żeby rodzice mogli kupić niezbędne rzeczy. Perry miał wolne, więc kupią chłopcom mundurki i pójdą ponurkować.

– Jasne – odpowiedziała Celeste.

Patrząc, jak biegnie, zrozumiała, że to nie był Max, tylko Josh. Traciła głowę. Sądziła, że jest skupiona, a tak naprawdę myślała o niebieskich migdałach.

Zadrżała, gdy Perry powiódł palcem po jej ramieniu.

– W porządku? – zapytał. Uniósł okulary słoneczne, żeby widziała jego oczy. Miał bardzo białe białka. Ona po każdej takiej nocy miała przekrwione białka, ale oczy Perry’ego zawsze były czyste i błyszczące.

– Tak. – Uśmiechnęła się do niego.

Odwzajemnił uśmiech i przyciągnął ją do siebie.

– Ślicznie ci w tej sukience – szepnął jej do ucha.

Właśnie tak się zawsze zachowywali dzień później: czuli i rozedrgani, jakby przeżyli razem coś strasznego, jakiś kataklizm, i omal nie zginęli.

– Tatusiu! – wrzasnął Josh. – Chodź zobaczyć!
– Lece! – odkrzyknął Perry. Zabębnił pięściami w pierś jak goryl i pognął za nimi, zgarbiony, ze zwieszonymi rękami, wydając małpie odgłosy. Chłopcy mało nie oszaleli z zachwytu i natychmiast rzucili się do ucieczki.
To była tylko kłótnia, nic więcej, pomyślała. Wszystkie pary tak mają.

Chłopcy nocowali u matki Perry’ego.
– Zjedzcie sobie romantyczną kolację bez tych małych gałganów – powiedziała teściowa.
Poszło o komputer.

Celeste upewniała się co do godzin otwarcia sklepu z wyposażeniem szkolnym, kiedy wyskoczył komunikat o „błędzie krytycznym”.

– Perry! – zawołała z gabinetu. – Coś się stało z komputerem!
Nie mów, szepnął głosik. A jeśli nie będzie umiał naprawić?
Głupia, głupia, głupia. Gdzie miała głowę? Ale za późno. Z uśmiechem stanął w progu.

– Odsuń się, kobieto – oznajmił.
Znał się na komputerach. Lubił rozwiązywać za nią problemy, więc gdyby naprawił, nic złego by się nie stało.

Ale nie naprawił.
Mijały minuty. Poznała, że sprawy nie idą w dobrym kierunku, po tym, jak spał ramiona.
– Nieważne – spróbowała. – Zostaw.
– Dam radę – odparł. Poruszył myszką, tam i z powrotem. – Wiem, gdzie leży problem... Muszę tylko, cholera jasna...

Znowu zaklął. Najpierw cicho, a potem głośniejszym głosem. Każde słowo było jak cios. Za każdym się wzdrygała.

A kiedy furia w nim narastała, to samo działo się w niej samej, ponieważ już wiedziała, jak potoczy się wieczór, i jak potoczyłby się, gdyby nie jej „błąd krytyczny”.

Owoce morza, które przygotowała, pozostaną nietknięte. Pavlova trafi do kosza. Tyle zmarnowanego czasu, wysiłku i pieniędzy. Nie znosiła marnotrawstwa. Skręcało ją od niego.

Dlatego kiedy powiedziała „Proszę cię, Perry, zostaw”, w jej głosie zabrzmiała frustracja. To była jej wina. Może gdyby ładnie się odezwała. Była

bardziej cierpliwa. Siedziała cicho.

Odwrócił się na krześle. Jego oczy błyszczały gniewem. Za późno. Przepadł. Znowu to samo, w koło Macieju.

Ale ona nie ustąpiła. Znow się zawzięła. Walczyła do końca, bo to było takie niesprawiedliwe, takie idiotyczne. Przecież tylko poprosiła go o pomoc. To nie powinno tak wyglądać, burzyła się w środku, nawet kiedy buchnął wrzask, serce załomotało jej w piersi i napięła wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na to, co nieuniknione. To niesprawiedliwe. Nie może tak być.

Było jeszcze gorzej niż zwykle, bo chłopcy nocowali poza domem. Nie musieli ściszać głosów, syczeć na siebie za zamkniętymi drzwiami. Nikt z sąsiadów nie usłyszy krzyków. Prawie jakby czekali na okazję, aby rzucić się na siebie bez żadnych zahamowań.

Celeste podeszła do drabinek. Znajdowały się w chłodnym, zacienionym kącie placu zabaw. Chłopcy będą tu chętnie przychodzić, kiedy zacnie się szkoła.

Perry podciągał się na drabince, a oni liczyli. Przychodziło mu to z łatwością. Musiał zginać nogi, barierki znajdowały się zbyt nisko nad ziemią. Zawsze był wysportowany.

Czy jakaś chora, skażona część jej istoty lubiła żyć w ten sposób i trwać w tym ohydny, żalonym związku? Tak jej się zdawało. Jakby łączyła ich chora, zboczona fascynacja.

Seks stanowił nieodłączny aspekt.

Zawsze następował potem. Kiedy było po wszystkim. Około piątej nad ranem. Dziki i gorączkowy, pełen łez, czułych przeprosin oraz deklaracji mamrotanych raz po raz: „Już nigdy, przysięgam, choćbym skonał, nigdy więcej, to musi się skończyć, musimy przestać, musimy poszukać pomocy, nigdy więcej...”.

– No, chodźcie – ponagliła synów. – Idziemy do sklepu, zanim go zamkną.

Perry zeskoczył lekko na ziemię i wziął chłopców pod pachę, po jednym z każdej strony.

– Mam cię!

Czy kochała go równie mocno, jak nienawidziła? Czy nienawidziła go tak, jak kochała?

„Musimy znaleźć innego terapeutę”, powiedziała do niego dziś rano. „Masz

rację”, skwitował, jakby naprawdę brał to pod uwagę. „Porozmawiamy o tym po powrocie”.

Wyjeżdżał następnego dnia. Tym razem do Wiednia. Na „szczyt” sponsorowany przez jego firmę. Miał wygłosić ważną mowę o złożonym, globalnym problemie. Padnie dużo akronimów i niezrozumiałego żargonu, a on stanie ze wskaźnikiem, jeżdżąc czerwonym punktem po prezentacji w PowerPoincie, przygotowanej przez swojego zastępcę.

Perry często przebywał poza domem. Czasem odnosiła wrażenie, że stanowi w jej życiu odchylenie od normy. Jakby gościł w nim tylko chwilowo. Jej prawdziwe życie odbywało się pod jego nieobecność. To, co się działo, nigdy nie miało większego znaczenia, bo zawsze szykował się do wyjazdu, następnego dnia albo w przyszłym tygodniu.

Dwa lata temu poszli na terapię. Celeste wiązała z nią ogromne nadzieje, ale na widok taniej kozetki ze skaju i gorliwej miny terapeutki zrozumiała, że to był błąd. Patrzyła, jak Perry kładzie na jednej szali swój wybitny intelekt i pozycję społeczną, a na drugiej tamtą kobietę, i z góry wiedziała, że więcej tu nie wróca.

Nie dotarli do sedna problemu. Rozmawiali o tym, jak to go denerwuje, że Celeste za późno wstaje i wечно się spóźnia. Celeste wspomniała, że Perry czasami „traci panowanie nad sobą”.

Jak mieli wyznać obcej osobie, co tak naprawdę dzieje się w ich małżeństwie? Przełamać wstyd. Opowiedzieć o swym haniebnym zachowaniu. Przecież byli taką dobraną parą. Od lat im to mówiono. Wzbudzali zazdrość i powszechny podziw. Cieszyli się wszelkimi przywilejami. Zagraniczne podróże. Dom jak z obrazka.

Obrzydliwe, że tak się zachowywali.

„A więc przestańcie”, powiedziałyby im zapewne ta miła, gorliwa kobieta, pełna niesmaku i dezaprobaty.

Celeste chciała, żeby terapeutka sama zgadła. Czekwała na właściwe pytanie. Ale się nie doczekała.

Wyszli tak szczęśliwi, że mają to za sobą, że mogą przestać udawać, że mimo wczesnej pory poszli do hotelowego baru, zamówili drinki i flirtowali ze sobą, dotykali się na oczach wszystkich. W połowie kieliszka Perry nagle się poderwał, chwycił ją za rękę i zaprowadził do recepcji. Wynajęli pokój. Cha, cha. Ależ to było zabawne i seksowne. Jakby terapeutka faktycznie wszystko naprawiła. No bo ile małżeństw tak robi? Potem czuła się zmięta i pełna

rozpaczy.

– A więc gdzie jest ten sklep z mundurkami? – zapytał Perry, kiedy wyszli na plac przed szkołą.

– Nie wiem – odpowiedziała Celeste. Skąd mam wiedzieć? Skąd ja mam to wiedzieć?

– Szukacie sklepu z mundurkami? Tam jest. – Celeste spojrzała przez ramię i zobaczyła energiczną kobietkę w okularach, którą pamiętała z drzwi otwartych. Której córka twierdziła, że Ziggy chciał ją udusić. Kędzierzawa dziewczynka była razem z nią. – Jestem Renata – powiedziała tamta. – Poznałyśmy się na drzwiach otwartych w zeszłym roku. Przyjaźnisz się z Madeline Mackenzie, prawda? Przestań, Amabello. Co ty wyprawiasz? – Uczepiona białej koszuli matki, dziewczynka chowała się nieśmiało za jej plecami. – Przywitaj się ładnie. Ci chłopcy będą z tobą w klasie. Są bliźniętami jednojajowymi. Czy to nie fascynujące! – Spojrzała na Perry’ego, który odstawił chłopców na ziemię. – Jak wy ich rozróżniacie?

Perry wyciągnął rękę.

– Perry. Nie rozróżniamy. Nie mamy pojęcia, który jest który.

Renata entuzjastycznie uściśnęła jego dłoń. Zawsze wzbudzał sympatię kobiet, przez ten swój olśniewający uśmiech Toma Cruise’a oraz uwagę, jaką poświęcał rozmówcy.

– Renata. Miło mi was poznać. Przyszliście po mundurki dla chłopców? Ależ to ekscytujące! Amabella miała przyjść z nianią, ale skończyłam wcześniej zebranie zarządu, więc postanowiłam sama ją zabrać. – Perry kiwał głową, jakby go to bardzo interesowało. Renata ściszyła głos.

– Od czasu tego incydentu w szkole Amabella zrobiła się trochę nerwowa. Słyszałeś? Jeden z chłopców dusił ją na drzwiach otwartych. Miała siniaki na szyi. Gagatek o imieniu Ziggy. Serio braliśmy pod uwagę, czy nie zgłosić tego na policję.

– To straszne – odpowiedział Perry. – O Jezu. Biedulka.

– Taaaato! – Max pociągnął ojca za rękę. – No, chodź!

– Zaraz... Przepraszam was bardzo – zreflektowała się Renata i utkwiała w Celeste bystre spojrzenie. – Nie wiem, czy nie popełniłam jakiejś gafy! Czy przypadkiem ty i Madeline nie świętowałyście urodzin z matką tego chłopca? Jane? Tak miała na imię? Bardzo młoda dziewczyna. Mylnie wzięłam ją za waszą au pair. Tak tu gadam, a wy może jesteście przyjaciółkami! Podobno piłyście szampana! Z samego rana!

– Ziggy? – Perry zmarszczył brwi. – Nie znamy żadnego dziecka o tym imieniu, prawda?

Celeste odchrząknęła.

– Poznałam Jane tamtego dnia – wyjaśniła. – Madeline skręciła nogę i Jane podwiozła ją do szkoły. Była... no, wydawała się bardzo miła.

Nie chciała być kojarzona z matką łobuza, ale z drugiej strony polubiła Jane, która dosłownie zmartwiała, kiedy córka Renaty wskazała na jej syna.

– Ta kobieta ma klapki na oczach – ucięła Renata. – Nie przyjęła do wiadomości, że jej synek tak narozrabiał. Amabella ma się trzymać od niego z daleka. Na waszym miejscu radziłabym to samo chłopcom.

– Pewnie masz rację – przyznał Perry. – Nie chcemy, żeby od początku wpadli w złe towarzystwo. – Mówił lekkim, żartobliwym tonem, jakby traktował sytuację z przymrużeniem oka, ale – znając Perry'ego – pewnie były to jedynie pozory. Miał na tym punkcie paranoję z powodu własnych przeżyć z dzieciństwa. W parku lub na placu zabaw zachowywał się jak tajny agent, wypatrując potencjalnych chuliganów, dzikich psów albo pedofilów w przebraniu dziadków.

Celeste rozwarła usta.

– Uhm – wydusiła. Oni mają pięć lat. Czy to nie przesada?

Ale Ziggy faktycznie miał w sobie coś dziwnego. Widziała go tylko w przelocie, na rekonesansie, lecz jego widok wytrącił ją z równowagi i nie wzbudził zaufania. (Ale przecież był ślicznym pięciolatkiem, jak pozostali chłopcy. Dlaczego pięciolatek budził w niej takie emocje?)

– Mamo! Idziemy! – Josh szarpnął ją za ramię. Złapała się za wrażliwy prawy bark i krzyknęła z bólu. Był tak silny, że zalała ją fala mdłości.

– Wszystko w porządku? – spytała Renata.

– Celeste? – rzucił Perry. Widziała po jego skruszonych oczach, że zrozumiał. Doskonale wiedział, czemu tak zabolalo. Przywiezie z Wiednia kolejną błyskotkę do jej kolekcji. Błyskotkę, której Celeste nigdy nie założy, a on nigdy nie zapyta dlaczego.

Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu. Wielkie, kanciaste słowa cisnęły się jej na usta. Wyobraziła sobie, jak wydostają się na wolność.

Mąż mnie bije, Renato. Oczywiście nie w twarz. Ma na to za dużo klasy.

Twój ciebie też?

A jeśli tak, to powiedz mi jedną rzecz: czy mu oddajesz?

– W porządku – odpowiedziała.

Rozdział czternasty

– Zaprosiłam do nas Jane i Ziggy’ego na przyszły tydzień. – Madeline zadzwoniła do Celeste, gdy tylko zakończyła rozmowę z Jane. – Koniecznie wpadnij z chłopcami. Na wypadek gdyby tematy nam się wyczerpały.

– Aha – odpowiedziała Celeste. – Wielkie dzięki. Zapraszasz chłopca, który...

– Tak, tak – przerwała jej Madeline. – Małego dusiciela. Ale jak wiesz, nasze dzieci też nie są święte.

– Tak w ogóle to wczoraj, kiedy poszliśmy po mundurki, spotkałam matkę ofiary – oznajmiła Celeste. – Renatę. Zabroniła swojej córce zadawać się z Ziggyem i zasugerowała, że mam zrobić to samo.

Madeline mocniej ścisnęła słuchawkę.

– Nie ma prawa ci tak mówić!

– Moim zdaniem po prostu się martwi...

– Nie można skreślać dzieciaka, zanim jeszcze zaczął szkołę!

– Hm, czy ja wiem. Spróbuj się postawić w jej sytuacji, gdyby to spotkało Chloe, no nie wiem...

Madeline przycisnęła słuchawkę do ucha, bo głos Celeste przycichł. Często tak robiła: rozmawiała normalnie, po czym nagle odpływała myślami.

W ten sposób się poznały – dzięki zamyśleniu Celeste. Ich dzieci chodziły razem na lekcje pływania, kiedy były młodsze. Chloe i bliźniacy stawali na małym podeście na skraju basenu, po czym kolejno ćwiczyli pływanie pieskiem i unoszenie się na wodzie pod okiem instruktora. Madeline od początku zwróciła uwagę na olśniewającą matkę, która przychodziła popatrzeć, ale nigdy do niej nie zagadała, mając pełne ręce roboty z czteroletnim wówczas Fredem. Tamtego dnia Fred zajął się lodami i Madeline obserwowała Chloe dryfującą na powierzchni jak rozgwiazda, kiedy jej uwagę przykuł bliźniak na podeście. Jeden bliźniak. „Hej!” – wrzasnęła, szukając instruktora. Rozejrzała się za piękną matką, która stała na

uboczu, wpatrzona w dal. „Pani synek!”, krzyknęła Madeline. Ludzie w zwolnionym tempie odwracali głowy. Ratownik zapadł się pod ziemię. – „Ożeż kurwa mać...” mruknęła i wskoczyła do basenu, tak jak stała, w butach na obcasach i całej reszcie, po czym wyciągnęła Maxa z dna niecki, krztuszącego się i plującego. Podczas gdy Celeste z płaczem tuliła mokrych chłopców i szlochała słowa podziękowania, Madeline darła się na wszystkich wokół. Szkółka biła się w pierś, a zarazem bezwstydnie migąła od odpowiedzialności za całe zajście. Dziecko nie doznało uszczerbku na zdrowiu, ale oczywiście bardzo przepraszają, jeśli ktoś odniósł takie wrażenie, i z pewnością wezmą to pod uwagę na przyszłość. Obie natychmiast wypisały stamtąd dzieci, a Celeste, była prawniczka, wysmarowała list, w którym zażądała rekompensaty za zniszczone buty Madeline i sukienkę „tylko do czyszczenia chemicznego” oraz całkowitego zwrotu opłat za naukę pływania. W ten sposób się zaprzyjaźniły. Gdy Madeline poznała Perry’ego, od razu zorientowała się, że nie wie on wszystkiego o okolicznościach, w jakich się poznały. Mężowie nie zawsze muszą wszystko wiedzieć.

Zmieniła temat:

– Perry wyjechał tam, dokąd miał jechać?

Celeste nagle oprzytomniała.

– Do Wiednia. Tak. Nie będzie go trzy tygodnie.

– Już tęsknisz? – spytała Madeline. Taki żarcik. W słuchawce zapadła cisza.

– Jesteś tam? – zapytała Madeline.

– Lubię grzanki na kolację – odpowiedziała wymijająco Celeste.

– O tak, ja jem ciastka czekoladowe z jogurtem, kiedy Ed wyjeżdża – ożywiła się Madeline. – O matko, dlaczego wyglądam na taką skonaną?

Dzwoniła, siedząc na łóżku w pełniącym funkcję biura pokoju gościnnym, gdzie zawsze składała rzeczy po praniu, i właśnie dostrzegła swoje odbicie w lustrze szafy na przeciwległej ścianie. Wstała z łóżka i podeszła bliżej, wciąż przyciskając słuchawkę do ucha.

– Może jesteś skonana – zasugerowała Celeste.

Madeline przycisnęła opuszką palca dolną powiekę.

– Przecież się wyspałam! – oznajmiła. – Dzień w dzień myślę sobie: A coś ty dzisiaj taka zmięta? i dopiero ostatnio przyszło mi do głowy, że może po prostu ja już tak wyglądam.

– Kup sobie ogórek. Słyszałam, że pomaga na obrzęki – poradziła jej nonszalancko Celeste. Madeline wiedziała, że Celeste jest doskonale obojętna

na całą dziedzinę życia, którą ona sama uwielbiała: ciuchy, kremy, makijaż, dodatki, biżuteria. Czasami patrzyła na przyjaciółkę z jej długimi, złotorudymi włosami upiętymi byle jak i miała ochotę pobawić się nią jak lalką Barbie.

– Opłakuję moją młodość – oznajmiła. Celeste prychnęła. – Wiem, że nigdy nie byłam zbyt piękna...

– Nadal jesteś piękna – zapewniła Celeste.

Madeline skrzywiła się do swojego odbicia w lustrze i odwróciła wzrok. Nie chciała przyznać, nawet sama przed sobą, jak bardzo przygnębia ją to, że się starzeje. Chciała być ponad tak powierzchowne zmartwienia. Chciała się troszczyć o kondycję świata, a nie o swoje zmarszczki i zagniecenia. Każda oznaka upływu czasu napełniała ją irracjonalnym poczuciem wstydu, jakby za słabo się starała. Tymczasem Ed z roku na rok stawał się coraz bardziej pociągający, w miarę jak pogłębiały się jego zmarszczki wokół oczu.

Usiadła z powrotem na łóżku i wróciła do składania prania.

– Bonnie przyjechała dziś po Abigail – oznajmiła. – Stała w drzwiach i wyglądała jak, sama nie wiem, szwedzka zbieraczka owoców, w szaliku w biało-czerwoną kratkę na głowie, i Abigail wybiegła z domu. Jak na skrzydłach. Jakby nie mogła już znieść swojej starej matki.

– Uhm – odmruknęła Celeste. – Już rozumiem.

– Czasem mam wrażenie, że ją tracę. Czuję, jak mi się wymyka, i mam ochotę ją złapać i powiedzieć: „Abigail, on ciebie też rzucił. Wystawił nas obie do wiatru”. Ale muszę postępować jak dorosła. A najgorsze jest to, że ona faktycznie jest szczęśliwa, kiedy tam medytują całą rodziną i żrą ciecierzycę.

– Na pewno nie – stwierdziła Celeste.

– Prawda? Nie znoszę ciecierzycy.

– Serio? A ja lubię. Jest zdrowa.

– Zamknij się. To jak? Przywieziesz chłopców, żeby się pobawili z Ziggym? Czuję, że biedna Jane będzie potrzebować wsparcia w tym roku. Zostańmy jej przyjaciółkami i weźmy ją pod swoje skrzydła.

– Jasne, że przyjedziemy – obiecała Celeste. – Przywiozę ciecierzycę.



Pani Lipmann: Nie. Żaden wieczorek integracyjny w tej szkole nie skończył

się rozlewem krwi. To obraźliwe i oszczercze pytanie.

Rozdział piętnasty

– Chcę kiedyś mieszkać w takim piętrowym domu – oznajmił Ziggy, kiedy podchodzili do drzwi wejściowych Madeline.

– Naprawdę? – spytała Jane i poprawiła pasek torby na ramieniu. W drugiej ręce niosła plastikowy pojemnik ze świeżo upieczonymi bananowymi babeczkami. Marzy ci się takie życie? Mnie tak samo. – Potrzyjmy chwilę, dobrze? – Podała synkowi pojemnik, a sama wyjęła z torby kolejne dwa listki gumy do żucia, nie odrywając wzroku od domu. Był to zwyczajny, dwupiętrowy domek z kremowej cegły. Trochę zaniedbany. Trawnik wymagał skoszenia. Na samochodzie leżały dwa podwójne kajaki. Deski surfingowe i do bodyboardingu stały oparte o ścianę. Na balkonie wisały ręczniki plażowe, a na trawie przed domem leżał porzucony rowerek.

Dom nie krył w sobie nic specjalnego. Był podobny do domu rodzinnego Jane, mniejszego i schludniejszego, ale mieszkali godzinę od oceanu, toteż brakowało śladów pobytu na plaży, roztaczał jednak tę samą pełną prostoty podmiejską aurę.

Tak wyglądało dzieciństwo.

To było takie proste. Ziggy nie stawiał zbyt wielkich wymagań. Zasługiwał na takie życie.

Gdyby Jane nie wyszła tamtego wieczoru, gdyby nie wypiła trzeciej tequili, gdyby powiedziała: „Nie, dziękuję”, kiedy się przysiadł, gdyby została w domu, skończyła studia, znalazła pracę, męża, kredyt i zrobiła wszystko jak należy, być może któregoś dnia zamieszkałaby w podobnym domu i byłaby porządną osobą wiodącą porządne życie.

Ale wtedy Ziggy nie byłby Ziggym.

Może wcale nie miałyby dzieci. Przypomniała sobie swojego lekarza, smutną zmarszczkę na jego czole, rok przed zajściem w ciążę. „Musi pani zrozumieć, że zajście w ciążę będzie bardzo trudne, jeśli nie wykluczone”.

– Ziggy! Ziggy! Ziggy! – Drzwi otworzyły się zamasyście i Chloe,

w przebraniu wróżki i kaloszach, wybiegła za próg i pociągnęła Ziggy'ego za rękę. – Przyszedłeś do mnie, tak? Nie do mojego brata Freda!

Madeline stanęła za nią w czerwono-białej sukience w groszki z bogatym dołmem w stylu lat pięćdziesiątych. Włosy miała spięte w rozkołysany kucyk.

– Jane! Szczęśliwego Nowego Roku! Jak się masz? Miło cię widzieć. Patrz, wyleczyłam kostkę! Pewnie się ucieszysz, że włożyłam buty na płaskiej podszwie.

Stanęła na jednej nodze i zakręciła kostką, demonstrując połyskliwe, czerwone baletki.

– Jak rubinowe trzewiczki Dorotki – zauważyła Jane, podając jej babeczki.

– Prawda, czyż nie są boskie?! – zawołała Madeline. Zajrzała pod pokrywę. – Boże miłosierny! Nie mów, że sama upiekłaś.

– Owszem. – Jane usłyszała z pięterka śmiech syna i serce mało nie wyfrunęło jej z piersi.

– No popatrz, ty przynosisz babeczki, a ja wystroiłam się jak gospodyni domowa z lat pięćdziesiątych – zażartowała Madeline. – Podoba mi się myśl o pieczeniu, ale jakoś nie mogę jej zrealizować. Zawsze brakuje mi jakiegoś składnika. Skąd bierzesz mąkę, cukier i ten... no wiesz, ekstrakt z wanilii?

– Hm. Kupuję. W miejscu, które się nazywa supermarket.

– Pewnie robisz listę – ciągnęła Madeline. – A potem nie zapominasz jej zabrać. – Jane zrozumiała, że jej pieczenie wzbudza w Madeline podobne odczucia, co w niej fatałaszki Madeline: coś na kształt ostrożnego podziwu wobec dziwnych upodobań. – Wpadnie też Celeste z chłopcami. Już widzę, jak rzuci się na te babeczki. Kawa czy herbata? Lepiej nie pijmy szampana przy każdej okazji, choć nie miałabym nic przeciwko. Masz co oblewać?

Madeline zaprowadziła ją do wielkiej kuchni połączonej z jadalnią.

– Niestety nic – stwierdziła Jane. – Poproszę zwykłą herbatę.

– Jak tam przeprowadzka? – Madeline nastawiła czajnik. – Nie było nas w mieście, w przeciwnym razie pożyczylabym ci Eda do pomocy. Zawsze wypożyczam go do przeprowadzek. On to uwielbia.

– Serio?

– Nie, skąd. Nienawidzi tego. Strasznie się na mnie wścieka. Mówi: „A co ja jestem, furgonetka?” – zniżyła głos, naśladując męża. – Ale wiesz, płaci za siłownię, więc co mu szkodzi przerzucić kilka pudeł za darmo? Siadaj. Przepraszam za bałagan.

Jane usiadła przy długim, drewnianym stole usłanym rekwizytami rodzinnego

życia, wśród których znajdowały się naklejki z baletnicami, otwarta książka leżąca grzbietem do góry, krem przeciwsłoneczny, klucze, elektroniczna zabawka i samolocik z klocków Lego.

– Rodzina mi pomogła – wyjaśniła Jane. – Tam jest od groma schodów. Bliscy nie mogli mi tego darować, ale sami zaoferowali swoją pomoc. – („Lepiej, żebym za pół roku nie musiał znów targać tej cholernej lodówki”, zapowiedział brat.)

– Mleko? Cukier? – zaproponowała Madeline, wrzucając do kubków torebki herbaty.

– Nie, poproszę czarną. Uhm, widziałam dziś rano jedną z matek. – Jane chciała poruszyć temat rekonesansu pod nieobecność Ziggy’ego. – Na stacji benzynowej. Chyba udawała, że mnie nie zauważa.

Żadne „chyba”. Kobieta odwróciła głowę tak szybko, jakby ją spoliczkowano.

– Nie gadaj! – prychnęła Madeline z rozbawieniem i sięgnęła po ciastko. – Która to? Pamiętasz imię?

– Harper – odpowiedziała Jane. – Jestem prawie pewna, że to była Harper. Pamiętam, że nazwałam ją Harpią Harper, bo była taka niemila i zapatrzona w Renatę. Zdaje się, że to jedna z Blond Paziów, ma twarz pociągłą jak basset. Madeline zachichotała.

– Cała Harper. Tak, przyjaźni się z Renatą i bardzo się tym szczyci, jakby chodziło o wielką osobistość. Na każdym kroku podkreśla, że spotykają się na gruncie towarzyskim. „Ach, tak świetnie się bawiłyśmy w tej świetnej restauracji”. – Ugryzła babeczkę.

– Pewnie dlatego nie chce mnie znać – stwierdziła Jane. – Przez to, co się stało...

– Jane – przerwała jej Madeline – ta babeczka jest obłądna!

Jane uśmiechnęła się, rozbawiona jej zachwytem. Madeline miała okruch na nosie.

– Dzięki, mogę dać ci przepis, jeśli...

– Jezu, nie, nie chcę przepisu. Chcę babeczki. – Madeline wzięła duży łyk herbaty. – Wiesz co? Zaraz napiszę do Harper i zażądam wyjaśnień, dlaczego udała, że nie widzi mojej nowej przyjaciółki od babeczek. Gdzie ja posiałam komórkę...

– Ani mi się waż! – krzyknęła Jane. Zrozumiała właśnie, że ma do czynienia z jedną z tych trochę niebezpiecznych osób, które rzucają się na odsiecz

przyjaciołom, powodując jeszcze większy zamęt.

– Ja sobie tego nie życzę – oznajmiła Madeline. – Jeśli te baby nie dadzą ci żyć z powodu tego, co się stało w czasie drzwi otwartych, już ja się z nimi policzę. Każdemu przecież mogło się zdarzyć.

– Kazałabym Ziggy’emu przeprosić – zapewniła Jane. Musiała dać Madeline do zrozumienia, że należy do matek, które w razie potrzeby umieją wymusić przeprosiny na własnym dziecku. – Ale powiedział, że to nie on, a ja mu wierzę.

– No pewnie. To na pewno nie on. Wydaje się taki łagodny.

– Jestem na sto procent pewna. No, na dziewięćdziesiąt dziewięć. Ja... – Urwała i przełknęła ślinę, gdyż nagle owładnęło ją nieodparte pragnienie, aby zwierzyć się Madeline ze swoich wątpliwości. Opowiedzieć jej ze szczegółami, z czego wynika ów jeden procent. Zwyczajnie... wyznać prawdę. Zamienić ją w historię ukrywaną dotąd przed całym światem, prawdziwą historię – z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem.

„Był piękny, ciepły październikowy dzień. W powietrzu unosił się zapach jaśminu. Miałam okropny katar sienny. Drapało mnie w gardle. Łzawiły mi oczy”.

Mogła mówić, nie myśląc o tym, nie czując, dopóki nie opowiedziałyby całej historii.

A potem Madeline może rzuciłaby w ten swój zdecydowany, kategoryczny sposób: „Głowa do góry, Jane. To bez znaczenia! Ziggy jest dokładnie tym, za kogo go uważasz. A ty jesteś jego matką. Ty znasz go najlepiej”.

Ale gdyby zrobiła coś dokładnie przeciwnego? Gdyby wątpliwość, która dopadła Jane, odbiła się na chwilę w jej oczach? Wówczas Jane zdradziłaby syna w najgorszy z możliwych sposobów.

– Och, Abigail! Chodź, zjesz z nami babeczkę! – Madeline podniosła wzrok na nastolatkę, która właśnie weszła do kuchni. – Jane, to Abigail, moja córka. – W jej głos wkradł się fałszywy ton. Odłożyła ciastko i machinalnie zaczęła bawić się kolczykiem. – Abigail? – powtórzyła. – To Jane!

Jane obróciła się na krześle.

– Cześć, Abigail – powiedziała do dziewczynki, która stała niczym słup soli, z dłońmi złożonymi przed sobą jak do modlitwy.

– Cześć – odpowiedziała Abigail, posyłając jej niespodziewanie serdeczny uśmiech. Był to promienny uśmiech Madeline, lecz poza nim nie łączyło ich żadne podobieństwo. Abigail miała bardziej smagłą cerę i ostrzejsze rysy.

Włosy opadały jej splątanymi kosmykami na plecy, jakby dopiero wstała. Do czarnych legginsów założyła bezkształtną jak worek, brązową sukienkę. Od dłoni aż na przedramiona piał się misterny tatuaż z henny, jedyną błyskotką zaś była srebrna czaszka na czarnym sznurowadle na szyi. – Zaraz odbierze mnie tata – oznajmiła.

– Proszę? – spytała Madeline. – Pierwsze słyszę.

– Tak, dziś będę tam nocować, bo umówiłam się na jutro z Louisą i muszę być wcześniej, a stamtąd mam bliżej.

– Najwyżej o dziesięć minut.

– Ale od taty i Bonnie jest łatwiej. I szybciej wyjedziemy z domu. Nie będziemy czekać w samochodzie, aż Fred znajdzie buty, a Chloe wróci do domu po Barbie.

– Zakładam, że Skye nigdy nie musi wracać po swoją Barbie – stwierdziła Madeline.

– Przede wszystkim Bonnie w życiu nie kupiłaby jej takiej lalki. – Abigail przewróciła oczami, jakby to było oczywiste. – Naprawdę powinnaś zabrać Chloe te lalki, mamó, będzie miała zaburzoną wizję kobiecego ciała.

– Obawiam się, że na to już za późno. – Madeline posłała Jane smętny uśmiech.

Zza okna dobiegł dźwięk klaksonu.

– To tato – oświadczyła Abigail.

– Już do niego dzwoniłaś? – Madeline dostała rumieńców. – Ustaliłaś to bez konsultacji ze mną?

– Zapytałam tatę – ucięła dziewczynka. Obeszła stół i cmoknęła matkę w policzek. – Pa, mamó. Miło było cię poznać. – Uśmiechnęła się do Jane i ruszyła w stronę drzwi.

Madeline gwałtownie wstała od stołu.

– Abigail Marie! To nie do przyjęcia. Nie możesz tak po prostu nocować, gdzie chcesz.

Abigail przystanąła i odwróciła się na pięcie.

– Dlaczego? – spytała. – Czemu to wy zawsze macie decydować, kto mnie teraz dostanie? – Zadrzała z gniewu i Jane dostrzegła kolejne podobieństwo do Madeline. – Jakbym do was należała. Jakbym była samochodem, którym jeździecie na zmianę.

– To nie tak...

– Owszem.

Gdy kierowca przed domem ponownie zatrafił, do kuchni wparadował mężczyzna w średnim wieku.

– Co się dzieje? – Zrolowana do pasa pianka odsłaniała jego rozłożystą, bardzo zarośniętą klatę. Towarzyszył mu mały chłopiec, ubrany dokładnie tak samo, tyle że jego tors był wąły i gładki jak pupa niemowlaka. – Tata czeka przed domem – dorzucił mężczyzna pod adresem Abigail.

– Wiem – burknęła i omiotła go wzrokiem. – Mógłbyś sobie darować. To obrzydliwe.

– A co, nie mogę się pochwalić? – Mężczyzna z dumą załomotał pięścią w klatę i uśmiechnął się do Jane, która z zakłopotaniem odpowiedziała mu tym samym.

– Ohyda – wyartykułowała Abigail i dodała: – Wychodzę.

– Później porozmawiamy! – zawołała za nią Madeline.

– Jak sobie chcesz.

– Jak ty do mnie mówisz? – Madeline rozjuszyła się, ale drzwi już trzasnęły.

– Mamusiu, umieram z głodu – zakomunikował chłopiec.

– Zjedz babeczkę – zgasiła go ponuro Madeline i opadła z powrotem na krzesło. – Jane, poznaj mojego męża, Eda i mojego syna, Freda. Ed, Fred, łatwo zapamiętać.

– Bo się rymuje – uściślił Fred słowem wyjaśnienia.

– Doberek. – Ed uściśnił rękę Jane. – Przepraszam za ten niesmaczny widok. Surfowaliśmy z Fredem. – Usiadł przy stole naprzeciwko Jane i objął żonę. – Abigail daje ci się we znaki?

Madeline wtuliła twarz w jego ramię.

– Jak dokuczliwa mucha, słowo daję.

Fred capnął potężny kęs babeczki, po czym chyłkiem wyciągnął rękę i zwinął drugą.

– Ale dobre.

Jane pomyślała, że następnym razem musi przynieść więcej, gdy z góry dobiegło wołanie Chloe:

– Mamusiu, jesteś nam potrzebna!

– Pojeżdżę na deskorolce – oznajmił Fred i wziął trzecią babeczkę.

– Kask – rzucili jednocześnie Madeline i Ed.

– Mamusiu! – wrzasnęła Chloe.

– Głucha nie jestem! – odkrzyknęła Madeline. – Ed, zabaw Jane rozmową.

I poszła.

Jane przygotowała się na konieczność podtrzymywania konwersacji, lecz Ed posłał jej swobodny uśmiech, wziął babeczkę i rozsiadł się wygodnie.

– A więc jesteś mamą Ziggy’ego. Jak wpadłaś na takie imię?

– Mój brat je wymyślił – odpowiedziała. – Jest wielkim fanem Boba Marleya, a zdaje się, że Bob nazwał tak swojego syna. – Urwała na wspomnienie cudownego ciężaru dziecka w objęciach, jego poważnego spojrzenia. – Spodobało mi się, że jest takie nietypowe. Moje imię jest zwyczajne. Jane. Flaki z olejem.

– Jane to piękne, klasyczne imię – zaproponował stanowczo Ed i Jane trochę się w nim zakochała. – Jeśli chcesz wiedzieć, to miałem je na swojej liście, kiedy wybieraliśmy imię dla Chloe, ale zostałem przegłosowany, poza tym wybrałem już imię dla Freda.

Uwagę Jane zwróciła fotografia ślubna na ścianie: Madeline w tiulowej sukni w odcieniu szampana siedzi Edowi na kolanach i oboje pękają ze śmiechu.

– Jak się poznaliście? – spytała.

Ed aż pojaśniał. Najwidoczniej bardzo lubił o tym opowiadać.

– Mieszkałem obok licznej libańskiej rodziny, w której było sześciu braci, wielkich chłopaków. Bardzo się ich bałem. Grali na ulicy w krykieta i Madeline czasem się do nich przyłączała, wybiegała na ulicę. Sięgała tym dryblasom do kolan, nosiła wstążki we włosach i błyszczące bransoletki, znasz ją, zawsze lubiła się stroić, ale Boże jedyny, jak ona rznąła w tego krykieta! – Odłożył ciastko i wstał, żeby zademonstrować. – Wybiegała szur, szur na ulicę, szast-prast zamiatała spódnicą, brała kij i ŁUP! – Zamachnął się wyimaginowanym kijem. – A tamci padali na kolana, łapiąc się za łby.

– Znowu opowiadasz o krykiecie? – Madeline wróciła z pokoju Chloe.

– Wtedy się w niej zakochałem – ciągnął Ed. – Na zabój. Obserwując ją przez okno.

– Nie wiedziałam nawet o jego istnieniu – wtrąciła lekko.

– Zgadza się. Dorośliśmy i wyfrunęliśmy z domów, a potem dowiedziałem się od mamy, że Madeline wyszła za jakiegoś fajansa – uzupełnił Ed.

– Ciii. – Madeline trzepnęła go w ramię.

– Po latach wybrałem się na trzydzieste urodziny kumpla. Grali na podwórku w krykieta. I kto wywijał kijem w szpilkach, cały wyfiokowany? Mała Madeline z sąsiedztwa. Myślałem, że dostanę ataku serca.

– To bardzo romantyczna historia – stwierdziła Jane.

– Pomyśleć, że prawie nie poszedłem na te urodziny. – Oczy Eda błyszczały, chociaż pewnie opowiadał tę historię sto razy.

– Ja tak samo – uzupełniła Madeline. – Musiałam odwołać pedikiur, a w życiu tego nie robię.

Wymienili uśmiechy.

Jane odwróciła wzrok. Sięgnęła po kubek i udała, że pije, chociaż był już pusty.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

– To na pewno Celeste – stwierdziła Madeline.

Super, pomyślała Jane, dalej udając, że sączy herbatę. Patrzyłam na wielką miłość, teraz popatrzę na wielką urodę.

Otaczała ją mnogość kolorów: soczystych i wibrujących. Była jedyną bezbarwną rzeczą w całym domu.



Panna Barnes: Naturalnie rodzice tworzą własne kręgi towarzyskie poza granicami szkoły. Konflikt w czasie wieczorku integracyjnego nie musiał mieć nic wspólnego z tym, co działo się w Pirriwee Public. Uważam za stosowne to zaznaczyć.

Thea: No tak, pannie Barnes nie wypada powiedzieć nic innego, prawda?

Rozdział szesnasty

– I co sądzisz o Jane? – zapytała jeszcze tego samego wieczoru Madeline, kiedy Ed mył zęby, a ona opuszką palca wklepywała dramatycznie kosztowny krem pod oczy. (Miała specjalizację z marketingu, na miłość boską. Wiedziała, że wyrzuciła pieniądze w błoto.) – Ed?

– Czekaj, zaraz umyję zęby. – Przeplukał usta, wypluł i postukał szczoteczką o umywalkę. Puk, puk, puk. Zawsze trzy zdecydowane stuknięcia, jakby szczoteczka była młotkiem bądź kluczem maszynowym. Czasem, kiedy Madeline była lekko wstawiona, zaśmiewała się z tego do łez. – Jane wygląda na dwanaście lat – stwierdził w końcu. – Wygląda na młodszą od Abigail. W głowie się nie mieści, że jest matką chłopca w wieku Chloe. – Z uśmiechem wycelował w żonę szczoteczką. – Ale będzie naszą tajną bronią na wieczorku integracyjnym. Zna odpowiedzi na wszystkie pytania z dziedziny współczesnej popkultury.

– Coś mi się zdaje, że wiem na ten temat więcej niż ona – stwierdziła Madeline. – Daleko jej do przeciętnej dwudziestoczterolatki. Pod pewnymi względami wydaje się wręcz staroświecka, wiesz, jak ktoś z pokolenia mojej mamy.

Przejrzała się w lustrze, westchnęła i odstawiła swój słoiczek nadziei na półkę.

– Nie może być aż tak staroświecka – zauważył Ed. – Wspomniałaś przecież, że zaszła w ciążę po seksie z przygodnie napotkanym facetem.

– I urodziła to dziecko – zaznaczyła Madeline. – A to już dość staroświeckie podejście.

– Przecież mogła zostawić je pod kościołem – odparł Ed. – W melinowym chruśniaku.

– Jakim?

– Malinowym. Chyba jest takie słowo? Malinowy?

– Zdawało mi się, że powiedziałaś „melinowym”.

– Powiedziałem. Chciałem zatuszować swój błąd. Ty, a o co chodzi z tą gumą? Żuła cały dzień.

– Wiem. Chyba jest uzależniona.

Ed zgasił światło w łazience. Podeszli do łóżka, każde ze swojej strony, pstryknęli lampki nocne i jednocześnie odrzucili kołdry gładkim, wyćwiczonym ruchem, który dowodził, w zależności od nastroju Madeline, że albo są małżeństwem doskonałym, albo ugrzęźli w małomiasteczkowej rutynie, w związku z czym muszą sprzedać dom i wyruszyć w podróż tropem yeti.

– Najchętniej wzięłabym Jane w obroty – rozważała głośno, kiedy Ed szukał w książce strony, na której skończył. Był wielbicielem kryminałów Patricii Cornwell. – Ona się tak okropnie czesze. Zupełnie płasko na czubku głowy. Przydałoby się jej trochę objętości.

– Objętość – mruknął Ed. – Właśnie. Też tak sędzę. Z ust mi to wyjęłaś. – Przerzucił kartkę.

– Musimy znaleźć jej chłopaka.

– Koniecznie.

– Wzięłabym w obroty i Celeste. Wiem, że to dziwnie brzmi. To jasne, że wygląda pięknie, bez względu na wszystko.

– Celeste? Pięknie? – odparł Ed. – Nie zauważyłem.

– Cha, cha.

Madeline sięgnęła po swoją książkę, lecz zaraz ją odłożyła.

– One są takie różne, Jane i Celeste, a jednak zdaje mi się, że coś je łączy. Nie umiem tego określić.

Ed odłożył swój kryminał.

– Ja ci powiem, co je łączy.

– No?

– Obie mają jakąś skazę – oznajmił.

– Skazę? Co ty opowiadasz?

– Sam nie wiem. Po prostu umiem rozpoznać takie dziewczyny. Kiedyś się z nimi umawiałem. Wyczuję taką na kilometr.

– Ja też miałam skazę? – spytała Madeline. – Dlatego ci się spodobałam?

– Ależ skąd – zapewnił i ponownie sięgnął po książkę. – Ty nie miałaś żadnej skazy.

– A właśnie że miałam! – zaproponowała Madeline. Chciała być intrygująca i ze skazą. – Miałam złamane serce, kiedy mnie poznałeś.

– Istnieje pewna różnica między złamanym sercem a skazą – zauważył Ed. –

Byłaś smutna i zraniona. Może miałaś złamane serce, ale sama nie byłaś złamana. A teraz siedź cicho, bo wyczuwam tu podstęp i nie dam się na niego nabrać, pani Cornwell. Nic z tych rzeczy.

– Hmm – zamyśliła się Madeline. – Może i Jane ma jakąś skazę, ale nie rozumiem, jaką skazę może mieć w sobie Celeste. Jest bogata, piękna, ma wspaniałego męża, a były nie próbuje ukraść jej dziecka.

– Tobie też nikt nie próbuje nikogo ukraść – odparł Ed, nie odrywając oczu od lektury. – Po prostu Abigail dojrzewa. Nastolatki są szurnięte. Przecież wiesz.

Madeline z ociąganiem ponownie sięgnęła po książkę. Pomyślała o Jane i Ziggym, idących za rękę ścieżką po tym, jak stąd wyszli. Chłopiec opowiadał coś matce, wymachując dziko jedną ręką, a Jane słuchała z przechyloną głową, niosąc w drugiej ręce kluczyki od samochodu. Madeline usłyszała jej słowa: „Mam pomysł! Jedźmy tam, gdzie mają te pyszne taco!”.

Ich widok przywołał wspomnienia z czasów, kiedy była samotną matką. Przez pięć lat, tylko ona i Abigail. Mieszkały w dwupokojowym mieszkanku nad włoską restauracją. Zajadały się makaronem na wynos i mnóstwem czosnkowego chleba za darmo. (Madeline przytyła siedem kilo.) Były dziewczynami Mackenzie spod Dziewiątki. Zmieniła nazwisko Abigail na swoje panięskie (i odmówiła ponownej zmiany po ślubie z Edem; wystarczy tych zmian jak na jeden życiorys). Nie zniosłaby, gdyby Abigail paradowała z nazwiskiem ojca, kiedy Nathan byczył się na plaży w Bali ze zdzirowatą fryzjerką. Fryzjerką, która notabene miała koszarne włosy: czarne odrosty i rozdwojone końcówki.

– Zawsze myślałam, że Abigail za karę nie będzie go kochała. A przynajmniej nie tak jak mnie – powiedziała do Eda. – Cały czas to sobie wmawiałam. Abigail nie będzie chciała, żeby poprowadził ją do ołtarza. Drań dostanie za swoje, myślałam. Ale wiesz co? Wszystko uchodzi mu płazem. Ma teraz Bonnie, miłszą, młodszą i ładniejszą ode mnie, ma córeczkę, która zna alfabet, a teraz dostanie Abigail! Wykręcił się od odpowiedzialności. Niczego nie żałuje. – Stwierdziła ze zdziwieniem, że głos jej się załamał. Sądziła, że jest tylko zła, ale teraz utwierdziła się w przekonaniu, że jest dotknięta. Abigail doprowadzała już ją do szału. Drażniła i frustrowała. Ale po raz pierwszy zraniła ją do żywego. – Miała mnie kochać najbardziej – poza nią się jak dziecko i próbowała się roześmiać, bo to był żart, tyle że mówiła ze śmiertelną powagą. – Myślałam, że mnie kocha najbardziej.

Ed odłożył książkę i objął żonę.

– Mam zatłuc drania? Ukatrupić? I wrobić w to Bonnie?

– Tak, poproszę – wydusiła w jego ramię. – Byłoby cudownie.



Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Jeszcze nikogo nie aresztowaliśmy, ale mogę powiedzieć, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozmawialiśmy już z osobą lub osobami zamieszanymi w tę sprawę.

Stu: Nie sądzę, aby ktokolwiek, łącznie z policją, miał blade pojęcie, kto co zrobił.

Rozdział siedemnasty

Gabrielle: Sądziłam, że istnieją pewne, sama nie wiem, procedury wręczania zaproszeń urodzinowych. Moim zdaniem to, co wydarzyło się pierwszego dnia w przedszkolu, było raczej niestosowne.



– Ziggy, uśmiech! Uśmiech!

Ziggy w końcu uśmiechnął się w tej samej chwili, kiedy ojciec Jane ziewnął. Jane pstryknęła zdjęcie, po czym obejrzała je na wyświetlaczu aparatu cyfrowego. Ziggy i jej mama uśmiechali się pięknie, a tata zastygł w pół ziewu, z rozdziawionymi ustami i przymrużonymi oczami. Nie wyspał się, bo musiał wcześniej wstać i przejechać szmat drogi z Granville, aby towarzyszyć wnukowi pierwszego dnia w szkole. Rodzice Jane zawsze późno się kładli i późno wstawali, a wyjście z domu przed dziewiątą rano ostatnio było ponad ich siły. Ojciec pracował w budżetówce i w zeszłym roku przeszedł na wcześniejszą emeryturę; od tamtej pory układali z matką puzzle do trzeciej, czwartej nad ranem. „Nasi rodzice zamieniają się w wampiry”, oznajmił Jane jej brat. „Na dodatek zdieciniało”.

– Może mój mąż zrobi zdjęcie wam wszystkim – zaproponowała kobieta stojąca nieopodal. – Sama bym się zaoferowała, ale jestem na bakier z techniką.

Jane podniosła głowę. Kobieta miała długą do ziemi spódnicę w łączkę i czarny top, okręcony sznurkiem nadgarstek i włosy zaplecione w długie, pojedynczy warkocz. Na jej ramieniu widniał tatuaż przedstawiający jakiś chiński symbol. Na tle innych rodziców w strojach plażowych, sportowych i eleganckich wyglądała trochę jak z kosmosu. Jej mąż sprawiał wrażenie sporo od niej starszego i ubrany był w podkoszulek i szorty, typowe wdzianko tatusia w średnim wieku. Trzymał za rękę drobniutkie, zahukane dziewczątko

o długich, cienkich włoskach, w mundurku na oko trzy rozmiary za dużym.

Założę się, że ty jesteś Bonnie, pomyślała Jane na wspomnienie opisu Madeline.

– Jestem Bonnie – przedstawiła się w tej samej chwili kobieta. – A to mój mąż Nathan i córka Skye.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziała Jane. Podała aparat byłemu mężowi Madeline, po czym stanęła obok rodziców i Ziggy’ego.

– Seeer i heeerbatniki! – Nathan wycelował w nich obiektyw.

– Hm? – zainteresował się Ziggy.

– Kawa – ziewnęła matka Jane.

Nathan nacisnął przycisk.

– Gotowe!

Oddał aparat w chwili, gdy do jego córki podeszła kędzierzawa dziewczynka. Jane zmartwiała. Natychmiast ją rozpoznała. Była to ta mała, która oskarżyła Ziggy’ego, że próbował ją udusić. Amabella. Jane rozejrzała się chyłkiem. Ciekawe, gdzie podziała się jej wstrętna matka.

– Jak masz na imię? – rzuciła urzędowo Amabella, zwracając się do koleżanki. Ścisnęła w rękach plik blad różowych kopert.

– Skye – odszepnęła dziewczynka. Była tak chorobliwie nieśmiała, że aż żal było patrzeć, jak wydusza słowa.

Amabella przejrzała koperty.

– Skye, Skye, Skye...

– Raju, czy ty już umiesz czytać? – zapytała matka Jane.

– Czytam, odkąd skończyłam trzy lata – odpowiedziała uprzejmie Amabella, nie przerywając przerzucania. – Skye! – Podała dziewczynce różową kopertę.

– To zaproszenie na moje piąte urodziny. Przyjęcie na literę A, od mojego imienia.

– Czyta, jeszcze zanim poszła do szkoły! – zdumiał się jowialnie ojciec Jane i spojrzał na Nathana. – Już prymuska! Pewnie brała korepetycje, nie sądzi pan?

– Nie chcę się chwalić, ale nasza Skye też całkiem nieźle czyta – odpowiedział Nathan. – I nie wierzymy w korepetycje, prawda, Bon?

– Chcemy, aby rozwój Skye następował organicznie – poparła go żona.

– Organiczna, he? – mruknął ojciec Jane. Zmarszczył brwi. – Jak owoce?

Amabella zwróciła się do Ziggy’ego:

– Jak masz na... – Zamarła. Na jej buzi odmalował się wyraz bezbrzeżnej

paniki. Przycisnęła różowe koperty do piersi, żeby Ziggy żadnej nie wykradł, po czym odwróciła się na pięcie i czmychnęła.

– A niech mnie – zdziwiła się matka Jane. – Co to było?

Jane rozejrzała się po boisku. Wszędzie widziała dzieci w nowiutkich, zbyt obszernych mundurkach.

Wszystkie – co do jednego – ścisnęły w rączkach blad różowe koperty.



Harper: Proszę posłuchać, nikt w tej szkole nie znał Renaty lepiej niż ja. Byłyśmy bardzo zżyte. Mogę stwierdzić z całą pewnością, że Renata nie chciała nikomu niczego pokazać.

Samantha: O matko, oczywiście, że chciała pokazać, i to jeszcze jak.

Rozdział osiemnasty

Pierwszego dnia szkoły Madeline zmagą się z wrednym atakiem zespołu napięcia przedmiesiączkowego. Walczyła jak lwica, ale na próżno. Sama decydując, jaki mam nastrój, mówiła do siebie w kuchni, łykając kapsułki z wiesiołkiem jak valium (wiedziała, że to na nic, bo trzeba je brać regularnie, ale chwyciła się brzytwy, choć na pewno jak zwykle wyrzuciła pieniądze w błoto). Diabli nadali. Najchętniej zwałiłyby na kogoś winę, najlepiej na byłego męża, ale nijak nie mogła pociągnąć go do odpowiedzialności za swój cykl miesięczkowy. Poszłyby o zakład, że Bonnie zmagą się z zawirowaniami kobiecości, tańcząc w blasku księżyca.

PMS wciąż stanowił dla niej nowość. Kolejny z uroków procesu starzenia. Wcześniej nie wierzyła w jego istnienie. A potem, tuż przed czterdziestką, jej ciało oznajmiło: Hm, a więc nie wierzysz w PMS? Już ja ci pokażę. Jeszcze ci się odechce, suko.

I teraz, przez jeden dzień każdego miesiąca musiała udawać wszystko: swoje człowieczeństwo, miłość do dzieci, miłość do Eda. Kiedyś wstrząsnęła ją informacja, że morderczynie miały na swoją obronę zespół napięcia przedmiesiączkowego. Dzisiaj je rozumiała. Najchętniej sama rzuciłyby się komuś do gardła, a to, że jeszcze tego nie zrobiła, uważała jedynie za przejaw siły swojego charakteru.

Przez całą drogę do szkoły oddychała głęboko, żeby się uspokoić. Na szczęście Fred i Chloe nie kłócili się na tylnym siedzeniu. Ed nucił pod nosem, prowadząc, co było w sumie nie do zniesienia (ta jego niezmordowana, zbyt duża wesołość!), ale przynajmniej włożył czystą koszulę zamiast przyciasnego, białego polo z plamą po keczupie, jego zdaniem niewidoczną. PMS nie będzie dziś górą. PMS nie zepsuje jej tego... kamienia milowego.

Od razu znaleźli legalne miejsce do zaparkowania, a dzieci, o dziwo, wysiadły z samochodu, już kiedy poproszono je o to pierwszy raz.

– Szczęśliwego Nowego Roku, pani Ponder! – zawołała Madeline, kiedy

mijali biały domek obok szkoły, gdzie pulchna, siwowłosa pani Ponder siedziała na rozkładanym krześle i popijając herbatę, czytała gazetę.

– Dzień dobry! – odrzyknęła skwapliwie.

– Idź, nie zatrzymuj się – syknęła Madeline do Eda, który zwolnił kroku. Uwielbiał długie pogaduszki z panią Ponder (była pielęgniarką w Singapurze w czasie wojny). Właściwie uwielbiał pogaduszki z każdym, kto miał skończone siedemdziesiąt lat.

– Chloe idzie do szkoły! – zawołał. – To wielki dzień!

– No proszę – odpowiedziała pani Ponder.

Poszli dalej.

Madeline trzymała nastrój pod kontrolą niczym wściekłego psa na krótkiej smyczy.

Na boisku roіło się od rozgadanych rodziców i rozwrzeszczanych maluchów. Ci pierwsi stali nieruchomo, podczas gdy drudzy miotali się wokół nich jak kulki w automatach do gry. Byli tam rodzice świeżo upieczonych przedszkolaków z promiennymi, nerwowymi uśmiejami na twarzach. Były matki szóstoklasistów w ożywionych, nieprzepuszczalnych grupkach, niekwestionowane królowe szkoły. Nie zabrakło również Blond Paziów, muskających palcami swoje odświeżone fryzury.

Ach, było wspaniale. Ten wietrzyk znad oceanu. Rozjaśnione twarzyczki dziełek i – ożeż w mordę kopany – jej były mąż.

W sumie wiedziała, że go tu spotka, ale było oburzające, że panoszył się na jej boisku, taki zadowolony z siebie, taki normalny i tatusiowaty. Co gorsza, robił zdjęcie Jane i Ziggy'emu (jakim prawem?!) oraz sympatycznej pani i panu, którzy nie wyglądali na dużo starszych od Madeline, ale musieli być rodzicami Jane. Znalazł się fotograf! Nie liczcie, że zrobi wam ładne zdjęcie. Na niego nie można liczyć.

– Jest tata Abigail – zauważył Fred. – Nie widziałem jego samochodu przed szkołą. – Nathan jeździł kanarkowym lexusem. Biedny Fred chciałby mieć tatę, który znał się na samochodach. Ed nawet nie rozróżniał modeli.

– A to moja siostra przyrodnia! – Chloe wskazała na córkę Bonnie i Nathana. Mundurek wisiał na Skye, a jej wielkie, niebieskie oczy i długie, rzadkie kosmyki upodabniały ją do zagłodzonego obdartusa z plakatu *Nędzników*. Madeline czuła, co się święci. Chloe zaadoptuje Skye. Skye była dokładnie typem nieśmiałej dziewczynki, jaką Madeline wzięłaby w szkole pod swoje skrzydła. Chloe zaprosi Skye do domu, żeby móc ją czesać.

Skye zamrugała, kiedy kosmyk wpadł jej do oczu, i Madeline osłupiała. To dziecko mrugało zupełnie jak Abigail, gdy włosy wpadały jej do oczu. Było skrawkiem dziecka Madeline, jej przeszłości i serca. Byli mężowie powinni mieć zakaz prokreacji.

– Ile razy mam ci powtarzać, Chloe – syknęła. – Skye jest siostrą przyrodnią Abigail, nie twoją!

– Oddychaj głęboko – poradził Ed. – Wdech, wydech.

Tymczasem Nathan oddał aparat Jane i ruszył w ich stronę. Ostatnio zapuścił włosy. Były gęste, siwe i opadały mu na czoło jak, nie przymierzając, australijskiemu Hugh Grantowi. Madeline podejrzewała, że zapuścił je specjalnie, by zakasować Eda, który wyłysiał prawie doszczętnie.

– Maddie... – Nikt więcej jej tak nie nazywał. Kiedyś stanowiło to źródło wielkiego zadowolenia, dziś doprowadzało ją do białej gorączki. – Ed, stary! I mała... hmm. To twój pierwszy dzień w szkole, prawda? – Nathan nie zadawał sobie trudu, by zapamiętać imiona jej dzieci. Podniósł rękę. – Piątka, brachu. – Zdrajca Fred przybił mu piątkę, a jakże.

Nathan cmoknął Madeline w policzek i entuzjastycznie uścisnął dłoń Eda. Ostentacyjnie chlubił się poprawnymi stosunkami z byłą żoną i jej rodziną.

– Nathan – powiedział Ed. Wymawiał to imię w szczególny sposób, zniżając głos i kładąc nacisk na drugą sylabę, na co Nathan zawsze lekko marszczył brwi, nie wiedząc, czy ktoś tu się z niego nie nabija. Lecz dziś nawet to nie uratowało nastroju Madeline.

– Wielki dzień, wielki dzień – zagaił Nathan. – Dla was to nie pierwszyzna, ale dla nas owszem! Nie wstydzę się przyznać, że zrobiło mi się trochę łzawo na widok Skye w mundurku.

– Masz już dziecko, które chodzi do szkoły, Nathanie. – Madeline nie wytrzymała.

Nathan spłonął rumieńcem. Złamała niepisana zasadę, żeby nie docinać. Ale na miłość boską! Abigail chodziła do szkoły dwa miesiące, zanim się połapał. Zadzwoił w środku dnia na pogawędkę. „Jest w szkole”, zakomunikowała Madeline. „W szkole”, wykrztusił. „A nie jest za mała?”

– Skoro mowa o Abigail, Madeline, nie masz nic przeciwko, żeby w ten weekend była nasza kolej? – zapytał Nathan. – W sobotę są urodziny matki Bonnie i idziemy na kolację. Ona bardzo lubi Abigail.

Bonnie zmaterializowała się u jego boku z anielskim uśmiechem. Zawsze uśmiechała się anielsko. Madeline miała podejrzenia, że prochy są u niej na

porządku dziennym.

– Świetnie się dogadują – dodała pod adresem Madeline, która miała to w poważaniu.

No właśnie: kogo obchodzi, że córka „świetnie się dogaduje” z teściową byłego męża? Jedyne Bonnie mogła uznać, że to pożądana informacja, ale człowiek nie ma prawa pisać słówka, nieprawdaż? Ani pomyśleć: Milcz, suko, gdyż Bonnie nie była suką. Dlatego Madeline nie pozostawało nic innego, jak pokiwać głową i to przełknąć, podczas gdy jej nastrój kłapał zębami i toczył pianę z ust.

– Jasne – odpowiedziała. – Nie ma sprawy.

– Tatusiu! – Gdy Skye pociągnęła Nathana za koszulę, posadził ją sobie na biodrze. Bonnie spojrzała czule na oboje.

„Wybacz, Madeline, ale ja nie daję rady” – tak brzmiały jego słowa, kiedy Abigail miała trzy tygodnie i była marudnym noworodkiem, który od powrotu ze szpitala nie przespał ciurkiem dłużej niż trzydzieści dwie minuty. „Ja też”, ziewnęła Madeline. Nie pomyślała, że mówi to dosłownie. Godzinę później patrzyła w osłupieniu, jak pakuje rzeczy do długiej, czerwonej torby do krykieta, przelotnie patrzy na dziecko, jakby należało do kogoś innego, a potem wychodzi z domu. Nigdy, przenigdy nie darowała mu tego przelotnego spojrzenia, którym omiótł swoją śliczną córeczkę. Dziś ta córeczka była nastolatką, która sama robiła sobie kanapki do szkoły, sama szła na szkolny autobus i na odchodne wołała przez ramię: „Nie zapomnij, że dziś nocuję u taty!”.

– Cześć, Madeline – rozległ się głos Jane.

Znów nosiła na sobie zwykły, biały podkoszulek z dekoltem w serek (czyżby innego nie miała?), tę samą niebieską spódnicę z džinsu i japonki. Znów ciasno zaczesła włosy do tyłu i ukradkiem żuła gumę. Jej prostota była wytchnieniem dla nastroju Madeline, jakby Jane była niezbędna dla poprawy samopoczucia, tak jak człowiek marzy po chorobie o zwykłej, suchej bułce.

– Jane – rzuciła ciepłym tonem. – Jak się masz? Widzę, że poznałaś mojego uroczego byłego męża i jego rodzinę.

– Ho, ho, ho – wtrącił Nathan jak Święty Mikołaj, bo nie wiedział, jak inaczej zareagować na przytyk o „uroczym byłym mężu”.

Madeline poczuła dłoń Eda na ramieniu – ostrzeżenie, że wkracza na grząski teren.

– Owszem. – Twarz Jane nic nie zdradzała. – A to moi rodzice, Di i Bill.

– Witajcie! Macie pięknego wnuka. – Madeline strząsnęła rękę męża i przywitała się z rodzicami Jane, którzy wyglądali na *przemitych*, co zresztą od razu rzucało się w oczy.

– Uważamy, że Ziggy to wcielenie mojego kochanego taty – zaćwierkała matka Jane.

– Nieprawda – oznajmił jej małżonek. Spojrzał na Chloe, która ciągnęła Madeline za sukienkę. – A to pewnie wasza mała, hę?

Chloe podała matce różową kopertę.

– Schowasz, mamusiu? To zaproszenie na urodziny Amabelli. Trzeba się przebrać za coś na literę A. Ja przebiorę się za księżniczkę. – I pobiegła.

– Wygląda na to, że biedny Ziggy nie został zaproszony. – Matka Jane ściszyła głos.

– Mamo – zaoponowała Jane. – Daj spokój.

– Słucham? Nie powinna rozdawać zaproszeń na boisku, jeżeli wszystkich nie zaprasza – stwierdziła Madeline.

Rozejrzała się za Renatą i zobaczyła Celeste, która właśnie wchodziła przez bramę z bliźniakami, jak zwykle spóźniona i jak zwykle nieprawdopodobnie olśniewająca. Jakby do szkoły zawitała przedstawicielka innego gatunku. Madeline spostrzegła, że tata jednego z drugoklasistów na jej widok mało się nie potknął o porzucony tornister. Nagle na drodze Celeste stanęła Renata i oficjalnym gestem wręczyła jej dwie różowe koperty.

– Zabiję ją – oświadczyła Madeline.



Pani Lipmann: W sumie nie mam nic do dodania. Zaslugujemy na trochę spokoju. Zginął rodzic. Cała szkolna społeczność jest pogrążona w żałobie.

Gabrielle: Hmm, nie powiedziałabym, że cała szkolna społeczność jest pogrążona w żałobie. Byłoby to pewne nadużycie.



Celeste zobaczyła mężczyznę, który potknął się na jej widok.

Może powinna mieć romans. Może to by o czymś przesądziło, straciło jej

małżeństwo w przepaść, w stronę której od lat nieuchronnie zmierzało.

Ale myśl o byciu z mężczyzną innym niż Perry wprawiała ją w stan bliski przerażenia. Ależ by się nudziła. Inni mężczyźni jej nie interesowali. Przy Perrym czuła, że żyje. Gdyby go rzuciła, żyłaby w celibacie, samotna i znudzona. To niesprawiedliwe. On ją zniszczył.

– Za mocno mnie ściskasz – powiedział Josh.

– No – poparł go Max.

Poluzowała uścisk.

– Przepraszam, chłopcy.

To nie był udany poranek. Najpierw doszło do katastrofy z udziałem jednej ze skarpetek Josha, która za nic nie chciała leżeć równo na nodze mimo wielokrotnego poprawiania. Potem Max nie mógł znaleźć tego jednego ludzika Lego w tej jednej żółtej czapce, który akurat był mu niezbędny.

Obaj płakali za tatą. Nieważne, że był na drugim końcu świata. Chcieli, żeby się zjawił, i koniec. Celeste chciała tego samego. On zażegnałby kryzys ze skarpetką. I znalazłby ludzika Lego. Zawsze wiedziała, że szkolne poranki przerosną jej możliwości. Ona i chłopcy lubili spać do późna i rano byli nieprzytomni, podczas gdy Perry budził się pełen energii i gotów do działania. Gdyby nie wyjechał, przyszliby przed czasem. W samochodzie panowałyby wesołość zamiast ciszy, przetykanej żalonym pochlipywaniem chłopców.

W końcu dała im obu po lizaku. Wsiadając z auta, nadal je lizali; jedna z matek, którą Celeste pamiętała z drzwi otwartych, przeszła obok i uśmiechnęła się do nich słodko, rzucając na Celeste spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Widzę Chloe i Ziggy’ego! – zawołał Josh.

– Zabijmy ich! – ożywił się Max.

– Nie mówcie tak, chłopcy! – zgorszyła się Celeste. Jezus Maria. Co sobie ludzie pomyślą?

– My tylko udajemy, mamusiu – zapewnił Josh dobrodusznie. – Chloe i Ziggy to lubią!

– Celeste! Celeste, prawda? – Kobieta stanęła przed nią w chwili, gdy chłopcy odbiegli. – Poznałyśmy się przy sklepie z mundurkami parę tygodni temu. – Wskazała na siebie. – Renata. Jestem mamą Amabelli.

– No przecież! Witaj, Renato – odpowiedziała Celeste.

– Perry nie mógł przyjść? – Renata rozejrzała się z nadzieją.

– Jest w Wiedniu – poinformowała Celeste. – Często wyjeżdża służbowo.

– No tak. – Renata pokiwała głową ze zrozumieniem. – Tak mi się zdawało, że skądś go znam, po powrocie do domu sprawdziłam w internecie i mnie olśniło! Przecież to ten Perry White! Miałam okazję wysłuchać jego niejednej prelekcji. Pracujemy w tej samej branży! – Cudownie. Fanka Perry’ego. Celeste często się zastanawiała, co pomyślałyby sobie fanki na widok Perry’ego w akcji. – Mam zaproszenia dla chłopców na piąte urodziny Amabelli. – Renata podała jej dwie różowe koperty. – Oczywiście ty i Perry też jesteście mile widziani. Będzie okazja, aby rodzice lepiej się poznali!

– Wspaniale. – Celeste wzięła koperty i schowała je do torebki.

Wtedy wyrosła przy nich Madeline w jednej ze swoich pięknych sukienek, z których słynęła.

– Witajcie, moje panie! – Miała zarumienione policzki i niebezpieczny błysk w oku. – Dziękuję w imieniu Chloe za zaproszenie na urodziny Amabelli.

– Ojej, Amabella rozdaje zaproszenia? – Renata zmarszczyła brwi i poklepała torebkę. – Musiała je wyjąć, kiedy nie patrzyłam. Chciałam sama dyskretnie wręczyć je rodzicom.

– Tak, zwłaszcza że na oko zapraszacie wszystkich oprócz jednego chłopczyka.

– Rozumiem, że mówisz o Ziggym, dziecku, które zostawiło sińce na szyi mojej córki – odrzekła Renata. – Powiedzmy, że się nie załapał. Zdziwiona?

– Daj spokój, Renato – mitygowała Madeline. – Tak nie wypada.

– Bo co? Chcesz mnie zaskarżyć? – Renata rzuciła Celeste porozumiewawcze spojrzenie, jakby stały po jednej stronie barykady.

Celeste głęboko nabrała powietrza. Nie chciała się w to mieszać.

– To ja może...

– Bardzo mi przykro, Renato – oświadczyła Madeline wyniośle. – Ale Chloe nie będzie mogła przyjść.

– Jaka szkoda. – Renata pociągnęła za ukośny pasek torebki, jakby poprawiała zbroję. – Wiesz co? Lepiej skończmy tę rozmowę, zanim powiem coś, czego będę żałować. – Skinęła głową do Celeste. – Miło cię było znów widzieć.

Madeline odprowadziła ją wzrokiem. Wyglądała, jakby życie w nią wstąpiło.

– To jest wojna, Celeste – oznajmiła wesoło. – Wojna, powiadam ci.

– Ach, Madeline...



Harper: Wiem, że wszyscy lubimy stawiać Celeste na piedestale, ale moim zdaniem nie zawsze karmi dzieci jak trzeba. Na własne oczy widziałam, jak daje im lizaki na śniadanie!

Samantha: Rodzice lubią się nawzajem oceniać. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Może dlatego że nikt z nas tak naprawdę nie wie, co robi? Przypuszczam, że to może prowadzić do napięć. Choć zwykle nie na taką skalę.

Jackie: Nie mam czasu na ocenianie innych rodziców. I wcale mnie to nie bawi. Dzieci to tylko jeden z aspektów mojego życia.

Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, jednakże liczne grono rodziców usłyszy również zarzuty o napaść. Jesteśmy rozczarowani i głęboko wstrząśnięci takim zachowaniem.

Rozdział dziewiętnasty

– Ach, Madeline... – westchnął Ed.

Zaparkował samochód, wyjął klucze ze stacyjki i popatrzył na żonę.

– Nie możesz zabronić Chloe pójść na urodziny koleżanki, tylko dlatego że Ziggy nie został zaproszony. To wariactwo.

Przyjechali prosto ze szkoły na plażę, na szybką kawę w Blue Blues z Jane i jej rodzicami. Propozycja wyszła od matki Jane, a Madeline, pomimo że przygotowała sobie ambitny plan zajęć na czas nieobecności dzieci, nie miała serca odmówić.

– A właśnie, że nie – oznajmiła teraz. Powoli zaczynała żałować swej decyzji. Kiedy Chloe się o niej dowie, wybuchnie piekło. Ostatnie urodziny Amabelli zrobiły furorę: były dmuchany zamek, magik i dyskoteka. – Jestem dziś w bardzo złym humorze – zakomunikowała.

– Coś ty? – mruknął Ed. – Gdybyś nie powiedziała, pewnie bym nie zauważył.

– Tęsknię za dziećmi – jęknęła. Tyłne siedzenie zdawało się takie ciche i puste. Jej oczy wypełniły się łzami.

Ed stęknął.

– Żartujesz, prawda?

– Moja malutka poszła do szkoły... – załkała Madeline.

Chloe pomaszerowała pewnym krokiem prosto do klasy u boku panny Barnes, jakby sama była nauczycielką. Buzia jej się nie zamykała, zapewne postulowała zmiany w planie.

– Uhm – chrząknął Ed. – Nareszcie. Zdaje się, że tak powiedziałaś wczoraj swojej matce przez telefon.

– Musiałam sterczeć na boisku i toczyć miłą pogawędkę z tym draniem! – Łzy Madeline ponownie ustąpiły miejsca złości.

– „Miła” to za dużo powiedziane.

– Ciężki jest los samotnej matki.

– Taa. – Ed osłupiał. – Że co proszę?

– Jane! Przecież mówię o Jane, rzecz jasna. Pamiętam pierwszy dzień Abigail w szkole. Czułam się jak odmieniec. Wszyscy byli tacy... w parach. W życiu nie czułam się taka samotna. – Madeline pomyślała o byłym mężu, który rozglądał się po boisku jak pan i władca świata. Nie miał bladego pojęcia, jak się czuła przez te wszystkie lata, kiedy wychowywała Abigail sama. I wcale by temu nie zaprzeczył. O nie. Gdyby wywrzeszczała mu: „Było mi ciężko! Tak strasznie ciężko!”, wzdrygnąłby się tylko i spojrział ze skruchą, ale nie rozumiałby tego ni w ząb, choćby nie wiem co.

Miotła nią bezsilna furia. A ponieważ nie miała jej na kim wyładować, dostało się Renacie.

– No więc wyobraź sobie, jak się czuje Jane, kiedy jej młody jako jedyny nie został zaproszony na urodziny. Tylko pomyśl.

– Wiem – odpowiedział Ed. – Ale biorąc pod uwagę okoliczności, zachowanie Renaty jest poniekąd zrozumiałe...

– Nie, nie jest! – wrzasnęła Madeline.

– Jezu... Przepraszam. Nie. Jasne, że nie jest. – Ed zerknął we wsteczne lusterko. – Przyjechała twoja mała, biedna przyjaciółeczka. Zjedzmy z nią ciastko, a świat stanie się lepszy.

Odpiął pas.

– Jeśli nie zapraszasz wszystkich dzieci z klasy, nie rozdajesz zaproszeń na boisku – żołądkowała się Madeline. – Każda matka to wie. Takie są zasady.

– Mógłbym gadać o tym do wieczora – zapewnił Ed. – Temat piątych urodzin Amabelli naprawdę mnie wciągnął.

– Zamknij się – syknęła Madeline.

– Myślałem, że w naszej rodzinie nikt nie każe się nikomu zamykać.

– No to się odwal.

Ed z uśmiechem dotknął jej policzka.

– Jutro poczujesz się lepiej. Zawsze tak jest.

– Wiem, wiem. – Madeline wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Zobaczyła, jak matka Jane wyskakuje z samochodu, zarzuca torebkę na ramię i z szaleńczym uśmiechem pędzi w jej stronę.

– Cześć! Hej wam! Madeline, przejdiesz się ze mną kawałek po plaży? Reszta niech idzie i zamówi kawę.

– Mamo. – Jane szła za nią z ojcem. – Przecież ty nie lubisz plaży!

Nawet ślepy by zauważył, że jej matka chce porozmawiać z Madeline na

osobności.

– Jasne, że się przejdę... Di. – Imię spadło Madeline jak z nieba.

– W takim razie ja też pójdę – westchnęła Jane.

– Nie, nie, ty odprowadź tatę do kawiarni i zamów dla mnie coś dobrego – poleciła Di.

– No bo taki ze mnie zgrzybiały starzec – przemówił drżącym głosem ojciec Jane i uczeplił się jej łokcia. – Pomóż mi, kochana córko.

– Zmykajcie – zakomenderowała Di.

Madeline patrzyła, jak Jane walczy ze sobą, po czym lekko wzrusza ramionami i daje za wygraną.

– Byle nie za długo – rzuciła do matki. – Bo wam kawa wystygnie.

– Dla mnie podwójne espresso i murzynek z bitą śmietaną – Madeline wydała dyspozycję pod adresem Eda, który uniósł kciuk, a następnie poprowadził Jane i jej ojca do Blue Blues.

Madeline schyliła się i zdjęła buty. Matka Jane poszła za jej przykładem.

– Czy twój mąż wziął wolne, żeby odwiedzić Chloe do szkoły? – zapytała, gdy ruszyły po piasku w stronę wody. – O kurczę, jak razi! – Miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, ale i tak wierzchem dłoni osłoniła oczy.

– Jest dziennikarzem lokalnej gazety – odrzekła Madeline. – Ma elastyczne godziny pracy i często pracuje w domu.

– To musi być fajne. Czy nie? Nie zawadza ci czasem? – Di szła chwiejnie po piasku. – Czasem posyłam Billa do sklepu po coś niepotrzebnego, byle na chwilę zszedł mi z oczu.

– U nas się sprawdza. Pracuję trzy dni w tygodniu dla Pirriwee Theatre Company, więc Ed może odbierać dzieci. Nie zarabiamy kokosów, ale no wiesz, kochamy swoją pracę, więc nas to cieszy.

Boże, czemu wspomniała o pieniądzach? Zabrzmiało to tak, jakby broniła ich życiowych wyborów. (Zresztą prawdę powiedziawszy, aż tak nie kochali swojej pracy.) Czyżby dlatego, że wciąż czuła się zmuszona konkurować z karierowiczkami pokroju Renaty? A może myślała o pieniądzach z powodu tego horrendalnego rachunku za prąd, który otworzyła dziś rano? Prawda wyglądała tak, że chociaż nie opływali w luksusy, jakoś sobie radzili, a dzięki zamiłowaniu Madeline do wyprzedaży internetowych nie cierpiała na tym nawet jej garderoba.

– No tak, pieniądze. Podobno szczęścia nie dają, ale czy ja wiem? – Di odgarnęła włosy z oczu i rozejrzała się. – Ładna ta plaża. Rzadko się opalamy,

poza tym raczej nikt nie chciałby oglądać t e g o w bikini!

Z obrzydzeniem wskazała na swoje normalne ciało, na oko tych samych rozmiarów, co ciało Madeline.

– Nie wiem, o czym mówisz – ucięła Madeline. Nie miała cierpliwości do takiej gadki. Kompletnie nie rozumiała tej na wskroś kobiecej skłonności do umartwiania.

– Ale dla Ziggy’ego i Jane to chyba miła odmiana, tak sędzę. Ach, wiesz, chciałam ci podziękować, że wzięłaś Jane pod swoje skrzydła. – Di zdjęła okulary i spojrzała prosto na Madeline. Miała bladoniebieskie oczy i powieki pomalowane perłowym, różowym cieniem, który zupełnie do niej nie pasował, ale Madeline doceniła starania.

– Ależ nie ma za co – odparła. – To trudne, kiedy człowiek przeprowadza się w nowe miejsce i nikogo nie zna.

– Owszem, a Jane tak często się przeprowadzała w ostatnich latach. Odkąd urodziła Ziggy’ego, dosłownie nie może usiedzieć w miejscu ani znaleźć przyjaciół. Zabiłaby mnie, gdyby to usłyszała, ale ja po prostu nie wiem, co się z nią naprawdę dzieje.

Umilkła i obejrzawszy się przez ramię na kawiarnię, zacisnęła usta.

– To trudne, kiedy przestają nam się zwierzać, prawda? – rzuciła po chwili Madeline. – Sama mam nastoletnią córkę. Z pierwszego małżeństwa. – Zawsze czuła się w obowiązku to zaznaczyć, a potem miała z tego powodu niejasne wyrzuty sumienia. Zupełnie jakby oddzielała Abigail, umieszczała ją w odrębnej szufladce. – Sama nie wiem, dlaczego byłam tak wstrząśnięta, gdy Abigail przestała. Przecież to typowe dla nastolatków, prawda? Ale była taką otwartą dziewczynką. Oczywiście Jane nie jest nastolatką...

Di jakby tylko na to czekała.

– Wiem! – podchwyciła entuzjastycznie. – Ma dwadzieścia cztery lata, jest dorosła! Ale one zdają się nigdy nie dorastać. Jej tata mi mówi, że przesadzam. Fakt, jest wspaniałą matką i sama się utrzymuje, nie bierze od nas ani centa! Wsuwam jej pieniądze do kieszeni, jak kieszonkowiec. Lub przeciwieństwo kieszonkowca. Ale ona się zmieniła. Coś się zmieniło. Nie umiem tego określić. Jakby ukrywała jakiś wielki smutek. Nie wiem, czy to depresja, czy narkotyki, anoreksja czy jeszcze coś innego. Jest taka chuda! Dawniej miała więcej krągłości.

– Hm – mruknęła Madeline, myśląc, że jeśli Jane cierpi na anoreksję, to na pewno zasługa mamusi.

– Ale czemu ja ci to wszystko mówię? – rzuciła Di. – Nie będziesz chciała się z nią przyjaźnić! Jane nie jest narkomanką! Ma tylko trzy z dziesięciu oznak uzależnienia. Góra cztery. Zresztą bzdury wypisują w tym internecie. – Madeline parsknęła śmiechem, a Di jej zawtórowała. – Czasami mam ochotę pomachać jej ręką przed nosem i zawołać: „Jane, Jane, jesteś tam jeszcze?”.

– Bez przesady...

– Odkąd urodził się Ziggy, nie miała nikogo. Zerwała z takim jednym. Miał na imię Zach. Uwielbialiśmy go, wspaniały chłopak. Jane była bardzo wzburzona tym rozstaniem, bardzo wzburzona, ale Matko Święta, to było prawie sześć lat temu! Chyba wciąż go nie opłakuje, co? Nie był aż taki przystojny!

– A bo ja wiem – rzuciła niedbale Madeline. Pomyślała tęsknie o kawie stygnącej na stoliku w Blue Blues.

– Potem zaszła w ciążę. Zach rzekomo nie jest ojcem, chociaż zawsze się zastanawialiśmy, ale ona nie i nie. W kółko to powtarzała. Przygoda na jedną noc, tak mówiła. Facet zapadł się pod ziemię. Studia poszły w cholerę, ale mówi się trudno, nic nie dzieje się bez powodu, prawda?

– Absolutnie. – Madeline wcale tak nie uważała.

– Lekarz jej powiedział, że może mieć problem z zajściem w ciążę, więc to było jak zrządzenie losu, a potem, kiedy była w ciąży, umarł mój kochany tato i wydawało się, że to jego dusza wróciła w...

– Maaamo! Madeline! – Di drgnęła. Spojrzały na Jane, która stała przed kawiarnią i machała jak oszalała. – Kawa już jest!

– Idziemy! – odrzyknęła wdzięczna Madeline.

– Przepraszam cię – powiedziała Di, gdy ruszyły z powrotem. – Za dużo gadam. Zapomnij, proszę, o wszystkim, co powiedziałam, dobrze? Po prostu zobaczyłam, że ten biedny mały Ziggy nie dostał zaproszenia, i zachciało mi się płakać. Ostatnio jestem bardzo uczuciowa i tracę głowę, kiedy wstaję tak rano. Dawniej nie byłam taka płaczliwa, uchodziłam za prawdziwą twardzielkę. To ten wiek, mam pięćdziesiąt osiem lat, moje koleżanki tak samo: przyjaźnimy się, odkąd nasze dzieci poszły do przedszkola! Zachowujemy się jak piętnastolatki, ryczymy z byle powodu.

Madeline przystanąła.

– Di...

Matka Jane odwróciła się do niej nerwowo, jakby spodziewała się, że ją zbeszta.

- Tak?
- Będę miała oko na Jane. Daję słowo.



Gabrielle: Widzi pani, problem częściowo polegał na tym, że Madeline w pewnym sensie zaadoptowała Jane. Zachowywała się jak stuknięta, nadopiekuńcza starsza siostra. Wystarczył choćby cień krytyki, a warczała jak wściekły pies.

Rozdział dwudziesty

Była jedenasta rano. Pierwszy dzień Ziggy'ego w przedszkolu.

Czy mieli już drugie śniadanie? Czy zjadł swoje jabłko, ser i krakersy? Pudełeczko rodzynek? Jane wyobraziła sobie, jak ostrożnie otwiera nową śniadaniówkę, i ścisnęło ją w piersi. Gdzie będzie siedział? Z kim rozmawiał? Miała nadzieję, że Chloe i bliźniacy się z nim bawią, ale równie dobrze mogli go olać. Nie przypuszczała, aby któryś z bliźniaków podszedł do niego z wyciągniętą ręką i powiedział: „Cześć, stary! Ziggy, prawda? Bawiliśmy się razem kilka tygodni temu. Jak leci?”.

Wstała od stołu w jadalni, przy którym pracowała, i wyciągnęła ręce wysoko nad głowę. Nic mu nie będzie. Wszystkie dzieci chodzą do szkoły. I żyją. Uczą się zasad obowiązujących w życiu.

Poszła do ciasnej kuchni nowego mieszkania i nastawiła wodę na herbatę, na którą nie miała szczególnej ochoty, byle oderwać się od rachunków Usług Kanalizacyjnych Pete'a. Pete może i znał się na kanalizacji, ale do porządku chyba nie miał zamiłowania. Co kwartał dostawała kartonik po butach pełen najróżniejszych zmiętych, upapranych i cuchnących świstków: rachunków, wyciągów z kart kredytowych i paragonów, z których zdecydowana większość nie nadawała się do ujęcia w koszty. Jane wyobrażała sobie, jak Pete opróżnia kieszenie, wygrzebuje grubą łapą faktury z samochodowego schowka, miota się po domu, łapiąc każdy napotkany papierek, po czym upycha to wszystko w pudełku po butach i wzdycha. Sprawa załatwiona.

Wróciła do stołu i sięgnęła po kolejny rachunek. Żona Pete'a właśnie wydała trzysta trzydzieści pięć dolarów u kosmetyczki, gdzie zafundowała sobie zabieg klasyczny na twarz, pedikur deluxe oraz depilację woskiem strefy bikini. Niektórym to się powodzi. Dalej leżała zgoda na szkolną wycieczkę do Zoo Taronga. Na odwrocie jakieś dziecko nabazgrało fioletową kredką: „NIENAWIDZĘ TOMA!!!!!!”.

Jane przyjrzała się kartce. „Wezmę/nie wezmę udziału w wycieczce jako

opiekun”. Żona Pete’a zaznaczyła „nie wezmę”. Depilacja bikini musiała być zbyt absorbująca.

Woda się zagotowała. Jane zmięła świstek i rachunek od kosmetyczki i poszła do kuchni.

Mogłaby jechać jako opiekun, jeśli Ziggy pojedzie na wycieczkę. Bądź co bądź, właśnie dlatego postanowiła zostać księgową, aby w razie czego być „elastyczną” i „godzić pracę z macierzyństwem”, chociaż zawsze czuła się jak oszustka i kretynka, kiedy to mówiła, jak gdyby nie była prawdziwą matką, a jej życie prawdziwym życiem.

Fajnie byłoby znów pojechać na wycieczkę. Nadal pamiętała emocje, jakie temu towarzyszyły. Smakołyki w autobusie. Mogłaby obserwować ukradkiem, jak Ziggy dogaduje się z innymi dziećmi. Upewnić się, czy jest normalny.

Oczywiście, że jest normalny.

Po raz kolejny wróciła myślami do blad różowych kopert. Ileż ich było! Nieważne, że nie został zaproszony na urodziny. Był za mały, aby to odczuć, a dzieci się jeszcze nie znały. Głupotą było zaprzętać sobie tym głowę.

Lecz prawdę powiedziawszy, czuła się dotknięta w jego imieniu, a zarazem odpowiedzialna, jak gdyby wina leżała po jej stronie. Tak chciała zapomnieć o zajściu podczas drzwi otwartych, a dziś na nowo je przeżywała.

Z czajnika wzbijały się kłęby pary.

Jeśli Ziggy naprawdę dusił Amabellę i jeśli sytuacja się powtórzy, nie będzie nigdzie zapraszany. Nauczyciele będą wzywali ją na dywanik. Będzie musiała pójść z nim do psychologa.

I wyznać na głos związane z nim straszne obawy.

Ręka jej zadrżała, kiedy nalewała wrzącą wodę do kubka.

„Jeśli Ziggy nie jest zaproszony, to Chloe też nie pójdzie”, oznajmiła Madeline rano przy kawie. „Proszę cię, nie rób tego”, odrzekła Jane. „Tylko pogorszysz sprawę”. Ale Madeline jedynie uniosła brwi i wzruszyła ramionami. „Już powiedziałam Renacie”.

Jane była przerażona. No ładnie. Renata zyska kolejny powód do antypatii. A Jane zyska wroga. Kiedy ostatnio miała wroga, sama chodziła do podstawówki. Przez myśl jej nie przeszło, że posłanie dziecka do szkoły jest niczym powrót do przeszłości.

Może powinna była wtedy zmusić Ziggy’ego, żeby przeprosił, i sama zrobić to samo. „Tak mi przykro”, powiedzieć Renacie. „Najmocniej przepraszam. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Dopilnuję, żeby więcej to się nie

powtórzyło”.

Ale nie. Ziggy twierdził, że tego nie zrobił. Nie mogła postąpić inaczej.

Zaniosła herbatę z powrotem do pokoju, usiadła przy komputerze i odwinęła kolejny listek gumy.

No dobrze. Zgłosi się do pomocy przy pierwszej lepszej okazji. Ponoć zaangażowanie rodzica ma dobry wpływ na edukację dziecka (choć zawsze podejrzewała, że to jedynie propaganda głoszona przez szkoły). Spróbuje zaprzyjaźnić się z innymi matkami oprócz Madeline i Celeste, a jeśli wpadnie na Renatę, okaże swoją dobrą wolę.

„Sprawa rozejdzie się po kościach w ciągu tygodnia”, oznajmił przy kawie jej ojciec, kiedy rozmawiali o urodzinach. „Albo zostanie rozdmuchana”, stwierdził Ed. „Skoro moja żona macza w niej palce”.

Matka Jane zaśmiała się, jakby od lat znała Madeline i jej ciągoty. (Ciekawe, o czym rozmawiały tak długo na plaży? Jane cierpła skóra na myśl o tematach, które mogła poruszyć: Moja córka nie ma chłopaka! Jest taka chuda! Nie chce iść do fryzjera!)

Madeline bawiła się ciężką, srebrną bransoletką na nadgarstku. „Bam!”, powiedziała nagle i z wytrzeszczonymi oczami wyrzuciła ręce w przeciwną stronę, jakby symulowała wybuch. Jane wybuchnęła śmiechem, ale pomyślała sobie: Wspaniale, zaprzyjaźniłam się z wariatką.

Jedynym powodem, dla którego w szkole miała wroga, był fakt, że zdecydowała o tym ładna, charyzmatyczna dziewczynka Emily Berry, która zawsze nosiła we włosach spinki w kształcie biedronek. Czy Madeline była czterdziestoletnią wersją Emily Berry? Zamiast lemoniady – szampan. Zamiast truskawkowego błyszczyka – krwistoczerwona pomadka. Dziewczynka, która z upodobaniem pakowała cię w kłopoty, a ty nadal ją uwielbiałaś.

Jane potrząsnęła głową, jakby to mogło pomóc jej w uporządkowaniu myśli. To niedorzeczne. Była dorosła. Nie wylądowała u dyrektora jak wówczas, kiedy miała dziesięć lat. (Emily siedziała na krześle obok, machała nogami, żuła gumę i uśmiechała się do Jane, ilekroć dyrektor się odwracał, jakby to był świetny kawał.)

No dobra. Skup się, kobieto.

Sięgnęła po kolejny lepący się rachunek z pudełka Pete’a od Kanalizacji i chwyciła go ostrożnie w palce. Był to rachunek z hurtowni artykułów sanitarnych. Dobra robota, Pete. Wreszcie coś związanego z twoją branżą.

Oparła ręce na klawiaturze. No już. Do startu, gotowa, start. Chcąc uczynić

tę pracę znośną i opłacalną, musiała się streszczać. Gdy za pierwszym razem dostała zlecenie od księgowego, powiedział jej, że zajmie od sześciu do ośmiu godzin. Uwinęła się w cztery i skasowała go za sześć. Od tamtej pory nabrała wprawy. Przypominało to grę na komputerze, jakby pokonywała kolejne poziomy.

Może nie była to wymarzona praca, ale czerpała satysfakcję z zastępowania bałaganu schludnymi rzędami cyferek. Uwielbiała dzwonić do klientów, w większości małych firm, jak Pete, i mówić im, że znalazła nową ulgę. A co najlepsze, szczyliła się tym, że od pięciu lat utrzymuje siebie i Ziggy'ego i nie musi prosić rodziców o pożyczkę, chociaż nie raz ślęczała do późna, kiedy spał.

Nie taką karierę sobie wymarzyła jako ambitna siedemnastolatka, ale dziś już nie pamiętała, że kiedykolwiek miała naiwność i tupet, które pozwalały jej marzyć o innym życiu, jakby to od niej zależało, jak ono się potoczy.

Krzyk mewy na chwilę zbił Jane z pantałyku.

No ale wybrała t o. Postanowiła mieszkać przy plaży, jakby miała do tego takie samo prawo jak wszyscy. Dwie godziny pracy mogła sobie wynagrodzić spacerem nad wodą. Spacerem nad wodą w ciągu dnia. Mogła wrócić do Blue Blues, kupić kawę na wynos, a następnie postawić ją na falochronie, trzasnąć fotkę z oceanem w tle i zamieścić ją na Facebooku z komentarzem: „Przerwa w pracy! Ja to mam dobrze!”. A ludzie napiszą: „Zazdrość!”.

Jeżeli stworzy idealną facebookową rzeczywistość, być może sama w nią uwierzy.

Mogłaby nawet zamieścić wpis w rodzaju: „Wkurzona!!! Ziggy jako jedyny w klasie nie został zaproszony na urodziny koleżanki!! Wrrrr”. A wszyscy zaczną ją pocieszać: „No co ty???” „Oooooo, biedny Ziggy!”.

Sprowadzi swoje lęki do zmian statusu, które znikną na tablicy wśród innych doniesień.

Wtedy ona i Ziggy będą normalni. Może nawet pójdzie na randkę. Niech mama się cieszy.

Wzięła telefon i przeczytała wiadomość otrzymaną wczoraj od Anny, swojej koleżanki: „Pamiętasz Grega? Mojego kuzyna, którego poznałaś, kiedy miałyśmy z 15 lat?! Przeniósł się do Syd. Chce twój numer, żeby zaprosić cię na drinka! OK? Żadnych zobowiązań! (Wyrósł na niezłe ciacho. Ma to po mnie!! Cha, cha.) x”.

Jasne.

Pamiętała Grega. Niski. Nieśmiały, Rudawy. Rzucił głupi żart, którego nikt nie załapał, a gdy wszyscy pytali: „Ale o co chodzi?”, odpowiedział: „Nieważne”. Pamiętała, bo zrobiło się jej go żal.

A czemu nie?

Pójdzie na drinka z Gregiem.

Najwyższy czas. Ziggy poszedł do szkoły. Mieszkała przy plaży.

Odpisała: „OK x”.

Wypiła łyk herbaty i oparła dłonie na klawiaturze.

Zareagowało jej ciało. Nawet nie myślała o tej wiadomości. Myślała o rachunkach za rury i spłuczki.

Nagły przyptyw mdłości sprawił, że zgięła się w pół i oparła czoło na blacie. Przycisnęła dłoń do ust. Krew odpłynęła jej z głowy. Poczowała ten zapach. Przysięgłaby, że naprawdę unosił się w pokoju.

Czasem, kiedy nastrój Ziggy’ego ulegał raptownej zmianie i śmiech bez ostrzeżenia ustępował miejsca wściekłości, czuła go od niego.

Spróbowała się wyprostować i sięgnęła po telefon, tłumiąc odruch wymiotny. Drżącymi palcami wystukała wiadomość do Anny: „Jednak nie! Zmieniłam zdanie!”.

Odpowiedź nadeszła niemal od razu: „Za późno. ☺”.



Thea: Słyszałam, że Jane miała, cytuję, „romansik” z jednym z ojców, nie mam pojęcia, z którym. Wiem tylko, że to nie był mój mąż!

Bonnie: To nieprawda.

Carol: Czy pani wie, że w ich Erotycznym Klubie Książki był mężczyzna? Nie mój mąż, chwała Bogu. On czyta tylko „Golf Australia”.

Jonathan: Tak, to ja należałem do tak zwanego Erotycznego Klubu Książki, tyle że to był tylko taki żart. Był to zwyczajny klub książki. Bez żadnych podtekstów.

Melissa: Czy Jane przypadkiem nie miała romansu z którymś z ojców

niepracujących zawodowo?

Gabrielle: To nie Jane miała romans! Zawsze uważałam ją za jedną z tych „odrodzonych” chrześcijan. Płaskie buty, zero biżuterii, zero makijażu. Ale jakie ciało! Ani grama tłuszczu. Była najchudsza matką w szkole. Boże, jaka jestem głodna. Próbowала pani diety 5:2? To mój dzień postu. Konam z głodu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Celeste przyjechała wcześniej po chłopców. Tęskniła za ich małymi ciałkami oraz tą zbyt krótką chwilą, kiedy mocno, zaborczo zaplatali jej ręce na szyi, a ona całowała ich rozgrzane, pachnące główki, zanim się wyrwali. Wiedziała jednak, że nie minie kwadrans, jak będzie się na nich wydzierać. Będą skonani i nakręceni. Wczoraj nie mogła zagonić ich do łóżek aż do dziewiątej. O wiele za późno. Wyrodna matka. „Spać, mówię!”, wrzasnęła w końcu. Zawsze miała z tym problem, chyba że Perry był w domu. Jego słuchali.

Był dobrym tatą. I dobrym mężem. Przeważnie.

„Musisz przestrzegać ustalonego porządku” – jej brat zadzwonił dziś z Auckland, a Celeste mu na to: „Tak? No coś ty! W życiu bym na to nie wpadła!”.

Rodzice dzieci, które nie miały kłopotu z zasypianiem, zawsze przypisywali to swoim metodom wychowawczym, nigdy szczęściu. Przestrzegali zasad i te zasady się sprawdzały. Dlatego Celeste na pewno postępuje wbrew zasadom. Tamci wiedzieli swoje. Mogła się nie wysilać na kontrargumenty.

– Cześć, Celeste.

Celeste drgnęła.

– Jane! – Przycisnęła rękę do piersi. Zamyśliła się, jak zwykle, i nie usłyszała kroków. Denerwowało ją, że podskakuje jak wariatka, ilekroć ktoś się zbliża.

– Przepraszam – powiedziała Jane. – Nie chciałam cię przestraszyć.

– Jak ci minął dzień? – zapytała Celeste. – Udało ci się coś zrobić?

Wiedziała, że Jane żyje z księgowości. Wyobraziła sobie, jak siedzi przy schludnym biurku w swoim małym, pustym mieszkanku (nie była tam nigdy, ale kojarzyła blok z czerwonej cegły na Beaumont Street przy plaży i przyjęła, że wewnątrz jest skromne, tak jak Jane. Proste i bez ozdób). Kusiła ją prostota takiego życia. Tylko Jane i Ziggy. Słodki, cichy ciemnowłosy aniołek

(pomijając, rzecz jasna, dusicielski incydent). Żadnych awantur. Ależ musieli wieść spokojne, nieskomplikowane życie.

– Trochę – odrzekła Jane. Swoim zwyczajem dyskretnie żuła gumę. – Rano poszłam na kawę z moimi rodzicami, Madeline i Edem. A potem to już zleciało.

– Jak zawsze – przytaknęła Celeste, chociaż jej się dłużyło.

– Wrócisz do pracy, teraz, kiedy dzieci poszły do szkoły? – spytała Jane. – Co robiłaś przed ich urodzeniem?

– Byłam prawniczką. – Byłam kimś innym.

– No popatrz. Ja też chciałam. – W głosie Jane zabrzmiały gorycz i smutek, których Celeste nie umiała do końca odczytać.

Skręciły w zieloną ścieżkę, prowadzącą wzdłuż białego domku, który zdawał się należeć do szkoły.

– W sumie niezbyt mi się podobało – uzupełniła Celeste. Czy rzeczywiście tak było? Fakt, nienawidziła stresu. Codziennie się spóźniała. Ale czy kiedyś nie lubiła pewnych aspektów tego zawodu? Pieczołowitego rozplątywania zawilości. Jak w matematyce, ale za pomocą słów. – Nie mogłabym wznowić praktyki – podjęła. – Nie przy chłopcach. Czasem myślę, że mogłabym uczyć. Wykładać prawo. Ale nie jestem pewna, czy to by mi odpowiadało. – Straciła serce do pracy, tak jak do nart. Jane milczała. Pewnie brała Celeste za jakąś zepsutą żonę dla ozdoby. – Mam szczęście – dodała Celeste. – Nie muszę pracować. Perry jest... dyrektorem funduszu hedgingowego.

Zabrzmiało to jak przechwałka, a ona chciała tylko wyrazić wdzięczność. Rozmowy z kobietami o pracy to grząski grunt. Gdyby Madeline tu była, powiedziałyby: „Perry zarabia kupę szmalu, więc Celeste może leżeć do góry brzuchem”. A potem odwróciłyby po swojemu kota ogonem, stwierdzając, że wychowywanie bliźniaków to nie piknik i że Celeste pewnie haruje bardziej niż Perry.

Perry lubił Madeline. „Zadziorna”, mawiał.

– Muszę zacząć ćwiczyć, skoro mam więcej czasu – stwierdziła Jane. – Moja kondycja jest do niczego. Na małej górcie dostaję zadyszki. To straszne. Tutaj wszyscy są tacy sprawni i wysportowani.

– Ja nie – skwitowała Celeste. – Wcale nie ćwiczę. Madeline zawsze mnie namawia, żebym poszła z nią na siłownię, ma bzika na punkcie tych zajęć. Ale ja nie cierpię siłowni.

– Ja tak samo – skrzywiła się Jane. – Wszyscy ci wielcy, spoceni faceci.

– Mogłybyśmy chodzić na spacer, kiedy dzieci są w szkole – zaproponowała Celeste. – Wzdłuż cypla.

Jane rzuciła jej nieśmiały, zdziwiony uśmiech.

– Bardzo chętnie.



Harper: Słyszała pani, że Jane i Celeste niby tak wielce się przyjaźniły? W rzeczywistości wcale nie było tak kolorowo, gdyż na wieczorku integracyjnym, zupełnie przez przypadek, usłyszałam coś bardzo dziwnego. Dosłownie na chwilę, zanim to się stało. Szłam na balkon, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza – no, tak naprawdę to na papierosa, jeśli musi pani wiedzieć, gdyż parę rzeczy nie dawało mi spokoju – w każdym razie Jane i Celeste tam stały i ta druga mówiła: „Przepraszam. Tak strasznie mi przykro”.



Godzinę przed planowanym odbiorem dzieci do Madeline zadzwoniła Samira, jej szefowa z Pirriwee Theatre, w celu omówienia promocji nowego spektaklu *Król Lear*. Tuż zanim się rozłączyła (w końcu! Madeline nie dostawała pieniędzy za czas spędzony na wiszeniu na telefonie; odmówiłaby, gdyby jej to zaproponowano, lecz niestety nie dano jej ku temu okazji), Samira wspomniała, że ma „cały plik” biletów w pierwszym rzędzie na Disneya na Lodzie, gdyby Madeline chciała.

– Na kiedy? – zapytała Madeline, spoglądając na ścienny kalendarz.

– Hm, czekaj... Na sobotę dwudziestego ósmego lutego, na czternastą.

Miejsce w kalendarzu było puste, lecz data coś Madeline mówiła. Sięgnęła po torebkę i wyjęła różową kopertę, którą Chloe dała jej dziś rano.

Przyjęcie urodzinowe Amabelli odbywało się o tej samej porze tego samego dnia.

Madeline uśmiechnęła się przebiegle.

– Tak, poproszę.



Thea: Zaproszenia na urodziny Amabelli były pierwsze. A potem, ni z tego, ni z owego, tego samego dnia Madeline rozdaje zaproszenia na Disneya na Lodzie, jak jakaś ważniara.

Samantha: Te bilety kosztują majątek, a Lily tak bardzo chciała pójść. Zapomniałam, że widowisko pokrywa się z urodzinami Amabelli, ale dziewczynki nawet się wówczas nie znały, no więc było mi głupio, ale nie tak bardzo.

Jonathan: Zawsze mówiłem, że najlepszą stroną urlopu tacierzyńskiego jest brak biurowych układów. Aż tu nagle pierwszego dnia szkoły znalazłem się między młotem a kowadłem!

Bonnie: Poszliśmy na urodziny Amabelli. Zdaje się, że Madeline zapomniała nam wspomnieć o biletach na Disneya. To na pewno było z jej strony niedopatrzenie.

Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Rozmawiamy z rodzicami o wszystkim, co działo się w tej szkole. Zapewniam panią, że nie byłby to pierwszy raz, gdy kłótnia o pozorną błażostkę doprowadziła do przemocy.

Rozdział dwudziesty drugi

TRZY MIESIĄCE PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

Celeste i Perry pili na kanapie czerwone wino, zajadali czekoladowe kulki Lindt i oglądali trzeci z rzędu odcinek *The Walking Dead*. Chłopcy spali jak susły. W domu panowała cisza, nie licząc chrzęstu kroków z telewizora. Główny bohater skradał się przez las, z nożem w pogotowiu. Zza drzewa wychynął zombi z czarną, gnijącą twarzą, kłapiący zębami, wydający głębinowe odgłosy, jakie rzekomo wydają jemu podobni. Celeste i Perry jednocześnie podskoczyli i krzyknęli.

Perry zachlapał sobie winem koszulkę.

– Ale się przestraszyłem.

Mężczyzna na ekranie wbił nóż w czaszkę napastnika.

– A masz! – krzyknęła Celeste.

– Zatrzymaj, to doleję – poprosił Perry.

Celeste sięgnęła po pilota i zatrzymała film.

– Ten sezon jest jeszcze lepszy od poprzedniego.

– No – przyznał Perry. – Ale chyba mam po tym koszmary.

Przyniósł wino z barku.

– Nie idziemy przypadkiem jutro na jakieś urodziny? – zapytał, napełniając jej kieliszek. – Wpadłem dziś na Marka Whittakera w Catalinas i mówił tak, jakbyśmy szli. Podobno matka wspomniała, że zostaliśmy zaproszeni. Niejaka Renata. Poznałem jakąś Renatę, kiedy byłem z tobą w szkole, nie?

– Owszem – potwierdziła Celeste. – Byliśmy zaproszeni na urodziny Amabelli. Ale nie idziemy.

Nie była skupiona, w tym problem. Nie miała czasu się przygotować. Cieszyła się winem, czekoladą i serialem. Perry wrócił niespełna przed tygodniem. Po każdym wyjeździe był wesoły i do rany przyłóż, zwłaszcza gdy wracał z zagranicy. Jakby to go oczyszczało. Twarz miał gładszą, oczy bardziej

błyszczące. Miną tygodnie, zanim frustracja znów się nawarstwi. Chłopcy byli dzisiaj nieznośni. „Mamusia chce odpocząć”, zakomunikował im Perry, po czym sam odbębnił kąpiel, mycie zębów i bajeczkę, a Celeste siedziała na kanapie, czytała książkę i popijała Niespodziankę Perry’ego. Był to koktajl wymyślony przez niego przed laty. Smakował czekoladą, śmietanką, truskawkami i cynamonem i wszystkie kobiety za nim przepadały. „Oddam ci moje dzieci w zamian za przepis”, oznajmiła kiedyś Madeline.

Perry napełnił swój kieliszek.

– A czemu nie idziemy?

– Zabieram chłopców na Disneya na Lodzie. Madeline dostała za darmo bilety i wybieramy się całą ekipą. – Celeste ułamała następny kawałek czekolady. Wysłała Renacie wiadomość z przeprosinami, ale nie dostała odpowiedzi. Ponieważ to niania na ogół zawoziła i odbierała dzieci, rzadko na siebie wpadały. Celeste wiedziała, że tym samym opowiada się jednoznacznie po stronie Jane i Madeline, ale cóż, nigdy nie była po stronie Renaty. Zresztą chodziło o piąte urodziny, a nie kwestię życia lub śmierci.

– Czyli ja nie jestem mile widziany? – spytał Perry, pociągając łyk z kieliszka.

Wtedy to poczuła. W brzuchu. Lekki ucisk. Ale mówił normalnym tonem. Nawet lekko żartobliwie. Jeśli Celeste zachowa ostrożność, może zdoła jakoś wybrnąć.

Odłożyła czekoladkę.

– Wybacz – powiedziała. – Myślałam, że przyda ci się trochę czasu dla siebie. Mógłbyś pójść na siłownię.

Perry stał nad nią z butelką wina. Uśmiechał się.

– Nie było mnie trzy tygodnie. W piątek znowu wyjeżdżam. Po co mi czas dla siebie?

W jego głosie i oczach nie było złości, ale wyczuwała ją w powietrzu, niczym napięcie przed burzą. Poczwała, jak włoski na ramionach stają jej dęba.

– Wybacz – powtórzyła. – Nie pomyślałam.

– Już masz mnie dosyć? – Zrobił urażoną minę. Był urażony. Co za bezmyślność. Że też nie poszła po rozum do głowy. Perry zawsze szukał dowodów, że go nie kocha. Jakby tylko na nie czekał. A potem się wściekał, gdy udało mu się dowieść swojej słuszności.

Zrobiła ruch, jakby chciała wstać z kanapy, ale mógł odebrać to jako prowokację. Czasami, jeśli zachowywała się normalnie, naprowadzała go

z powrotem na właściwy tor. Dlatego zamiast się podnieść, tylko na niego spojrzała.

– Chłopcy nawet nie znają tej dziewczynki. A ja tak rzadko zabieram ich na pokazy na żywo. Uznałam, że to lepsze rozwiązanie.

– A dlaczego nie zabierasz ich na pokazy na żywo? – spytał Perry. – Nie potrzebujemy darmowych biletów! Może powiesz Madeline, żeby dała je komuś, komu się przydadzą?

– Czy ja wiem. Tu nie chodziło o pieniądze. – O tym nie pomyślała. Sprzątnęła innej matce darmowy bilet sprzed nosa. A przecież mogła wpaść na to, że po powrocie Perry będzie chciał spędzić trochę czasu z chłopcami. Wyjeżdżał tak często, że przywykła do ustalania pewnych rzeczy bez niego. – Przepraszam – powiedziała spokojnie. Naprawdę żałowała, ale to nieważne, nigdy jej nie uwierzy. – Pewnie mogłam wybrać urodziny. – Wstała. – Wyjmę szklę. Oczy mnie pieką. – Chciała go wyminąć, ale złapał ją za bark. Wbił palce w ciało. – Hej – zaoponowała. – To boli. – Zawsze reagowała oburzeniem i zdziwieniem, było to częścią gry, jakby rzecz zdarzała się po raz pierwszy, jakby nie wiedział, co robi. Ścisnął mocniej. – Przestań – poprosiła. – Perry... Przestań. – Ból rozniecił jej gniew. Gniew zawsze tam był, niczym zbiornik łatwopalnego paliwa. Usłyszała, że jej głos nabiera piskliwych nut. Głośna, kłótliva kobieta. – Perry, przecież nic się nie stało! Robisz z igły widły.

Nie chodziło już o urodziny, chodziło o wszystko. Ścisnął dalej, jakby podejmował decyzję, jak bardzo ją zranić.

Pchnął ją, aż zatoczyła się niezdarnie.

Następnie cofnął się o krok, ciężko oddychając przez nos, z rękami luźno zwieszonymi po bokach. Czekał, co teraz zrobi.

Miała tyle opcji.

Czasem usiłowała zachowywać się jak dorosła. „To niedopuszczalne”.

Czasem wrzeszczała.

Czasem odchodziła.

Czasem nie pozostawiała mu dłużna. Biła i kopała, tak jak niegdyś biła i kopała swojego starszego brata. Przez chwilę jej na to pozwalał, jakby tego chciał, jakby tego potrzebował, a potem łapał ją za nadgarstki. Nie tylko ona budziła się rano z siniakami. Widziała je na jego ciele. Była równie wstrętna jak on. Równie chora. „Nieważne, kto zaczął!”, mówiła dzieciom.

Żadna z opcji się nie sprawdzała.

„Zostawię cię, jeśli to się powtórzy”, zagroziła po pierwszym razie. Mówiła poważnie, Boże, jak bardzo poważnie. Doskonale wiedziała, jak powinna zachować się w takiej sytuacji. Chłopcy mieli zaledwie osiem miesięcy. Perry płakał. Ona też płakała. Obiecywał. Przysięgał na życie dzieci. Był załamany. Kupił jej pierwszą błyskotkę, której nigdy nie założyła.

Sytuacja powtórzyła się tydzień po drugich urodzinach bliźniaków. Gorzej niż za pierwszym razem. Była zdruzgotana. To koniec. Musi odejść. Nie miała co do tego wątpliwości. Lecz tej samej nocy chłopcy obudzili się z potwornym kaszlem. Krup. Następnego dnia Josh tak zachorował, że lekarz rodzinny wezwał karetkę. Trzy dni leżał na oddziale intensywnej terapii. Bolesne, fioletowe siniaki na lewym biodrze Celeste były śmiechu warte, kiedy lekarz stanął przed nią i rzekł delikatnie: „Chyba musimy intubować”.

Chciała tylko, żeby Josh wyzdrowiał, i rzeczywiście wyzdrowiał. Siedział na łóżku, domagając się brata i *Ulicy Sezamkowej* głosem wciąż zachrypniętym od tej wstrętnej rurki. Celeste i Perry szaleli z radości, a kilka dni po powrocie Josha do domu Perry wyjechał do Hongkongu i dramat rozszedł się po kościach.

Niezaprzeczalnym faktem, który leżał u podstaw jej braku zdecydowania, było to, że nadal go kochała. Nadal była w nim zakochana. I nadal ją pociągał. Uszczęśliwiał ją i rozśmieszał. Nadal uwielbiała z nim rozmawiać, oglądać telewizję, leżeć obok niego w łóżku w zimne, deszczowe poranki. Nadal go pragnęła.

Lecz za każdym razem, gdy nie odchodziła, dawała mu ciche przyzwolenie na to, aby zrobił to ponownie. Była tego świadoma. Wykształcona kobieta z wachlarzem możliwości oraz miejsc, w które mogłaby pojechać, z gronem przyjaciół i znajomych, którzy zapewniliby jej wsparcie, z prawnikami, którzy dochodziliby jej praw. Mogła wrócić do pracy i się utrzymać. Nie bała się, że ją zabije, gdy spróbuje odejść. Ani że odbierze jej chłopców.

Jedna z mam, Gabrielle, często rozmawiała z nią na boisku po szkole, podczas gdy jej syn i bliźniacy Celeste bawili się w wojowników ninja. „Jutro zacznę nową dietę”, oznajmiła wczoraj. „Pewnie długo nie wytrwam i znów będę pełna obrzydzenia do siebie”. Zmierzyła Celeste przeciągłym spojrzeniem. „Nie masz pojęcia, o czym mówię, co? Chudzielcu!”

Mam, pomyślała Celeste. Doskonale wiem, o czym mówisz.

Ścisnęła obolały bark i przełknęła łzy. Jednak nie założy jutro tej sukienki bez rękawów.

– Nie wiem, dlaczego... – Urwała. Nie wiem, dlaczego zostaję. Nie wiem, dlaczego na to zasłużyłam. Nie wiem, dlaczego to robisz, dlaczego to robimy, dlaczego to się wciąż dzieje.

– Celeste... – rzucił ochryłym głosem i zobaczyła, jak uchodzi z niego agresja. Film włączył się od nowa. Perry wziął pilota i zgasił telewizor. – O Jezu... Wybacz mi. – Na jego twarzy malowało się poczucie winy.

Już po wszystkim. Przystanie dręczyć ją o urodziny. Wręcz przeciwnie, będzie kochający i czuły. Przez kolejne kilka dni, do czasu wyjazdu, żadna kobieta nie będzie bardziej uwielbiana. Po części będzie czerpać z tego satysfakcję, wraz z drżącym, łzawym poczuciem, że została niesłusznie skrzywdzona.

Puściła bark.

Mogło być znacznie gorzej. Rzadko bił ją w twarz. Nigdy nie miała nic złamanego ani szytego. Siniaki łatwo dawały się zasłonić golfem, rękawami bądź spodniami z długą nogawką. Nigdy nie podnosił ręki na dzieci. Chłopcy nigdy nie byli świadkami. Mogło być gorzej. O wiele gorzej. Czytała artykuły o prawdziwych ofiarach przemocy domowej. To dopiero było straszne. I prawdziwe. To, co robił Perry, się nie liczyło. Ot, błaźliwa, tym bardziej upokarzająca, że taka... niesmaczna. Taka dziecinna i oklepana.

Nie zdradzał jej. Nie przepuszczał pieniędzy w kasynie. Nie pił na umór. Nie traktował Celeste jak powietrze, tak jak ojciec zwykł traktować jej matkę. To byłoby najgorsze. Być ignorowaną. Niezauważaną.

Gniew Perry'ego był chorobą. Chorobą psychiczną. Widziała, jak bierze go w posiadanie, a on stara się jej oprzeć. W amoku jego oczy stawały się szkliste i czerwone, jak gdyby był na haju. Plół od rzeczy. To nie był on. Ten gniew był kimś innym. Czy zostawiłaby go, gdyby miał guza mózgu, który wpływałby na jego osobowość? Oczywiście, że nie.

Była to jedyna rysa na ich idealnym związku. Każdy związek ma swoje rysy. Upadki i wzloty. Jak macierzyństwo. Co rano chłopcy włączili jej do łóżka, żeby się poprzytulać, i na początku było wspaniale, a potem, po około dziesięciu minutach, zaczęli się kłócić i robiło się strasznie. Jej chłopcy byli ósmymi cudami świata. Jej chłopcy byli potworami.

Nie zostawiłaby Perry'ego, tak jak nie zostawiłaby ich.

Perry wyciągnął ręce.

– Celeste?

Odwróciła głowę i cofnęła się, lecz nie było nikogo innego, kto mógłby ją

pocieszyć. Tylko on. Prawdziwy on.
Podeszła i oparła głowę na jego ramieniu.



Samantha: Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy Perry i Celeste zjawili się na wieczorku integracyjnym. Wszystkich jakby prąd przeszedł. Staęli i się gapili.

Rozdział dwudziesty rzeci

– Czy to nie FANTASTYCZNE! – krzyknęła Madeline do Chloe, gdy zajęły swoje wspaniałe miejsca tuż na wprost ogromnego lodowiska. – Ależ tu chłodno! Brrr! Ciekawe, gdzie księżniczki...

Chloe wyciągnęła rękę i delikatnie położyła jej na ustach.

– Ciii.

Madeline wiedziała, że za dużo gada; była podniecona i doskwierały jej lekkie wyrzuty sumienia. Dzisiejszy dzień musiał z nawiązką wynagrodzić jej zatarg z Renatą. Ośmioro przedszkolaków, które miały być na urodzinach Amabelli, oglądało Disneya na Lodzie za sprawą Madeline.

Spojrzała nad głową Chloe na Ziggy'ego, który trzymał na kolanach wielkiego pluszaka. To Ziggy stanowił przyczynę, dla której się tu znaleźli, upomniała się w duchu. Biedny Ziggy nie poszedłby na urodziny. Mały, kochany, pokrzywdzony przez los Ziggy. Który był zapewne cichym psychopata... Ale jednak!

– Zajmujesz się w ten weekend Hipciem Harrym, Ziggy? – zapytała serdecznie. Hipcio Harry był klasową zabawką. Co weekend wędrował do domu z innym maluchem, wraz z pamiętnikiem, który należało uzupełnić o historyjkę wraz ze zdjęciami.

Ziggy bez słowa kiwnął głową. Małomówny dzieciak.

Jane wychyliła się do przodu, jak zawsze ukradkiem żując gumę.

– Nie masz pojęcia, jakie to stresujące. Musimy zapewnić Harry'emu atrakcje. W zeszłym weekend był na rollercoasterze... Au! – Jane wzdrygnęła się, kiedy jeden z bliźniaków, który siedział obok i szarpał się z bratem, trafił ją łokciem w tył głowy.

– Josh! – warknęła Celeste. – Max! Przestańcie!

Madeline zastanawiała się, czy u Celeste wszystko w porządku. Wyglądała na zmęczoną i bladą i miała fioletowe sińce pod oczami, które u niej wyglądały zjawiskowo.

Światła na widowni zaczęły przygasać, po czym zrobiło się ciemno. Chloe uczepliła się ramienia Madeline. Zadudniła muzyka, tak głośna, że Madeline poczuła wibracje. Lodowisko wypełniło się korowodem barwnych, wirujących postaci z disneyowskich bajek. Madeline przeniosła wzrok na swoich gości, na ich profile skąpane w poświacie reflektorów. Wszystkie dzieci siedziały jak zaczarowane, z prostymi plecami, olśnione widowiskiem, a każdy rodzic zerkał na swoją pociechę, olśniony jej zachwytem.

Nie licząc Celeste, która zwiesiła głowę i przycisnęła rękę do czoła.



Muszę go zostawić, pomyślała Celeste. Czasem, kiedy dumiała o czymś innym, owa myśl nachodziła ją z siłą nadlatującej pięści. Mój mąż mnie bije.

Boże miłosierny, co się z nią dzieje? Co to za kretyńskie tłumaczenia? Na miłość boską, „zgrzyt”! Jasne, że musi odejść. I to dziś! Zaraz! Spakuje się zaraz po powrocie do domu.

Ale chłopcy będą tacy zmęczeni i marudni.



– Było fantastycznie, mamó – relacjonowała Jane przez telefon. – Ziggy szalał z zachwytem. Teraz chce się nauczyć jeździć na łyżwach.

– Twój dziadek uwielbiał jeździć na łyżwach! – oświadczyła triumfalnie matka.

– No widzisz. – Jane darowała sobie uwagę, że wszystkie dzieci jednogłośnie wyraziły taką gotowość po spektaklu. Nie tylko te będące czyimś wcieleniem.

– W życiu nie zgadniesz, na kogo dzisiaj wpadłam – podjęła matka. – Na Ruth Sullivan!

– Tak? – Jane zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest to prawdziwy powód tego telefonu. Ruth była matką jej dawnego chłopaka. – Co u Zacha? – spytała.

– W porządku – odpowiedziała mama. – On, uhm, zaręczył się, kochanie.

– Tak? – zdziwiła się z grzeczności Jane, odwijając kolejną gumę do żucia. Wsunęła ją do ust i przeżuła, analizując swoje wrażenia, ale dręczyło ją coś

innego, mgliste przeczucie małej katastrofy. Ruszyła na obchód mieszkania, podnosząc poduszki i rozrzuconą odzież.

– Nie byłam pewna, czy ci mówić – ciągnęła matka. – Wiem, że to było dawno temu, ale złamał ci serce.

– Nie złamał – odparła Jane wymijająco.

Złamał, ale zrobił to z wycuciem, z szacunkiem i żalem, jak przystało na miłego, dobrze wychowanego dziewiętnastolatka, chcącego wyruszyć na erotyczny podbój Europy.

Kiedy dziś o nim myślała, wspominała go jak dawnego szkolnego przyjaciela, którego wyściskałaby z prawdziwym wzruszeniem, gdyby się spotkali na zjeździe absolwentów, po czym puściłaby go w niepamięć aż do następnego spotkania.

Przyklękła i zajrzała pod kanapę.

– Ruth pytała o Ziggy’ego – dorzuciła znacząco matka.

– Tak? – spytała Jane.

– Pokazałam jej zdjęcie z rozpoczęcia roku szkolnego i obserwowałam jej minę. Na szczęście nic nie powiedziała, ale ja wiem, co sobie myślała, bo Ziggy na tym zdjęciu jest odrobinę podobny do...

– Mamo! Ziggy nie jest podobny do Zacha – ucięła Jane i wstała.

Z wyrzutem łapała się na rozkładaniu syna na części pierwsze i wypatrywaniu w jego ślicznej buzi śladów podobieństwa: usta, oczy, nos. Czasami zdawało jej się, że coś dostrzega, błysk czegoś w kąciuku oka, i coś w niej umierało, po czym składała go z powrotem w jedną całość.

– No przecież wiem! – zapewniła matka. – Wcale a wcale!

– I Zach nie jest jego ojcem.

– Wiem, kochanie. O Jezu... No wiem. Przecież byś mi powiedziała.

– Przede wszystkim powiedziałabym Zachowi.

Zach zadzwonił do niej po tym, jak Ziggy przyszedł na świat. „Masz mi coś do powiedzenia, Jane?”, spytał przez ściśnięte gardło. „A skąd”, odpowiedziała i usłyszała lekkie westchnienie ulgi po drugiej stronie.

– Naturalnie – przytaknęła matka, po czym natychmiast zmieniła temat. – I co, udało ci się zrobić jakieś ładne zdjęcia z tą klasową maskotką? Tata przyśle ci adres miejsca, gdzie zrobisz ładne odbitki... Ile to kosztowało, Bill? Ile? Nie, mówię o zdjęciach Jane! Do szkolnego projektu!

– Mamo... – Jane weszła do kuchni i podniosła leżący na podłodze plecak Ziggy’ego. Odwróciła go do góry nogami i potrząsnęła. Nic nie wypadło. –

Nie trzeba, mamó. Wiem, gdzie wywołać zdjęcia.

Matka nie zwróciła na nią uwagi.

– Bill! Słyszysz, co do ciebie mówię? Wspomniałeś, że jest taka strona... –
Jej głos ucichł.

Jane weszła do pokoju Ziggy’ego. Chłopiec bawił się na podłodze klockami
Lego. Zajrzała pod kołdrę.

– Ojciec wyśle ci szczegóły – uzupełniła matka.

– To wspaniale – odrzekła Jane nieuważnie. – Muszę kończyć, mamó. Jutro
zadzwońię.

Rozłączyła się. Serce waliło jej w piersi jak młot. Przycisnęła rękę do czoła.
Nie. Na pewno nie. Przecież nie byłaby taka głupia.

Ziggy popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Chyba mamy problem – oznajmiła.



Kiedy Madeline odebrała, w słuchawce panowała cisza.

– Halo? Kto mówi? – zapytała. Wtedy usłyszała płacz i bełkotanie. – Jane? –
Madeline nagle rozpoznała głos. – Co się stało? O co chodzi?

– Nic takiego. – Jane pociągnęła nosem. – Nikt nie umarł. W sumie to nawet
zabawne. Można się uśmieć, że ryczę z takiego powodu.

– Co się stało?

– Ja tylko... Ach, co inne matki znowu o mnie pomyślą? – Głos Jane zadrzał.

– A kogo obchodzi, co one myślą! – wybuchła Madeline.

– Mnie obchodzi!

– Jane. No wykrztuś to, Jane. Powiedz mi, co się stało.

– Zgubiliśmy go – wyszlochała Jane.

– Kogo? Zgubiliście Ziggy’ego? – Madeline poczuła przypływ paniki. Miała
obsesję na punkcie zgubienia własnych dzieci, toteż teraz czym prędzej je
namierzyła: Chloe w łóżku, Fred czyta z Edem, Abigail nocuje u taty (znowu).

– Zostawiliśmy go na krzeselku na widowni. A pomyślałam nawet, jaka to
byłaby katastrofa, gdybyśmy o nim zapomnieli. Serio tak pomyślałam, a potem
Joshowi poszła krew z nosa i to odwróciło naszą uwagę. Dzwoniłam na
lodowisko, ale nie był podpisany ani nic...

– Co ty pleciesz, Jane?

– Hircio Harry! Zgubiliśmy Harry’ego!



Thea: Całe pokolenie Y. O nic nie dbają. Hircio Harry był w szkole ponad dziesięć lat. W zamian kupiła jakieś tanie badziewie, które cuchnęło na odległość. Made in China. Nawet niepodobne do hipopotama.

Harper: Już nawet nie chodziło o zgubienie Hircia, ale o zdjęcia, które wkleiła do pamiętnika. Grupka wybrańców na Disneyu na Łodzi. Oczywiście pozostałe dzieci to widziały i czuły się pokrzywdzone. Powiedziałam Renacie, że uważam to za szczyt bezmyślności.

Samantha: Tak, a czy pani wie, co jest najbardziej wstrząsające? Były to ostatnie zdjęcia Hircia Harry’ego. Hircia-Ulubieńca-Wszystkich-Harry’ego. Hircia... Przepraszam, to nie jest śmieszne. To wcale nie jest śmieszne.

Gabrielle: O mój Boże, tyle hałasu o głupią zabawkę. Wszyscy udawali, że nic wielkiego się nie stało, ale narobili rabanu. Jakby nie mieli innych problemów. Hej, czy wyglądam szczuplej niż ostatnio? Zgubiłam trzy kilo.

Rozdział dwudziesty czwarty

DWA MIESIĄCE PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

– Zieeeeeeloni górą! – zawołała Madeline, malując zieloną farbą w spreju włosy Chloe z okazji dnia sportu.

Ponieważ Chloe i Fred byli „Delfinami”, ich kolorem był zielony, co dobrze się składało, gdyż Madeline korzystnie wyglądała w zieleni. Kiedy Abigail chodziła do podstawówki, barwą jej drużyny był mało twarzowy żółty.

Teraz nastolatka przyglądała się poczynaniom matki z dezaprobatą.

– Powiększasz dziurę ozonową – zauważyła.

– Serio? – Madeline uniosła puszkę. – Myślałam, że już to naprawiliśmy.

– Nie da się naprawić dziury ozonowej, mamó! – Abigail z pogardą przewróciła oczami, zajadając domową granolę z siemieniem lnianym i cholera wie czym jeszcze. Ostatnio ilekroć wracała od ojca, samochód uginał się pod ciężarem prowiantu, jakby wysyłali ją na wyprawę do dżungli.

– Nie chodziło mi o dziurę ozonową, tylko o aerozole. A konkretnie o to, co zawierają. – Madeline zmarszczyła brwi, próbując odczytać tekst na etykiecie, ale czcionka była za mała. Kiedyś chodziła z chłopakiem, który uważał ją za słodką idiotkę, i faktycznie tak się zachowywała, dopóki byli razem. Życie z nastoletnią córką odbywało się na identycznych zasadach.

– Freon – wtrącił Ed. – Aerozole nie mają już freonu.

– Skoro tak twierdzisz – mruknęła Abigail.

– Bliźniacy mówią, że ich mama wygra dzisiejszy bieg – oznajmiła Chloe, kiedy Madeline przystąpiła do zaplatania jej zielonych włosów w kłos. – Ale powiedziałam im, że jesteś miliard razy szybsza.

Madeline parsknęła śmiechem. Nie wyobrażała sobie Celeste biorącej udział w wyścigu. Pewnie pognałaby w złą stronę albo nawet nie zauważyła, że dano sygnał do startu. Zawsze była taka rozkojarzona.

– Pewnie wygra Bonnie – wtrąciła Abigail. – Jest naprawdę szybka.

– Bonnie? – Madeline zastygła w bezruchu.

– Uhm – chrząknął ostrzegawczo Ed.

– No co? – warknęła Abigail. – Nie ma prawa być szybka?

– Myślałam po prostu, że ona woli jogę i takie tam. Nie aeroby – odrzekła Madeline i powróciła do zaplatania warkocza.

– Jest szybka. Sama widziałam, jak goni się z tatą po plaży. A poza tym jest od ciebie o wiele młodsza, mamó.

Ed zarechotał.

– Odważna jesteś, Abigail.

Madeline też się zaśmiała.

– Kiedyś, gdy skończysz trzydzieści lat, przypomnę ci, co mówiłaś mi przez ostatni rok...

Abigail rzuciła łyżkę na stół.

– Uprzedzam tylko, żebyś się nie wściekała, jak przegrasz!

– Tak, tak, dziękuję ci bardzo – rzuciła pojednawczo Madeline. Czasem podśmiewali się z Abigail, gdy siliła się na powagę, co wprawiało ją w zakłopotanie i rozjuszało, tak jak teraz.

– Naprawdę nie rozumiem, skąd u ciebie taka chęć rywalizacji – dodała złośliwie. – Przecież nie chcesz być żoną taty, więc o co ci właściwie chodzi?

– Abigail – wtrącił Ed – nie podoba mi się twój ton. Uważaj, jak mówisz do mamy.

Madeline lekko potrząsnęła głową pod jego adresem.

– Jezu! – Abigail odepchnęła talerz i wstała.

I szlag trafił miły poranek, pomyślała Madeline. O losie!... Chloe odwróciła głowę, aby spojrzeć na siostrę.

– Odezwać się nie można! – Abigail zadygotała. – Człowiek nawet nie ma prawa być sobą we własnym domu! Nie ma prawa zabrać głosu!

Madeline przypomniała sobie jej pierwszy napad złości. Abigail miała prawie trzy lata, a ona była pewna, że dzięki jej wzorowym metodom wychowawczym coś takiego nigdy nie nastąpi. Dlatego przeżyła ciężki szok, widząc, jak drobniutkie ciało córki skręca się w przyływie gwałtownych emocji. (Koniecznie chciała dokończyć czekoladową żabę, którą niechcący upuściła na sklepową podłogę. Madeline mogła ustąpić i już.)

– Nie dramatyzuj, Abigail – powiedział Ed. – Uspokój się.

Dziękuję, kochanie, pomyślała z przekąsem Madeline. Przecież to zawsze działa, kiedy każesz kobiecie się uspokoić.

- Maaamoooo, nie mogę znaleźć jednego buta! – zawył Fred z przedpokoju.
- Za chwilę, Fred! – odkrzyknęła Madeline.

Abigail powoli potrząsnęła głową, jakby zabrakło jej słów na tak nikczemne traktowanie.

– Wiesz co, mamó? – powiedziała, nie patrząc na Madeline. – Chciałam ci później powiedzieć, ale nie ma na co czekać.

- Maaamoooo! – darł się Fred.
- Mamusia jest zajęta! – pisnęła Chloe.
- Sprawdź pod łóżkiem! – wrzasnął Ed.

Madeline zadzwoniło w uszach.

- O co chodzi, Abigail?
- Postanowiłam na stałe zamieszkać z tatą i Bonnie.
- Co?

Tak długo się tego obawiała. Tak długo wszyscy powtarzali jej: „Nie, nie, no co ty, to się nigdy nie zdarzy, Abigail w życiu tego nie zrobi. Potrzebujemy mamy”. Ale Madeline od miesięcy czuła, że się na to zanosi. Wiedziała, że to nieuniknione. Teraz chciała wrzasnąć do Eda: „Czemu kazałeś jej się uspokoić?!”.
– Czuję, że tak będzie dla mnie lepiej – ciągnęła Abigail. – W sensie duchowym. – Przestała dygotać i spokojnie zniosła talerz do zlewu. Ostatnio nawet chodziła tak jak Bobbie, wyprostowana jak baletnica, ze wzrokiem utkwionym w horyzont.

Chloe wykrzywiła buzię do płaczu.

– Ja nie chcę, żeby Abigail zamieszkała ze swoim tatą! – Łzy trysnęły jej z oczu, żłobiąc ścieżki w zielonych policzkach.

- Maaamoooo! – ryczał Fred, jakby go zarzynali.
- Ed podparł czoło.

– Jeśli tego właśnie chcesz – odrzekła Madeline.

Abigail odwróciła się od zlewu, napotkała jej spojrzenie i na chwilę zostały tylko we dwie, jak kiedyś, jak przez te wszystkie lata. Kiedy życie toczyło się niezakłóconym, cichym trybem. Dziewczyny Mackenzie. Przed szkołą jadły w łóżku razem śniadanie, podparte na poduszkach, z książkami na kolanach. Madeline przytrzymała wzrok córki. Pamiętasz, Abigail? Pamiętasz nas?

Abigail odwróciła głowę.

- Właśnie tego chcę.



Stu: Byłem na pikniku sportowym. Wyścig matek był zajebisty. Przepraszam za wyrażenie. Ale niektóre babki... Pomyślałby kto, że startują w olimpiadzie. Mówię poważnie.

Samantha: Och, bzdura. Mój mąż nie wie, co gada. Nikt nie brał tego na serio. Dostałam kolki ze śmiechu.



Madeline nie wierzyła własnym oczom, kiedy w dniu sportu wpadła na Nathana i Skye przed stoiskiem z kiełbaskami. Przyszedł. Akurat dzisiaj.

Niewielu ojców przychodzi na dzień sportu, chyba że nie pracują albo ich dzieci uprawiają jakąś dyscyplinę, ale były mąż Madeline specjalnie wziął wolne. Wystroił się na tę okazję w pasiastą koszulkę oraz szorty, czapkę baseballową i okulary przeciwsłoneczne, jak przystało na wzorowego tatusia.

– To dopiero musi być dla ciebie nowość! – rzuciła na jego widok. Na szyi miał zawieszony gwizdek. Litości, zgłosił się do pomocy. Angażował się w życie szkoły. To Ed był tatą, który się udzielał, ale akurat dzisiaj musiał coś skończyć. Nathan udawał Eda. Udawał dobrego człowieka i wszyscy się na to nabierali.

– Owszem! – rozpromienił się Nathan, po czym zrobił niewyraźną minę, gdyż chyba przeszło mu przez myśl, że jego pierworodna też musiała brać udział w takich przedsięwzięciach. Oczywiście teraz nie opuszczał żadnej okazji. Abigail nie była typem sportowca, ale grała na skrzypcach: Nathan i Bonnie byli na wszystkich koncertach, uśmiechali się i bili brawo, jakby robili to od samego początku, jakby sami wozili ją na lekcje do Petersham, gdzie zawsze brakowało miejsc do parkowania, ba, jakby dokładali do tych lekcji, zbyt kosztownych dla samotnej matki, której były mąż nie dawał ani centa.

A teraz wybierała jego...

– Czy Abigail rozmawiała z tobą o... – Nathan wzdrygnął się lekko, jakby nawiązywał do jakiejś wstydlivej zdrowotnej sprawy.

– O tym, że chce z tobą zamieszkać? – pomogła mu Madeline. – Owszem. Dzisiaj rano.

Zapieкло do żywego. Jak ugryzienie osy. Jak zdrada.

Spojrzał na nią.

– Czy masz coś...

– Ależ skąd – ucięła. Nie da mu tej satysfakcji.

– Będziemy musieli omówić kwestie finansowe – powiedział.

Odkąd stał się porządnym człowiekiem, płacił alimenty. Terminowo. Bez słowa skargi, a żadne z nich nigdy nie nawiązało do pierwszych dziesięciu lat życia Abigail, kiedy to Madeline najwyraźniej karmiła ją i ubierała za darmo.

– Chcesz powiedzieć, że mam płacić ci alimenty? – spytała.

Nathan zrobił wielkie oczy.

– Nie, nie, nie o to mi cho...

– Dlaczego? Byłoby fair, skoro spędza u ciebie większość czasu...

– Nigdy nie wziąłbym od ciebie centa, Maddie – przerwał jej. – Nie po tym, kiedy ja... kiedy ja nie... nie mogłem... przez te wszystkie lata... – Skrzywił się niechętnie. – Posłuchaj, wiem, że się nie popisałem, kiedy Abigail była mała. Niepotrzebnie wspomniałem o pieniądzach. Po prostu mamy trochę napięty budżet.

– Może sprzedaj swój wypasiony samochód – zaproponowała Madeline.

– Uhm. – Nathan osłupiał. – Może powinienem. Masz rację. Chociaż raczej nie jest wart tyle, ile ci się... Nieważne.

Skye spoglądała na ojca wielkimi, zatroskanymi oczami i znów mrugała raz po raz, tak jak kiedyś jej przyrodnia siostra. Madeline zobaczyła, jak Nathan uśmiecha się rozpaczliwie do dziewczynki i ściska jej rączkę. Zawstydziała go. Zawstydziała go przy tej wymizerowanej istotce.

Byli mężowie powinni mieszkać w innych dzielnicach. Posyłać dzieci do innych szkół. Powinny istnieć zarządzenia, które pomagałyby unikać takich niezręcznych sytuacji. Kto to widział, żeby człowiekiem targały tak sprzeczne uczucia na święcie sportu. Takie uczucia nie mają prawa ujrzyć światła dziennego.

– Na cholerę się tu wprowadziłeś, Nathan? – westchnęła.

– Słucham?

– Madeline! Pora na wyścig mam! Jest pani gotowa? – rozległ się głos przedszkolanki, panny Barnes. Miała spięte w wysoki kucyk włosy i lśniącą skórę; przypominała amerykańską cheerleaderkę – tryskała świeżością i energią niczym dojrzała, soczysta brzoskwinka. Nawet bardziej soczysta niż Bonnie. Powieki jej nie opadały. Nic jej nie opadało. Wszystko w jej

beztroskim, młodym życiu było jasne i proste. Nathan aż zdjął okulary przeciwsłoneczne, żeby lepiej widzieć, wyraźnie ożywiony jej widokiem. Ed zachowałby się podobnie.

– Odpalam rakietę, panno Barnes – odpowiedziała Madeline.



Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Przyglądamy się relacjom ofiary z każdym uczestnikiem wieczorku integracyjnego.

Harper: Owszem, mam pewne teorie.

Stu: Teorie? Ja nic nie mam. Nic oprócz kaca.

Rozdział dwudziesty piąty

Matki przedszkolaków stanęły w nierównym, rozchichotanym szeregu na linii startu. Słońce odbijało się od ich okularów przeciwsłonecznych. Niebo przypominało ogromną, niebieską muszlę. Ocean połyskiwał szafirowo na horyzoncie. Jane uśmiechnęła się do pozostałych matek, a te odwzajemniły jej uśmiech. Panowała miła atmosfera wzajemnej komitywy. „Uroiłaś to sobie”, stwierdziła matka. „Wszyscy na pewno zapomnieli o tym małym nieporozumieniu z drzwi otwartych”.

Jane usilnie starała się wpasować w szkolną społeczność. Co dwa tygodnie pełniła dyżur w stołówce. W poniedziałkowe ranki wraz z jeszcze jednym rodzicem pomagała pannie Barnes, słuchając, jak dzieci ćwiczą czytanie. Prowadziła uprzejme pogawędki przed i po lekcjach. Zapraszała dzieci do Ziggy’ego na wspólną zabawę.

Ale wciąż czuła, że coś nie gra. Wyczuwała to w drobnych gestach, nie do końca szczerych uśmiechach, nutce dezaprobaty.

To nic wielkiego, powtarzała sobie. Ot, drobiazg. Niepotrzebnie tak się przejmowała. Ten świat zabawek i kanapek do szkoły, zadrapanych kolan i umorusanych twarzy nie miał żadnego związku z ohydą tamtego ciepłego, wiosennego wieczoru i jaskrawą lampą w suficie, z uciskiem na szyi oraz sączącymi się do mózgu, wypowiedzanymi szeptem słowami. *Przestań o tym myśleć. Przestań o tym myśleć.*

Pomachała do synka, który siedział na trybunach z pozostałymi dziećmi, pod czujnym okiem panny Barnes.

„Wiesz, że nie wygram, tak?”, upewniła się przy śniadaniu. Niektóre spośród tych matek miały trenerów osobistych, a jedna sama była taką trenerką.

– Na miejsca! – zakomenderował Jonathan, miły tata, który był z nimi na Disneyu.

– Ile to metrów tak w ogóle? – zainteresowała się Harper.

– Daleko ta meta – zauważyła Gabrielle.

– Czy to nie Renata i Celeste trzymają wstęgę? – zainteresowała się Samantha. – Jak się z tego wywineły?

– Renata stwierdziła, że ma...

– Renata ma bóle piszczeli – przerwała rzeczowo Harper. – Ponoć bardzo dotkliwe.

– Powinnyśmy się rozciągnąć, dziewczęta – poradziła Bonnie, ubrana jak nauczycielka jogi, w żółtą bluzkę zsuwającą się z jednego ramienia. Leniwie złapała się za kostkę, zgięła kolano i przycisnęła stopę do pośladka.

– Miałam cię o coś spytać, Jess – zagadnęła Audrey albo Andrea, Jane nie mogła zapamiętać jej imienia. Mówiła ściszym, konspiracyjnym tonem, jakby powierzała jej mroczny sekret. Jane zdążyła się do tego przyzwyczaić. Nie dalej jak wczoraj w ten sam sposób zapytała ją, czy bibliotekarka ma dyżur.

– Mam na imię Jane – odpowiedziała Jane bez cienia pretensji.

– Wybacz – odrzekła Audrey lub Andrea. – Posłuchaj, jesteś za czy przeciw?

– Za czy przeciw czemu?

– Moje panie! – wrzasnął Jonathan.

– Babeczkom – wyjaśniła Audrey lub Andrea. – Za czy przeciw?

– Za – wtrąciła Madeline. – Nie psujmy zabawy.

– Niech sama się wypowie, Madeline – zaproponowała Audrey lub Andrea. – Według mnie wygląda na bardzo prozdrowotną.

Madeline przewróciła oczami.

– Uhm, ja... lubię babeczki? – rzuciła niepewnie Jane.

– Przygotowujemy petycję zabraniającą rodzicom przynoszenia babeczek dla wszystkich z okazji urodzin – wyjaśniła Andrea lub Audrey. – Otyłość szaleje, a dzieci co drugi dzień są faszcerowane słodyczami.

– Nie rozumiem, skąd w tej szkole taka obsesja na punkcie petycji – burknęła ze złością Madeline. – To takie negatywne. Nie możecie po prostu zgłosić propozycji?

– Uprasza się o spokój! – Jonathan podniósł starter.

– A gdzie Jackie, Jonathanie? – zapytała Gabrielle. Matki miały lekkiego bzika na punkcie żony Jonathana, odkąd kilka dni temu udzieliła telewizyjnego wywiadu, w którym wypadła bardzo profesjonalnie i usadziła dziennikarza. Ponadto Jonathan był bardzo przystojny na modłę George'a Clooneya, toteż ciągłe nawiązania do żony miały za zadanie pokazać, że matki tego nie zauważają i wcale z nim nie flirtują.

– W Melbourne – padła odpowiedź. – Przestańcie mnie zagadywać. Na miejsca!

Kobiety przesunęły się na start.

– Bonnie wygląda bardzo profesjonalnie – stwierdziła Samantha.

– Ostatnio prawie nie biegam. – Bonnie przykucnęła w pozycji startowej. – To takie zabójcze dla stawów.

Jane zauważyła, że Madeline zerknęła na Bonnie, i mocniej wbiła trampek w trawę.

– Dostyc tego gadania! – ryknął Jonathan.

– Lubię, kiedy jesteś taki stanowczy, Jonathanie – rozmarzyła się Samantha.

– Gotowe!

– To bardzo stresujące – zauważyła Andrea lub Audrey. – Naprawdę nie mam pojęcia, jak te biedne dzieci radzą sobie z...

Padł strzał.



Thea: Mam pewną koncepcję na temat tego, co mogło się wydarzyć, ale nie chciałabym mówić źle o zmarłych. Jak powtarzam moim czworgu dzieciom: „Jeśli nie możesz powiedzieć czegoś miłego, lepiej nic nie mów”.

Rozdział dwudziesty szósty

Celeste czuła, jak Renata napina wstęgę z drugiej strony, i sama też chwyciła ją mocniej, tyle że zapominała się skupić na tym, gdzie jest i co robi.

– Jak tam Perry? – zawołała Renata. – Jest w kraju?

Ilekczo Renata pojawiała się w szkole, rozmyślnie ignorowała Jane i Madeline (ku utrapieniu tej pierwszej i jawnej uciezce drugiej), zawsze jednak zagadywała Celeste szorstkim, nieco uszczypliwym tonem, niczym dawną przyjaciółkę, która wprawdzie sprawiła jej zawód, ale Renata postanowiła okazać jej łaskę i być ponadto.

– Super! – odkrzyknęła Celeste.

Wczoraj poszło o lego. Chłopcy rozsiewali klocki po całym domu. Mogła kazać im je pozbierać, lecz łatwiej było zrobić to, kiedy spali, niż z nimi wojować. Te przepychanki. Te zawrodenia. Nie miała wczoraj siły, żeby przez to przechodzić. Co za lenistwo. Kiepska z niej matka.

– Robisz z nich rozwydrzone bachory – stwierdził Perry.

– Mają dopiero pięć lat – odpowiedziała. Siedziała na kanapie i składała pranie. – Są zmęczeni po szkole.

– Nie chcę mieszkać w chlewie – burknął i kopnął klocki leżące na podłodze.

– To je pozbieraj – ucięła ze znużeniem.

I masz babo placek. Sama sobie zawiniła. Jak zawsze.

Perry tylko na nią spojrział. Następnie opadł na czworaki, pozbierał wszystkie klocki z dywanu i wrzucił do zielonego pudła. Ona dalej składała, zerkając na niego spod oka. Naprawdę miał zamiar wszystko posprzątać?

Wstał i podszedł do niej.

– To bardzo proste. Niech dzieciaki pozbierają. Posprzątaj sama. Albo zapłać zrasanej gosposi – powiedział i wysypał całą zawartość pudła na głowę Celeste.

Zatkało ją ze zgrozy i upokorzenia.

Wstała, wzięwszy z kolan garść klocków, i rzuciła mu w twarz.

No i proszę. Znowu. Sama zawiniła. Zachowała się jak dziecko. To było prawie śmiechu warte, istna komedia. Dwoje dorosłych ciskało w siebie przedmiotami.

Trzasnęła ją w twarz wierzchem dłoni.

Nigdy jej nie bił. Nie zrobiłby czegoś tak nieokrzesanego. Zatoczyła się i wyrzuciła kolanem o skraj szklanego blatu. Odzyskała równowagę i rzuciła się na niego z pazurami. Odepchnął ją od siebie z niesmakiem.

No przecież. Obrzydliwie się zachowała.

Gdy poszedł spać, pozbierała wszystkie klocki i wyrzuciła nietkniętą kolację.

Rano miała spuchniętą, obolałą wargę, jak przed opryszczką. Nikt nie zauważył. Stłuczone kolano dawało się we znaki. Ale nie było tak źle. Naprawdę.

Perry tryskał dobrym humorem i pogwizdywał, gotując jajka dla chłopców.

– Co ci się stało w szyję, tatusiu? – zapytał Josh na widok cienkiej, czerwonej szramy.

– W szyję? – Perry podniósł rękę i zerknął na żonę figlarnie. Było to żartobliwe, potajemne spojrzenie, jakie wymieniają rodzice, kiedy dzieci rzuca uroczą, niewinną uwagę na temat Świętego Mikołaja lub seksu. Jakby stanowiło to normalny aspekt małżeńskiego życia. – To nic takiego, stary – dodał. – Nie patrzyłem, jak idę, i wpadłem na drzewo.

Jego mina nie dawała spokoju Celeste. Uważał to za zabawne. Naprawdę uważał to za zabawne i bez większego znaczenia.

Przycisnęła palec do obolałej wargi.

Czy to faktycznie było normalne?

„Nie, bo my nie jesteśmy normalni”, odpowiedziałby Perry. „Nie jesteśmy państwo Przeciętni. Pospolici ludzie w pospolitym małżeństwie. Jesteśmy inni. Niezwykli. Bardziej się kochamy. I wszystko bardziej przeżywamy. Uprawiamy lepszy seks”.

Padł strzał, a ona podskoczyła ze strachu.

– Biegną! – oznajmiła Renata.

Czternaście kobiet ruszyło na nie, jakby goniły złodzieja, wymachując

rękami, z wypiętą piersią i zadartym podbródkiem, niektóre pękając ze śmiechu, lecz większość śmiertelnie poważna. Dzieci szalały na trybunach. Celeste bezskutecznie wypatrywała swoich chłopców.

„Jednak nie wezmę udziału w wyścigu”, oznajmiła im rano. „Spadłam ze schodów, kiedy wczoraj poszliście spać”. „Oj”, skwitował Max bez większego zainteresowania. Chyba było mu to obojętne. „Musisz bardziej uważać”, dodał Josh, nie patrząc na nią. „Muszę”, przyznała. Wiedziała, że musi.

Bonnie i Madeline prowadziły. Wsunęły się naprzód. Szły łeb w łeb. Dawaj, Madeline, pomyślała Celeste. Dawaj, dawaj, dawaj – TAK! Zerwały piersią wstęgę. Zdecydowanie wygrała Madeline.



– Bonnie o nos! – oświadczyła Renata.

– Ależ skąd, jestem pewna, że to Madeline wygrała – zaproponowała Bonnie. Nawet się nie zmęczyła, była tylko nieco zarumieniona.

– Nie, nie, ty wygrałaś, Bonnie – zapewniła bez tchu Madeline, choć wiedziała, że to nieprawda, gdyż cały czas obserwowała Bonnie kątem oka. Oparła dłonie o kolana, próbując złapać oddech. Paliła ją kość policzkowa, tam gdzie w biegu smagnął ją łańcuszek.

– Dam głowę, że to była Madeline – oznajmiła Celeste.

– A właśnie że Bonnie – przerwała jej Renata, a Madeline mało się nie roześmiała. *Do tego się posuwasz w swojej zawziętości? Nie pozwolisz mi nawet wygrać biegu?*

– Na pewno Madeline – stwierdziła Bonnie.

– Na pewno Bonnie – odparowała Madeline.

– Och, na litość boską, niech będzie remis – rozstrzygnęła matka szóstoklasisty, Blond Paź, która rozdawała medale.

Madeline się wyprostowała.

– Wykluczone. Wygrała Bonnie. – Odebrała medal dla zwycięzcy, włożyła go Bonnie do ręki i zagięła jej palce, jakby powierzała dziecku pieniądze. – Pobiłaś mnie, Bonnie. – Spojrzała w niebieskie oczy rywalki i dostrzegła w nich przeblask olśnienia. – Pobiłaś z kretesem.



Samantha: Madeline wygrała. Zrywaliśmy boki, gdy Renata upierała się, że to Bonnie. Ale czy to doprowadziło do morderstwa? Nie, nie sądzę.

Harper: Ja byłam trzecia, gdyby to kogoś interesowało.

Melissa: Juliette była trzecia, dla ścisłości. No wie pani, niania Renaty. Ale dla Harper gdzie tam, dwudziestojednoletnia niania się nie liczy! Oczywiście teraz wszyscy udają, że Juliette nie istniała.

Rozdział dwudziesty siódmy

Samantha: Trzeba się rozeznać w tutejszej demografii. A więc najpierw mamy rzemieślników. W Pirriwee jest ich na pęczki. Mój Stu, na przykład. Sól tej ziemi. Albo sól oceanu, bo wszyscy surfują, ma się rozumieć. Większość tu dorastała i tu została. Potem zaczynają się różnice. Hipisi. A w ciągu ostatniej dekady namnożyło się tu bogatych prezesów i bankowców, którzy pobudowali wielkie McPosiadłości na skałach. Ale! Dla wszystkich dzieciaków jest tylko jedna podstawówka! I tak na zebrania przychodzą hydraulik, bankier i wróżka i jeden próbuje się z drugim dogadać. Parodia. Nic dziwnego, że wybuchła awantura.



Po powrocie Celeste zastała przed domem samochód sprzątaczk. Kiedy przekręciła klucz w zamku, powitał ją ryk odkurzacza.

Poszła do kuchni i zaparzyła herbatę. Sprzątacze zjawiali się raz w tygodniu w piątkowy ranek. Kasowali dwieście dolarów i pucowali dom na wysoki połysk.

Matkę Celeste zatkąło, gdy dowiedziała się, ile córka płaci za sprząkanie. „Kochanie, przyjadę i pomogę ci raz w tygodniu”, wyjąkała. „Przeznaczysz tę kwotę na co innego”. Matka nie ogarniała skali bogactwa Perry’ego. Przy okazji pierwszej wizyty w wielkim domu z widokiem na plażę obeszła go z uprzejmą, stężoną miną turystki, która doznała szoku kulturowego. Koniec końców stwierdziła, że jest „przestronny”. Wychodziła z założenia, iż nie godzi się wydawać dwustu dolarów na coś, co można – co należałoby – zrobić samemu. Teraz byłaby wstrząśnięta, widząc, że córka siedzi, podczas kiedy obcy ludzie doprowadzają jej dom do porządku. Matka Celeste nigdy nie siadała. Wracała z nocnej zmiany w szpitalu, szła prosto do kuchni i przygotowywała śniadanie, podczas gdy ojciec czytał gazetę, a Celeste

kłóciła się z bratem.

Boże, ależ oni się kłócili. Bił ją. Zawsze mu oddawała.

Może gdyby nie dorastała ze starszym bratem, nie nabyłaby tej hardej, australijskiej mentalności: jeśli chłopak cię bije, to mu oddaj! Może gdyby słodko załkała po tym, jak Perry pierwszy raz wziął ją w obroty, sytuacja by się nie powtarzała.

Odkurzacz ucichł i usłyszała męski głos, a po nim wybuch lubieżnego śmiechu. Zatrudniła do sprzątanía młode koreańskie małżeństwo. Kiedy była w domu, pracowali zwykle w absolutnej ciszy, najwyraźniej dziś nie zauważyli, że wróciła. Przy niej zawsze zachowywali się nienagannie. Poczowała się irracjonalnie dotknięta, jakby chciała się z nimi zaprzyjaźnić. Pośmiejmy się razem, porozmawiajmy!

Na górze ktoś przebiegł, a potem rozległ się wybuch perlistego, dziewczęcego śmiechu.

Przestańcie się wygłupiać, pomyślała. Do roboty.

Wzięła łyk herbaty. Obolała warga zapiekła.

Była zazdrosna o sprzątaczy.

Siedziała w swoim wielkim domu i się dąsała.

Odstawiła kubek, wyjęła z portfela kartę kredytową i otworzyła laptopa. Zalogowała się na stronie World Vision i przejrzała zdjęcia dzieci oczekujących na sponsorów: towar dla bogatych białych kobiet jej pokroju. Sponsorowała już troje dzieci i próbowała zainteresować tym chłopców. Patrzcie! To mała Blessing z Zimbabwe. Chodzi kawał drogi po wodę. W pobliżu nie ma kranu. „Dlaczego nie wypłaci pieniędzy z bankomatu?“, zapytał Josh. To Perry odpowiadał, cierpliwie tłumaczył, rozmawiał z dziećmi o wdzięczności i pomaganiu tym, którzy mają mniej niż oni sami.

Celeste wpłaciła pieniądze na kolejną czwórkę dzieci.

Pisanie listów i kartek na urodziny potrwa godzinami.

Niewdzięczna suka.

Zasługiwała, żeby oberwać. Słusznie jej się należało.

Uszczypnęła się w udo, aż łzy napłynęły jej do oczu. Jutro będzie miała świeże siniaki. Własnego autorstwa. Lubiła patrzeć, jak się zmieniają, nabierają głębi, ciemnieją, a potem z wolna bledną. To było takie jej hobby. Pasja. Miło mieć pasję.

Traciła rozum.

Przeglądnęła strony organizacji charytatywnych, z całym wachlarzem bólu

i cierpienia, jakie ma do zaoferowania świat: rak, rzadkie zaburzenia genetyczne, bieda, pogwałcenie praw człowieka, kataklizmy. Dawała, dawała, dawała. W ciągu dwudziestu minut wpłaciła dwadzieścia tysięcy dolarów Perry'ego. Nie sprawiło jej to satysfakcji, przyjemności ani dumy. Napełniło ją obrzydzeniem. Łożyła na szczytne cele, podczas gdy młoda dziewczyna szorowała na czworakach jej sedes.

Sama posprzątaj! Zwolnij sprzątaczy. Ale wówczas oni będą poszkodowani, prawda? Zasponsoruj jeszcze jedno dziecko! Płać, dopóki nie zaboli.

Wydała kolejne pięć tysięcy dolarów.

Czy ich budżet to odczuje? Nie miała pewności. Finanse były działką Perry'ego. W końcu w tym się specjalizował. Niczego przed nią nie ukrywał. Wiedziała, że chętnie przejrzałby z nią wszystkie rachunki i wyciągi, gdyby sobie tego życzyła, lecz na myśl o dokładnych kwotach dostawała zawrotów głowy.

„Zobaczyłam dziś rachunek za prąd i chciało mi się płakać”, wyznała ostatnio Madeline. Celeste od razu zaproponowała, że go pokryje, lecz przyjaciółka oczywiście nie życzyła sobie jałmużny. Z Edem świetnie sobie radzili. Istnieje wiele poziomów „radzenia” i na poziomie Celeste rachunki za prąd nie przyprawiały o łzy. Zresztą nie wypada tak po prostu wręczać przyjaciołom pieniędzy. Można czasami postawić kawę lub obiad, ale nawet wtedy trzeba działać ostrożnie, żeby to nie wyglądało na ostentację, w końcu to nie były jej pieniądze, tylko Perry'ego. Ona nie miała z nimi nic wspólnego. Ot, padło na nią, za sprawą jej urody. To nie zależało od niej.

Kiedyś, w czasie studiów, była raz w świetnym humorze, przyszła na zajęcia i usiadła obok dziewczyny o imieniu Linda. „Cześć!”, zawołała. Na twarzy koleżanki odmalował się wyraz komicznej urazy. „Och, Celeste”, jęknęła. „Ja ciebie dzisiaj nie zniosę. Czuję się do dupy, a ty wparowałaś i wyglądasz tak, no wiesz, tak właśnie”. I wskazała znacząco na twarz Celeste, jakby jej widok ją zgorszył. Dziewczęta wokół wybuchnęły śmiechem, jakby powiedziano na głos coś rewolucyjnego i przezabawnego. Rechotały na całego, a Celeste uśmiechała się sztywno jak kretynka, no bo co miała odpowiedzieć? Słowa koleżanki odczuła jako obelgę, a musiała przyjąć jako komplement. Okazać wdzięczność. Ani mi się waży wyglądać na zadowoloną, przykazała sobie w duchu. To niemile widziane.

Wdzięczna, wdzięczna, wdzięczna.

Ponownie włączono odkurzacz na górze.

Perry nigdy, przez te wszystkie lata, które spędzili razem, nie skomentował tego, jak Celeste wydaje ich (jego) pieniądze, nie licząc okazjonalnych, żartobliwych uwag, że mogłaby wydawać więcej, gdyby przyszła jej na to ochota. „Wiesz, że stać nas na nową”, rzucił kiedyś, widząc, jak szoruje plamę na kołnierzyku jedwabnej bluzki. „Ta mi się podoba”, odpowiedziała. Plama była z krwi.

Z chwilą gdy przestała pracować, jej stosunek do pieniędzy uległ zmianie. Korzystała z nich tak, jak korzysta się z cudzej łazienki: grzecznie i z wyczuciem. Podejrzewała, że w oczach prawa i społeczeństwa uchodzi za pożyteczną, prowadząc dom i wychowując chłopców, ale nigdy nie wydawała pieniędzy Perry’ego tak jak niegdyś swoich.

A już na pewno nigdy nie wydała w ciągu jednego popołudnia dwudziestu pięciu tysięcy. Czy Perry coś na to powie? Czy się rozżłości? Czy dlatego to zrobiła? Czasem, kiedy zanosilo się na jego wybuch, kiedy wiedziała, że jest tylko kwestią czasu, kiedy wyczuwała go w powietrzu, prowokowała go celowo, żeby mieć to z głowy.

Czy nawet dobroczynność stanowiła tylko kolejny krok w chorym tańcu ich małżeństwa?

W końcu nie zrobiła nic, co byłoby odstępstwem od normy. Chodzili na imprezy charytatywne i Perry rzucał na aukcjach kwoty rzędu dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu tysięcy dolarów. Bez mrugnięcia okiem. Lecz chodziło tu nie tyle o gest, co o wygraną. „Nie dam się przelicytować”, wyznał jej kiedyś.

Był hojny. Na wieść o tym, że przyjaciel bądź krewny znalazł się w potrzebie, dyskretnie wypisywał czek albo zlecał przelew, zbywał podziękowanie i zmieniał temat, rzekomo zakłopotany łatwością, z jaką mógł rozwiązywać cudze problemy.

Dzwonek do drzwi wyrwał ją z zamyślenia.

– Pani White? – Rosły, brodaty mężczyzna, który stał w progu, wyciągał w jej stronę wielki bukiet kwiatów.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Szczęściara z pani! – stwierdził goniec z podziwem, jakby nigdy nie widział tak imponującego bukietu.

– O tak!

Ciężki, słodki zapach połaskotał ją w nos. Kiedyś uwielbiała dostawać kwiaty. Dziś oznaczało to szereg problemów. Znajdź wazon. Przytnij łodygi.

Ułóż kompozycję.

Niewdzięczna szmata.

Przeczytała dołączony bilecik.

„Kocham Cię. Przepraszam. Perry”.

Ręka kwiaciarki. Zapisane cudzym pismem słowa Perry’ego zawsze budziły w niej dziwne odczucia. Czy ta kobieta zastanawiała się, co przeszkrobał? Jaki męzowski grzeszek popełnił wczoraj wieczorem? Za późno wrócił do domu?

Zaniosła kwiaty do kuchni. Zauważyła, że bukiet dygocze, jakby drżał z zimna. Ujęła mocniej łodygi. Rzuciłaby nimi o ścianę, ale wiedziała, że to na nic. Rozsypałyby się tylko po podłodze. Mokra płatki pokryłyby wykładzinę. Musiałaby je pozbierać, żeby sprzątacze nie zauważyli.

Na miłość boską, Celeste. Rób, co masz robić.

Przypomniała sobie rok, kiedy skończyła dwadzieścia pięć lat: wtedy po raz pierwszy pojawiła się w sądzie, kupiła pierwszy samochód i zaczęła inwestować w akcje, a co sobotę grała w squasha. Miała piękne tricepsy i śmiała się na całe gardło.

Wtedy poznała Perry’ego.

Małżeństwo i macierzyństwo zrobiły z niej miękką, gąbczastą wersję dawnej Celeste.

Ostrożnie położyła kwiaty na stole i wróciła do komputera.

Wpisała w wyszukiwarkę hasło „terapia małżeńska”.

Nagle znieruchomiała. Wróc. Nie. To już przerabiała. Tu nie chodziło o sprzątanie ani o zranione uczucia. Musi porozmawiać z kimś, kto wie, że ludzie tak się zachowują, kto zada odpowiednie pytania.

Twarz jej płonęła, kiedy wpisywała dwa wstydlive słowa.

Przemoc. Domowa.

Rozdział dwudziesty ósmy

Bywają trudniejsze rzeczy, pomyślała Madeline, składając białe rurki i chowając je do na wpół spakowanej walizki Abigail.

Nie miała prawa do uczuć, których doznawała. Ich siła wprawiała ją w zakłopotanie. Były odwrotnie proporcjonalne do sytuacji.

A więc Abigail postanowiła zamieszkać z ojcem i wyłożyła kawę na ławę. Miała czternaście lat. Czternastolatki nie słyną z empatii.

Madeline powtarzała sobie w duchu, że nie ma nic przeciwko temu. Już to przeboleła. Mówi się trudno. Była zajęta. Miała inne sprawy na głowie. A potem te uczucia wracały, były jak cios w brzuch. I jej oddech stawał się płytki, jak w czasie porodu. (Bite dwadzieścia siedem godzin z Abigail. Nathan żartobliwie dyskutował z położną o piłce nożnej, podczas gdy Madeline umierała. W sumie przeżyła, ale była pewna, że taki ból może się zakończyć tylko śmiercią, a ostatnie, co usłyszy, to rozważania na temat szans Manly na zwycięstwo w ekstraklasie.)

Wyjęła z kosza na bieliznę jedną z bluzek najstarszej Abigail. Miała odcień jasnej brzoskwini i nie pasowała do jej karnacji, lecz Abigail ją uwielbiała. Nadawała się wyłącznie do prania ręcznego. Niech Bonnie się teraz trudzi. Albo nowa, ulepszona wersja Nathana. Nathan Wersja 2.0. Zostaje z żoną. Pomaga na ochotnika w przytułku dla bezdomnych. Robi przepierkę.

Przyjedzie dziś samochodem dostawczym swojego brata po łóżko Abigail.

Abigail poprosiła wczoraj matkę o zgodę na zabranie łóżka do domu taty. Było to piękne łóżko z baldachimem, które Madeline i Ed kupili jej na czternaste urodziny. Zachwyty na twarzy córki był wart horrendalnej ceny. Abigail dosłownie tańczyła z radości. Dzisiaj to było jak wspomnienie innej osoby.

„Łóżko zostaje w domu”, oznajmił Ed. „To jej własność”, uświadomiła mu Madeline. „Może je zabrać, wszystko mi jedno”. Powiedziała to, żeby zranić Abigail, żeby się odegrać i pokazać, iż nie dba o to, że córka się wyprowadza

i może będzie przyjeżdżać w weekendy, ale jej życie przeniesie się gdzie indziej. Lecz Abigail wcale nie była dotknięta. Była zadowolona, że postawiła na swoim.

– Hej – rzucił Ed od drzwi.

– Hej – odpowiedziała Madeline.

– Abigail powinna sama się spakować – stwierdził. – Jest już duża.

Może i tak, ale to Madeline robiła pranie w tym domu. Wiedziała, co gdzie leży, czy zostało złożone i schowane, toteż było logiczne, że wzięła na siebie pakowanie. Ed od początku trochę za dużo wymagał od Abigail. Ile razy to słyszała? „Jest już duża”. Nie znał innych dzieci w jej wieku i czasem Madeline odnosiła wrażenie, że zbyt wysoko stawia poprzeczkę. Z Fredem i Chloe rzecz wyglądała inaczej, bo towarzyszył im od urodzenia. Znał i rozumiał ich tak, jak nigdy nie znał i nie rozumiał Abigail. Oczywiście za nią przepadał, był dobrym i troskliwym ojczymem; bez skargi wziął na siebie tę rolę (dwa miesiące po tym, jak zaczął się spotykać z Madeline, poszedł z Abigail na szkolne śniadanie z tatusiami; wówczas za nim przepadała) i może nadal układałoby się między nimi jak dawniej, gdyby nie powrócił ojciec marnotrawny – w najgorszym momencie, kiedy Abigail miała jedenaście lat. Za duża, aby nią sterować. Za młoda, by rozumieć lub kontrolować swoje uczucia. Zmieniła się z dnia na dzień, jakby okazywanie Edowi choćby cienia grzeczności zakrawało na zdradę tatusia. Ed miał nieco staroświeckie zapędy autorytarne, czyniące go niezbyt odpornym na brak szacunku, co na tle prześmiewczego usposobienia Nathana stawiało go z góry na straconej pozycji.

– Myślisz, że to moja wina? – zapytał.

Madeline podniosła głowę.

– Co?

– Że Abigail się wyprowadza? – Z jego oczu biły zdenerwowanie i niepewność. – Może byłem dla niej zbyt ostry?

– Ależ skąd – odrzekła, choć po części tak uważała, ale nie było sensu tego zaznaczać. – Myślę, że najbardziej ciągnie ją do Bonnie – dodała.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że Bonnie miała elektrowstrząsy? – spytał Ed w zamyśleniu.

– Fakt, jest w niej jakaś pustka – zgodziła się Madeline.

Ed podszedł i przejechał ręką po kolumnie łóżka.

– Ale się narobiłem przy jego składaniu – powiedział. – Myślisz, że Nathan

podoba?

Madeline prychnęła.

– Może powinien zaoferować pomoc – dorzucił. Mówił poważnie. Nie mógł znieść myśli, że ktoś mógłby to spartaczyć.

– Ani mi się waż – ostrzegła. – Nie powinieneś już iść? Nie masz czasem wywiadu?

– Mam. – Schylił się, żeby ją pocałować.

– Coś ciekawego?

– Najstarszy klub książki w Pirriwee. Zbiera się raz w miesiącu od czterdziestu lat.

– Powinnam założyć klub książki – stwierdziła Madeline.



Harper: Muszę oddać Madeline sprawiedliwość. Zaprosiła do klubu wszystkich rodziców, nie wyłączając mnie i Renaty. Należę już do klubu książki, więc odmówiłam, miałam pretekst. Wolimy z Renatą wartościową literaturę zamiast lekkich bestsellerów na jedno kopyto. Wydmuszki! Ale o gustach się nie dyskutuje, rzecz jasna.

Samantha: Ten cały Erotyczny Klub Książki zaczął się dla kawału. To w sumie była moja wina. Miałyśmy z Madeline dyżur w stołówce i wspomniałam coś o pikantnej scenie z wybranej przez nią książki. Nie była nawet taka pikantna, chciałam się tylko pośmiać, ale Madeline na to: „Ach, czyżbym zapomniała zaznaczyć, że to erotyczny klub książki?” Nazwa przylgnęła, a zgorszenie osób pokroju Harper i Carol tylko nakręcało Madeline.

Bonnie: W czwartkowe wieczory prowadzę zajęcia jogi, inaczej chętnie wstąpiłabym do tego klubu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

MIESIĄC PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

– Jutro muszę oddać drzewo genealogiczne – oznajmił Ziggy.

– Nie, dopiero w przyszłym tygodniu – sprostowała Jane.

Siedziała na podłodze w łazience, oparta plecami o ścianę, a on się kąpał. Unosząca się wokół para miała zapach truskawkowego płynu do kąpieli. „Cieplesza, mamusiu, cieplesza!”, wołał Ziggy i robił się czerwony jak homar. „Więcej bąbelków!” Następnie wymyślał długie, skomplikowane zabawy w pianie z udziałem wybuchów wulkanów, rycerzy Jedi, wojowników ninja oraz gderliwych matek.

– Potrzebny nam specjalny brystol – uzupełnił Ziggy.

– Kupimy w weekend. – Jane uśmiechnęła się, widząc jego irokeza z piany.
– Śmiesznie wyglądasz.

– Nie, wyglądam odjazdowo – oznajmił Ziggy i wrócił do zabawy. – Trach! Uważaj, Yoda! Gdzie twój miecz świetlny?

Woda chlapnęła i piana pofrunęła na wszystkie strony.

Jane powróciła do lektury. Książkę wybrała Madeline na pierwsze spotkanie klubu. „Seks, prochy i morderstwo”, zapowiedziała. „Przeczuwam ożywioną dyskusję. Najlepiej, żebyśmy się pokłóciły”.

Akcja toczyła się w latach dwudziestych XX wieku i była piekielnie wciągająca. Jane odwykła od czytania książek dla przyjemności. Czowała się tak, jakby wróciła w ukochane, znajome strony.

Właśnie pochłaniała scenę erotyczną, gdy Ziggy wrzasnął:

– Dostaniesz w ryja, lordzie Vaderze!

– Nie mówi się „dostaniesz w ryja” – rzuciła Jane odruchowo, nie podnosząc głowy. – To bardzo nieładnie. – Czytała dalej. Na książkę sfrunął obłoczek truskawkowej piany. Jane odsunęła go palcem. Poczwała coś dziwnego, jakby lekkie łaskotanie. Zmieniła pozycję na kafelkach. Nie. Ależ

skąd. Z powodu książki? Dwóch zgrabnych akapitów? A jednak. Nie inaczej. Była lekko podniecona.

Było dla niej objawieniem, że po tak długim czasie wciąż potrafi odczuć coś tak pierwotnego, tak biologicznego, tak przyjemnego.

Na chwilę ujrzała wytrzeszczone oko w suficie i ścisnęło ją w gardle, ale zaraz poczuła przypływ wściekłości. Odmawiam, powiedziała do wspomnienia. Odmawiam ci dzisiaj racji bytu, bo wiesz co? – mam inne wspomnienia seksu. Mam mnóstwo wspomnień zwykłego chłopaka i zwykłego łóżka, gdzie pościel tak nie szeleściła, gdzie nie było oka w suficie ani głuchoj ciszy, tylko grała muzyka i było całkiem zwyczajnie, a on uważał, że jestem ładna, ty świnió, uważał, że jestem ładna, i taka byłam, więc jak śmiesz, jak śmiesz, jak śmiesz.

– Mamusiu? – zagaił Ziggy.

– Tak? – Jane ogarnęło szalone, wojownicze poczucie szczęścia, jakby do tej pory ktoś jej tego zabraniał.

– Potrzebna mi łyżka w takim kształcie. – Narysował w powietrzu półokrąg. Chciał krajarkę do jajek.

– Nie wygłupiaj się, Ziggy, masz w wannie dosyć przyborów kuchennych – odrzekła, ale już odkładała książkę i wstawiała, żeby pójść do kuchni.

– Dziękuję, mamusiu – zaczął anielsko Ziggy i spojrzał na nią wielkimi zielonymi oczami. Na rzesach szklily mu się paciorki wody.

– Kocham cię, Ziggy.

– Przynieś mi zaraz tę łyżkę.

– Dobrze.

Ruszyła w stronę drzwi, gdy zawołał za nią:

– Myślisz, że panna Barnes nie będzie zła, jeśli nie przyniosę drzewa?!

– Kochanie, to dopiero na przyszły tydzień – zapewniła Jane, a po chwili, na głos, odczytała przyczepioną do lodówki magnesem kartkę: „Wszystkie dzieci będą miały okazję opowiedzieć o swojej rodzinie, kiedy przyniosą drzewa w piątek dwudziestego czwartego...”. O losie! – Ziggy miał rację. Termin oddania drzewa przypadał na następny dzień. Jane ubzdurała sobie, że chodzi o piątek, na który zaplanowano urodzinową kolację taty, lecz kolację przesunięto o tydzień, gdyż jej brat wyjeżdżał z nową dziewczyną. Wszystko przez niego. Nie. To ona zawiniła. Ma tylko jedno dziecko. I notatki. To nie zajmie długo. Muszą zrobić to teraz, nie ma rady. W tej chwili. Nie można puścić go do szkoły bez zadania domowego. Zwróciły na siebie uwagę,

a tego nie znosił. Gdyby chodziło o Chloe, rzecz wyglądałaby inaczej: urządziłaby sobie śmichy-chichy, zrobiła słodką minkę i wzruszyła ramionami. Chloe lubiła być w centrum uwagi, ale biedny Ziggy wolał wtopić się w tłum, jak jego mama, a z jakiegoś powodu wciąż działa się odwrotnie. – Wyskakuj z wanny, Ziggy! – zakomenderowała. – Musimy zrobić zadanie!

– Przynieś mi łyżkę! – odkrzyknął.

– Nie ma czasu! Natychmiast wypuść wodę!

Brystol. Potrzebowali dużego kawałka brystolu. Gdzie teraz dostaną brystol? Minęła siódma. Wszystkie sklepy są już zamknięte.

Madeline. Na pewno kupiła na zapas. Pojadą do niej, Ziggy zostanie w samochodzie w pizamie, a Jane obróci tam i z powrotem.

Szybko wystukała na komórce wiadomość do Madeline: „Kryzys! Zapomniałam o drzewie genealogicznym!!!! (Kretynka!) Masz pożyczyć brystol?! Jeśli tak, czy mogłabym podjechać na chwilę?”.

Zerwała z lodówki kartkę z opisem zadania.

Drzewo genealogiczne miało dać dziecku „poczucie osobistego dziedzictwa i dziedzictwa innych, wraz z refleksją na temat ludzi istotnych w jego życiu teraz i w przeszłości”. Każdy przedszkolak miał narysować drzewo, wkleić pośrodku swoje zdjęcie, a następnie dodać fotografie i imiona pozostałych członków rodziny, najlepiej do dwóch pokoleń wstecz, w tym rodzeństwa, cioć, wujków, dziadków oraz „jeśli jest taka możliwość, pradziadków albo nawet prapradziadków!”. U dołu widniało podkreślone zdanie: „Uwaga do rodziców: Państwa pomoc może się okazać niezbędna, ale proszę pamiętać, że to zadanie dla dzieci! Chcę zobaczyć ICH pracę, nie WASZĄ! ☺Panna (Rebecca) Barnes”.

To nie powinno zająć dużo czasu. Jane miała wszystkie zdjęcia. Tak się cieszyła, że nie zostawia wszystkiego na ostatnią chwilę. Matka zrobiła jej odbitki z rodzinnych albumów, w tym praprapradziadka Ziggy’ego ze strony taty Jane, uwiecznionego w roku tysiąc dziewięćset piętnastym, kilka miesięcy przed tym, jak poległ we Francji. Ziggy musiał tylko narysować drzewo i wpisać kilka imion.

Tyle że już powinien się kłaść. Stanowczo za długo siedział w wannie, teraz tylko bajeczka i spać. Będzie ziewał, jęczał i zsuwał się z krzesła, a Jane będzie zmuszona go prosić i obłaskawiać, co potrwa w nieskończoność.

Co za idiotyzm. Musi go położyć. Kto to widział, żeby pięciolatek siedział do późna i odrabiał lekcje.

Może jutro zrobi mu wolne? Pod pretekstem choroby? Ale Ziggy uwielbia piątki. Superpiątki, jak nazywała je panna Barnes. Poza tym Jane musiała posłać go do szkoły, aby móc pracować. Wisiały nad nią trzy terminy.

To może rano przed szkołą? Jasne. Na pewno. Nigdy nie mogła go dobudzić. Oboje rano byli do niczego.

Spokój. Tylko spokój może ją uratować.

Kto by pomyślał, że przedszkole bywa takie stresujące? A to ci heca! Koń by się uśmieł. Ale jej nie było do śmiechu.

Komórka milczała. Jane sprawdziła wiadomości. Nic. Madeline zazwyczaj odpisywała natychmiast. Pewnie miała dość jej krzysów.

– Mamusiu! – zawył Ziggy. – Łyżka!

Zadzwoił telefon. Jane złapała go jak tonący brzytwę.

– Madeline?

– Nie, skarbie, tu Pete. – Pete hydraulik. Jane mało się nie rozplakała. – Posłuchaj, skarbie...

– Wiem! Bardzo przepraszam! Nie zrobiłam rozliczenia. Dokończę jeszcze dziś.

Jak mogła zapomnieć? Zawsze oddawała mu rozliczenia w czwartki w porze obiadu, żeby mógł zapłacić w piątek swoim „chłopakom”.

– Spoko – odpowiedział Pete. – To do zobaczenia.

Rozłączył się. Zwięźle i na temat.

– Mamusiu!

– Ziggy! – Jane wparowała do łazienki. – Pora wypuścić wodę! Musimy zrobić drzewo genealogiczne!

Ziggy leżał wyciągnięty w wannie, z rękami pod głową, jak na plaży z piany.

– Mówiłaś, że nie musimy jutro oddawać.

– Ale musimy! Miałam rację, a ty nie! To znaczy ty miałeś rację, a ja nie! Trzeba zrobić to teraz! Szybciutko! Zakładaj piżamę!

Jane wsadziła rękę do wody i wyciągnęła korek, wiedząc, że popełnia błąd.

– Nie! – wrzasnął rozzłoszczony Ziggy. Sam lubił wyciągać korek. – Ja to zrobię!

– Ile razy mam powtarzać – warknęła swoim najbardziej stanowczym, surowym tonem. – Wyłaż z wanny. I nie marudź. – Rzucił się do przodu jak szczupak i złapał korek, aby znów zatkać odpływ i samemu wypuścić wodę. Jane porwała mu korek sprzed nosa. – Nie ma na to czasu!

Ziggy skoczył na równe nogi, cały w pianie, z buzią wykrzywioną gniewem.

Chciał jej wyrwać korek, ale się poślizgnął i gdyby go nie złapała, przewróciłby się i zapewne stracił przytomność.

– Boli! – wrzasnął.

W pierwszej chwili kolana się pod nią ugięły ze strachu, ale zaraz zaślepiła ją furia.

– PRZESTAŃ SIĘ WYDZIERAĆ! – ryknęła na całe gardło.

Porwała ręcznik z haczyka, owinęła syna i siłą wyciągnęła go z wanny, wierzgającego i rozwrzeszczanego. Następnie zniosła go do pokoju i ostrożnie położyła na łóżku, gdyż wystraszyła się, że jeszcze chwila i rzuci nim o ścianę.

Darł się i wił jak piskorz, tocząc pianę z ust.

– NIENAWIDZĘ CIĘ! – zawył.

Sąsiedzi zaraz wezwą policję.

– Przestań – rozkazała opanowanym, dorosłym tonem. – Zachowujesz się jak dziecko.

– Chcę inną mamę! – wyszłochał Ziggy i grzmotnął Jane piętą w brzuch, aż ją zapowietrzyło.

Straciła resztki panowania nad sobą.

– PRZESTAŃ! PRZESTAŃ! PRZESTAŃ! – wydzierała się jak wariatka, ale sprawiło jej to ulgę. Ziggy umilkł natychmiast. Skulił się pod ścianą, spoglądając ze zgrozą na matkę. Zwinął się w goły kłębuszek i z twarzą wciśniętą w poduszkę załkał rozdzierająco. – Ziggy... – Jane oparła rękę na jego kościstych plecach, ale się wyrwał. Zemdliło ją z poczucia winy. – Przepraszam, że tak krzyczałam – dodała. Okryła go ręcznikiem. Przepraszam, że chciałam rzucić tobą o ścianę. Rzucił się na nią i padł jej w objęcia jak koala, zarzucił jej rączki na szyję, oplótł nogami w pasie i wtulił w nią mokrą, zasmarowaną twarzyczkę. – Już dobrze – wyszeptwała. – Wszystko będzie dobrze. – Sięgnęła po ręcznik i narzuciła go na synka. – Szybciutko. Wkładaj pizamę, bo się przeziębisz.

Nagle Ziggy oświadczył:

– Ktoś dzwoni.

– Co? – spytała.

Poderwał ożywioną, zaciekawioną twarzyczkę.

– Słyszysz? – Faktycznie, ktoś dzwonił do domofonu. Jane wzięła syna na rękę i poszła do przedpokoju. – Kto to może być? – Ziggy był bardzo przejęty. Nadal miał mokre policzki, ale jego oczy błyszczały jak dwa guziki. Uspokoił

się, jakby cały ten straszny incydent nigdy się nie wydarzył.

– Nie wiem – odpowiedziała Jane. Może ktoś przyszedł ze skargą na hałas? Może to policja? Lub opieka społeczna, która chce jej zabrać syna?

Sięgnęła po słuchawkę domofonu.

– Słucham?

– To ja! Wpuść mnie, bo zamarznę.

– Madeline? – Jane nacisnęła przycisk, postawiła Ziggy’ego i poszła otworzyć.

– Chloe też przyszła? – Ziggy podskakiwał jak piłka, zapominając, że jest goły.

– Chloe pewnie już śpi, ty też powinienes. – Jane wyszła na klatkę.

– Dobry wieczór państwu! – Rozradowana Madeline, w różowym sweterku, dzinsach i kowbojkach z czubkiem w szpic, wchodziła po schodach.

– Co się stało? – spytała Jane.

– Przyniosłam brystol. – Madeline dzierżyła w dłoni żółty rulon niczym buławę.

A Jane wybuchła płaczem.

Rozdział trzydziesty

– To nic takiego! Z chęcią wyrwałam się z domu – oznajmiła Madeline, przekrzykując łzawe podziękowania Jane. – A teraz wskakuj w piżamkę, Ziggy, i raz-dwa uporamy się z tym zadaniem.

Cudze problemy zawsze wydają się błahe, a cudze dzieci o wiele łatwiej obłaskawić, pomyślała Madeline, kiedy Ziggy pobiegł grzecznie do siebie. Podczas gdy Jane przygotowywała zdjęcia, Madeline rozejrzała się po jej schludnym mieszkanku i jak zwykle przypomniała sobie kawalerkę, w której niegdyś mieszkała z Abigail.

Wiedziała, że idealizuje tamte czasy. Nie wspominała wiecznych kłopotów finansowych ani samotnych wieczorów, kiedy Abigail spała, a w telewizji nie leciało nic ciekawego.

Od dwóch tygodni Abigail mieszkała z Bonnie i Nathanem i wydawało się, że odpowiada to wszystkim oprócz Madeline. Dzisiaj, kiedy nadeszła wiadomość od Jane, dzieci spały, Ed pisał artykuł, a Madeline właśnie zasiadała do oglądania *Top Model*. „Abigail!”, zawołała odruchowo, włączając telewizor, po czym przypomniała sobie pusty pokój, a zamiast łóżka z baldachimem kanapę, na której spała Abigail w czasie weekendowych wizyt. Madeline nie wiedziała, jak się do niej odnosić, gdyż miała poczucie, że została zwolniona ze stanowiska matki.

Zwykle razem oglądały *Top Model*, zajadając pianki i wymieniając uszczypliwe uwagi na temat uczestniczek, lecz teraz Abigail mieszkała w domu bez telewizora. Bonnie „nie wierzyła” w telewizję. Po kolacji rodzina siadała i rozmawiała przy akompaniamencie muzyki klasycznej. „Akurat”, prychnął Ed, kiedy o tym usłyszał. „A jednak”, odparła Madeline. Oczywiście kiedy Abigail przyjeżdżała z „wizytą”, wylegiwała się na kanapie i nadrabiała zaległości z całego tygodnia, a ponieważ to Madeline popuszczała jej teraz cugli, nie miała nic przeciwko temu. (Gdyby spędziła tydzień na rozmowach przy akompaniamencie muzyki klasycznej, też byłaby spragniona telewizora.)

Całe życie Bonnie było dla niej policzkiem. (Niezbym mocnym, raczej pobłażliwym klepnięciem, gdyż Bonnie w życiu nie posunęłaby się do przemocy.) I dlatego tak miło było przyjść Jane na odsiecz, dla odmiany zachować spokój i służyć dobrą radą.

– Nie mogę znaleźć kleju – zmartwiła się Jane, wykładając na stół niezbędne pomoce.

– Wszystko przywiozłam. – Madeline wyjęła z torebki piórnik i wybrała dla Ziggy’ego czarny flamaster. – Pokaż, jak rysujesz wielkie drzewo, Ziggy.

Szło jak z płatka, dopóki chłopcu coś się nie przypomniało.

– Musimy wpisać imię taty. Panna Barnes mówiła, że wystarczy tylko imię, jeżeli nie mamy zdjęcia.

– Przecież wiesz, że nie masz taty, Ziggy – oznajmiła Jane ze spokojem. Zawsze chciała być z synem szczerą, a Madeline wiedziała o tym. – Ale jesteś szczęściarzem, bo masz wujka Dane’a, dziadka i ciotecznego dziadka Jimmy’ego. – Uniosła fotografie uśmiechniętych mężczyzn, jakby dobywała asa z rękawa. – A do tego masz fantastyczne zdjęcie swojego praprapradziadka, który był żołnierzem!

– Tak, ale w tym miejscu muszę wpisać imię taty – upierał się Ziggy. – Trzeba narysować linię od mojego imienia do imion rodziców. Pani tak kazała.

Wskazał na dołączone do opisu przykładowe drzewo wzorcowej rodziny, z mamą, tatą i dwójką rodzeństwa.

Panna Barnes na serio powinna to przemyśleć, pomyślała Madeline. Ona też miała kłopot, pomagając Chloe, gdyż nie było wiadomo, czy poprowadzić linię od zdjęcia Abigail do Eda. „Musicie wkleić zdjęcie jej prawdziwego taty”, oznajmił uczynnie Fred, patrząc jej przez ramię. „I jego samochodu”. „Nie, nie musimy”, ucięła Madeline.

– Nie musi być dokładnie tak samo – powiedziała teraz do Ziggy’ego. – Każdy narysuje inaczej. To tylko przykład.

– Tak, ale trzeba wpisać imiona mamy i taty. – Ziggy wiedział swoje. – Jak mój tata ma na imię? Powiedz, mamusi. Przeliteruj, bo ja nie umiem. Będę miał kłopoty, jeśli nie napiszę jego imienia.

Dzieci tak mają. Wyczuwają drażliwy temat i wiercą dziurę w brzuchu, są jak mali inkwizytorzy.

Biedna Jane znieruchomiła.

– Kochanie – powiedziała ostrożnie, nie odrywając oczu od syna. – Tyle razy ci mówiłam. Twój tata bardzo by cię kochał, gdyby cię znał, ale niestety

nie znam jego imienia. Wiem, że to niesprawiedliwe...

– Ale trzeba wpisać! Panna Barnes powiedziała! – W głosie chłopca zabrzmiała znajoma nuta hysterii. Senny pięciolatek jest jak bomba z opóźnionym zapłonem.

– Nie wiem, jak miał na imię! – warknęła Jane i Madeline również w jej głosie rozpoznała zgrzyt. Dzieci mają coś takiego w sobie, że ściągają nas do swojego poziomu. Nikt i nic nie doprowadza cię do szału tak, jak własna pociecha.

– Ależ Ziggy, kochanie, tu zupełnie normalne – wtrąciła. Na miłość boską. Pewnie tak. W okolicy nie brakowało samotnych matek. Madeline zamieni jutro słówko z panną Barnes i dopilnuje, żeby dała sobie spokój z tym głupim zadaniem. Po co na siłę sklejać rozbite rodziny? – Mam pomysł. Napiszemy tutaj: „tata Ziggy’ego”. Umiesz napisać swoje imię, prawda? No jasne. To do dzieła. – Na szczęście Ziggy posłuchał. Nabazgrał swoje imię z językiem w kąciку ust, żeby się lepiej skupić. – Jakie ładne pismo! – pochwaliła go skwapliwie, byle nie dawać mu czasu na zastanowienie. – O wiele ładniejsze niż mojej Chloe. Widzisz? Gotowe! Wkleimy z mamą pozostałe zdjęcia, a ty zmykaj do łóżka. No już. Bajeczka, tak? Myślisz, że mogłabym ci poczytać? Zgadzasz się? Chętnie obejrzałabym twoją ulubioną książkę.

Ogłupiały Ziggy kiwał głową, chyba przytłoczony jej słowotokiem. Wstał z nosem na kwintę.

– Dobranoc, Ziggy – powiedziała Jane.

– Dobranoc, mamusiu – odrzekł. Pocałowali się jak zwaśnieni małżonkowie, unikając swojego wzroku, po czym Ziggy ujął wyciągniętą rękę Madeline i pozwolił się odprowadzić do pokoju.

Madeline wróciła w ciągu niespełna dziesięciu minut. Jane podniosła głowę znad planszy, na której starannie przyklepała ostatnią fotografię.

– Padł jak kawka – oznajmiła Madeline. – Zasnął w trakcie czytania, jak na filmach. W życiu czegoś takiego nie widziałam.

– Bardzo cię przepraszam – odpowiedziała Jane. – Nie musiałaś... Ale byłam ci taka wdzięczna, że wybawiłaś mnie od tej dyskusji przed spaniem i...

– Ciii. – Madeline usiadła obok i położyła jej rękę na ramieniu. – Nie ma o czym mówić. Wiem, jak to jest. Przedszkole bywa stresujące. Dzieci wracają wykończone.

– Nigdy taki nie był. Mam na myśli ten temat. Oczywiście zawsze wiedziałam, że sprawa kiedyś wypłynie, ale sądziłam, że dopiero kiedy będzie

miał jakieś trzynaście lat. Myślałam, że zdążę się przygotować. Rodzice zawsze mi powtarzali „trzymaj się prawdy”, ale prawda bywa czasem, bywa czasem...

– Niestrawna – podsunęła Madeline.

– Właśnie – przytaknęła Jane. Wyrównała przyklejone zdjęcie i przyjrzała się całości. – Będzie jedynym bez zdjęcia taty.

– To jeszcze nie koniec świata – stwierdziła Madeline. Dotknęła fotografii ojca Jane z Ziggyem na kolanach. – W jego życiu nie brakuje wspaniałych facetów. – Spojrzała na Jane. – Szkoda, że nie mamy w klasie nikogo z dwiema matkami. Lub z dwoma tatusiami. W podstawówce Abigail mieliśmy cały przekrój społeczny, a tutaj bułkę przez bibułkę i te sprawy. Lubimy uważać się za takich zróżnicowanych, a tak naprawdę różnimy się tylko grubością portfeli.

– Wiem, jak miał na imię – szepnęła Jane.

– Masz na myśli ojca Ziggy’ego? – Madeline też ściszyła głos.

Jane pokiwała głową.

– Nazywał się Saxon Banks. – Skrzywiła się lekko, jakby mówiła coś w obcym języku. – Brzmi dumnie, nie sądzisz? Wzorowy, szanowany obywatel. A do tego seksowny! Sexy Saxon.

Zadrzała.

– Próbowalaś się z nim skontaktować? – zapytała Madeline. – Powiedzieć mu o Ziggyem?

– W żadnym razie – odparła Jane oficjalnie.

– A dlaczegoż to? – spytała Madeline, naśladowując jej ton.

– Ponieważ Saxon Banks był niezbyt miłym facetem – padła odpowiedź. Jane zadarła podbródek i przemówiła sztucznym, afektowanym głosem, ale w jej oczach błysnął gniew. – Nie był miły, wcale a wcale.

– Och, Jane – odezwała się Madeline, już normalnym tonem. – Co ten gnój ci zrobił?

Rozdział trzydziesty pierwszy

Jane nie wierzyła, że wypowiedziała to nazwisko przy Madeline. Saxon Banks. Jakby Saxon Banks był pierwszym z brzegu facetem.

– Chcesz mi powiedzieć? – spytała Madeline. – Bo nie musisz.

Była ciekawa, ale nie w sposób nachalny, jak koleżanki Jane następnego dnia („Gadaj, Jane, gadaj! Chcemy usłyszeć wszystkie pikantne szczegóły!”). I współczuła, ale jej współczucie nie było podszyte matczyną troską.

– To w sumie nic takiego – odpowiedziała Jane.

Madeline wiedziała, że wręcz przeciwnie. Usiadła z powrotem na krześle. Zdjęła z nadgarstka dwie ręcznie malowane bransolety i ułożyła je jedną na drugiej. Odsunęła drzewo genealogiczne.

– Jasne.

Jane odchrząknęła. Wyjęła z paczki gumę do żucia.

– Poszliśmy do baru...



Zach zerwał z nią przed trzema tygodniami.

To był szok. Jakby ktoś wylał jej kubel zimnej wody na głowę. A myślała, że są na dobrej drodze do zaręczyn i kredytu hipotecznego.

Miała złamane serce. O, na pewno. Ale wiedziała, że się zagoi. Nawet trochę hołubiła ten stan, tak jak człowiek trzęsie się nad katarem. Pławiła się w swojej rozpacz, godzinami szlochając nad wspólnymi zdjęciami, po czym osuszała łzy i kupowała sobie nową sukienkę na złagodzenie bólu. Wszyscy jej dopingowali. „Byli taką świetną parą!” „On chyba oszalał! Jeszcze pożałuje!”

Miała poczucie, że przechodzi nad tym do porządku dziennego. Częściowo pogodziła się z tym, co zaszło. Mój pierwszy miłosny zawód, myślała. I po części z ciekawością spoglądała w przyszłość. Jej życie zmierzało w jednym kierunku, aż tu nagle – bach! – skreśliło w zupełnie innym. A to ciekawe! Może

po skończeniu studiów też wyruszy w podróż, jak Zach? Może zacznie się spotykać z mężczyzną zupełnie innego pokroju? Zbuntowanym muzykiem. Nawiedzonym informatykiem. Do wyboru, do koloru.

– Musisz się napić! – oświadczyła jej przyjaciółka Gail. – Musisz potańczyć.

Poszły do hotelowego baru w centrum, z widokiem na port. Był ciepły, wiosenny wieczór. Miała katar sienny, oczy ją szczypały, drapało w gardle. Wiosna zawsze przynosiła alergię, a zarazem poczucie perspektyw, perspektyw wspaniałego lata.

Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku starszych mężczyzn, na oko tuż po trzydziestce. Korporacyjni. Postawili im drinki. Wielkie, kremowe koktajle za kupę kasy. Jane i Gail wciągnęły je duszkiem.

Przyjezdni, mieszkali w hotelu. Jane wpadła jednemu w oko.

– Saxon Banks – przedstawił się, ujmując jej dłoń w swoją, o wiele większą.

– Pan Banks – odpowiedziała. – Tata w *Mary Poppins*.

– Raczej kominiarz – zaznaczył Saxon. Popatrzył jej w oczy i zanucił piosenkę z filmu.

Starszemu mężczyźnie z kartą kredytową i rzeźbionym podbródkiem nietrudno zaimponować podpitej dziewiętnastolatce. Odrobina kontaktu wzrokowego. Ładny głos. Piosenka. I tyle. Więcej nie potrzeba.

– A co ci szkodzi? – szepnęła jej do ucha Gail. – Dlaczego nie?

Nic sensownego nie przyszło jej do głowy.

Nie miał obrączki. W domu pewnie czekała na niego dziewczyna, ale co to Jane obchodziło? W końcu nie zamierzała się z nim wiązać. Chodziło tylko o przygodę. Pierwszy raz w życiu. Zawsze była taka ostrożna, raz mogła zaszaleć. Jakby wyjechała na wakacje i postanowiła skoczyć ze spadochronem. Poza tym to będzie przygoda z *klasą*, w pięciogwiazdkowym hotelu, z pięciogwiazdkowym facetem. Nie pożałuje tego. A Zach niech sobie jedzie i obmacuje laski w autokarach.

Saxon był zabawny i seksowny. Bogaty agent nieruchomości. Nie użył słowa „bogaty”, ale to się rozumiało samo przez się. Pękali ze śmiechu, kiedy szklana winda sunęła środkiem hotelu. Potem nagła cisza na korytarzu i stłumione kroki na wykładzinie. Szmer klucza w zamku i zielone światełko aprobaty.

Nie była bardzo pijana, tylko przyjemnie wstawiona. Rozochociona. Dlaczego nie, powtarzała w duchu. Czemu nie skoczyć ze spadochronem? Nie dać susa w nicość? Chciała żyć „pełnią życia”, tak jak Zach w podróży po

Europie i na wieży Eiffla.

Saxon nalał szampana i wypili go razem, podziwiając widok. Następnie wyjął jej z ręki kieliszek i postawił na nocnym stoliku, a ona poczuła się jak w filmie, który oglądała sto razy, choć chciało jej się śmiać z tych jego oklepanych gestów.

Przyciągnął ją do siebie, jakby zapraszał do tańca. Następnie pocałował, wciskając dłoń w okolice jej krzyża. Jego płyn po goleniu pachniał grubą forszą.

Przyszła uprawiać z nim seks. Nie zmieniła zdania. Ani się nie opierała. To na pewno nie był gwałt. Pomogła mu się rozebrać. Chichotała jak idiotka i położyła się z nim do łóżka. I tylko w jednym momencie, kiedy wtulali się w swoje nagie ciała, uderzyła ją obcość jego owłosionej klaty i zatęskniła za znajomym ciałem i zapachem Zacha. Ale mniejsza z tym, wytrzyma.

– Prezerwatywa? – wymruczała w odpowiedniej chwili, odpowiednio gardłowym głosem. Myślała, że zajmie się tym w ten sam zręczny, dyskretny sposób, w jaki zajmował się wszystkim, i wyjmie kondom lepszy od tych, jakich dotąd używała. Ale wtedy on ujął palcami jej szyję.

– Próbowaaś kiedyś tego? – Poczwała ucisk jego dłoni. – Jest fajnie. Spodoba ci się. Potęguje doznania. Będiesz jak na haju.

– Nie – odpowiedziała. Próbowaała oderwać jego ręce. Nie zniosłaby myśli o wstrzymaniu oddechu. Nie lubiła nawet nurkować. Ścisnął, nie spuszczać z niej wzroku. Uśmiechnął się, jakby jej nie dusił, tylko łaskotał. Puścił. – Nie chcę! – wykrztusiła.

– Wybacz – odparł. – W tym trzeba się rozsmakować. Musisz wyluzować, Jane. Nie bądź taka spięta. No dalej.

– Nie. Proszę...

Ale on znowu to zrobił. Dławiła się, wydając przy tym odrażające odgłosy. Myślała, że zwymiotuje. Oblaała się zimnym potem.

– Nadal nie? – Oderwał ręce.

Jego oczy nabrały lodowatego wyrazu. Może od początku takie były?

– Nie, proszę... Więcej tego nie rób, błagam.

– Nudna z ciebie dziwka, co? Najchętniej dałabyś się tylko przetrząść. Po to tu przyszłaś, hm?

Umieścił ją pod sobą i wszedł w nią gwałtownie, jakby wrzucał sprzęgło, a potem zaczął się poruszać, szepcząc jej do ucha ciąg bezwzględnych słów, które sączyły się do mózgu i zwijały w nim jak robactwo. „Jesteś gruba

i brzydka, co? Wystroiłaś się jak na odpust. Tak w ogóle to jedzie ci z gęby. Naucz się myć zęby. Jezu. Umysł nieskażony myślą. Poradzić ci coś? Szanuj się trochę, dziewczyno. Schudnij. Idźże, kurwa, na siłownię. Przestań żreć hamburgery. Nigdy nie będziesz piękna, ale chociaż nie będziesz gruba”.

Leżała jak kłoda. Wpatrywała się w lampę na suficie, mrugając do niej jak wstrętne oko, widzące wszystko, przytakujące każdemu słowu. Nie drgnęła, kiedy się z niej stoczył. Jakby odebrano jej ciało, wprowadzono je w stan narkozy.

– Pooglądamy coś? – Sięgnął po pilota i telewizor na ścianie ożył. Leciła jedna ze *Szklanych pułapek*. Skakał po kanałach, a ona wkładała ukochaną sukienkę. (W życiu tyle nie wydała na ciuch.) Poruszała się jak we śnie. Dopiero po kilku dniach odkryje siniaki na rękach, nogach, brzuchu i szyi. Nie próbowała się przed nim zasłonić: był jak lekarz, który ją operował i wyciął coś ohydneho. Po co się zasłaniać, skoro już wiedział, jaka jest odrażająca. – Zmykasz? – zapytał, kiedy się ubrała.

– Tak. To na razie – odrzekła. Jak tępa dwunastolatka.

Nigdy nie zrozumie, co ją naszło, żeby się pożegnać. Czasem przypuszczała, że właśnie za to nienawidziła się najbardziej. Za durne „na razie”, ni przypiął, ni przyłatał. Po co? Dlaczego to powiedziała? Aż dziw, że mu jeszcze nie podziękowała.

– Do zobaczenia! – Jakby powstrzymywał się od śmiechu. Uważał ją za komiczną. Komiczną i odrażającą. Była komiczna i odrażająca.

Zjechała na dół szklaną windą.

– Zamówić pani taksówkę? – zapytał portier. Wiedziała, że z trudem skrywa niesmak: tłusta, pijana, rozchełstana dziwka wraca do domu.

A potem już nic nie było jak dawniej.

Rozdział trzydziesty drugi

– Och, Jane...

Madeline miała ochotę chwycić ją w objęcia i pobujać na kolanach, jak robiła z Chloe. Miała ochotę dopaść tego faceta i pobić go, skopać, wyzwać od ostatnich.

– Pewnie mogłam wziąć pigułkę dzień po – skwitowała Jane. – Ale na to nie wpadłam. Kiedy byłam młodsza, miałam endometriozę i lekarz zapowiedział problemy z zajściem w ciążę. Miesiącami nie miałam okresu. Kiedy w końcu się zorientowałam, że jestem w ciąży, było... – Opowiedziała całą historię tak ściszym tonem, że Madeline musiała wyteńczyć słuch, ale teraz zniżyła go prawie do szeptu, ze wzrokiem utkwionym w przedpokój prowadzący do sypialni Ziggy’ego. – ...o wiele za późno na aborcję. Potem zmarł mój dziadek i to był dla wszystkich szok. A potem stało się ze mną coś dziwnego. Chyba wpadłam w depresję. Sama nie wiem. Rzuciłam studia, wróciłam do domu i tylko spałam. Godzinami. Jakby ktoś mi czegoś dosypywał. Nie mogłam znieść przebudzenia.

– Pewnie nadal byłaś w szoku. Och, Jane. Tak mi przykro, że cię to spotkało. Jane potrząsnęła głową, jakby nie zasługiwała na pocieszenie.

– Hm. W końcu nie zostałam zgwałcona w ciemnej ulicy. Muszę wziąć na siebie odpowiedzialność. To nie było takie straszne.

– On cię poniżył! On...

Jane uniosła rękę.

– Wiele kobiet ma złe doświadczenia seksualne. Ja jestem jedną z nich. Dostałam nauczkę, żeby nie zadawać się z obcymi facetami z barów.

– Ja się zadawałam – oznajmiła Madeline. Zrobiła to raz czy dwa, ale nigdy z takim skutkiem. Prędzej wydlubałaby mu oczy. – Nie waż się myśleć, że to twoja wina, Jane.

– Wiem. – Jane potrząsnęła głową. – Ale biorę to pod uwagę. Niektórzy lubią podduszanie. – Bezwiednie uniosła rękę do szyi. – Może ty też.

– Lubię być w łóżku sama z mężem, bez dziecka między nami – stwierdziła Madeline. – Jane, kochanie, to nie były eksperymenty. To, co ten człowiek ci zrobił...

– Nie zapominaj, że usłyszałaś tylko moją wersję – przerwała Jane. – On pewnie zapamiętał to inaczej. – Wzruszyła ramionami. – Lub wcale.

– Do tego cię obraził. To, co ci mówił... – Madeline ponownie odczuła przypływ furii. Gdyby go dostała w swoje ręce. Już on by ją zapamiętał. – To szczyt podłości.

Jane bez trudu przywołała tamte słowa. Przytoczyła je bezbarwnym, jednostajnym głosem, jakby recytowała wiersz albo modlitwę.

– Tak – odpowiedziała. – Brzydka grubaska.

Madeline się wzdrygnęła.

– Ależ skąd.

– Miałam nadwagę – zauważyła Jane. – Niektórzy uznaliby, że byłam gruba. Lubiłam jeść.

– Byłaś smakoszem – zaproponowała Madeline.

– Akurat. Raczej żarłokiem. Uwielbiałam się opychać, najchętniej czymś tuczącym. Ciastami. Czekoladą. Masłem. Kochałam masło. – Po twarzy Jane przemknął wyraz lekkiego zdziwienia, jakby nie do końca wierzyła, że mówi o sobie. – Pokażę ci zdjęcie – dorzuciła i odblokowała telefon. – Moja kumpela Em właśnie zamieściła to na Facebooku, żeby sobie powspominać. To ja na jej dziewiętnastych urodzinach. Kilka miesięcy zanim... zanim zaszłam w ciążę.

Podążyła Madeline komórkę. Na zdjęciu miała czerwoną sukienkę z głębokim dekoltem. Stała pomiędzy dwiema rówieśniczkami, wszystkie trzy uśmiechały się do obiektywu. Wyglądała jak ktoś zupełnie inny: łagodniejszy, bez zahamowań, o wiele, wiele młodszy.

– Miałaś krągłości. Nie byłaś gruba – zaznaczyła Madeline, oddając jej telefon. – Na tym zdjęciu wyglądasz cudnie.

– To w sumie ciekawe, gdy się nad tym zastanowić – stwierdziła Jane. Zerknęła na zdjęcie i zamknęła je kciukiem. – Dlaczego czułam się tak zbrukana tymi dwoma słowami? Bolały najbardziej ze wszystkiego, co mi zrobił. Brzydka. Gruba. – Wypluła te słowa. Madeline miała nadzieję, że przestanie je bez przerwy powtarzać. – Brzydki, gruby facet zasługuje na sympatię i miłość, ma do nich święte prawo – ciągnęła Jane. – Dla kobiety to katastrofa.

– Ale ty nie byłaś, nie jesteś... – zaczęła Madeline.

– No tak, ale jeśli nawet! – przerwała Jane. – Jeśli nawet byłam, co z tego? O to mi chodzi. Co z tego, że miałam lekką nadwagę i nie byłam zbyt urodziwa? Czemu to takie straszne? Takie obrzydliwe? Dlaczego to koniec świata? – Madeline zabrakło słów. Gdyby była gruba i brzydka, jej świat na pewno by się zawalił. – To dlatego, że poczucie własnej wartości to dla kobiety kwestia wyglądu – uzupełniła Jane. – Oto odpowiedź. Ponieważ żyjemy w społeczeństwie z manią na punkcie urody, gdzie najważniejszą rzeczą dla kobiety jest przypodobanie się facetowi.

Madeline nigdy nie słyszała z jej ust tak płynnej, agresywnej tyrady. Na ogół była nieśmiała i zahukana, jakby wyrażanie poglądów pozostawiała innym.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała. Z jakiegoś powodu nie chciała się z tym zgodzić. – Bo wiesz, ja na przykład często czuję się gorsza od kobiet pokroju Renaty i tej przebojowej żony Jonathana. Zarabiają krocie, chodzą na zebrania zarządu, a ja próbuję szpanować lichą pracą na pół etatu.

– Owszem, ale w głębi serca czujesz się wygrana, bo jesteś ładniejsza – oznajmiła Jane.

– Hm – mruknęła Madeline. – Czy ja wiem? – Stwierdziła, że bawi się włosami, i opuściła rękę.

– I dlatego, kiedy leżysz w łóżku z facetem, naga i bezbronna, w nadziei, że choć trochę mu się podobasz, a on mówi ci coś takiego, to... – Spojrzała krzywo na Madeline. – ... można się załamać. – Urwała. – I naprawdę mnie wkurza, że się załamałam. Doprowadza mnie do szału, że miał nade mną taką władzę. Codziennie przeglądam się w lustrze i myślę sobie: schudłam, ale miał rację, wciąż jestem brzydka. Zdaję sobie sprawę, że wyglądam całkiem do rzeczy. Ale czuję się brzydka, bo on tak powiedział, a jego słowo stało się ciałem. Żałosne.

– To był szmaciarz – odrzekła Madeline bezradnie. – Głupi szmaciarz. – Przyszło jej do głowy, że im dłużej Jane mówi o brzydocie, tym piękniej wygląda, z rozwianym włosiem, zarumieniona i z błyskiem w oku. – Jesteś piękna... – zaczęła.

– Nie! – uniosła się Jane. – Nie jestem! I wcale mi to nie przeszkadza. Nie wszyscy musimy być piękni, tak jak nie wszyscy mamy słuch absolutny. I w porządku. Tylko nie wciskaj mi kitu o pięknie wewnętrznym. – Madeline, która właśnie miała to zrobić, zamknęła usta. – Nie chciałam aż tyle schudnąć – dodała Jane. – Jestem wściekła, że schudłam, jakbym schudła dla niego, ale

po tym wszystkim nabrałam dziwnego stosunku do jedzenia. Ilekroć chciałam coś zjeść, widziałam siebie jak w lustrze. Postrzegałam siebie, tak jak on mnie postrzegał: jako żarłoczną tłuściochę. I nie mogłam nic... – Uniosła rękę do szyi i przełknęła. – Czyli podziałało! Jak operacyjne zmniejszenie żołądka. Powinnam to opatentować. Dieta Saxona Banksa. Jeden szybki, trochę bolesny numerek w hotelu i gotowe: anoreksja do końca życia. Tanio i skutecznie!

– Och, Jane...

Madeline pomyślała o Di i jej uwadze na plaży, że „nikt nie chciałby oglądać tego w bikini”. Odniosła wrażenie, że matka przetała córce szlak do anoreksji. Do tego presja mediów. Saxon Banks zwięździł dzieło.

– I tyle – skwitowała Jane. – Przepraszam, rozgadałam się.

– Nie masz za co przepraszać.

– Tak na marginesie, wcale mi nie jedzie – dodała Jane. – Byłam u dentysty. Wielokrotnie. Ale wcześniej byłyśmy na pizzy. Pachniałam czosnkiem.

A więc stąd wynikała obsesja na punkcie gumy.

– Pachniesz różami – zapewniła Madeline. – A zaznaczam, że mam bardzo wyczulony węch.

– Wiesz, chyba najbardziej mnie dobiło, że w ogóle się tego nie spodziewałam. Zmienił się tak nagle. Sprawiał wrażenie miłego, a ja zawsze się uważałam za znawczynię charakterów. Straciłam wiarę we własną intuicję.

– I wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła Madeline. Czy poszłaby z kimś takim? Dałaby się nabrać na jego piosenki?

– Ale nie żałuję – zapewniła Jane. – Bo mam Ziggy’ego. Mojego cudownego synka. Przywrócił mi do życia. W ogóle go z tamym nie kojarzyłam. Moje śliczności. Dopiero gdy zaczął wyrastać na małego, niezależnego człowieczka, przeszło mi przez myśl, że może... no wiesz... ma coś po tacie. – Po raz pierwszy głos jej się załamał. – Ilekroć zachowuje się nietypowo, ogarnia mnie panika. Jak w czasie drzwi otwartych, kiedy Amabella stwierdziła, że ją dusił. Akurat to. Dusił. Nie wierzyłam własnym uszom. Czasem jakbym dostrzegła coś w jego oczach i myślę sobie, a jeśli mój piękny Ziggy będzie miał takie ciągoty? Jeśli kiedyś zrobi to samo jakiejś dziewczynie?

– Ziggy nie ma żadnych ciągót! – Desperacka chęć dodania Jane otuchy umocniła wiarę Madeline w dobroć chłopca. – To kochany dzieciaczek. Twoja matka ma rację: jest wcieleniem twojego dziadka.

Jane parsknęła śmiechem. Sięgnęła po telefon i sprawdziła godzinę.

– Jak późno! Musisz wracać do rodziny. A ja tu siedzę i bredzę.

– Nie bredzisz.

Jane wstała. Wyciągnęła ręce nad głową i koszulka podjechała jej do góry, odsłaniając chudy, blady brzuch.

– Bardzo ci dziękuję, że pomogłaś mi z tym zadaniem.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Madeline też wstała. Spojrzała na drzewo genealogiczne i rubrykę z „tatą Ziggy’ego”. – Powiesz mi kiedyś, jak się nazywał?

– Boże, nie wiem... Może kiedy będzie pełnoletni i gotów na przyjęcie całej prawdy i tylko prawdy.

– Może on nie żyje? – rzuciła Madeline z nadzieją. – Karma go dopadła. Sprawdzałaś w internecie?

– Nie. – Na twarzy Jane malował się dziwny wyraz. Madeline nie wiedziała, czy kłamie, czy sama myśl o ewentualnych poszukiwaniach jest dla niej zbyt bolesna.

– W takim razie ja go sprawdzę – oznajmiła Madeline. – Przypomnij mi jego nazwisko. Saxon Banks, tak? Znajdę gnoja i wyznaczę nagrodę za jego głowę. W dzisiejszych czasach musi być strona, która oferuje takie usługi.

Wbrew jej zamierzeniom Jane się nie roześmiała.

– Proszę cię, nie rób tego, Madeline – powiedziała tylko. – Błagam. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale mam gęsią skórkę na samą myśl, że mogłabyś go sprawdzać.

– Dobrze, skoro sobie tego nie życzysz. Tak tylko żartowałam. Bez sensu. Nie powinnam. Zapomnij.

Madeline wyciągnęła ręce i uściskała Jane. Ku jej zdziwieniu Jane, która zawsze nadstawiała sztywno policzek na powitanie, odwzajemniła uścisk.

– Dziękuję za brystol – powiedziała.

Madeline pogłaskała ją po pachnących świeżością włosach. Mało nie powiedziała: „Nie ma za co, moja piękna”, jak do Chloe, lecz słowo „piękna” budziło w niej teraz sprzeczne odczucia.

– Nie ma za co, moja kochana – odpowiedziała zamiast tego.

Rozdział trzydziesty trzeci

– Czy w domu znajduje się broń?

– Słucham? – spytała Celeste. – Wspomniała pani o broni?

Serce wciąż tłukło jej na myśl, że w ogóle się tu znalazła, w tym pokoiku o żółtych ścianach, z rzędem kaktusów na parapecie, kolorowymi plakatami z numerami infolinii oraz tanim umeblowaniem na pięknym, starym parkiecie. Ośrodek mieścił się w starym domu na Pacific Highway na północnym wybrzeżu. Ten pokój kiedyś był zapewne sypialnią. Ktoś w nim spał i nawet mu się nie śniło, że w przyszłym stuleciu będą się tu zwierzać ze wstydliwych sekretów.

Celeste obudziła się w przekonaniu, że tu nie przyjdzie. Miała zamiar zadzwonić i odwołać spotkanie, gdy tylko odstawi dzieci do szkoły, potem jednak wsiadła do samochodu, wpisała adres w nawigację i ruszyła krętą drogą, myśląc przez cały czas, że za pięć minut stanie, wykręci numer i przeprosi, powie, że złapała gumę, że przyjedzie kiedy indziej. Ale jechała, jak we śnie lub w transie, myśląc o innych sprawach, na przykład co ugotuje na kolację, i zanim się obejrzała, wjechała na parking i zobaczyła wychodzącą z budynku kobietę, która głęboko zaciągnęła się papierosem i szarpnęła drzwiczki wysłużonego, białego auta. Była ubrana w dżinsy oraz kusą bluzkę, jej tatuaże zionęły jak straszliwe rany na chudych, białych ramionach.

Wyobraziła sobie minę Perry’ego, protekcyjną i rozbawioną. „Chyba nie mówisz poważnie. To takie...”

Prymitywne. Tak, Perry. Owszem. Podmiejski ośrodek do spraw przemocy w rodzinie. Według informacji na stronie internetowej specjalizował się również w leczeniu depresji, stanów lęków i zaburzeń odżywiania. Na stronie głównej Celeste znalazła dwie literówki. Wybrała ten ośrodek z powodu znacznej odległości od Pirriwee; wołała nie ryzykować, że wpadnie na kogoś ze znajomych. Poza tym tak naprawdę wcale nie miała zamiaru się tu zjawić. Chciała tylko się umówić, pokazać, że nie jest ofiarą, dowieść nie wiadomo

komu, że coś z tym robi. „Nasze zachowanie jest prymitywne, Perry”, powiedziała na głos w ciszy samochodu. Następnie wyjęła kluczyk ze stacyjki i ruszyła w stronę wejścia.

– Celeste? – ponagliła terapeutka.

Znała jej imię. Wiedziała o jej prawdziwym życiu więcej niż jakikolwiek człowiek na świecie – oprócz Perry’ego. Celeste znalazła się w jednym z koszmarów, w którym idziesz przez zatłoczone centrum handlowe i wszyscy gapią się na twoją wstydliwą, szokującą nagość. Nie było odwrotu. Musiała przez to przebrnąć. Powiedziała jej. Powiedziała to bardzo szybko, lekko uciekając spojrzeniem, ale udając, że utrzymuje kontakt wzrokowy. Ścisłym, neutralnym głosem, jakby opowiadała lekarzowi o wstrętnych objawach choroby. Na tym między innymi polegało bycie dorosłą, kobietą i matką. Na mówieniu głośno trudnych rzeczy. „Mam taki problem”. „Tkwię w burzliwym związku”. Burzliwym. Określenie jak z taniego romansu.

– Przepraszam. Pytała pani o broń? – Założyła nogę na nogę i wygładziła sukienkę. Specjalnie wybrała wyjątkowo piękną, którą Perry przywiózł jej z Paryża. Miała ją na sobie po raz pierwszy. Nałożyła też makijaż: podkład, puder, niczego nie pominęła. Chciała zostać odpowiednio odebrana; nie żeby się wywyższała, nic z tych rzeczy, ależ skąd, nawet na to nie wpadła. Ale jej sytuacja różniła się od sytuacji kobiety z parkingu. Nie potrzebowała numeru do schroniska dla udręczonych ofiar przemocy, a jedynie rady, jak naprawić swoje małżeństwo. Potrzebowała wskazówek. Dziesięć niezawodnych sposobów, aby mąż przestał mnie bić. Dziewięć niezawodnych wskazówek, żebym przestała mu oddawać.

– Tak. Macie ją w domu? – Terapeutka uniosła wzrok znad czegoś, co wyglądało na standardowy zestaw pytań.

Na miłość boską, pomyślała Celeste. Broń! Czy ona sobie wyobraża, że Perry trzyma pod łóżkiem broń, na którą nie ma pozwolenia?

– Nie mamy – odpowiedziała. – Ale bliźniacy mają miecze świetlne. – Zauważyła, że mówi dystyngowanym tonem absolwentki szkoły prywatnej. Spróbowała się opanować.

Nie była absolwentką szkoły prywatnej. Status zawdzięczała mężowi.

Terapeutka zachichotała uprzejmie i zapisała coś w notesie. Przedstawiła się jako Susi, co dowodziło niepokojącej nonszalancji. Czemu nie posługuje się imieniem Susan? Susi to imię odpowiednie dla striptizerki.

Inny problem z Susi polegał na tym, że wyglądała jak dwunastolatka, a co za

tym idzie, nie umiała nałożyć sobie tuszu do rzęs. Był rozmazany wokół oczu, nadając Susi wygląd pandy. Na jakiej podstawie taka smarkula miała doradzać Celeste w kwestii jej dziwnego, pogmatwanego małżeństwa? To Celeste mogłaby udzielić jej kilku lekcji na temat chłopaków i makijażu.

– Czy pani partner dręczy bądź okalecza zwierzęta domowe? – zapytała Susi beznamiętnie.

– Słucham? Ależ skąd! Co prawda nie mamy zwierząt, ale on taki nie jest! – Celeste poczuła przypływ gniewu. Po co się narażać na takie upokorzenie? Ta suknia jest z Paryża, miała ochotę krzyknąć niedorzecznie. Mój mąż jeździ porsche! Nie jesteście tacy! – Perry nie skrzywdziłby zwierzęcia – dodała.

– Ale krzywdzi panią – zauważyła Susi.

Nic o mnie nie wiesz, pomyślała z urazą Celeste. Myślisz, że jestem jak tamta z tatuażami, a nie jestem, o nie.

– Tak – potwierdziła. – Jak już wspomniałam, on czasami... my... dochodzi między nami do... rękoczynów. – Znow ten dystygowany głosik. – Chciałabym jednak podkreślić, że wina leży również po mojej stronie.

– Nikt nie zasługuje, aby go dręczyć, pani White – oznajmiła Susi.

Pewnie uczą ich tego w szkole dla terapeutów.

– Zgadza się – odrzekła Celeste. – Naturalnie. Wiem o tym. Nie twierdzę, że zasługuję. Ale nie jestem ofiarą. Ja mu oddaję. Rzucam w niego różnymi rzeczami. Jestem taka sama jak on. Czasami nawet zaczynam. Chcę powiedzieć, że nasz związek jest bardzo toksyczny. Potrzebujemy technik, potrzebujemy *strategii*, które nam pomogą... które sprawią, że przestaniemy. Dlatego tu jestem.

Susi z wolna pokiwała głową.

– Rozumiem. Czy mąż boi się pani, pani White?

– Nie. Nie w sensie fizycznym. Raczej boi się tego, że go zostawię.

– A czy pani się kiedykolwiek bała, gdy dochodziło do tych „incydentów”?

– Właściwie nie. No, w pewnym sensie. – Wiedziała, o co tamtej chodzi. – Wiem, jacy mężczyźni bywają bezwzględni, ale między mną a Perrym nie jest tak źle. To znaczy jest! Wiem, że jest. Wcale się nie oszukuję. Nigdy jednak nie wylądowałam w szpitalu, nic podobnego. Nie muszę uciekać do schroniska, przytułku czy jak to się tam nazywa. Nie wątpię, że widuje pani sytuacje o wiele, wiele gorsze niż moja, ale nic mi nie grozi. Naprawdę.

– Czy nigdy nie naszała pani obawa o swoje życie?

– Absolutnie nie – oświadczyła Celeste natychmiast. Umilkła. – No, może

raz. Kiedy wcis... wcisnął mi twarz w róg kanapy. – Przypomniała sobie nacisk ręki Perry’ego na potylicy. Twarz znalazła się pod takim kątem, że nos jakby się zagiął, zatykając obie dziurki. Szarpała się rozpaczliwie, jak motyl w potrzasku. – Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Ale na chwilę przeszło mi przez myśl, że się uduszę.

– To musiało być straszne – odrzekła Susi bez namysłu.

– Trochę. – Celeste zamilkła na chwilę. – Pamiętam kurz. Ten róg był bardzo zakurzony. – Poczwała, że zaraz się rozpłacze, rozryczy jak bóbr. Na stoliku między nimi stało pudełko z chusteczkami, przewidziane na takie sytuacje. Też rozmaże sobie tusz. I upodobni się do pandy, a Susi pomyśli sobie: „Już nie jesteś taka wymuskana, paniusiu”. Opanowała się resztką sił i odwróciwszy wzrok od Susi, wbiła go w swój pierścionek zaręczynowy. – Spakowałam się wtedy – dodała. – Ale potem... Chłopcy byli tacy mali. A ja taka zmęczona.

– Większość ofiar przemocy podejmuje na ogół sześć do siedmiu prób, zanim odejdzie na dobre. – Susi przygryzła końcówkę długopisu. – A chłopcy? Czy mąż kiedykolwiek...

– Nie! – zaprzeczyła żywo Celeste. Ogarnęła ją nagła panika. Boże drogi, chyba zwariowała, żeby tu przyleźć! Doniosą na nią opiece społecznej. Zabiorą dzieci. Pomyślała o drzewie genealogicznym, które chłopcy dziś zabrali do szkoły. O starannych liniach łączących bliźniaków z nią i Perrym. O ich uśmiechniętych twarzach. – Perry w życiu nie tknął chłopców. Jest *wspaniałym* ojcem. Gdybym nabrała podejrzeń, że coś im grozi, odeszłabym natychmiast. Nigdy, przenigdy bym ich nie narażała. – Głos jej zadrżał. – To jeden z powodów, dla których zostałam – jest dla nich taki dobry. Taki cierpliwy! Ma do nich więcej cierpliwości niż do mnie. Są jego oczkiem w głowie!

– Jak pani zdaniem... – zaczęła Susi, ale Celeste jej przerwała. Musiała jej uświadomić stosunek Perry’ego do dzieci.

– Miałam takie problemy z zajściem w ciążę, nie tyle z zajściem, co z jej utrzymaniem. Poroniłam cztery razy z rzędu. To było straszne. – Całkiem jak gdyby przetrwali dwuletnią podróż przez bezkresne pustynie i wzburzone oceany. A potem dotarli do oazy. Bliźnięta! Naturalne poczęcie i ciąża bliźniacza! Pamiętała zdumienie na twarzy swojej ginekolog na dźwięk drugiego serduszka. Bliźnięta. To zagrożenie dla kogoś, kto tyle razy poronił. „To się nie uda”, myślała na pewno ginekolog. Ale dobrnęli do trzydziestego drugiego tygodnia. – Chłopcy byli wcześniakami, więc kursowaliśmy między

domem a szpitalem na nocne karmienia. Kiedy w końcu mogliśmy ich zabrać, nie wierzyliśmy własnemu szczęściu. Staliśmy tylko i patrzyliśmy, a potem... No cóż, pierwsze miesiące okazały się drogą przez mękę. Kiepsko spali. Perry wziął trzy miesiące wolnego. Był cudowny. Razem przez to przeszliśmy.

– Rozumiem – odpowiedziała Susi. Ale Celeste widziała, że wcale nie. Nie rozumiała, że ona i Perry byli na zawsze związani tym, co razem przeszli, i miłością do synów. Porzucenie go byłoby jak rozszarpywanie rany. – Jak pani zdaniem ta przemoc wpływa na synów?

Celeste miała już dość słowa „przemoc”.

– W ogóle nie wpływa – ucięła. – Nie mają pojęcia, co się dzieje. Na ogół tworzymy zupełnie zwyczajną, szczęśliwą, kochającą się rodzinę. Mijają tygodnie, a nawet miesiące, bez żadnych zawirowań.

„Miesiące” to chyba przesada.

Zaczynała się dusić w tej klitce. Brakowało jej powietrza. Przejechała palcem po czole; było wilgotne. Czego się spodziewała? Po co tu przyszła? Przecież wiedziała, że to na nic. Żadne strategie nie istniały. Żadne techniki ani dobre rady. Perry to Perry. Mogła jedynie odejść, czego nie zrobi, dopóki dzieci są małe. Odejdzie, kiedy pójdą na studia. To już postanowione.

– Co panią skłoniło, żeby tu przyjść, pani White? – zapytała Susi, jakby czytała jej w myślach. – Wspomniała pani, że to się ciągnie, od kiedy chłopcy byli niemowlętami. Czy przemoc nasiliła się ostatnio?

Celeste próbowała sobie przypomnieć, kiedy umówiła to spotkanie. W święto sportu.

Stało się to po trosze za sprawą rozbawionej miny Perry’ego, kiedy Josh zapytał go przy śniadaniu o ślad na szyi. Potem wróciła ze szkoły i zazdrościła sprzątaczkom, że tak beztrudnie się śmieją. I dlatego wpłaciła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na cele dobroczynne. „Naszło cię na filantropię, kochanie?”, zapytał z przekąsem Perry, gdy po kilku tygodniach dostał wyciąg z karty, ale powstrzymał się od dalszych komentarzy.

– Nie, nie nasiliła. Właściwie to nie jestem pewna, dlaczego się umówiłam. Poszliśmy kiedyś na terapię małżeńską, ale nie... no, nic z tego nie wyszło. Na dodatek Perry często wyjeżdża służbowo. Znowu nie będzie go w przyszłym tygodniu.

– Tęskni pani, kiedy go nie ma? – zapytała Susi. Było to pytanie spoza zestawu, chyba ją to zaciekało.

– Tak – odpowiedziała Celeste, po czym dodała: – I nie.

– To skomplikowane.
– Bardzo. Ale wszystkie małżeństwa są skomplikowane, prawda?
– Tak. – Susi się uśmiechnęła. – I nie. – Uśmiech wyparował. – Czy pani wie, że w wyniku przemocy domowej co tydzień ginie w Australii kobieta? Co tydzień, pani White.

– On mnie nie zabije – zapewniła Celeste. – To nie tak.

– Czy po powrocie nic pani nie grozi?

– Ależ skąd.

Susi uniosła brwi.

– Nasz związek jest jak huśtawka – wyjaśniła Celeste. – Raz jedna osoba ma władzę, raz druga. Ilekroć się kłócimy, zwłaszcza kiedy dochodzi do rękoczynów, kiedy obrywam, odzyskuję władzę. Znowu jestem górą. – Coraz bardziej się rozkręcała. Wstydziła się o tym opowiadać, a zarazem czuła bezbrzeżną ulgę, że może komuś powiedzieć, wytłumaczyć, jak to działa, uchylić rąbka tajemnicy. – Im bardziej mnie rani, tym wyżej się wznoszę i dłużej tam zostaję. Potem mijają tygodnie i wyczuwam zmianę. On przestaje się kajać. Siniaki, na które jestem podatna, znikają. I znowu zaczyna się złościć o drobiazgi. Robi się drażliwy. A ja próbuję go udobruchać. Zaczynam chodzić na palcach, a przy tym strasznie mnie to wkurza, więc czasami przestaję. I zaczynam tupać. Rozmyślnie doprowadzam go do szału, bo jestem zła na niego i na siebie, że muszę tak uważać. I znowu do tego dochodzi.

– Czyli teraz ma pani władzę – stwierdziła Susi. – Bo skrzywdził panią niedawno.

– Tak – potwierdziła Celeste. – Teraz w zasadzie mogłabym wszystko, bo nadal gryzie go sumienie. Z powodu lego. I dlatego jest wspaniale. A nawet lepiej. I właśnie na tym polega problem. Jest tak dobrze, że prawie było...

Urwała.

– Warto – odpowiedziała Susi. – Prawie było warto.

Celeste spojrzała w jej oczy pandy.

– Właśnie.

Puste spojrzenie Susi nie mówiło nic oprócz: Jasne. Nie była troskliwa ani pełna zrozumienia, nie rozkoszowała się miłą wyższością własnej dobroci. Po prostu wykonywała swoją pracę. Była niczym obrotna urzędniczka w banku lub pani z infolinii, która chętnie rozwiązuje za nas wszystkie problemy.

Przez chwilę siedziały w ciszy. Zza drzwi dolatywały szmer głosów, dzwonek telefonu i dalekie odgłosy ruchu ulicznego. Na Celeste spłynął

spokój. Pot wysechł na jej twarzy. Przez pięć lat, odkąd to się zaczęło, dźwigała tę tajemnicę niczym krzyż na barkach, a kiedy na chwilę ją zrzuciła, przypomniało jej się, kim dawniej była. Nadal nie miała rozwiązania ani wyjścia, ale siedziała naprzeciw kogoś, kto rozumiał.

– On znów panią pobije – oznajmiła Susi. Znowu na wskroś profesjonalnie. Bez współczucia. Bez osądzania. Nie pytała. Stwierdziła fakt, by przejść do następnego punktu rozmowy.

– Tak – odpowiedziała Celeste. – Sytuacja się powtórzy. On pobije mnie, a ja jego.

Znów spadnie deszcz. Znowu zachoruję. Nadejdą kiepskie dni. Ale czy nie mogę cieszyć się dobrą passą, dopóki trwa?

W takim razie po co tu przyszłam?

– Dlatego chciałabym porozmawiać o planie – podjęła Susi. Przerzuciła kartkę w notesie.

– Planie – powtórzyła Celeste.

– Planie. Na następny raz.

Rozdział trzydziesty czwarty

– Nie miałeś nigdy ochoty spróbować tej, jak jej tam, asfiksji autoerotycznej? – zapytała Madeline, kiedy leżeli w łóżku. Ed czytał książkę. Ona trzymała iPada.

Było to dzień po jej wizycie u Jane. Jej opowieść od rana nie dawała Madeline spokoju.

– Jasne. Czemu nie? Możemy spróbować. – Ed zdjął okulary, odłożył książkę i z entuzjazmem zwrócił się w stronę żony.

– Co? Nie! Zwariowałeś? – burknęła Madeline. – Poza tym nie chcę się kochać. Zjadłam za dużo risotta na kolację.

– Aha. No tak. Głupiek ze mnie. – Ed ponownie włożył okulary.

– I przy tym giną ludzie, jeśli chcesz wiedzieć! Giną bez przerwy! To bardzo niebezpieczna zabawa, Ed. – Zerknął na nią znad szkielec. – Nie wierzę, że chciałbyś mnie podduszać – zdumiała się Madeline.

Potrząsnął głową.

– Wyraziłem tylko gotowość sprostania twoim oczekiwaniom. – Spojrzał na jej iPada. – Szukasz sposobów na urozmaicenie naszego pożycia?

– Boże, nie – zaprzeczyła, może nieco nazbyt gorliwie. Ed prychnął, a ona przeczytała na głos wpis w Wikipedii. – Za sprawą ucisku tętnic po obu stronach szyi dochodzi do niedoboru tlenowego, co powoduje stan na wpół halucynogeny. – Zastanowiła się chwilę. – Zauważyłam, że w czasie kataru często zbiera mi się na amory. Może dlatego.

– Madeline – westchnął Ed. – Nigdy nie zbierało ci się na amory, kiedy miałaś katar.

– Serio? Może zapomniałam o tym wspomnieć.

– No może. – Ponownie zatopił się w lekturze. – Miałem kiedyś dziewczynę, która to lubiła – rzucił po chwili.

– Naprawdę? Która?

– Może niekoniecznie była moją dziewczyną. Taka jedna.

– I taka jedna chciała, żebyś... – Madeline zacisnęła sobie ręce na szyi, wystawiła język i zacharczała.

– Do licha, ależ ty seksownie wyglądasz, kiedy to robisz – ożywił się Ed.

– Dziękuję. – Madeline opuściła ręce. – I co, spełniłeś jej prośbę?

– Bez entuzjazmu – odparł. Zdjął okulary i uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Byłem trochę pijany. Nie bardzo wiedziałem, co i jak. Pamiętam, że sprawiłem jej zawód. Zapewne nie mieści ci się to w głowie, ale nie zawsze byłem takim casanovą jak teraz...

– Tak, tak – zgasiła go Madeline i z powrotem wbiła wzrok w iPada.

– A tak właściwie to skąd u ciebie to nagłe zainteresowanie podduszaniem?

– No dobra, powiem ci – zdecydowała i w kilku zdaniach streściła historię Jane. Patrzyła, jak mąż mruży oczy i zaciska zęby, jak wówczas, gdy w wiadomościach podawano informację o skrzywdzonym dziecku.

– Świnia – podsumował, gdy skończyła.

– Wiem – odpowiedziała Madeline. – I uszło mu to na sucho.

Ed potrząsnął głową.

– Niemądra dziewczyna – westchnął. – Tacy faceci żerują na...

– Nie nazywaj jej niemądrą! – Madeline usiadła na łóżku tak gwałtownie, że iPad ześliznął się z jej kolan. – Mówisz, jakbyś ją obwiniał!

Ed podniósł rękę.

– Oczywiście, że nie obwiniam. Mówię tylko...

– A gdyby chodziło o Abigail lub Chloe?! – krzyknęła Madeline.

– Właściwie to myślałem o nich.

– Też byś je obwiniał, tak? Powiedziałabyś: „Ty niemądra dziewczyno, masz za swoje?”.

– Madeline – powiedział Ed ze spokojem.

Ich kłótnie często tak przebiegały. Im bardziej wściekała się Madeline, tym Ed stawał się spokojniejszy, aż w końcu przemawiał jak negocjator, który ma do czynienia z wariatem i bombą zegarową. Szału można dostać.

– Obwiniasz ofiarę! – Pomyślała o Jane skulonej w zimnym, gołym mieszkanku, o wyrazie jej twarzy, gdy opowiadała tę rozdzierającą historię, o wstydzie, który w oczywisty sposób dręczył ją mimo upływu lat. „Muszę wziąć na siebie odpowiedzialność. To nie było takie straszne”. Pomyślała o zdjęciu, które pokazała jej Jane. Wyglądała na nim na beztroską i otwartą. Czerwona sukienka. Jane nosiła jaskrawe kolory! Jane miała biust! Dziś nosiła się z pokorą, niemal przepraszająco, wybierała mdłe barwy, jakby chciała

rozpłynąć się w nicość. To on jej to zrobił. – Ty masz prawo sypiać z taką i owaką, ale gdy kobieta robi to samo, jest niemądra. To się nazywa moralność!

– Madeline, ja jej nie obwiniam. – Nadal mówił tym denerwującym głosem w stylu „ja jestem dorosły, a ty chora na głowę”, ale w jego oczach dostrzegła isierki złości.

– Obwiniasz! Nie wierzę, że to powiedziałaś! – Słowa wyleciały z niej jak naboje z karabinu maszynowego. – Należysz do tych, którzy mówią: „A czego się spodziewała? Piła o pierwszej nad ranem, więc oczywiście, że została zgwałcona przez całą drużynę piłkarską!”.

– Nie obwiniam!

– Obwiniasz!

Wyraz twarzy Eda uległ raptownej zmianie. Poczzerwieniał.

– Powiem ci coś, Madeline – oznajmił podniesionym głosem. – Jeśli moja córka puści się kiedyś z fagasem, którego dopiero co poznała w barze hotelowym, będę miał pełne prawo nazwać ją niemądrą!

To było głupie kłócić się z takiego powodu. Madeline niechętnie zdała sobie z tego sprawę. Wiedziała, że Ed tak naprawdę wcale nie obwinia Jane. Wiedziała, że jej mąż jest lepszą, miłszą osobą niż ona, a jednak nie mogła mu wybaczyć tej „niemądrej dziewczyny”. Jako kobieta czuła się zobligowana wściec się na niego w imieniu Jane, każdej innej „niemądrej dziewczyny” i siebie samej, gdyż bądź co bądź mogło ją spotkać to samo i nawet tak delikatne słowo jak „niemądra” bolało jak diabli.

– Wychodzę. – Wyskoczyła z łóżka, zabierając ze sobą iPada.

– Jak chcesz – odmruknął Ed i założył okulary. Był zdenerwowany, ale Madeline wiedziała z doświadczenia, że poczyta dwadzieścia minut, zgasi światło i natychmiast zaśnie. Zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi (najchętniej by nimi trzasnęła, ale nie chciała obudzić dzieci) i po ciemku zeszła po schodach. – Tylko się nie potknij! – usłyszała zza drzwi. Już mu przeszło, pomyślała.

Zaparzyła sobie rumianek i usiadła na kanapie. Nie znosiła rumianku, ale ponoć kołł nerwy i tak dalej, więc zawsze próbowała się zmusić do jego wypicia. Oczywiście Bonnie piła tylko ziołową herbatę. Abigail wspomniała, że Nathan też unika teraz kofeiny. Ach, te dzieci po rozwodach. Człowiek dowiaduje się o byłym mężu rzeczy, o których normalnie nie miałby pojęcia. Wiedziała na przykład, że Nathan nazywa Bonnie swoją „bonnie Bon”. Abigail

napomknęła o tym któregoś dnia w kuchni. Ed, który stał za nią, rozśmieszył Madeline, wkładając sobie palec do gardła, lecz i tak najchętniej obyłyby się bez tej informacji. (Nathan zawsze lubił aliterację i nazywał ją swoją „Madame Madeline”, strasznie sztywniacko.) Skąd u Abigail taka potrzeba dzielenia się tymi informacjami? Ed uważał, że robi to specjalnie, na złość Madeline, ale Madeline nie wierzyła w taką złośliwość córki.

Ostatnio Ed wciąż podejrzewał Abigail o najgorsze.

To dlatego tak się na niego wściekła w sypialni. Tak naprawdę wcale nie chodziło o „niemądrą dziewczynę”. Po prostu nadal miała do niego żal o przeprowadzkę Abigail do Nathana i Bonnie. W miarę upływu czasu coraz bardziej wierzyła, że stało się to z winy Eda. Może Abigail wahała się z decyzją, brała ją pod uwagę, ale z przymrużeniem oka, a jego „uspokój się” przesądziło sprawę. W przeciwnym razie nadal by tu mieszkała. Może tamten wybuch miał tylko chwilowy charakter. Nastolatki tak mają. Wieczna huśtawka nastrojów.

Ostatnio Madeline była tak pochłonięta wspomnieniami czasów, kiedy mieszkały tylko we dwie, że niekiedy nachodziło ją wrażenie, iż Ed, Fred i Chloe zaplątali się tu przypadkiem i zgoła bez zaproszenia. Co to za jedni? Wdarli się hurmem w życie ich obu, narobili hałasu i wypłoszyli biedną Abigail.

Roześmiała się na myśl o oburzeniu Freda i Chloe na wieść, że śmie podawać w wątpliwość ich istnienie. Chloe nigdy by jej tego nie darowała. „Ale gdzie ja wtedy byłam?”, pytała, przeglądając stare zdjęcia Madeline i Abigail. „Gdzie był tatuś? I Fred?” „Byliście w moich snach”, odpowiadała Madeline i to była prawda. Ale w snach Abigail ich nie było.

Sączyła herbatę, czując, jak złość powoli uchodzi z jej ciała. To na pewno nie zasługa głupich ziółek.

Odpowiedzialność ponosił tamten mężczyzna.

Pan Banks. Saxon Banks.

Co za nietypowe imię.

Musnęła palcami chłodną, gładką powierzchnię iPada.

Nie sprawdzaj, błagała Jane, a Madeline obiecała, więc postąpi bardzo nieładnie, ale żądza znalezienia tego gnoja była nieodparta. Kiedy czytała o jakimś przestępstwie, zawsze chciała zobaczyć sprawcę, poszukać w jego twarzy śladów zła. (I nieodmiennie je znajdowała.) Wystarczyło postukać w ekranik, jakby palce działały niezależnie od jej woli, i gdy wciąż wahała

się, czy złamać przyrzeczenie, wyniki wyszukiwania pojawiły się na wyświetlaczu, jakby Google stanowiło przedłużenie jej umysłu: wystarczyło pomyśleć.

Tylko szybciotko spojrzy, omiecie go wzrokiem, a potem zamknie tę stronę i wykasuje z historii. Jane się nie dowie. Przecież i tak Madeline nic nie zrobi. Nie zaplanuje wyrafinowanej zemsty. (Choć zbłądziła już myślą w tę stronę: Może jakiś przekręt? Okraść go? Publicznie poniżyć i upokorzyć? Załatwione.)

Kliknęła w pierwszy wynik i na wyświetlaczu pojawił się jeden z korporacyjnych portretów. Saxon Banks, agent nieruchomości z Melbourne. Czy to był on? Klasycznie przystojny mężczyzna o mocnym zarysie szczęki, z zadowolonym uśmiechem i oczami, które wyzywająco, niemal agresywnie odpięły spojrzenie Madeline.

– Ty świnió – powiedziała na głos. – Myślisz, że możesz ze wszystkimi pogrywać, co?

Jak postąpiłaby w sytuacji Jane? Nie wyobrażała sobie, by zareagować tak samo. Dałaby mu w twarz. Słowa „gruba” i „brzydka” nie wywarłyby na niej wrażenia, gdyż miała wysokie mniemanie na temat swojego wyglądu, już w wieku dziewiętnastu lat albo zwłaszcza w wieku dziewiętnastu lat. Sama decydowała, jak wygląda.

Może ten facet specjalnie brał na celownik dziewczęta o zaburzonym poczuciu własnej wartości, które wezmą sobie do serca jego obelgi.

A jeśli ten tok myślenia to inna forma obwiniania? „Ze mną by to nie przeszło. Ja bym się nie dała. Nie zrobiłoby to na mnie wrażenia. Nie zniszczyłoby mojego ja”. Jane była wówczas kompletnie bezbronna, naga, w jego łóżku. Niemądra dziewczyna.

Madeline przywołała się do porządku. „Niemądra dziewczyna”. Właśnie pomyślała to samo, co Ed. Rano go przeprosi. No, może nie na głos, ale ugotuje mu jajko na miękko i będzie wiedział.

Ponownie przyjrzała się fotografii. Nie widziała podobieństwa do Ziggy’ego. A może jednak? Może trochę w okolicach oczu. Przeczytała krótki opis obok. Magister tego, inżynier tamtego, członek instytutu jakiegoś tam, bla, bla, bla. „Poza pracą Saxon lubi się wspinać, żeglować oraz spędzać czas z żoną i trzema małymi córkami”.

Madeline drgnęła. Ziggy ma trzy siostry przyrodnie.

Madeline teraz o tym wiedziała. Dowiedziała się czegoś, czego nie powinna,

i nie mogła tego cofnąć. Wiedziała o Ziggym coś, czego nie wiedziała sama Jane. Nie tylko złamała obietnicę, ale naruszyła jej prywatność. Była wstrętną podglądaczką, która przekopuje internet w poszukiwaniu tego, czego powinna szukać. Opowieść Jane bardzo ją wzburzyła, ale przecież wysłuchała jej niemal łąpczywie. I czy to wzburzenie prawie nie sprawiło jej przyjemności? Jej współczucie płynęło z protekcyjnej, wygodnej perspektywy osoby z uporządkowanym życiorysem: mąż, dom, kredyt. Zachowała się jak co poniektóre z koleżanek matki, tak zaaferowane faktem, że Nathan zostawił ją i Abigail. Tak gorliwie brały jej stronę, tak strasznie się nad nią trzęsły, że Madeline zgrzytała zębami, mimo że naprawdę doceniała zapiekanki uroczyście stawiane na jej stole.

Wpatrywała się w oczy Saxona, a on odwzajemniał to spojrzenie, jakby znał każdy jej wstydlivy sekret. Zalała ją fala obrzydzenia, aż jej dech zaparło.

– Mamusiu! – rozległ się wrzask w ciszy domu. – Mamusiu, mamusiu, mamusiu!

Zerwała się na równe nogi. Serce mała jej nie wyskoczyło z piersi, chociaż dobrze wiedziała, że to tylko Chloe ma koszmar.

– Idę! Już biegnę! – zawołała, pędząc korytarzem. Ona temu zaradzi. Zaradzi z łatwością, i ta myśl sprawiła jej ulgę. Abigail nie chciała ani nie potrzebowała pomocy matki, a typki pokroju Saxona Banksa tylko czyhają, aby skrzywdzić jej pociechy, na małe i duże sposoby. Nic na to nie poradzi, ale może chociaż wywlec tego potwora spod łóżka Chloe i zabić gołymi rękami.

Rozdział trzydziesty piąty

Panna Barnes: Po tym incydencie w czasie drzwi otwartych przeczuwałam kłopoty, lecz początek, o dziwo, był gładki. To były wspaniałe maluchy, a rodzice nie dawali się zbytnio we znaki. Lecz w połowie pierwszego półrocza wszystko się posypało.



DWA TYGODNIE PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

– Latte i babeczka.

Jane spojrzała znad laptopa i przeniosła wzrok na talerz, który przed nią postawiono. Z dużej, pachnącej babeczki oprószonej cukrem pudrem unosiła się smużka pary. Obok piętrzył się artystyczny kleks bitej śmietany.

– Ach, dziękuję, Tom, ale ja nie zamawiałam...

– Wiem. Ciastko na koszt firmy – oznajmił. – Słyszałem od Madeline, że pieczesz, dlatego postanowiłem zasięgnąć twojej fachowej opinii na temat nowego przepisu. Brzoskwinia, orzech makadamia i limonka. Czysty obłęd. Limonka znaczy.

– Piekę tylko babeczki. I nigdy sama ich nie jem.

– Poważnie? – Tomowi trochę zrzędła mina.

– Ale dziś zrobię wyjątek – dodała pośpiesznie Jane.

Ostatnio zrobiło się chłodnawo, w ramach przedsmaku zimy, i w mieszkaniu Jane panował ziąb, a widoczny z okna szary skrawek oceanu przyprawiał ją o gęsią skórkę. Był niczym wspomnienie lata na zawsze utraconego, jakby żyła w ponurej, postapokaliptycznej rzeczywistości. „Boże, chyba trochę przesadzasz. Może weźmiesz laptop i posiedzisz w Blue Blues?”, zaproponowała Madeline. I Jane przeniosła się z pracą do kawiarni.

Wnętrze było pełne światła, a Tom palił w piecyku na drewno. Jane wzdychała z ulgą, ilekroć przestępowała próg, jakby wsiadła do samolotu i przeniosła się w inną porę roku w porównaniu z jej smętnym, wilgotnym mieszkankiem. Przychodziła w okienku między porannym a popołudniowym szczytem, żeby nie zajmować stolika, i oczywiście zamawiała niewielki lunch oraz kilka kaw w ciągu dnia.

Barista Tom stał się dla niej kimś na wzór kolegi z pracy, zajmującego sąsiednie biurko. Dobrze im się rozmawiało. Lubili te same programy telewizyjne i niektóre zespoły. (Muzyka! Zapomniała o jej istnieniu, tak jak o książkach.)

Tom wyszczerzył zęby.

– Zamieniam się we własną babcie, co? Zmuszam wszystkich do jedzenia. Spróbuj chociaż mały kawałeczek. Nie musisz jeść całej z grzeczności.

Jane odprowadziła go wzrokiem, po czym spuściła głowę, gdyż uświadomiła sobie, że widok jego szerokich ramion w tradycyjnym czarnym podkoszulku sprawia jej niekłamaną frajdę. Wiedziała od Madeline, że Tom jest gejem i leczy złamane serce. Może to i oklepane, lecz często się sprawdzało: geje są naprawdę świetnie zbudowani.

Od kilku tygodni, odkąd przeczytała tamtą scenę erotyczną w łazience, działa się z nią coś dziwnego. Jakby jej ciało, jej zardzewiałe, zapomniane ciało, budziło się z powrotem do życia, niezależnie od jej woli. Łapała się na tym, że przypadkowo, od niechcienia przygląda się mężczyznom – kobietom też, ale głównie mężczyznom – nie tyle w erotycznym kontekście, co ze zmysłowym, estetycznym podziwem.

Piękni ludzie pokroju Celeste nie przyciągali jej uwagi, w przeciwieństwie do tych zwyczajnych, o pięknie niedoskonałych ciałach. Opalone przedramię z wytatuowanym słońcem nad ladą na stacji benzynowej. Kark starszego mężczyzny w kolejce do kasy. Obojczyki i mięśnie łydek. To było najdziwniejsze. Przypomniła sobie tatę, który przed laty miał operację zatok i odzyskał niepostrzeżenie stracony węch. Najprostsze zapachy wprawiały go w ekstazę. Bez przerwy wachał szyję żony i powtarzał z rozmarzeniem: „Zapomniałem, jak pachnie twoja mama! I o tym nie wiedziałem!”.

Nie była to jedynie zasługa książki.

Opowiedziała Madeline o Saxonie Banksie. Powtórzyła jego wstrętne słowa. Aby zachować swoją moc, musiały zostać niewypowiedziane. Teraz sflaczały jak nadmuchiwany zamek, kiedy z sykiem uchodzi z niego powietrze.

Saxon Banks był podłym człowiekiem. Na świecie nie brakowało takich. Każde dziecko o tym wiedziało. Rodzice każą ich omijać szerokim łukiem. Nie zwracać na nich uwagi. Odchodzić. Mówić: „Nie. Nie chcę” głośnym, zdecydowanym głosem, a jeśli nadal cię nagabują, poskarżyć pani.

Nawet obelgi Saxona były szczeniackie. Śmierdzisz. Jesteś brzydka.

Zawsze wiedziała, że jej reakcja na ten incydent była wyolbrzymiona, a może nieadekwatna. Nawet się nie rozplakała. Nikomu nie pisnęła ani słówka. Przełknęła tę żabę, udając, że jest niczym, i dlatego stała się wszystkim.

Teraz miała ochotę wciąż o tym rozmawiać. Kilka dni temu, w czasie porannego spaceru z Celeste, przedstawiła jej skróconą wersję zdarzeń. Celeste prawie się nie odzywała, wyraziła tylko ubolewanie i stwierdziła, że Madeline ma rację, Ziggy nie jest taki jak ojciec. Następnego dnia podarowała Jane naszyjnik w czerwonym, aksamitnym woreczku. Był to niebieski kamyczek na srebrnym łańcuszku. „To lapis”. wyjaśniła Celeste nieśmiało, jak to ona. „Podobno leczy emocjonalne rany. Nie wierzę w takie rzeczy, ale jest ładny”.

Jane uniosła rękę do wisiorka.

Nowi przyjaciele? Czy tu jest pies pogrzebany? Morskie powietrze?

Ruch na świeżym powietrzu też pewnie pomagał. Obie z Celeste nabierały kondycji. Były takie szczęśliwe, kiedy zauważyły, że nie muszą już przystawać i łapać tchu na schodach w pobliżu cmentarza.

Tak, to na pewno ruch.

Od początku potrzebowała jedynie ćwiczeń i magicznego wisiorka.

Wbiła widelec w ciastko i spróbowała. Spacery z Celeste przywracały jej apetyt. Musi uważać, bo znów się roztyje. Gardło zacisnęło się jej na samą myśl. Odłożyła widelec. A jednak nie całkiem się wyleczyła. Jadłowstręt wciąż dawał o sobie znać.

Ale przecież nie może obrazić miłego Toma. Ponownie sięgnęła po widelec i spróbowała kawałek. Ciasto było lekkie i puszyste, wyczuła smak wszystkich wymienionych przez Toma składników: orzech, limonka, brzoskwinia. Przymknęła oczy i poczuła wszystko: ciepło panujące w kawiarni, smak ciastka, znajomy zapach kawy i starych książek. Zgarnęła widelcem kolejny kawałek i zeszkrobała odrobinę śmietany.

– W porządku? – Tom pochylił się nad sąsiednim stołem i przetarł blat ściereką wyjętą z tylnej kieszeni spodni.

Jane uniosła rękę na dowód, że ma pełne usta. Tom wziął książkę

pozostawioną na stoliku przez klienta i wsunął ją na jedną z wyższych półek. Czarna koszulka wyszła mu ze spodni i Jane zobaczyła fragment pleców. Zupełnie zwyczajnych, nic szczególnego. Jego skóra jesienią miała odcień słabej latte. Latem przybierała kolor gorącej czekolady.

– Wspaniała – powiedziała.

– Hm? – Tom się odwrócił. Zostali w kawiarni tylko we dwoje.

Jane wskazała widelcem ciastko.

– Jest przepyszna. Powinieneś kasować podwójnie. – Nagle rozległ się dźwięk jej telefonu. – Przepraszam.

„Szkoła”, zobaczyła napis na wyświetlaczu. Jak dotąd dzwonili tylko raz, kiedy Ziggy’ego bolało gardło.

– Pani Champan? Mówi Patricia Lipmann.

Dyrektorka. Jane poczuła ucisk w żołądku.

– Pani Lipmann? Czy coś się stało? – W jej głosie zabrzmiały tchórzliwe nuty, których nie znosiła. Madeline zwracała się do pani Lipmann z wesołą, pobłażliwą sympatią, jak do zbzikowanego lokaja.

– Nie, nic się nie stało, ale chciałabym się z panią jak najszybciej spotkać, jeśli to możliwe. Najlepiej dzisiaj. Czy pasowałoby pani około drugiej, tuż przed końcem lekcji?

– Naturalnie. Czy wszystko...

– To wspaniale. Zatem do zobaczenia.

Jane odłożyła telefon.

– Pani Lipmann zaprosiła mnie na rozmowę – powiedziała powoli.

Tom znał większość dzieci, rodziców i nauczycieli ze szkoły. Dorastał w okolicy i sam chodził do tej szkoły w czasach, kiedy pani Lipmann była skromną wychowawczynią trzeciej klasy.

– Na pewno nie masz się czym przejmować – odpowiedział. – Ziggy to grzeczny chłopiec. Może chce ci zaproponować dodatkowe zajęcia czy coś w tym rodzaju.

– Uhm. – Jane zjadła machinalnie kolejny kęs ciastka. Ziggy nie był „szczególnie uzdolniony”, a ton pani Lipmann nie wróżył dobrych wiadomości.



Samantha: Renata mało nie pękła, gdy zaczęło się to dokuczanie. Problem częściowo polegał na tym, że opiekunka nie przekazywała jej informacji, więc wszystko działo się za plecami matki. Oczywiście teraz już wiemy, że Juliette miała na głowie inne rzeczy oprócz pracy.

Panna Barnes: Rodzice nie rozumieją, że dziecko z kata staje się często ofiarą. Tak łatwo szufladkują! Naturalnie wiem, że w tym wypadku było inaczej. Było... kiepsko.

Stu: Tata nauczył mnie jednego: ktoś cię bije, to mu oddaj. Proste jak drut. A teraz? Nagroda dla obu drużyn w meczu. Pochwała za każdą pierdołę. Wychowujemy pokolenie mazgajów.

Thea: Renata na pewno się obwiniała. Tyle pracowała, że prawie nie widywała swoich dzieci! Współczuję tym robaczkom. Podobno ciężko to znoszą. Wcale sobie nie radzą. Ich życie zmieniło się nieodwracalnie, prawda?

Jackie: Nikt nie mówi, że *Geoff* pracował od rana do nocy. Nie pyta, czy *Geoff* wiedział, co się dzieje z *Amabellą*. Rozumiem, że to Renata miała lepiej płatną, bardziej stresującą posadę, ale jakoś nikt nie miał pretensji do *Geoffa*, że robi karierę, nikt nie powiedział: „Och, tak rzadko widzujemy w szkole *Geoffa*, prawda?”. Gdzie tam! Ojciec, który odbiera dziecko, zasługuje w oczach niepracujących matek na piedestał. Weźmy mojego męża. Ma swoje grono fanek.

Jonathan: To nie fanki, tylko moje znajome. Proszę wybaczyć żonie. Jest w trakcie bardzo agresywnej fuzji, dlatego sama robi nieco agresywne wrażenie. Ja się pytam, gdzie byli wtedy nauczyciele?

Rozdział trzydziesty szósty

– Renata Klein odkryła, że jej córka Amabella jest od miesiąca systematycznie i potajemnie dręczona przez któregoś z kolegów – oznajmiła pani Lipmann, gdy tylko Jane usiadła naprzeciwko. – Niestety, Amabella nie wdaje się w szczegóły i nie chce powiedzieć, o kogo chodzi. Ale Renata jest święcie przekonana, że to Ziggy.

Jane przełknęła kurczowo ślinę. O dziwo, doznała szoku, jakby łudziła się w duchu, że Ziggy jednak zostanie wyróżniony.

– Jak... – Głos odmówił jej posłuszeństwa. Odchrząknęła z trudem. Czuła się tak, jakby odgrywała rolę, do której nie miała predyspozycji. Powinni tu być jej rodzice. Ludzie z tej samej epoki, co pani Lipmann. – Jak dręczona?

Pani Lipmann lekko się skrzywiła. Wyglądała jak dama z wyższych sfer, która nie szczędzi środków na ciuchy i drogie kosmetyki. Mówiła dźwięcznym, władczym głosem, który działał ponoć nawet na szóstoklasistów, słynących z niesubordynacji.

– Tak jak wspomniałam, niestety nie znamy szczegółów – odrzekła. – Na ciele Amabelli widnieją niewyjaśnione siniaki i zadrapania oraz... ślad po ugryzieniu. Powiedziała tylko, że „ktoś był dla niej niedobry”. – Pani Lipmann z westchnieniem postukała zadbanymi paznokciami w teczkę, którą trzymała na kolanach. – Widzi pani, gdyby nie incydent w czasie drzwi otwartych, nie niepokoiłabym pani dotąd, aż miałabym coś bardziej konkretnego. Zdaniem panny Barnes tamto zdarzenie zdawało się jednostkowe. Przyglądała się Ziggy’emu uważnie z powodu tego, co zaszło, i opisuje go jako wspaniałe dziecko, które aż miło uczyć, taktowne i koleżeńskie wobec rówieśników. – Te nieoczekiwane życzliwe słowa mało nie doprowadziły Jane do płaczu. – W Pirriwee Public nie tolerujemy dręczenia. W żadnym wypadku. Lecz w rzadkich sytuacjach, gdy mamy z nim do czynienia, nie chcemy, aby ktokolwiek był poszkodowany. Jeżeli zatem stwierdzimy, że Ziggy dokuczał Amabelli, naszym głównym celem nie będzie ukaranie go, lecz

natychmiastowe położenie kresu praktykom tego rodzaju, a następnie ustalenie przyczyn takiego zachowania. Bądź co bądź, on ma dopiero pięć lat. Zdaniem niektórych ekspertów pięciolatek jest niezdolny do zastraszania kolegów. – Pani Lipmann uśmiechnęła się do Jane, a ta niepewnie odwzajemniła uśmiech. Ale zaraz, przecież Ziggy jest wspaniałym dzieckiem. On tego nie zrobił! – Nie licząc drzwi otwartych, czy kiedykolwiek zauważyła pani u niego takie ciągoty? Na przykład w przedszkolu? W czasie zabaw z innymi dziećmi?

– Nie. Ależ skąd. Poza tym on zawsze... hm. – Jane chciała dodać, że Ziggy zawsze twardo odpierał zarzuty Amabelli, ale może to zaburzyłoby obraz sytuacji. Pani Lipmann jeszcze gotowa wziąć go za kłamczuszkę.

– A zatem w przeszłości Ziggy’ego, jego wczesnym dzieciństwie i życiu domowym nie ma nic niezwykłego, o czym pani zdaniem powinniśmy wiedzieć? – Dyrektorka rzuciła jej wyczekujące spojrzenie, a na jej twarzy malował się ciepły, życzliwy wyraz, jakby dawała do zrozumienia, że nic nie jest w stanie jej zaszokować. – Rozumiem, że ojciec Ziggy’ego nie uczestniczy w jego wychowaniu, zgadza się?

Wzmianka o „ojcu Ziggy’ego” zawsze zbijała Jane z tropu. Słowo „ojciec” kojarzyła z miłością i poczuciem bezpieczeństwa. W pierwszej chwili zawsze odruchowo myślała o swoim, przecież innego nie było. Następnie musiała przeskoczyć w myślach do hotelowego pokoju i bezlitosnego światła pod sufitem.

„A czy to ważne, pani Lipmann? O ojcu Ziggy’ego wiem tylko, że lubił autoerotyczną asfiksję i upokarzanie kobiet. Sprawiał wrażenie miłego i życzliwego. Znał piosenkę z *Mary Poppins*. Uznałam, że jest «zachwycający», i pani chyba podzieliłaby moje zdanie, a jednak okazał się inny, niż się wydawał. Myślę, że lubił dręczyć, a więc to pewnie istotne. Tak na marginesie, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że Ziggy jest wcieleniem mojego dziadka. A dziadzius był kochany. Zależy więc, czy wierzy pani w dziedziczną skłonność do przemocy, czy w reinkarnację”.

– Nic nie przychodzi mi do głowy – odpowiedziała Jane. – W jego życiu są ważni mężczyźni...

– Tak, tak, nie wątpię – zapewniła pani Lipmann. – O Jezu, niektóre dzieci mają ojców, którzy stale wyjeżdżają lub pracują do późna i wcale nie widują swoich pociech. Nie sugeruję bynajmniej, że Ziggy coś traci, będąc wychowywanym tylko przez mamę. Usiłuję tylko się rozeznać w sytuacji.

– Pytała go pani o to, co się stało? – Serce Jane zamarło na myśl, że mógł

zostać wezwany na dywanik bez jej udziału. Spał z misiem, na miłość boską. Kiedy był zmęczony, siadał jej na kolanach i ssał kciuk. Uważała za mały cud, że sam chodził, ubierał się i mówił, a tymczasem oto żył własnym, niezależnym od niej życiem, w którym rozgrywały się dorosłe, przerażające problemy.

– Pytałam, a on stanowczo wszystkiemu zaprzecza, dlatego bez udziału Amabelli będzie bardzo trudno...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Do gabinetu zajrzała sekretarka i rzuciła Jane czujne spojrzenie.

– Pani dyrektor, chciałam tylko powiedzieć, że przyszli państwo Klein.

Pani Lipmann zbladła.

– Przecież mieli być dopiero za godzinę!

– Przełożono zebranie zarządu – oznajmił ostry, znajomy głos. Za sekretarką stanęła Renata, gotowa wkroczyć do gabinetu. – Pomyśleliśmy więc, czy nie dałoby się... – Na widok Jane jej twarz przybrała zacięty wyraz. – Ach tak. Rozumiem.

Pani Lipmann rzuciła Jane spojrzenie pełne skruchy.

Jane wiedziała od Madeline, że Renata i Geoff regularnie wpłacają na szkołę hojne datki. „Na zeszłorocznym wieczorku integracyjnym siedzieliśmy jak trusie, a pani Lipmann płaciła Kleinom za sfinansowanie klimatyzacji”, opowiadała Madeline. Następnie rozjaśniła się, jakby wpadła na pewien pomysł. „Może Celeste i Perry przebiją ich w tym roku. Będą mogli się licytować, kto ma więcej kasy”.

– Zdaje się, że wszyscy przyszliśmy tu porozmawiać o tym samym – oznajmiła Renata.

Pani Lipmann wybiegła zza biurka.

– Pani Klein, chyba będzie lepiej...

– W zasadzie świetnie się składa! – Renata minęła sekretarkę i wparowała do gabinetu. Za nią podążał blady, rudy facecik pod krawatem, Geoff, zdaje się. Jane widziała go po raz pierwszy. Nie znała jeszcze większości ojców.

Wstała i opasała się ramionami, zaciskając palce na ubraniu, jakby ktoś chciał je z niej zderzeć. Kleinowie przyszli tu, aby ją zdemaskować, obnażyć jej brzydkie, brudne sekrety przed wszystkimi rodzicami. Ziggy nie był owocem normalnego seksu, ale rezultatem wstydliwych występków młodej, niemądrej, brzydkiej grubaski.

Z Ziggyem było coś nie tak, gdyż Jane pozwoliła temu facetowi zostać jego

ojcem. Wiedziała, że nie ma w tym za grosz logiki, ale czuła, że owszem, ponieważ Ziggy zawsze będzie jej synem, więc jak mogłaby nie być jego matką? Ale miał narodzić się później, gdy Jane znajdzie mu odpowiedniego tatę i odpowiednie życie. Gdyby zrobiła wszystko jak trzeba, nie zostałyby naznaczone tą straszną, genetyczną skazą. Nie zachowywałyby się w ten sposób.

Pomyślała o chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Był taki rozżalony przyjsciem na świat, darł się całym ciałem, wierzgając rączkami i nóżkami, jakby spadał. Pomyślała wtedy: „Przepraszam, mały. Przepraszam, że cię na to narażam”. Ból, który poczuła każdym skrawkiem ciała, przypominał rozpacz i choć nazwałaby go radością, był niezaprzeczalny. Sądziła, że gwałtowna fala miłości do tego dziwnego, czerwonego na twarzy stworzonka zmyje ohydne wspomnienie tamtej nocy. Ale nie zmyła. Wspomnienie dalej czepiało się ścian jej umysłu jak oślizgła, czarna pijawka.

– Radzę ci pilnować tego swojego synalka. – Renata stanęła na wprost Jane, celując palcem wskazującym w jej pierś. Zza okularów spozierały jej przekrwione oczy. W świetle rozterek Jane jej gniew zdawał się wręcz namacalny.

– Renato – zganił ją Geoff i wyciągnął rękę do Jane. – Geoff Klein. Przepraszam za żonę. Jest bardzo zdenerwowana.

Jane uściśnęła jego dłoń.

– Jane.

– No dobrze, skoro zebraliśmy się tu wszyscy, może podejmiemy konstruktywną rozmowę – zaproponowała pani Lipmann z nutą napięcia w dźwięcznym głosie. – Napiją się państwo kawy lub herbaty? Może wody?

– Nie chcę *napojów* – oznajmiła Renata. Jane ujrzała, że dygocze na całym ciele. Odwróciła wzrok. Widok tak pierwotnych emocji był niczym oglądanie jej nagości.

– Renato. – Geoff wysunął rękę jak szlaban, jakby żona chciała rzucić się pod samochód.

– Powiem pani, czego chcę. – Renata zwróciła się do dyrektorki. – Chcę, żeby jej dzieciak trzymał się z daleka od mojej córki.

Rozdział trzydziesty siódmy

Madeline otworzyła rozsuwane drzwi z ogródka i zobaczyła Abigail, siedzącą na kanapie i wpatrzoną w monitor laptopa.

– Halo! – Zemdliło ją na dźwięk swojego sztucznie wesołego tonu.

Nie umiała rozmawiać z własną córką. Odkąd Abigail zaczęła przychodzić tylko w weekendy, Madeline stała się gospodynią podejmującą ważnego gościa. Czuła się w obowiązku proponować córce poczęstunek oraz dbać o jej wszelkie wygody. Co za idiotyzm. Ilekroć łapała się na takim zachowaniu, tak ją to wkurzało, że popadała w drugą skrajność i szorstko domagała się pomocy w pracach domowych, na przykład w wieszaniu prania. Najgorsze było to, że Abigail zachowywała się jak na kulturalnego gościa przystało i robiła to bez szemrania, co z kolei wpędzało Madeline w poczucie winy i zakłopotanie. Jakim prawem kazała córce wieszać pranie, jeśli Abigail nie przywoziła żadnych brudów? Przecież gościa prosić o to nie wypada.

Dlatego wybiegała jej pomóc, siłąc się przy tym na rozmowę, a myśli, których nie mogła wypowiedzieć, huczały jej w głowie: „Wróć do domu, Abigail, wróć do domu i dajmy temu spokój. On nas zostawił. Zostawił ciebie. Byłaś moją nagrodą. Za karę żył z dala od ciebie. Jak mogłaś wybrać jego?”.

– Co robisz? – Madeline klapnęła na kanapę obok córki i spojrzała na monitor. – Oglądasz *Top Model*? – Już nie wiedziała, jak się przy niej zachowywać. Przypominało to próbę utrzymania znajomości z byłym chłopakiem, tę wymuszoną swobodę kontaktów i kruchość uczuć wraz ze świadomością, że drobne dziwactwa, dawniej tak urocze, stały się po prostu denerwujące. Madeline zawsze z chęcią odgrywała rolę komicznie stukniętej matki. Popadała w skrajności i wściekała się o drobiazgi. Kiedy dzieci nie słuchały, hufała i pufała, jak wilk z bajki o trzech świnkach. Stojąc w drzwiach spiżarni, śpiewała niemądre piosenki: „Gdzie jest, gdzie jest, gdzie jest przecier? Ach, gdzie jest, gdzie jest, gdzie jest przecier?”. Ed i dzieci uwielbiali się z niej nabijać, żartując sobie ze wszystkiego, począwszy od jej

obsesji na punkcie świata show-biznesu, aż po brokatowy cień do oczu.

Ale dziś, kiedy Abigail przychodziła z wizytą, Madeline czuła się parodią samej siebie. Postanowiła za wszelką cenę nie udawać kogoś, kim nie jest. Stuknęła jej czterdziestka! Za późno na zmianę osobowości. Jednakże widziała się oczami Abigail i czuła, że jest porównywana z Bonnie, na swoją niekorzyść. Ponieważ Abigail wybrała Bonnie, prawda? Taką matkę wołała. Nathan nie miał tutaj nic do rzeczy. To matka tworzy atmosferę domu. Wszystkie jej ciche obawy płynące z własnych wad (była zbyt popędliwa i pochopna w osądach, przywiązywała nadmierną wagę do ubioru, za dużo wydawała na buty, uważała się za uroczą i błyskotliwą, a pewnie była godna pożałowania) wysunęły się obecnie na pierwszy plan. Dorośnij, mówiła sobie. Nie bierz tego tak osobiście. Twoja córka nadal cię kocha, po prostu woli mieszkać z ojcem. To nic wielkiego. Ale każda interakcja z Abigail oznaczała walkę pomiędzy „Taka jestem, Abigail, czy ci się to podoba, czy nie” a „Bądź lepsza, Madeline, miłsza, spokojniejsza, bądź bardziej jak Bonnie”. – Widziałas, że Eloise wyleciała w zeszłym tygodniu? – zapytała. Normalnie zagaiłaby w ten sposób, więc tak zrobiła.

– Nie oglądam *Top Model* – westchnęła Abigail. – Weszłam na stronę Amnesty International. Czytam o naruszaniu prawa człowieka.

– Aha. O rety.

– Bonnie i jej mama należą do Amnesty International.

– Jasne – mruknęła Madeline. Tak musi się czuć Jennifer Aniston, pomyślała, ilekroć dowiaduje się, że Angelina i Brad adoptowali kolejną sierotę lub dwie.

– Słucham?

– To świetnie – powiedziała Madeline. – Zdaje się, że Ed też. Co roku coś wpłacamy. – Kobieto, co ty opowiadasz? Przestań rywalizować! Czy to w ogóle prawda? Edowi chyba wygasło członkostwo. Naprawdę starali się być dobrymi ludźmi. Kupowała losy na loterii charytatywnej, dawała pieniądze ulicznym artystom, zawsze wspomagała przyjaciół, którzy biegli kolejny maraton w szczytnym celu (choć jedynym celem było utrzymanie szczupłej sylwetki). Stwierdziła, że jak dzieci podrosną, będzie udzielać się na ochotnika, tak jak jej matka. To chyba wystarczy, nie? Jak na wiecznie zajęta, pracującą matkę? Zaczynała w sobie wątpić przez tę cholerną Bonnie, do czego to podobne! Wiedziała od Abigail, że Bonnie postanowiła ostatnio nie mieć więcej dzieci (Madeline nie wnikała w powody, chociaż zżerała ją

ciekawość) i przekazała wózek Skye, razem ze spacerówką, łódeczkiem, stołem do przewijania i ubrankami na rzecz ośrodka dla ofiar przemocy domowej. „Czy to nie wspaniałe, mamó?”, westchnęła Abigail. „Inni ludzie po prostu by to sprzedali”. Madeline opyliła ostatnio na eBayu stare ciuszki Chloe. Po czym z radością przeznaczyła te pieniądze na przecenione markowe buty. – A o czym czytasz? – Czy to odpowiednia lektura dla czternastolatki? Zapewne. Bonnie podsycala w niej sumienie społeczne, a Madeline lansowała zaburzony obraz kobiecości. Wspomniała słowa biednej Jane o powszechnej obsesji urody. Wyobraziła sobie Abigail idącą z obcym mężczyzną do pokoju hotelowego i potraktowaną tak jak Jane. Wezbrała w niej wściekłość. Oczami wyobraźni ujrzała, jak łapie go za włosy i raz po raz tłucze jego głową o beton, aż zostaje z niej krwawa miazga. Boże miłosierny. Naoglądało się tych jatek w telewizji. – Co czytasz, Abigail? – powtórzyła, zniesmaczona nutą irytacji w swoim głosie. Czyżby znów miała PMS? Nie. To jeszcze nie ta pora. Nawet nie miała na co zwalić winy. Ostatnio wiecznie chodzi rozsierdzona.

Abigail westchnęła. Nie oderwała oczu od komputera.

– O małżeństwach dzieci i zmuszaniu ich do nierządu – odrzekła.

– To straszne. Może lepiej nie...

Madeline nie dokończyła. Chciała powiedzieć coś w stylu: „Nie zaprzataj sobie tym głowy”, co chluby jej nie przynosiło, albowiem tak właśnie wyraziłaby się uprzywilejowana, frywolna, biała kobieta z Zachodu, kobieta, która czerpała autentyczną radość z nowej pary butów bądź flakonika perfum. Co powiedziałyby Bonnie? „Pochylmy się nad tym wspólnie, Abigail. Ommmm”. Oho. I znów wyłazi ta jej powierzchowność. Nabija się z medytacji. Czy medytacja przynosi komuś ujmę?

– Powinny bawić się lalkami – dodała zduszonym głosem Abigail. – A pracują w burdelach. – To ty powinnaś bawić się lalkami, pomyślała Madeline. A przynajmniej kosmetykami do makijażu. Zalała ją fala słusznych pretensji do Bonnie i Nathana. Abigail naprawdę była zbyt młoda i wrażliwa, aby wiedzieć o handlu żywym towarem. To za dużo jak na kogoś o tak żywych i niekontrolowanych emocjach. Odziedziczyła po matce niefortunnie wybuchowy temperament, ale Madeline nigdy nie miała aż tak miękkiego serca. Cechowała ją nadmierna empatia (której Madeline, Ed bądź też Chloe i Fred oczywiście nigdy nie zaznali na własnej skórze). Madeline przypominała sobie, jak w wieku pięciu czy sześciu lat Abigail nauczyła się czytać i bardzo się tym chlubiła. Zastała ją kiedyś przy kuchennym stole:

sylabizowała nagłówek z pierwszej strony gazety, a na jej twarzy malował się wyraz zgrozy i niedowierzania. Madeline nie pamiętała, czego dotyczył artykuł. Zapewne morderstwa, śmierci, kataklizmu... Nie. Jednak pamiętała. Była to opowieść o dziecku porwanym z łóżeczka na początku lat osiemdziesiątych. Nigdy nie odnaleziono ciała. Abigail wierzyła jeszcze wówczas w Świętego Mikołaja. „To nieprawda”, zapewniła Madeline, zabierając gazetę i przysięgając sobie solennie, że więcej nie zostawi jej na widoku. „To wszystko zmyślane”. Nathan o tym nie wiedział, bo Nathana nie było. Chloe i Fred byli ulepieni z innej gliny. Bardziej odporni. Jej kochane materialistyczne dzikuski. – Muszę coś z tym zrobić – oznajmiła Abigail, zjeżdżając w dół ekranu.

– Serio? – zapytała Madeline. Nie, nie pojedziesz do Pakistanu, jeśli taki masz plan. Zostaniesz tutaj i obejrzysz *Top Model*, moja panno. – A co dokładnie? Chcesz napisać list? – Trochę się ożywiła. Ma dyplom z marketingu. Odpicuje taki list, że Bonnie oko zbieleje. – Mogłabym ci pomóc go napisać. Wyślemy do Senatu pismo z petycją...

– Nie – Abigail z pogardą wpadła jej w słowo. – To nic nie da. Mam pomysł.

– Jaki? – zainteresowała się Madeline.

Później się zastanawiała, czy zdołałaby zawczasu położyć kres temu szaleństwu, gdyby Abigail udzieliła jej szczerzej odpowiedzi, lecz w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– To tata. – Abigail zamknęła laptopa i poderwała się z miejsca.

– Przecież dopiero czwarta – zaoponowała Madeline. – Myślałam, że mam cię odwiedzić o piątej.

– Jedziemy na kolację do matki Bonnie – poinformowała Abigail.

– Do matki Bonnie – powtórzyła odruchowo Madeline.

– Nie dramatyzuj, mamó.

– Przecież nic nie mówię. Nie powiedziałam, na przykład, że *mojej* mamy nie odwiedzałaś od paru tygodni.

– Babcia jest pochłonięta życiem towarzyskim, więc pewnie nawet nie zauważyła – odparła Abigail zgodnie z prawdą.

– Przyjechał tata Abigail! – ryknął od drzwi Fred, co w rzeczywistości znaczyło „Przyjechał samochód taty Abigail!”.

– Cześć, brachu! – z holu dał się słyszeć głos Nathana. Czasem przywoływał falę głęboko zakorzenionych emocji: poczucie zdrady, gniew, urazę

i zmieszanie. „Po prostu wziął i odszedł. Wziął i nas zostawił, Abigail, a ja nie mogłam w to uwierzyć, nie mogłam w to uwierzyć, a ty płakałaś i płakałaś, i twój krzyk...”

– Pa, mamó. – Abigail litościwie cmoknęła ją w policzek, jakby Madeline była wiekową ciotką, do której wpadła z wizytą, ale na szczęście, uff, ucieka z jej zatęchłej nory i wraca do domu.

Rozdział trzydziesty ósmy

Stu: Coś pani opowiem. Wpadłem kiedyś na Celeste White. Byłem z robotą na drugim końcu Sidney i musiałem podjechać po nowe krany, bo ktoś dał ciała. W każdym razie idę przez dział meblowy Harveya Normana, a tu Celeste White leży na plecach pośrodku podwójnego łóżka i gapi się w sufit. Oczom nie wierzyłem i mówię do niej: „Witaj, skarbie”, na co ona mało ze skóry nie wyskoczyła. Jakbym przyłapał ją w trakcie napadu na bank. Dziwne to było. Po kiego grzyba leżała na przecenionym łóżku tak daleko od domu? Śliczna kobieta, palce lizać, ale zawsze jakaś... płochliwa, no wie pani. Ciężko teraz o tym myśleć. Bardzo ciężko.



– Wprowadza się pani? – Celeste podskoczyła, mało nie upuszczając lampy, którą niosła. – Przepraszam, nie chciałam pani przestraszyć – dodała pulchna czterdziestolatka w stroju do ćwiczeń, wyłaniając się z mieszkania naprzeciwko. Towarzyszyły jej dwie dziewczynki, które wyglądały na bliźniaczki w wieku Maxa i Josha.

– W pewnym sensie – odparła Celeste. – To znaczy, tak, wprowadzam się. Tylko nie jestem jeszcze pewna kiedy. To może trochę potrwać.

Tego nie przewidziała. Rozmów z innymi ludźmi. Były stanowczo zbyt realistyczne, a jej plan czysto hipotetyczny. Zapewne nigdy go nie zrealizuje, oswaja się tylko z ideą nowego życia. Robiła to, żeby zaimponować Susi. Chciała przyjść na następne spotkanie z gotowym „planem” na przyszłość. Większość kobiet wymaga zapewne długich perswazji. Większość kobiet wraca na kolejne spotkanie, nic nie zdziaławszy. Ale nie Celeste. Ona zawsze odrabia lekcje.

„Wynajęłam mieszkanie na pół roku”, rzuci od niechcienia. „W McMahon’s Point. Można stamtąd dojść na piechotę do północnego Sydney. Mam znajomą,

która jest współpracowniczką w tamtejszej małej kancelarii. Rok temu zaproponowała mi pracę; wtedy odmówiłam, ale na pewno coś dla mnie znajdzie. A jeśli to nie wypali, poszukam czegoś w centrum. Promem niedaleko”.

„O raju”, powie Susi. Uniesie brwi. „Dobra robota”.

Punkt dla Celeste. Świetnie się spisała. Co za dobrze ułożona bita żona.

– Mam na imię Rose – przedstawiła się kobieta. – A to Isabella i Daniella.

Co ona gada? Serio nazwała dzieci Isabella i Daniella?

Dziewczynki grzecznie się uśmiechnęły. Jedna nawet się przywitała. Były zdecydowanie lepiej wychowane niż bliźniacy Celeste.

– Celeste. Miło mi was poznać! – Pospiesznie przekręciła klucz w zamku. – To ja już...

– Ma pani dzieci? – zapytała Rose z nadzieją, a dziewczynki rzuciły jej wyczekujące spojrzenie.

– Dwóch chłopców – odpowiedziała. Gdyby wspomniała, że bliźniaków, ten niezwykle zbieg okoliczności przedłużyłby rozmowę o co najmniej pięć minut.

Pchnęła drzwi barkiem.

– Proszę dać znać, gdyby pani czegoś potrzebowała! – zawołała Rose.

– Dzięki! Do zobaczenia.

Celeste puściła drzwi, a dziewczynki natychmiast zaczęły się przepychać, która naciśnie guzik windy.

– Boże święty, nie mogłybyście raz sobie darować? – burknęła ich matka normalnym tonem, zgoła niepodobnym do uprzejmego, jakim rozmawiała z Celeste.

Drzwi się zamknęły, przerywając jej w pół słowa, i zapadła cisza jak makiem zasiał. Na szczęście dobrze tłumiły dźwięk.

Tuż przy drzwiach wmontowano lustro, na oko pozostałość ambitnego przedsięwzięcia dekoratorskiego z lat siedemdziesiątych. Reszta wyglądała zupełnie neutralnie: puste białe ściany, praktyczna szara wykładzina. Kwintesencja mieszkania do wynajęcia. Perry też wynajmował mieszkania, które musiały przypominać je do złudzenia. Teoretycznie Celeste też je wynajmowała, ale nawet nie znała adresów.

Gdyby mieli razem zakupić mieszkanie pod wynajem, byłaby zachwycona. Pomogłaby je odnowić, wybrać kafelki, załatwiłaby formalności z agentem. „Tak, nie ma sprawy!”, odpowiedziałyby, gdyby lokator poprosił o naprawienie usterki.

Taki poziom zamożności mogłaby ogarnąć. Bezmiar bogactwa Perry'ego czasem przyprawiał ją o mdłości.

Widziała to w twarzach ludzi, którzy po raz pierwszy ich odwiedzali, w tym, jak wodzili wzrokiem po rozległych połaciach podłogi i strzelistych sufitach, luksusowych pokojach, urządzonych jak wystawy zamożnego, rodzinnego życia. Za każdym razem walczyła z poczuciem dumy i wstydu. Mieszkała w domu, gdzie każdy pokój krzyczał: MAMY MNÓSTWO PIENIĘDZY. ZAPEWNE WIĘCEJ NIŻ TY.

Te piękne pokoje były zupełnie jak ciągłe posty Perry'ego na Facebooku: wystylizowane symbole ich życia. Owszem, siadywali czasem na tej wygodnej kanapie, stawiali na ławie kieliszki z szampanem i oglądali zachód słońca nad oceanem. Jak najbardziej. I czasem naprawdę bywało cudownie. Ale była to zarazem kanapa, w której róg Perry wcisnął kiedyś twarz Celeste, aż myślała, że się udusi. A zdjęcie podpisane „Wspaniały dzień z dziećmiakami” nie kłamało – spędzili go wspaniale, ale tego, co zdarzyło się, gdy dzieci poszły spać, już nie uwiecznili. Krew leciała z nosa jak z kranu. Celeste zawsze tak miała.

Zaniosła lampę do głównej sypialni. Była dosyć mała. Celeste kupi podwójne łóżko. Z Perrym mieli oczywiście wielkie łoża. Tutaj ledwo zmieści się choćby łóżeczko. Postawiła lampę na podłodze. Była to kolorowa lampa art déco w kształcie grzyba. Kupiła ją, bo jej się spodobała, a Perry nie znosił tego stylu; oczywiście zawsze mogła ją sobie kupić, gdyby chciała, ale wzdrygałby się ostentacyjnie na sam widok, tak jak wzdrygał się na widok ponurych współczesnych dzieł sztuki w muzeach. Dlatego sam ich nie kupował.

Małżeństwo składało się z kompromisów. „Kochanie, jeśli lubisz takie dziewczynskie starocie, kupię ci autentyk”, powiedziała by czule. „Po co kupować takie tanie badziewie?”

Kiedy tak mówił, zawsze słyszała: Ty jesteś tania i tandetna.

Urządzi to mieszkanie tanią tandetą, za którą tak przepadała. Podniosła roletę, żeby wpuścić trochę światła. Przejechała palcem po lekko zakurzonym parapecie. Było tu raczej czysto, ale następnym razem przyniesie płyn i szmaty i wypucuje mieszkanie na błysk.

Do tej pory nie mogła zostawić Perry'ego, bo nie wiedziała, dokąd pójdzie, jak będzie żyć. Tkwiła w martwym punkcie. W sytuacji bez wyjścia.

Przygotuje sobie plan awaryjny w oczekiwaniu na odpowiednią chwilę.

Będzie miała powleczone pościel dla chłopców, pełną lodówkę, ubrania i zabawki w szafie. Nie zajdzie nawet potrzeba spakowania walizki. Zawczasu wypisze podanie do miejscowej szkoły.

Będzie gotowa.

Gdy następnym razem ją uderzy, Celeste mu nie odda, nie wybuchnie płaczem ani się nie położy. „Odchodzę”, oznajmi.

Spojrzała na swoje dłonie.

Lub poczeka na jego wyjazd. Może tak będzie lepiej. Powie mu przez telefon: „Na pewno wiesz, że nie możemy tak dłużej żyć. Kiedy wrócisz, mnie już nie będzie”.

Nie umiała wyobrazić sobie jego reakcji.

Gdyby naprawdę odeszła.

Jeśli zakończy ten związek, położy też kres przemocy, bo nie będzie już miał prawa jej bić, tak jak nie będzie miał prawa jej całować. Przemoc stanowiła intymny aspekt ich małżeństwa, tak jak seks. Jeśli Celeste odejdzie, stanie się niestosowna. Przestanie być jego własnością. Perry nabierze do niej szacunku i zapanuje między nimi harmonia. Stanie się uprzejmym, ale chłodnym byłym mężem. Wiedziała z góry, że ten chłód zaboli ją bardziej niż bicie. Pozna inną. Zajmie mu to pięć minut.

Wyszła z sypialni i poszła wąskim korytarzykiem do pokoju chłopców. Akurat zmieszczą się tu dwa pojedyncze łóżka obok siebie. Kupi im nowe narzuty. Wszystko pięknie urządzi. Oddychała z trudem, usiłując wyobrazić sobie ich zdumione twarzyczki. O Boże. Czy zdoła im to zrobić?

Zdaniem Susi Perry wystąpi o wyłączną opiekę nad dziećmi. Ale Susi go nie zna. Jego gniew rozbłyskał jak pochodnia, a potem gasł. (W przeciwieństwie do gniewu Celeste. Ona była bardziej zawzięta. Chowwała urazę. Była straszna. Wszystko pamiętała. Pamiętała każdy jeden raz, każde jedno słowo.) Susi nalegała, aby Celeste zaczęła dokumentować „naruszanie swej nietykalności”, jak to nazywała. Niech pani wszystko zapisuje, radziła. Robi zdjęcia siniaków. Chodzi na obdukcje lekarskie. Przydadzą się na wypadek rozwodu lub sprawy o opiekę nad dziećmi. „Jasne”, odpowiedziała Celeste, ale nie miała takiego zamiaru. Spaliłaby się ze wstydu, opisując ich zachowanie. Jakby opisywała dziecięce kłótnie. „Warknęłam na niego. On wrzasnął na mnie. Ja odwrzasnęłam. Pchnął mnie. Uderzyłam go. Nabił mi guza, a ja go podrapałam”.

„Nie spróbuje odebrać mi chłopców”, powiedziała. „Zrobi to, co dla nich

najlepsze”.

„Może uznać, że będzie dla nich najlepiej, jeśli zostaną z nim”, odpowiedziała Susi w swój chłodny, rzeczowy sposób. „Mężczyźni pokroju pani męża często występują o odebranie matce praw rodzicielskich. Mają ku temu środki. Pieniądze. Znajomości. Musi się pani na to przygotować. Niewykluczone, że włączą się w to pani teściowie. Nagle każdy będzie miał coś do powiedzenia”.

Teściowie. Celeste poczuła ukłucie żalu. Zawsze uwielbiała być częścią licznej rodziny Perry’ego. Cieszyło ją, że było ich tak wielu: niezliczone ciotki, hordy kuzynów, trio siwowłosych, zręczliwych ciotecznych dziadków. Cieszyło ją też, że Perry nie potrzebował nawet listy, idąc do sklepu bezcłowego po perfumy. „Chanel Coco Mademoiselle dla cioci Anity, Issey Miyake dla cioci Evelyn”, mamrotał pod nosem. Lubiła patrzeć, jak pada w objęcia ulubionego kuzyna i ma łzy w oczach, bo nie widzieli się tak dawno. Dowodziło to jego z gruntu szlachetnej natury.

Rodzina Perry’ego przyjęła Celeste z otwartymi ramionami, jakby wyczuwała, że nieliczne grono jej krewnych nie może się z nimi równać i że oprócz pieniędzy ma jej do zaoferowania coś, czego nigdy nie miała. Perry i jego rodzina mieli wszystko, czego dusza zapragnie.

Kiedy Celeste zasiadała przy wielkim, podłużnym stole, zajadając rożki ze szpinakiem cioci Anity, i obserwowała, jak Perry rozprawia cierpliwie z gderliwymi ciotecznymi dziadkami, a bliźniacy dokazują z innymi dziećmi, przypominała sobie, jak ją bije, i wydawało się to wręcz niemożliwe, wysane z palca, absurdalne: nawet jeśli się zdarzyło dzień wcześniej. Wraz z niedowierzaniem przychodził wstyd, ponieważ wiedziała, że to musi być jej wina. Trafiała do wspianiałej, kochającej rodziny i to ona była w niej intruzem. Tylko pomyśleć, jacy byliby zgorszeni, widząc, jak bije i drapie ich ukochanego Perry’ego.

Nikt w tej wielkiej, roześmianej rodzinie nie uwierzyłby w jego agresję. A Celeste nie miała ochoty jej ujawniać, gdyż Perry, który kupował perfumy dla ciotek, nie był Perrym, który wpadał w szal.

Susi nie знаła Perry’ego. Znała przykłady, schematy i statystyki. Nie wiedziała, że agresja Perry’ego to tylko jeden z jego aspektów, a nie on cały. Nie był tylko człowiekiem, który bije żonę. Był człowiekiem, który czytał dzieciom bajki na dobranoc z podziałem na role, był człowiekiem grzecznym dla kelnerek. Perry nie był czarnym charakterem, a jedynie mężczyzną, który

czasem bardzo źle postępował.

Inne kobiety w takiej sytuacji bały się, że mężowie wytropią je i zabiją, jeśli spróbują odejść, ale Celeste bała się, że za nim zatęskni. Że zabraknie jej czystej przyjemności widoku chłopców, którzy wybiegają mu na spotkanie, gdy wraca z delegacji, a on rzuca bagaż i klęka z wyciągniętymi ramionami. „A teraz buziak dla mamusi”, mówi.

To nie takie proste. Trwają w bardzo dziwnym związku.

Raz jeszcze obeszła mieszkanie, omijając kuchnię. Była mała i ciasna. Celeste wolała nie myśleć, jak będzie tu gotować. I wysłuchiwać jęków: „Jestem głodny! Ja też!”.

Wróciła do głównej sypialni i podłączyła lampę do kontaktu. Kolory klosza rozbłysły w całej krasie. Celeste usiadła i podziwiała. Była zachwycona swoją cudaczną lampą.

Kiedy się tu wprowadzi, zaprosi Jane i Madeline. Pokaże im lampę, a potem zjedzą podwieczorek na małym balkonie.

Jeżeli wyjedzie z Pirriwee, będzie jej brakowało porannych spacerów nad oceanem z Jane. Na ogół szły w milczeniu. Przypominało to wspólną medytację. Jeśli towarzyszyła im Madeline, wszystkie trzy nadawały bez przerwy, ale z samą Jane było inaczej.

Ostatnio zaczęły się ostrożnie otwierać. To ciekawe, że w czasie spaceru czasami mówi się rzeczy, które nie przeszłyby nam przez usta pod naciskiem kontaktu wzrokowego przez stół. Celeste przypomniała sobie rano, kiedy Jane opowiedziała jej o biologicznym ojcu Ziggy'ego, odrażającym typie, który ją zgwałcił. Zadrzała.

Przynajmniej seks z Perrym nigdy nie był brutalny, nawet gdy następował po aktach przemocy, nawet gdy stanowił część ich osobliwej, zawziętej gry pojednania, gry wybaczenia i zapominania, zawsze był pełen miłości i zawsze bardzo, bardzo dobry. Zanim go poznała, nigdy nie pociągał jej tak żaden mężczyzna. I nigdy nie będzie pociągał. To było niemożliwe. Zbyt nierozzerwalnie wiązało się z nimi obojgiem.

Będzie brakowało jej seksu. I mieszkania przy plaży. Kawy z Madeline. Siedzenia do późna i oglądania z Perrym seriali na DVD. Oraz jego rodziny.

„Kiedy się z kimś rozwodzisz, rozwodzisz się z całą rodziną”, usłyszała kiedyś od Madeline, która dawniej przyjaźniła się ze starszą siostrą Nathana, a dzisiaj prawie się nie widywały. Celeste musi zrezygnować z całej rodziny Perry'ego.

Za tyloma rzeczami zatęskni, tyle musi poświęcić.

No cóż. To jeszcze nic pewnego.

Wcale nie musi tego robić. To jedynie próba, by zaimponować terapeutce, która pewnie wcale nie będzie pod wrażeniem, bo tu chodzi tylko o pieniądze. Celeste nie wykazywała szczególnej odwagi. Było ją stać na wynajęcie mieszkania, z którego zapewne nigdy nie skorzysta, za pieniądze zarobione przez jej męża. Większość klientek Susi klepała biedę, a Celeste mogła wypłacać duże kwoty z różnych kont bez zwracania uwagi męża; gdyby nawet zauważył, wymyśliłaby jakiś pretekst. Powiedziałyby mu, że wsparła przyjaciółkę w potrzebie, a on by to przełknął. Ba, byłby gotów dać więcej. Nie należał do mężczyzn, którzy ubezwłasnowolniali swoje żony, odcinając im dostęp do pieniędzy. Celeste była wolna jak ptak.

Rozejrzała się po pokoju. Nie było garderoby. Będzie musiała kupić szafę. Że też jej to umknęło na początku.

Gdy Madeline po raz pierwszy zobaczyła wielką garderobę Celeste, jej oczy zasły łzami, jakby usłyszała anielski śpiew. „Jestem w niebie”, powiedziała.

Tak. Życie Celeste było dla kogoś niebem.

„Nikt nie zasługuje, aby tak żyć”, oznajmiła Susi, ale Susi nie widziała wszystkiego. Nie widziała min chłopców, kiedy Perry snuł szalone opowieści o swoich lotach nad oceanem o poranku. „Nie umiesz naprawdę latać, tatusiu. Prawda, mamó? Nie umie?” Nie widziała, jak Perry podryguje z chłopcami albo tańczy z Celeste wolny taniec na tarasie, w blasku księżyca, który odbijał się w oceanie jakby tylko dla nich.

„Prawie warto”, powiedziała do Susi.

Może nawet sprawiedliwie. Odrobina przemocy to nie tak wiele za życie, które bez tego byłoby obrzydliwe, wręcz do znudzenia doskonałe.

Zatem co tu, do cholery, robiła, snując po cichu plan ucieczki jak jakaś więźniarka?

Rozdział trzydziesty dziewiąty

– Ziggy – zaczęła Jane. Budowali na plaży zamek z zimnego piasku. Popołudniowe słońce wisiało nisko i ociężale, dmuchał wiatr. Nadszedł maj, więc jutro znów mogło być pięknie, ale dziś plaża była niemal wyludniona. Jane widziała w oddali kogoś z psem, samotny surfer w pianie szedł w stronę wody z deską pod pachą. Fale z furją nacierały na brzeg. Białe grzywy kotłowały się i bulgotały jak wrzątek, a następnie tryskały fontannami do góry. Ziggy budował, nucąc pod nosem i przyklepując piasek łopatką, którą dostał od babci. – Byłam wczoraj u pani Lipmann – podjęła. – I widziałam się z mamą Amabelli. – Ziggy podniósł głowę. Czapka zasłaniała mu uszy i włosy. Policzki poróżwiały mu od chłodu. – Amabella twierdzi, że ktoś z klasy jej dokucza za plecami nauczycielki. Szczypie ją. A nawet... gryzie. – Boże. W głowie się nie mieści. Nic dziwnego, że Renata wykopała topór wojenny. Ziggy nie odpowiedział. Odłożył łopatkę i sięgnął po grabki. – Mama Amabelli myśli, że to ty – uzupełniła Jane. „Ale to nie ty, prawda?”, miała na końcu języka, jednak spytała tylko: – Czy to ty, Ziggy? – Nie zareagował. Nie odrywał oczu od piasku i grabił. – *Ziggy*.

Odłożył grabki i spojrzał na nią. Jego gładka buzia nic nie wyrażała. Oczy spoglądały gdzieś nad głową matki.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odparł.

Rozdział czterdziesty

Samantha: Słyszała pani o petycji? Wtedy zrozumiałam, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Harper: Przyznaję, że to ja wymyśliłam petycję. Na miłość boską, kadra nie kiwnęła palcem! Biedna Renata odchodziła od zmysłów. Posyłając swoje dziecko do szkoły, człowiek ma prawo wiedzieć, że nic mu nie grozi.

Pani Lipmann: Stanowczo zaprzeczam pomówieniom, jakoby kadra „nie kiwnęła” palcem. Mieliśmy sprecyzowany plan działania. Chciałabym się jasno wyrazić: nie było jakichkolwiek dowodów, że to Ziggy jest winowajcą.

Thea: Podpisałam. Mała biedulka.

Jonathan: Oczywiście, że nie podpisałem. Biedaczek.

Gabrielle: Proszę nikomu nie mówić, ale podpisałam niechcący. Myślałam, że to petycja do rady miasta w sprawie zrobienia przejścia dla pieszych na Park Street.



TYDZIEŃ PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

– Witam na inauguracyjnym spotkaniu Erotycznego Klubu Książki! – zawołała Madeline, otwierając z rozmachem drzwi wejściowe. Zdążyła już machnąć lampkę szampana.

Przygotowując się na wieczór, wyrzucała sobie ten pomysł. Miał na celu

jedynie odwrócenie uwagi od żałoby spowodowanej wyprowadzką Abigail. Czy „żałoba” to zbyt dramatyczne określenie? Być może. Ale tak właśnie się czuła. Doznała straty, ale że nikt nie przyniósł jej kwiatów, zajęła się klubem książki, jakby nie miała nic innego do roboty. (Czemu po prostu nie poszła na zakupy?) Ostentacyjnie zaprosiła wszystkich rodziców przedszkolaków i dziesięcioro się zgodziło. Następnie wybrała soczystą, swawolną powieść, o której wiedziała, że jej się spodoba, i dała wszystkim mnóstwo czasu na jej przeczytanie, po czym uświadomiła sobie, że wszyscy będą kolejno wybierać książki i pewnie będzie zmuszona męczyć ambitne cegły. Mówi się trudno. Najwyżej nie odrobi lekcji, ma w tym pewne doświadczenie. Będzie musiała improwizować. Albo poprosi Celeste o streszczenie.

– Przestań go nazywać „erotycznym” – oznajmił pierwszy gość, Samantha, podając Madeline talerz z ciasteczkami czekoladowymi. – Ludzie zaczynają gadać. Carol ma obsesję.

Samantha była mała i żyłasta, wyglądała jak kieszonkowa wersja sportsmenki. Biegała maratony, ale Madeline wybaczała jej tę przypadłość, gdyż Samantha zdawała się mówić dokładnie to, co myślała, a do tego była nieprawdopodobną śmieszką. Często rechotała, tak że musiała się łapać rozmówcy, żeby nie upaść.

Innym powodem, dla którego Madeline ją lubiła, było to, że w pierwszym tygodniu szkoły Chloe zakochała się w jej córce Lily (drugiej klasowej księżniczce). Tym sposobem obawy, że Chloe zaprzyjaźni się ze Skye, okazały się bezpodstawne. I chwała Bogu. W świetle dezercji Abigail Madeline nie zniosłaby zapraszania córki byłego męża na wspólną zabawę.

– Jestem pierwsza? – zapytała Samantha. – Wyszłam wcześniej, żeby się uwolnić od dzieci. Powiedziałam do Stu: „Przejmujesz dowodzenie, kolego”.

Madeline wprowadziła ją do salonu.

– Chodź, napijemy się.

– Jane przychodzi? – zainteresowała się Samantha.

– Tak, a co? – Madeline przystanęła.

– Zastanawiam się, czy wie o petycji krążącej wśród rodziców.

– Jakiej znów petycji? – Madeline zgrzytnęła zębami. Jane zdążyła jej wspomnieć o nowych oskarżeniach przeciwko Ziggy’emu.

Podobno Amabella ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła, że to Ziggy jej dokucza, według Jane jednak chłopiec zachował się dziwnie, gdy go o to spytała. Jane nie wiedziała, czy dowodzi to jego winy, czy może czegoś

innego. Wczoraj poszła do lekarza po skierowanie do psychologa, za którego pewnie zapłaci fortunę. „Muszę się upewnić”, wyznała. „No wiesz, ze względu na jego... jego pochodzenie”.

Madeline zastanawiała się, czy jego trzy siostry przyrodnie dręczą inne dzieci. I poczerwieniała, zawstydzona, że wie o czymś, o czym nie powinna.

– To petycja o zawieszenie Ziggy’ego – wyjaśniła Samantha z przepaszającym grymasem, jakby nadepnęła Madeline na nogę.

– Że co proszę? Co za idiotyzm! Chyba Renata nie myśli, że ludzie będą to podpisywać?

– To nie Renata. Zdaje się, że pomysł wyszedł od Harper – odrzekła Samantha. – One się przyjaźnią, prawda? Wciąż nie mogę się połapać w tych szkolnych układach.

– Jeszcze jak przyjaźnią! Harper podkreśla to na każdym kroku – prychnęła Madeline. – Połączyły je ich uzdolnione dzieci. – Sięgnęła po kieliszek i opróżniła go do dna.

– Amabella wygląda mi na miłą dziewczynkę – stwierdziła Samantha. – Strach pomyśleć, że ktoś jej dokucza. Ale petycja? Żeby wysiudać pięciolatka? To niedopuszczalne. – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Lily znalazła się w takiej sytuacji, ale Ziggy jest taki słodki z tymi jego wielkimi, zielonymi oczami, a Lily nie ma mu nic do zarzucenia. Pomógł jej nawet znaleźć jej ulubioną piłeczkę czy coś w tym rodzaju. Pić mi się chce.

– Wybacz – odpowiedziała Madeline i napełniła kieliszek Samantha. – To wyjaśniałoby dziwny telefon od Thei – dodała. – Stwierdziła, że występuje z klubu, co wydało mi się bardzo dziwne, bo zawsze chciała do jakiegoś wstąpić, zrobić coś „dla siebie”. Robiła nawet świńskie aluzje do scen erotycznych, co było trochę, no wiesz, niepokojące. Aż tu nagle dziesięć minut temu dzwoni z informacją, że ma inne zobowiązania.

– Czwórka dzieci to nie piknik – zaznaczyła Samantha.

– O tak, to zmora logistyczna.

Zachichotały złośliwie.

– Pić! – wrzasnął Fred ze swojego pokoju.

– Tatusz przyniesie ci szklankę wody! – odkrzyknęła Madeline.

Samantha przestała się śmiać.

– A wiesz, co powiedziała mi dzisiaj Lily? Spytała, czy może bawić się z Ziggym? Ja jej na to: „No pewnie”, a wtedy ona... – Samantha urwała. –

Witaj, Chloe.

Chloe stała w drzwiach z misiem w objęciach.

– Myślałam, że śpisz – powiedziała surowo Madeline, choć jej serce stopniało, jak zwykle na widok swojego dziecka w piżamce. Ed miał pełnić dyżur rodzicielski, kiedy ona prowadziła spotkanie. Przeczytał książkę, ale nie chciał brać udziału w dyskusji. Twierdzi, że idea klubu książkowego przywołuje traumatyczne wspomnienia pretensjonalnych kolegów z zajęć literatury angielskiej. „Jeśli ktoś użyje wyrażenia *artyzm świata przedstawionego* albo *łuk narracyjny*, daj mu w gębę w moim imieniu”, poprosił.

– Spałam, ale chrapanie tatusia mnie obudziło – oznajmiła Chloe.

Niedawna plaga potworów w jej pokoju dała początek nowej tradycji, w myśl której mama lub tata mieli z nią poleżeć „przez chwilkę”, zanim zaśnie. Jedyne problem polegał na tym, że Madeline i Ed też zasypiali. Wyłaniali się z pokoju po godzinie, rozbici i nieprzytomni.

– Tatus Lili też chrapie – zdradziła Samantha. – Gwiżdże jak lokomotywa.

– Rozmawiacie o Ziggym? – zagaiła Chloe niewinnie. – Dzisiaj płakał, bo tata Olivera kazał Oliverowi trzymać się od niego z daleka i powiedział, że Ziggy to chuligan.

– Och, na miłość boską! – Madeline nie wytrzymała. – Tata Olivera to chuligan. Nie widziałas go na zebraniu.

– Dlatego przyłożyłam Oliverowi – uzupełniła Chloe.

– Słucham?

– Lekko. – Spojrzała na mamę anielskimi oczkami i przytuliła misia. – Tak bardzo go nie bolało.

– Przypominam, że nadal czekam na wodę! – zawołał Fred i w tej samej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi.

Samantha uczepiła się Madeline, bo ze śmiechu straciła równowagę.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Jane dowiedziała się o petycji na dziesięć minut przed wyjściem na spotkanie klubu książkowego Madeline. Kiedy zadzwonił telefon, myła zęby, więc odebrał Ziggy.

– Zaraz zawołam – usłyszała jego słowa. W przedpokoju rozległo się tupanie i po chwili Ziggy stanął w progu. – To moja pani! – oznajmił rozemocjonowany i podał Jane komórkę.

– Chwila – wybełkotała, bo miała usta pełne pasty. Wskazała na szczoteczkę do zębów, ale Ziggy wcisnął jej telefon do ręki i szybko się cofnął. – Ziggy! – Telefon mało jej nie wypadł; trzymając go w uniesionej dłoni, przepłukała usta i wypluła wodę. Co znowu? Ziggy był dzisiaj spokojny i zamyślony po szkole, ale wspomniał, że Amabelli nie było, więc chyba nie o nią chodziło. Boże, czyżby dokuczył innemu dziecku? – Witam, panno Barnes. Rebecca – powiedziała. Lubiła Rebeccę Barnes. Wiedziała, że są mniej więcej w tym samym wieku (dzieci przeżywały ostatnio, że panna Barnes kończy dwadzieścia pięć lat), i choć może się nie przyjaźniły, wyczuwała łączącą je cichą solidarność, naturalną więź między osobami z tego samego pokolenia, otoczonymi przez ludzi starszych i młodszych od nich.

– Witaj, Jane – odpowiedziała Rebecca. – Przepraszam, starałam się wstrzelić w porę, kiedy Ziggy już śpi, ale zanim zrobi się za późno...

– W sumie powinien już leżeć. – Jane machnęła ręką na Ziggy'ego, który zrobił przerażoną minę i czmychnął do siebie, pewnie w przekonaniu, że dostanie od nauczycielki reprimendę za łożenie po nocach. (Ziggy słuchał panny Barnes bez szemrania, gotów spełniać w lot wszystkie jej życzenia. Dlatego nie mieściło się w głowie, że mógł się źle zachowywać, dopóki istniało choćby nikłe prawdopodobieństwo, że zostanie przyłapany. Był to koronny argument na poparcie jego niewinności. Po prostu nie należał do dzieci, które robiłyby coś takiego.)

– Mam zadzwonić później?

– Nie, nie trzeba. Poszedł do siebie. Czy coś się stało? – Jane usłyszała w swoim głosie ostry ton. Umówiła się z psychologiem na przyszły tydzień. Na szczęście miał wolny termin, bo ktoś odwołał wizytę. Bez przerwy powtarzała Ziggy’emu, że nie wolno mu tknąć Amabelli ani innego dziecka, na co odpowiadał jej monotonnym głosem: „Wiem, mamusiu. Ja niczego złego nie robię”. I dodawał niezmiennie po chwili: „Nie chcę o tym rozmawiać”. Co miała robić? Karać go za coś, na co nie miała konkretnych dowodów?

– Chciałam zapytać, czy wiesz o petycji krążącej wśród rodziców – powiedziała Rebecca. – Wolałam, żebyś dowiedziała się ode mnie.

– Petycji? – powtórzyła Jane.

– Petycji o zawieszenie Ziggy’ego – uzupełniła nauczycielka. – Tak mi przykro. Nie wiem, czyja to sprawa, ale jestem oburzona i pani Lipmann na pewno podzieli moje zdanie. Niech nie myślą, że cokolwiek wskórają.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś to podpisuje? – Jane złapała za oparcie krzesła i patrzyła, jak bieleją jej kłykcie. – Przecież nie wiemy nawet...

– Właśnie – wtrąciła panna Barnes. – Z ust mi to wyjął! Z tego co widzę, Ziggy przyjaźni się z Amabellą! Sama nie wiem, co mam o tym myśleć. Baczenie ich obserwuję, naprawdę, a przynajmniej usiłuję, ale mam na głowie dwadzieścioro ósmioro dzieciaków, w tym dwoje nadpobudliwych, jedno z problemami z nauką, dwoje szczególnie uzdolnionych oraz czworo, których rodzice trwają w przekonaniu, że spłodzili geniuszy, a do tego jedno tak uczulone, że powinnam nosić przy sobie epipen i... – Jej głos nabrał piskliwych tonów. Urwała w pół zdania, odchrząknęła i dodała spokojniej: – Wybacz, nie powinnam o tym mówić. To nieprofesjonalne. Ale denerwuję się w twoim imieniu... i w imieniu Ziggy’ego.

– Nie ma sprawy – odrzekła Jane. Wywód panny Barnes, o dziwo, dodał jej otuchy.

– Mam słabość do Ziggy’ego – dodała nauczycielka. – I słabość do Amabelli. Oboje są tacy kochani. Myślę, że mam nosa do dzieci, a to wszystko jest takie dziwne, takie niezrozumiałe.

– Owszem. Ja też zupełnie nie wiem, co począć.

– Coś wymyślimy – obiecała panna Barnes. – Zobaczysz. – Nie uległo wątpliwości, że ona też jest w kropce.

Po zakończonej rozmowie Jane poszła do pokoju syna. Siedział po turecku na łóżku, oparty plecami o ścianę. Po twarzy płynęły mu łzy.

– To już nikt nie może się ze mną bawić? – zapytał.



Thea: Pewnie słyszała pani, że Jane upiła się na wieczorku integracyjnym. Tak nie wypada, i to jeszcze w szkole! Nie wątpię, że wstrząsnęła nią ta cała afera z Ziggym, ale pytam, czy nie mogła go po prostu zabrać z tej szkoły? W końcu nic nie trzymało jej w okolicy. Powinna się przenieść na zachodnie przedmieścia, gdzie dorastała. Tam by się odnalazła.

Gabrielle: Byliśmy „rozkosznie wstawieni”. Pamiętam, że Madeline tak powiedziała. „Jestem rozkosznie wstawiona”. Cała Madeline. Biedna Madeline... No cóż. To przez te koktajle. Musiały mieć z tysiąc kalorii.

Samantha: Wszyscy byliśmy pijani. I świetnie się bawiliśmy, dopóki wszystko nie poszło w cholerę.

Rozdział czterdziesty drugi

– A gdzie to bawi teraz Perry? – zapytała Gwen, siadając na kanapie z robótką w dłoniach.

Gwen opiekowała się chłopcami, odkąd byli mali. Była babcią dwanaściorga wnucząt, wykazywała stanowczość godną pozazdroszczenia i nosiła w torebce zapas czekoladowych monet w sreberkach, które dzisiaj się nie przydadzą, ponieważ chłopcy spali jak susły.

– W Genui – odpowiedziała Celeste. – Zaraz, a może w Genewie? Nie pamiętam. Jeszcze nie doleciał. Wyjechał rano.

Gwen posłała jej pełne zachwyty spojrzenie.

– Prowadzi egzotyczne życie, co?

– Owszem. Chyba można tak powiedzieć – przyznała Celeste. – Powinnam w miarę wcześniej wrócić. To pierwsze spotkanie naszego klubu, więc nie wiem, o której...

– To zależy od książki! – stwierdziła z entuzjazmem Gwen. – Mój klub właśnie omawiał fascynującą lekturę. Hm, jaki ona miała tytuł? Była o... o czym to ona była? Prawdę mówiąc, nikomu się nie spodobała, ale moja przyjaciółka Pip, która lubi podawać potrawy pasujące do treści, przygotowała wyśmienite rybne curry. Było dosyć pikantne i po pierwszym kęsie wszystkie krzyknęłyśmy: „Pip!” – Pomachała ręką przy ustach na dowód, że paliło.

Jedyny problem z Gwen polegał na tym, że czasami ciężko było się od niej uwolnić. Perry umiał robić to z wdziękiem, za to Celeste jak zawsze się zamotała.

– Muszę lecieć. – Sięgnęła po telefon, leżący na lawie.

Wtedy Gwen zawołała:

– Ale wielki siniak! Co się stało?!

Celeste obciągnęła rękaw jedwabnej koszuli.

– Wypadek na tenisie. Zderzyłam się ze swoim partnerem od debła,

chcieliśmy jednocześnie trafić w piłkę.

– Auć! – Starsza pani utkwiała w Celeste baczne spojrzenie. Zapadła chwila milczenia.

– No tak – odezwała się Celeste. – Jak powiedziałam, chłopcy raczej się nie zbudzą...

– Może czas zmienić partnera – stwierdziła Gwen rzeczowym tonem. Zdumiewające, jak ten ton działał na chłopców.

– To była też moja wina – zapewniła Celeste.

– Wątpię. – Gwen przytrzymała jej wzrok. Celeste uświadomiła sobie, że przez wszystkie lata, odkąd się poznały, Gwen ani razu nie wspomniała o mężu. Sprawiała wrażenie całkowicie samowystarczalnej; była tak energiczna i rozgadana, i tak pochłonięta wnukami oraz gronem swoich przyjaciół, że myśl o mężu wydawała się zbyteczna.

– Na mnie już czas.

Rozdział czterdziesty trzeci

Kiedy opiekunka zapukała do drzwi, Ziggy jeszcze płakał. Powiedział, że troje albo czworo dzieci (Jane nie zdołała tego ustalić, prawie go nie rozumiała) oznajmiło, że nie może się z nim bawić.

Leżał z głową wciśniętą niewygodnie między jej udo i brzuch i szlochał; kiedy usiadła obok, rzucił się na nią z takim impetem, że mało nie upadła na plecy. Czowała nacisk jego nosa i wilgoć na spodniach, gdy boleśnie wkręcił się w jej nogę, jakby chciał się w niej zakopać.

– To pewnie Chelsea. – Jane ujęła go za ramiona i spróbowała odsunąć, ale Ziggy nawet nie zrobił przerwy na oddech.

– Uciekali ode mnie! – zawodził. – Biegiem! A ja chciałem się pobawić w Gwiezdne Wojny!

No tak, pomyślała Jane. Nici z klubu. Przecież go tak nie zostawi. Zresztą co, jeśli przyjdą rodzice, którzy podpisali petycję? Albo zabronili swoim dzieciom bawić się z Ziggyem?

– Zaczekaj tu – stęknęła, odrywając od swoich nóg jego ciężkie, bezwładne ciało. Zwrócił ku niej czerwoną, zasmarkaną buzię, po czym ukrył ją w poduszce. – Przepraszam, muszę odwołać – powiedziała do Chelsea. – Ale zapłacę ci.

Wyjęła z portmonetki pięćdziesiąt dolarów, nie miała nic o mniejszym nominale.

– O super, dzięki – zaćwierkała Chelsea. Nastolatki nigdy nie mają wydać.

Jane zamknęła drzwi i poszła zadzwonić do Madeline.

– Nie przyjdę – oznajmiła. – Ziggy... Ziggy źle się czuje.

– Chodzi o tę sprawę z Amabellą, prawda? – spytała Madeline. Jane słyszała głosy w tle. Niektórzy goście już się zjawili.

– Tak. Wiesz o petycji? – Siliła się na spokój. Madeline musi mieć dosyć jej dramatów, ryków nad Hipciem Harry'm, plugawych opowiastek. Pewnie przeklina dzień, w którym zwichnęła nogę.

– To oburzające – oznajmiła Madeline. – Cała się gotuję.

W tle zabrzmiał wybuch śmiechu, jak na przyjęciu, a nie na spotkaniu klubu książkowego. Jane poczuła się pominięta, chociaż ją zaproszono.

– Nie chcę cię zatrzymywać – powiedziała. – Bawcie się dobrze.

– Zadzwoń później – obiecała Madeline. – Nic się nie martw. Coś wymyślimy.

Kiedy Jane się rozłączała, ponownie zabrzmiało pukanie do drzwi. Tym razem w progu stała sąsiadka z dołu, matka Chelsea, Irene, z banknotem pięćdziesięciodolarowym w dłoni. Wysoka, sroga kobieta o krótkich, siwych włosach i bystrym spojrzeniu.

– Nie zapłacisz jej pięćdziesięciu dolarów za nic – oznajmiła.

Jane z wdzięcznością przyjęła banknot. Gdy wręczała go Chelsea, coś ją zakłuło. Pięćdziesiąt dolarów to pięćdziesiąt dolarów.

– Myślałam, że za fatygę...

– Ona ma piętnaście lat. Da radę wejść po schodach. Czy z Ziggyem wszystko w porządku?

– Małe kłopoty w szkole – wyjaśniła Jane.

– O rany – westchnęła Irene.

– Takie tam dokuczanie – dodała Jane. Słabo znała Irene, nie licząc krótkich pogawędek na klatce schodowej.

– Ktoś dokucza biednemu, małemu Ziggy’emu? – Irene zmarszczyła brwi.

– Ponoć to on dokucza.

– Och, bzdura – prychnęła kobieta. – Nie wierzę. Dwadzieścia cztery lata uczyłam w podstawówce. Na kilometr wyczuję łobuza. Ziggy nikomu nie dokucza.

– No, mam nadzieję. Też mi się tak zdawało.

– Założę się, że to rodzice robią najwięcej hałasu. – Irene rzuciła jej znaczące spojrzenie. – Dzisiejsi rodzice za bardzo przejmują się dziećmi, jeśli chcesz znać moje zdanie. Postulowałabym powrót do czasów życzliwej obojętności. Na twoim miejscu przyjąłabym to z przymrużeniem oka. Małe dziecko, mały problem. Czeka, aż zaczną się prochy, seks i media społecznościowe.

Jane uśmiechnęła się z grzeczności i uniosła rękę z banknotem.

– Jeszcze raz dziękuję. Przekaż Chelsea, że na pewno jeszcze będzie okazja.

Zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi, lekko poirytowana komentarzem Irene. Małe dziecko, mały problem, dobre sobie. Idąc korytarzem, słyszała

płacz Ziggy'ego: nie był to wściekły ryk dziecka domagającego się uwagi ani zaskoczony wrzask malca, który rozbił sobie kolano. Ten szloch był dorosły – rozdzierający i mimowolny.

Jane na chwilę stanęła w progu, patrząc na synka. Leżał na brzuchu, ramiona mu podrygiwały, a rączki ścisnęły brzeg kołdry z nadrukiem w Gwiazdne Wojny. Poczwała, jak coś w niej wzbiera i twardnieje. W tej chwili nie dbała o to, czy Ziggy dokuczał Amabelli ani czy odziedziczył sadystyczne ciągoty po tatusiu, poza tym nie wiadomo, czy akurat po nim, bo gdyby Renata stanęła teraz przed nią, Jane sama rzuciłaby się na nią z pięściami. I zrobiłaby to z rozkoszą. Zrzuciłaby jej te kosztowne okulary, a może nawet je podeptała, jak na chuligana przystało. I miała w nosie, czy ktoś weźmie ją za nadopiekuńczę.

– Ziggy? – Usiadła obok synka na łóżku i pogłaskała go po plecach. Uniósł zapłakaną twarzyczkę. – Jedziemy do dziadków. Zabierzemy piżamy i przenocujemy u nich. – Siąknął nosem. Wstrząsnął nim spazm płaczu. – A po drodze zjemy chipsy i czekoladę.



Samantha: Wiem, że śmiałam się i żartowałam, więc pewnie wyjdę na bezduszną sukę, ale to odruch obronny albo coś w tym stylu. Doszło do tragedii. Pogrzeb był po prostu... Gdy ten kochany chłopczyk położył list na trumnie... Nawet nie mogę... Wymięklam. Wszyscy wymiękli.

Thea: To było bardzo smutne. Przypomniałam sobie pogrzeb księżnej Diany, kiedy mały książę Harry położył kartkę z napisem „Mamusia”. Ale nie mówimy tu o rodzinie królewskiej, to jasne.

Rozdział czterdziesty czwarty

Do Celeste szybko dotarło, iż będzie to klub książki, w którym książka odgrywa rolę drugorzędną. Poczowała lekki zawód. Chciała porozmawiać o książce, czekała na to. O zgrozo, nawet się przygotowała do dyskusji, niczym sumienna pani prawnik, zaznaczając kilka stron fiskami i sporządzając na marginesach szereg treściwych notatek.

Zsunęła książkę z kolan i schowała ją do torby, zanim ktoś zauważy i zacznie się z niej podśmiewać. Podśmiewanie miałyby serdeczny i nieszkodliwy charakter, ale nie miała już do niego zdrowia. Małżeństwo z Perrym oznaczało, że wciąż była gotowa się tłumaczyć, wiecznie miała się na baczności, a zarazem była tego dotkliwie świadoma, jej myśli i uczucia plątały się w supły, przez co czasami, tak jak teraz, gdy siedziała w pokoju z normalnymi ludźmi, słowa, których wypowiedzieć nie mogła, wzbierały jej w gardle i tamowały oddech.

Co pomyśleliby sobie ci ludzie, wiedząc, że ktoś taki jak ona siedzi obok i podaje im sushi? Byli to mili, niepalący ludzie, którzy wstępowali do klubów książki, robili remonty i odnosili się do siebie uprzejmie. W takich sympatycznych kręgach mężowie nie bili żon i vice versa.

Powodem, dla którego nikt nie wspomniał o książce, była petycja o zawieszenie Ziggy'ego. Część osób jeszcze o niej nie słyszała, a pozostałym przypadł wdzięczny obowiązek przekazania im tej szokującej informacji. Każdy wtrącał swoje trzy grosze.

Celeste potakiwała, a rozmowa płynęła wartko pod przewodnictwem ożywionej, niemal rozgorączkowanej Madeline.

– Ponoć Amabella nie wskazała jednoznacznie Zig-gy'ego jako sprawcy. Renata wysnuła ten wniosek na podstawie tego, co się wydarzyło w czasie drzwi otwartych.

– Doszły mnie słuchy o ugryzieniach, co jest trochę przerażające, zważywszy na wiek dzieci.

– W żłobku Lily był jeden mały gryzoń. Wracła do domu cała w siniakach. Muszę przyznać, że miałam ochotę zabić tę smarkulę, ale jej mama była taka miła. Bardzo przejęła się sytuacją.

– No właśnie. Człowiek czuje się podle, kiedy jego maluch narozrabia.

– W końcu mowa o dzieciach!

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego nauczyciele nigdy nic nie widzą?

– Czy Renata nie może zmusić Amabelli do wskazania winowajcy? Mała ma pięć lat!

– Myślę, że skoro mowa o uzdolnionym dziecku...

– O, nie wiedziałam. To Ziggy jest uzdolniony?

– Nie Ziggy, tylko Annabella. Jest wybitnie zdolna.

– Amabella, a nie Annabella.

– Czy to jedno z tych wymyślonych imion?

– O nie, nie. Francuskie! Nie słyszałaś, jak Renata o tym mówiła?

– Dzieciak musi się przyzwyczaić, że wszyscy będą je przekręcać.

– Harrison codziennie bawi się z Ziggym. I nigdy nie było żadnych problemów.

– Petycja! Co za kretynizm. Tyle hałasu o nic. À propos, ta tarta jest przepyszna, Madeline, sama robiłaś?

– Podgrzałam.

– Wygląda na to, że Renata rozdała zaproszenia wszystkim oprócz Ziggy'ego. To było podle.

– Czy szkoła publiczna może wydalić ucznia? Czy to w ogóle możliwe? Czy publiczne szkoły nie muszą przyjmować wszystkich?

– Mój mąż uważa, że jesteśmy zbyt rozmamłani. Jego zdaniem łatwo kogoś zaszufładować, a przecież dzieci to tylko dzieci.

– Pewnie ma słuszość.

– Chociaż gryzienie i duszenie...

– Uhm. Gdyby chodziło o moje dziecko...

– Nie wniosłabyś petycji.

– Fakt.

– Renata ma forsy jak lodu. Czemu nie pośle Amabelli do prywatnej szkoły? Nie musiałyby się zadawać z plebsem.

– Lubię Ziggy'ego. I Jane. Niełatwo samej sobie ze wszystkim radzić.

– Czy ktoś wie coś o ojcu?

– Może pogadajmy o książce? – Madeline w końcu przypomniała sobie, po

co tu przyszły.

– No właśnie.

– Wiadomo, kto podpisał już petycję?

– Ja tam nie wiem. Na pewno Harper.

– To był jej pomysł.

– Czy Renata nie pracuje z mężem Harper? Czekaście, chyba coś pomyliłam.

Z twoim, Celeste?

Wszystkie oczy spoczęły na Celeste jak na niewidzialną komendę. Ścisnęła palcami nóżkę kieliszka do wina.

– Renata i Perry pracują w tej samej branży – wyjaśniła. – Po prostu się znają.

– Jeszcze nie poznałyśmy Perry’ego, prawda? – zapytała Samantha. – Człowiek owiany tajemnicą.

– Dużo podróżuje. Teraz jest w Genui. – Nie, w Genewie. Zdecydowanie w Genewie. Cisza wciąż wisiała w powietrzu. Jakby na coś czekały. Powiedziała coś dziwnego? Czuła, że czekają na ciąg dalszy. – Poznacie go na wieczorku integracyjnym – uzupełniła. W przeciwieństwie do większości mężczyzn Perry kochał się przebierać. Bardzo się ucieszył na wieść, że w tym czasie będzie na miejscu. „Musisz mieć naszyjnik z pereł, jak Audrey w *Śniadaniu u Tiffany’ego*”, oznajmił. „Przywiozę ci szwajcarskie perły z Genewy”. „Nie”, odpowiedziała. „Proszę”. Na szkolny wieczorek kostiumowy człowiek wkłada tanie błyskotki, a nie naszyjnik wart więcej, niż mieli zebrać. Oczywiście postawi na swoim. Uwielbiał biżuterię. Naszyjnik będzie wart tyle, co samochód, i Madeline oszaleje na jego widok, a Celeste będzie chciała go zdjąć i jej oddać. „Kup też jeden dla Madeline”, miała na końcu języka. Wiedziała, że z radością spełniłby jej prośbę, ale Madeline nigdy nie przyjąłaby takiego prezentu. Ciekawe, że nie mogła dać przyjaciółce prezentu, który sprawiłby jej taką radość. – Wszystkie wybieracie się na wieczorek? – zapytała z ożywieniem. – Czuję, że będzie ciekawie!



Samantha: Widziała pani zdjęcia z wieczorku integracyjnego? Celeste wyglądała olśniewająco. Ludzie nie odrywali od niej oczu. Ponoć to były prawdziwe perły. Ale wie pani co? Na niektórych zdjęciach wygląda na taką

smutną, jakby zobaczyła ducha. Prawie jakby czuła, że zanosi się na coś strasznego.

Rozdział czterdziesty piąty

– Fajnie było. Nie pogadałyśmy o książce, ale może następnym razem – powiedziała Madeline, gdy zostały z Celeste same. Celeste sumiennie skrobała talerze i wkładała je do zmywarki. – Przestań! – poprosiła Madeline. – Ty znowu swoje! – Celeste miała dar do ukradkowego zaprowadzania porządku. Ilekroć Madeline zapraszała ją do siebie, po ich spotkaniu kuchnia lśniła czystością. – Usiądź i napij się ze mną herbaty – dodała. – Patrz, zostało jeszcze kilka babeczek Jane. Pożałowałam ich klubowiczkom.

Celeste rozbłysły oczy. Przysiadła, ale zaraz poderwała się z miejsca.

– A gdzie Ed? Pewnie chciałby już mieć dom dla siebie.

– Słucham? Nie przejmuj się Edem. Dalej chrapie u Chloe – oznajmiła Madeline. – A zresztą kogo to obchodzi? To mój dom, tak samo jak jego.

Celeste uśmiechnęła się blado i usiadła z powrotem.

– Żal mi biednej Jane – powiedziała, gdy Madeline postawiła przed nią babeczkę.

– Wiemy chociaż, że nikt z obecnych nie podpisze tej durnej petycji – zaznaczyła Madeline. – Kiedy wszyscy gadali, myślałam o tym, co przeszła. Opowiadała ci o ojcu Ziggy’ego, prawda?

Zapytała pro forma, Jane wspomniała jej o tym. Madeline nie była pewna, czy wypada poruszać ten temat, ale zaraz rozgrzeszyła się w myślach: przecież to Celeste. Miała zdrowy stosunek do plotkowania, w przeciwieństwie do matek, które łaknęły plotek jak powietrza.

– No. – Celeste ugryzła babeczkę. – Bydlak.

– Sprawdziłam go – wyznała Madeline. Dlatego o tym wspomniała. Czuła się winna; wiedziała, że prawda przyniesie jej ukojenie. Albo chciała obarczyć Celeste jej brzemieniem, co było chyba gorsze.

– Kogo?

– Ojca. Ojca Ziggy’ego. Wiem, że nie powinnam.

– Ale jak? – Celeste zmarszczyła brwi. – Powiedziała ci, jak się nazywał?

Nie wymieniła przy mnie jego nazwiska.

– Wspomniała, że nazywa się Saxon Banks – oznajmiła Madeline. – Wiesz, jak pan Banks z *Mary Poppins*. Podobno zanucił jej piosenkę z filmu. Dlatego zapamiętałam. Dobrze się czujesz? Wpadło nie tam, gdzie trzeba?

Celeste grzmotnęła się w pierś i rozkaszała. Dostała wypieków na twarzy.

– Przyniosę ci wodę – powiedziała Madeline.

– Powiedziałaś Saxon Banks? – upewniła się Celeste zachrypniętym głosem. Odchrząknęła i powtórzyła wolniej: – Saxon Banks?

– Tak. A co? – Nagle Madeline zrozumiała. – O matko... Chcesz powiedzieć, że go znasz?

– Perry ma kuzyna, który tak się nazywa. Jest... – Celeste urwała i zrobiła wielkie oczy. – Agentem nieruchomości. Tak jak facet z opowieści Jane.

– To rzadko spotykane imię. – Madeline starała się pohamować narastające podniecenie. Oczywiście nie była podniecona tym, że Perry jest krewnym Saxona Banksa. Nie był to jakiś tam zbieg okoliczności, tylko coś strasznego. Lecz ta myśl sprawiła jej coś na kształt nieodpartej frajdy i – podobnie jak wstrętna petycja – stanowiła odskocznnię od jej niemalże obsesyjnego rozgoryczenia postawą Abigail.

– Ma trzy córki – powiedziała powoli Celeste. Starła się zebrać myśli.

– Wiem. Przyrodnie siostry Ziggy’ego.

Madeline wzięła swojego iPada i zaczęła szukać tamtego zdjęcia.

– I jest oddany żonie – dodała Celeste. – A do tego przemiły! Ciepły, zabawny. W głowie się nie mieści, że mógłby ją zdradzić. A co dopiero być tak... okrutny.

– To on? – zapytała Madeline, pokazując przyjaciółce zdjęcie na wyświetlaczu.

Celeste spojrzała na fotografię.

– Tak. – Powiększyła zdjęciem kciukiem i palcem wskazującym. – Pewnie mam omamy, ale chyba dostrzegam podobieństwo do Ziggy’ego.

– Oczywiście? – rzuciła domyślnie Madeline. – Wiem. To samo pomyślałam.

Zapadła cisza. Celeste wpatrywała się w wyświetlacz, bębniąc palcami o blat stołu.

– Ja go lubię! – Zerknęła na Madeline. Na jej twarzy malował się wstyd, jakby czuła się współwinna. – Zawsze go lubiałam.

– Jane wspomniała, że był uroczy – zauważyła Madeline.

– No tak, ale... – Celeste odsunęła iPada. – Nie wiem, co robić. Czy

powinnam robić cokolwiek. To takie... trudne. Jeżeli faktycznie ją zgwałcił, najchętniej postawiłabym go przed sądem, ale...

– W pewnym sensie ją zgwałcił – skwitowała Madeline. – To było jak gwałt. Albo napaść. Sama nie wiem, jak to nazwać.

– Tak, ale...

– Wiem. Wiem. Nie można zamknąć kogoś za to, że jest podły.

– Nie mamy pewności – oznajmiła po chwili Celeste, wciąż patrząc na fotografię. – Może źle usłyszała nazwisko albo...

– Albo istnieje inny Saxon Banks – dokończyła za nią Madeline. – Którego nie ma w wyszukiwarce. Nie wszyscy brylują w internecie.

– No właśnie – przytaknęła Celeste bez przekonania. Obie wiedziały, że to pewnie on. Opis pasował jak ulał. Jakie istniało prawdopodobieństwo, że dwóch Saxonów Banksów działało w tej samej branży?

– Czy jest bliski Perry’emu? – spytała Madeline.

– Teraz wszyscy mamy dzieci, więc rzadziej się widzimy. Saxon nie mieszka w Sydney. Ale kiedyś byli bardzo zżyci. Ich matki są bliźniaczkami jednojajowymi.

– Pewnie stąd wasze bliźniaki.

– Tak nam się zawsze zdawało – odparła wymijająco Celeste. – Ale potem się dowiedziałam, że dotyczy to jedynie bliźniąt dwujajowych, więc chłopcy byli tylko przypadkowym... – Głos ją zawiódł. – O Boże... Co ja zrobię, kiedy go znów zobaczę? W przyszłym roku szykuje się wielki zjazd rodzinny w zachodniej Australii. Mam powiedzieć Perry’emu? Jest sens? Tylko się zdenerwuje. Zresztą i tak nic nie wskóramy, prawda? Nie ma na to rady.

– Gdybym próbowała zataić coś takiego przed Edem, prędzej czy później puściłabym farbę – oświadczyła Madeline.

– Jeszcze się wścieknie. – Celeste rzuciła przyjaciółce dziwnie ukradkowe, prawie dziecinne spojrzenie.

– Na wrednego kuzynka? Mam nadzieję.

– Nie, na mnie. – Celeste obciągnęła rękaw.

– Na ciebie? Chcesz powiedzieć, że będzie go bronił? – zdziwiła się Madeline. I co z tego, pomyślała. A niech sobie broni. – Może i tak – dodała.

– I robi się bardzo... niezręcznie – uzupełniła Celeste. – Jeśli spotka Jane na boisku, wiedząc to, co wie.

– Tak, chyba będzie lepiej, jeśli mu nie powiesz, Celeste – oznajmiła uroczyście Madeline, doskonale wiedząc, że ona sama natychmiast

wywrzeszczałyby to Edowi prosto w twarz. „Chcesz wiedzieć, jakiego masz kochanego kuzynka?!”

– Ani Jane? – Celeste się wzdrygnęła.

– W żadnym razie. Tak mi się zdaje. – Madeline przygryzła wargę. – Nie uważasz?

Jane byłaby zła i rozzalona, a zresztą co jej po tej informacji? Przecież nie chciała, by ten człowiek nawiązał z Ziggym rodzicielskie kontakty.

– Tak, tak mi się zdaje. Poza tym nie wiemy na sto procent, że to on.

– Zgadza się – przytaknęła Madeline. Dla Celeste było to widać bardzo istotne. I stanowiło ich wymówkę, linię obrony. – Nie umiem dochowywać tajemnic – przyznała.

– Serio? – Celeste posłała jej dziwny grymas. – Ja jestem w tym świetna.

Rozdział czterdziesty szósty

W drodze do domu Celeste rozmyślała o ostatnim spotkaniu z Saxonem i jego żoną Eleni. Było to na ślubie w Adelaide, tuż zanim zaszła w ciążę z chłopcami. Na hucznym weselu jednej z licznych kuzynek Perry'ego.

Przypadkiem zaparkowali tuż obok Saxona. Nie widzieli się w kościele, więc Perry z Saxonem wyskoczyli z samochodów, zaczęli się klepać i obejmować. Obaj mieli łzy w oczach. Naprawdę się lubili. Celeste i Eleni dygotały w swoich skąpych sukienkach i wszyscy czworo z niecierpliwością wyczekiwali upragnionej chwili, kiedy po długiej ceremonii w zimnym kościele zasiądą wreszcie i się napiją.

– Ponoć mają tu świetne jedzenie – oznajmił Saxon, zacierając ręce, po czym wszyscy ruszyli w stronę wejścia do lokalu. Nagle Eleni stanęła jak wryta. Zostawiła komórkę na ławce w kościele. Od którego dzieliła ich godzina drogi.

– Wy zostańcie. Ja pojedę – powiedziała, ale Saxon tylko przewrócił oczami.

– Nie, ty nie pojedziesz, kochana – powiedział.

Koniec końców Perry pojechał z Saxonem, a Celeste i Eleni poszły na wesele i napiły się szampana przy kominku.

– O raju, czuję się podle – oświadczyła wesoło Eleni i dała znak kelnerowi, by ponownie napełnił jej kieliszek.

„Nie, ty nie pojedziesz, kochana”.

Czy mężczyzna, który przyjął irytujący incydent tak wielkodusznie i z pogodą ducha, mógł być tym samym człowiekiem, który tak okrutnie potraktował dziesięcioletką?

Kto jak kto, ale Celeste wiedziała najlepiej, że to całkiem możliwe. (Perry też pojechałby po jej komórkę.)

Czyżby łączyły ich te same genetyczne zaburzenia psychiczne? Szaleństwo bywa dziedziczne, a Perry i Saxon byli synami bliźniaczek jednojajowych.

Z punktu widzenia genetyki byli nie tylko kuzynami, ale też braćmi przyrodnymi.

A może matki ich złamały? Jean i Eileen były słodkimi, eterycznymi kobietkami o identycznych dzieciennych głosikach, dźwięcznym śmiechu i ładnych kościach policzkowych, reprezentowały typ kobiet o złudnej uległości. Przyciągały przebojowych mężczyzn, którzy nawykli do wydawania poleceń, ale w domu dawali się rozstawiać po kątach.

Być może na tym polegał problem. Celeste i Eleni nie miały tego niezwykłego połączenia słodyczy i władzy. Były zupełnie zwyczajne. Nie dorastały do wzorców wyznaczonych przez matki.

I dlatego Saxon i Perry mieli te... ciągoty.

Lecz to, co Saxon zrobił Jane, znacznie wykraczało poza wybryki Perry'ego.

Perry był wybuchowy. Nic więcej. W gorącej wodzie kąpany. Zmienny. Stres wynikający z pracy i zmęczenie ciągłymi podróżami sprawiały, że tracił panowanie nad sobą. To go nie usprawiedliwiało. Bynajmniej. Lecz dawało się wytłumaczyć. Nie płynęło ze złej woli czy złej natury. To biedna Eleni wyszła za drania.

Czy Celeste miała obowiązek powiedzieć jej prawdę o mężu? Czy ciążyła na niej odpowiedzialność wobec podпиты, bezbronnych dziewcząt, które Saxon nadal mógł podrywać w barach?

Ale nie wiedziały na pewno, że to był on.

Celeste zajechała na podjazd, otworzyła garaż na trzy auta i ogarnęła wzrokiem rozległą panoramę: rozbłyskające światła domów nad zatoką, czarną obecność oceanu. Drzwi garażu uniosły się jak kurtyna odsłaniająca oświetloną scenę i samochód wtoczył się do środka.

Przekręciła kluczyk. Cisza.

W tym drugim, udawanym życiu, które planowała, nie było garażu, a jedynie miejsca parkingowe w podziemiu, na oko bardzo małe, z betonowymi słupami. Musiałaby wjeżdżać tyłem. Z góry wiedziała, że roztrzaska tylne światło. Kompletnie nie umiała parkować.

Podwinęła rękaw koszuli i spojrzała na swoje siniaki.

Tak, tak, Celeste, zostań z człowiekiem, który ci to robi, z powodu parkowania.

Otworzyła drzwi.

Przynajmniej nie był taki wstrętny jak jego kuzyn.

Rozdział czterdziesty siódmy

– Jak się nazywa ta baba od petycji?
– A co? No co jej zrobisz, tato? – spytał Dane. – Połamiesz jej kolana?
– Chciałbym. – Ojciec Jane podniósł do światła tyci element układanki i zmrużył oczy. – Co to w ogóle za imię? Amabella. Idiotyizm. Nie mogli nazwać jej Annabellą, jak Bóg przykazał?

– Masz wnuka o imieniu Ziggy – przypomniał mu Dane.

– Hej – skarciła brata Jane. – To był twój pomysł.

Siedziała przy stole rodziców, popijała herbatę, skubała herbatniki i układała puzzle. Ziggy spał w jej dawnym pokoju. Odpuściła mu jutrzejsze lekcje, żeby nie musieli się wcześniej zrywać. Renata i jej koleżanki będą zadowolone.

A może, pomyślała, tocząc wzrokiem po kremowo-brzoskwiniowej kuchni z lat osiemdziesiątych, wcale nie wracać do Pirriwee? Tutaj było jej miejsce. Co też jej strzeliło do głowy, żeby wynieść się tak daleko. Chyba choroba. Miała dziwne, skrzywione pobudki i spotkała ją za to kara.

Tu wszystko było swojskie: kubki, stary brązowy imbryk, obrus na stole, zapach domu, no i oczywiście układanka. Zawsze układanka. Odkąd Jane pamiętała, rodzina miała fioła na punkcie puzzli. Kuchenny stół nie służył do jedzenia, tylko jako miejsce pod kolejną układankę. Dzisiaj zaczęli nową, zamówioną przez tatę. Impresjonistyczny obraz z dwóch tysięcy elementów. Nieskończone mnóstwo kolorowych ciapek.

– Może powinnam tu wrócić – rzuciła na próbę. Nie wiedzieć czemu przyszła jej do głowy Blue Blues – zapach kawy, szafirowy połysk oceanu i mrugnięcie Toma, gdy podawał jej filiżankę, jak gdyby łączyła ich cicha komitywa. Pomyślała o Madeline z rulonem brystolu jak buławą i o podskakującym kucyku Celeste, kiedy szły na poranny spacer pod sosnami. Pomyślała o letnich popołudniach na początku roku, gdy chodzili z Ziggyem ze szkoły prosto na plażę. Zdejmował na pisaku szkolne buciki i skarpetki,

zdzierał szorty i koszulkę, po czym pędził do wody w samych majtkach, gdy goniła go z tubką kremu do opalania. Zaśmiewał się ze szczęścia, kiedy obmywała go biała piana fali. Ostatnio, dzięki Madeline, znalazła dwóch dobrych klientów w bliskim sąsiedztwie swojego mieszkania: Firmę Wędliniarską Pirriwee oraz Serwis Toma O'Briena. Ich rachunki nie śmierdziały dymem papierosowym ani hamburgerami. (Faktury Toma O'Briena wydzielały lekki zapach potpourri.) Uświadomiła sobie, że przez ostatnie miesiące przeżyła część najpiękniejszych chwil w swoim życiu, i ta myśl wstrząsnęła nią do głębi. – Ale w sumie nam tam dobrze – dodała. – I Ziggy lubi szkołę... jak zawsze.

Przypomniała sobie jego wcześniejsze łyzy. Nie mogła posyłać go do szkoły z dziećmi, którym zabraniano się z nim bawić.

– Jeśli chcesz zostać, proszę bardzo – odpowiedział ojciec. – Nie możesz pozwolić, żeby tamta kobieta zmusiła cię do zmiany szkoły. Dlaczego sama się nie wyniesie?

– Ziggy nie mógł nic zrobić jej córce – oznajmiła matka, nie odrywając oczu od barwnych elementów, które przekładała tam i z powrotem po blacie.

– Sęk w tym, że ona myśli inaczej – stwierdziła Jane. Próbowwała wpasować jeden z kawałków w prawy dolny róg. – A część rodziców podziela jej zdanie. Sama nie wiem, nie dałabym sobie ręki uciąć, że czegoś nie przeskrobał.

– To tu nie pasuje – zauważyła matka. – A ja owszem. To do niego niepodobne... Jane, przecież ci mówię, że to tu nie pasuje. To fragment damskiego kapelusza. O czym to ja...? Aha, Ziggy, no przecież spójrz na siebie, zawsze byłaś taka nieśmiała, nikomu nie wadziłaś. A dziadzius to już w ogóle był anioł...

– A co ma do tego dziadzius, mamó? – Jane dała sobie spokój z układanką i rzuciła element na stół. Jej frustracja objawiała się nagłymi wybuchami gniewu oraz irytacją wymierzoną w Boga ducha winną matkę. – Na miłość boską, Ziggy nie jest jego wcieleniem! Dziadzius nawet nie wierzył w reinkarnację! Poza tym nie wiem, jakie cechy Ziggy odziedziczył po ojcu, bo ojciec Ziggy'ego był, był... – W porę ugryzła się w język. Idiotka.

Przy stole zapadła cisza. Dane, który właśnie sięgał po jeden z elementów, podniósł wzrok znad blatu.

– Co ty opowiadasz, kochanie? – Matka zgarnęła paznokciem okruch z kącika ust. – Chcesz powiedzieć, że on cię... że cię skrzywdził?

Jane rozejrzała się wokół i napotkała pytające spojrzenie Dane'a. Matka stuknęła dwoma palcami o dolną wargę. Ojciec siedział z zaciśniętą szczęką. W jego oczach malowało się coś na kształt zgrozy.

– Ależ skąd – odpowiedziała. Jeśli spokój bliskiej osoby zależał od kłamstwa, mogła kłamać jak z nut. – Przepraszam! Boże, nie. Nie o to mi chodziło. Chciałam powiedzieć, że właściwie go nie znałam. Znaczący wydawał się bardzo miły, ale nic o nim nie wiemy. To żaden powód do chluby, ale...

– Już przeboleliśmy, że się puściłaś, Jane – zaznaczył Dane z naciskiem. Widziała, że jej nie wierzy. Ale nie musiał, grunt, że rodzice wierzyli.

– Zgadza się – poparła go matka. – I nie obchodzi mnie, jakie cechy przejął po nim Ziggy. Wiem, że to mój wnuk, który nie jest i nigdy nie będzie chuliganem.

– Tak jest – wtrącił tata. Siedział przygarbiony. Wypił łyk herbaty i sięgnął po kolejny element układanki.

– Jak nie chcesz wierzyć w reinkarnację, to sobie nie wierz, panienko – dorzuciła matka. – Ale to nie znaczy, że ona nie istnieje!



Jonathan: Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem plac zabaw w Pirriwee Public, byłem zachwycony. Ile zakamarków! Ale teraz widzę, że to był zasadniczy minus. Różne rzeczy się działy za plecami wychowawców.

Rozdział czterdziesty ósmy

Madeline stała w salonie i nie wiedziała, co ze sobą począć.

Ed i dzieci spali, a dzięki Celeste nie musiała już sprzątać. Powinna się położyć, lecz nie była zmęczona. Jutro piątek, a piątkowe ranki to urwanie głowy. Trzeba zawieźć Abigail na korepetycje z matematyki przed szkołą, Fred ma szachy, a Chloe...

Zastygła.

Nie musiała odwozić Abigail. Przestało to na niej ciążyć. Zawiezie ją Nathan lub Bonnie. Bez przerwy zapominała, że rola matki Abigail dobiegła końca. Jej życie tylko z dwójką dzieci teoretycznie stało się prostsze, lecz każda refleksja na ten temat wiązała się z dotkliwym poczuciem straty.

Aż zadrżała z gniewu, który nie znajdował ujścia.

Podniosła z podłogi miecz świetlny. Fred zostawił go chyba jako pułapkę. Pstryknęła przycisk i miecz zapłonął na czerwono i zielono. Przecięła powietrze jak Darth Vader, kładąc wroga.

A niech cię diabli, że ukradłeś mi córkę, Nathan!

A niech cię diabli, że mu w tym pomogłaś, Bonnie!

A niech cię diabli, Renato, za petycję!

A niech cię diabli, panno Barnes, że dopuściłaś do dręczenia Amabelli!

Na myśl o biednej pannie Barnes i jej dołeczkach ogarnęły ją wyrzuty sumienia i czym prędzej przeszła do dalszych punktów listy.

A niech cię diabli, Saxonie Banks, za to, co zrobiłeś Jane, ty cholerny bydlaku!

Tak energicznie zamachnęła się mieczem, że zawadziła o żyrandol, który zakołysał się na wszystkie strony. Szybko rzuciła miecz na kanapę i przytrzymała lampę.

No tak. Koniec zabawy. Wyobraziła sobie minę Eda na wieść, że zepsuła żyrandol, udając Dartha Vadera.

Wzięła iPada, na którym pokazywała Celeste zdjęcia Saxona Banksa. Ukoi

nerwy partyjką Plants vs Zombies. Sumiennie zachowywała wyniki. Lubiła podziw Freda, gdy patrzył jej przez ramię i widział, że przeszła na kolejny poziom i zdobyła nową broń na zombi.

Ale najpierw zerknie na profil Abigail na Facebooku i Instagramie. Kiedy córka jeszcze mieszkała w domu, Madeline zaglądała tam od czasu do czasu, dla spokoju sumienia. Teraz miała obsesję na tym punkcie. Jakby ją śledziła, złaćniona informacji o jej życiu w sposób godny pożałowania.

Abigail zmieniła zdjęcie profilowe. Przedstawiało całą jej sylwetkę w pozycji jogi, z rękami złożonymi jak do modlitwy, jedną chudą nogą na drugim kolanie i włosami opadającymi na ramię. Wyglądała pięknie. Sprawiała wrażenie szczęśliwej. Wręcz promieniała.

Tylko najbardziej samolubna z matek wzięłaby Bonnie za złe wprowadzenie jej córki w coś, co uszczęśliwiało ją w tak namacalny sposób.

Madeline musiała być najbardziej samolubną z matek.

Może powinna pójść na jogę, żeby znaleźć wspólny język z własną córką? Ilekroć próbowała, stwierdziła, że powtarza w duchu własną mantrę: Nuuuuda, nuuuuda.

Zerknęła na komentarze koleżanek Abigail. Wszystkie wyrażały aprobatę, ale zatrzymała się na jednym z nich, Frei, za którą Madeline nie przepadała, gdyż uważała ją za toksyczną. Freya napisała: „To zdjęcie, które wykorzystasz w swoim projekcie? Czy nie za mało sexy/zdzirowate?”.

„Sexy/zdzirowate”? Nozdrza Madeline wydeły się niebezpiecznie. Co ta mała wiedźma wypisuje? Jakież to znowu „projekt” wymagał od Abigail bycia sexy/zdzirowatą? Wyglądał na taki, któremu należało zapobiec.

Ot, szemrany świat internetu. Człowiek płynie sobie beztrąsko w cyberprzestrzeni, zerkając raz tu, raz tam, po czym niespodziewanie napotyka ohydę. Pomyślała o tym, co czuła na widok zdjęć Saxona Banksa na swoim iPadzie. Oto kara za szpiegowanie.

Abigail odpisała na komentarz Frei: „Sza!!! Ściśle tajne!!!!”.

Odpowiedź przyszła pięć minut temu. Madeline spojrzała na zegar. Dochodziła północ! Zawsze nalegała, żeby Abigail chodziła wcześniej spać przed korepetycjami, ponieważ rano trzeba było zwlekać ją z łóżka i pieniądze szły na marne, bo ze zmęczenia nie mogła się skupić.

Niewiele myśląc, wysłała jej prywatną wiadomość: „Hej! Dlaczego jeszcze nie śpisz? Jutro masz korki! Jazda do łóżka! Mama xxx”.

Zauważyła, że serce wali jej w piersi, kiedy klikała „wyslij”. Jakby złamała

jakąś zasadę. Ale była matką Abigail! Wciąż miała prawo kazać jej iść spać.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie: „Tata odwołał korepetytora. Sam będzie mnie uczył. Ty idź spać! X”.

– Że co? – powiedziała Madeline do iPada. – Co, kurwa, zrobił?

Nathan odwołał korepetytora. Podjął samodzielną decyzję w sprawie nauki Abigail. Człowiek, który nie chodził na szkolne przedstawienia, zebrania z rodzicami i dni sportu, człowiek, którego ominęło odprowadzanie przestraszonej pięciolatki w każdy poniedziałkowy rano do przedszkola, podobnie jak przygotowywanie wydumanych zadań domowych, czytanie poleceń, które nie miały najmniejszego sensu, odrabianie zapomnianych lekcji w przeddzień szkoły, nerwy egzaminacyjne oraz rozmowa z miłą nauczycielką, która nosiła dziwne kolczyki i oznajmiła przed laty, że Abigail będzie zapewne borykać się z matką, w związku z czym potrzebuje jak największego wsparcia i pomocy.

JAK ŚMIAŁ?!

Bez chwili namysłu wybrała numer Nathana, dygocząc z uzasadnionego gniewu. Nie będzie czekała do rana. Musi nawymyślać mu teraz, w tej chwili, zanim ją rozsądzi.

– Halo? – zabrzmiał w słuchawce jego zdziwiony, zaspany głos.

– Odwołałeś korepetytora Abigail? Zrobiłeś to bez porozumienia ze mną? – Cisza. – Nathan? – warknęła Madeline.

Usłyszała, jak chrząka.

– Maddie – sądząc po głosie, chyba minęła mu senność – naprawdę dzwonił do mnie o północy, żeby porozmawiać o korepetycjach z matematyki? – Mówił zupełnie innym tonem niż zwykle. Latami przywoływał jej na myśl nadgorliwego sprzedawcę, któremu zależy na prowizji. Teraz miał Abigail i uważał się za równego Madeline. Już nie musiał przeproszać. Mógł dać upust irytacji. Być typowym byłym mężem. – Śpimy – zaznaczył. – Serio nie mogłaś poczekać do rana? Skye i Bonnie mają bardzo lekki...

– Nie śpisz! – wybuchła Madeline. – Twoja czternastoletnia córka też nie śpi i wisi na Facebooku! Czy w waszym domu panuje jakakolwiek dyscyplina? Czy ty masz w ogóle pojęcie, czym ona się w tej chwili zajmuje?

Usłyszała w tle cichy, melodyjny głos Bonnie, mówiący coś miłego i krzepiącego.

– Pójdę sprawdzić – odpowiedział Nathan. Jego ton zabrzmiał bardziej pojednawczo. – Myślałem, że śpi. Słuchaj, te korepetycje były do bani. Ten

nauczyciel to smarkacz, ja sobie lepiej poradzę. Ale masz rację, powinienem był się z tobą skonsultować. Naprawdę chciałem. Wyleciało mi z głowy.

– Ten nauczyciel miał dobre wyniki – zaznaczyła Madeline.

Wypróbowały dwóch innych, zanim trafiły do Sebastiana. Chłopak miał takie wyniki, że nie można było się do niego dopchać. Madeline ubłagała go, żeby wcisnął Abigail w swój grafik.

– Nie, nie miał – zabrzmiała odpowiedź. – Ale wrócimy do tej rozmowy, kiedy będę przytomny.

– Bosko. Nie mogę się doczekać. Ale zamierzasz mnie informować o innych zmianach w planie Abigail? Pytam z ciekawości.

– Zakończmy tę rozmowę – powiedział Nathan.

I się rozłączył.

Madeline rzuciła komórkę z taką siłą, że odbiła się od ściany i wylądowała u jej stóp. Pogruchotany wyświetlacz łypnął na nią jak wyrzut.



Stu: Nie uważałem biednego Nathana za złego faceta. Czasami widywałem go w szkole. To miejsce jest zdominowane przez kobiety, które tak klepią, że ciężko cokolwiek wtrącić. Dlatego zawsze rozmawiam z innymi ojcami. Pamiętam, jak któregoś ranka gadaliśmy sobie z Nathanem, aż tu nadchodzi Madeline na tych swoich wysokich obcasach. Jezus Maria... gdyby wzrok mógł zabijać!

Gabrielle: Nie zniosłabym życia na tym samym przedmieściu, co mój były. Gdyby nasze dzieci chodziły razem do szkoły, pewnie bym go zabiła. To nienormalne.

Bonnie: Czemu nienormalne? Chcieliśmy być jak najbliżej Abigail i znaleźliśmy wymarzony dom w okolicy. A cóż w tym nienormalnego?

Rozdział czterdziesty dziewiąty

PIĘĆ DNI PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

Był poniedziałkowy ranek tuż przed dzwonkiem. Jane wracała z biblioteki szkolnej, dokąd zaniósła dwie książki, które Ziggy zapomniał oddać w ubiegłym tygodniu. Zostawiła go na placu zabaw z Chloe i bliźniakami. Przynajmniej Celeste i Madeline nie zabraniały swoim dzieciom wspólnej zabawy z jej synkiem.

Miała zostać w szkole i posłuchać, jak dzieci ćwiczą czytanie. Zgłosiła się na ochotnika, razem ze Stu, tatą Lily.

Wychodząc z biblioteki, przed salą muzyczną ujrzała dwa Blond Pazię, pogrążone w ważnej, hałaśliwie poufnej wymianie zdań.

– Która to matka? – usłyszała głos jednej z nich.

– Taka szara myszka – padła odpowiedź drugiej. – Naprawdę młoda. Renata wzięła ją za opiekunkę.

– Czekaaj, czekaaj! Chyba wiem! Czesze się w ten sposób, nie? – Blond Paź odgarnęła włosy do tyłu i zebrała je w kucyk. W tej samej chwili podchwyciła wzrok Jane i wytrzeszczyła oczy. Opuściła ręce jak dziecko przyłapanie na psocie.

Druga kobieta, odwrócona plecami do Jane, mówiła dalej:

– Tak! Właśnie ta! Podobno jej dzieciak, ten cały Ziggy, potajemnie dokucza biednej Amabelli. Naprawdę dokucza... No co? – Blond Paź, która zamilkła, teraz wykonywała głową konwulsyjne ruchy. – Co się stało? Ach! – Kobieta spojrzała przez ramię i zobaczyła Jane. Poróżowiała. – Dzień dobry! – zawołała. Ktoś tak wysoko postawiony w szkolnej hierarchii zwykle uśmiechnąłby się tylko łaskawie i skinął głową niczym król kmieciowi.

– Cześć – rzuciła Jane.

Kobieta przyciskała do piersi podkładkę do pisania. Raptem opuściła rękę i podkładka zawisała jej za plecami, jak u dziecka, które zwinęło ze stołu

cukierek.

Petycja, pomyślała Jane. Podpisywali nie tylko rodzice przedszkolaków. Zabiegano również o podpisy rodziców starszych dzieci. Którzy nie znali ani jej, ani Ziggy'ego i nic nie wiedzieli o sprawie.

Minęła obie kobiety. Oparła rękę na klamce szklanych drzwi prowadzących na plac zabaw i zamarła. W jej ciele wzbierał łoskot jak w startującym odrzutowcu. Tamta wypluła imię Ziggy'ego z taką pogardą. Oddech Saxona Banksa połaskotał Jane w ucho: „Umysł nieskazonny myślą”.

Zawróciła. Podeszła do kobiet i stanęła tuż na wprost nich. Cofnęły się drobnym kroczeniem z komicznie wytrzeszczonymi oczami. Wszystkie trzy były z grubsza tego samego wzrostu. Wszystkie były matkami. Ale Blond Pazię miały mężów, domy i absolutną pewność co do swojego miejsca na ziemi.

– Mój syn nigdy nikogo nie dręczył – oznajmiła Jane i nagle dotarło do niej, że to prawda. Był Ziggym Chapmanem. Nie miał nic wspólnego z Saxonem Banksem. Ani z dziadkiem. Ani nawet z nią samą. Był po prostu Ziggym. Może nie wiedziała o nim wszystkiego, ale tego była pewna.

– Ależ kochana, wszystkie to przerabialiśmy! Jesteśmy z tobą! Taka paskudna sytuacja – zaczęła Blond Paź z podkładką. – A pozwalasz mi oglądać telewizję? Ja stwierdziłam, że ograniczenie czasu spędzanego przed ekranem..

– On nigdy nikogo nie dręczył – powtórzyła Jane.

A potem odwróciła się i odeszła.



Thea: No więc tydzień przed wieczorkiem integracyjnym Jane naskoczyła na Trish i Fionę, zajęte prywatną rozmową. Stwierdziły, że zachowywała się dziwnie, aż przyszło im do głowy, czy nie ma przypadkiem.. problemów psychicznych.



Gdy Jane wyszła na plac zabaw, spłynął na nią dziwny spokój. Może musi brać przykład z Madeline? Koniec z unikaniem konfrontacji. Trzeba brać byka za rogi i już.

Po chwili podeszła do niej pierwszoklasistka.

- Mam dzisiaj lunch na specjalne zamówienie.
- Szczęściara – odpowiedziała Jane. Był to jeden z jej ulubionych aspektów przebywania na placu zabaw: dzieci zagadywały tak swobodnie, od razu mówiły, co im leży na sercu.
- Miałam jeść normalnie, bo dziś nie jest piątek, ale rano pszczoła ugryzła mojego młodszego brata, siostra zbiła szklanę, a mama powiedziała, że zaraz zwariuje. – Na poparcie swych słów dziewczynka złapała się za głowę. – Potem dodała, że mogę sobie zamówić lunch w nagrodę, ale bez soku i piernikowego ludzika, tylko nie z czekoladą, a wiedziała pani, że pszczoły żądła i zaraz umierają?
- Wiedziałam – przyznała Jane. – To ostatnia rzecz, jaką robią.
- Jane! – Panna Barnes zmierzała w jej stronę z koszem pełnym kostiumów.
- Dzięki, że przyszłaś!
- Uhm. Nie ma za co? – Jane robiła to co poniedziałek od początku roku.
- Znaczący, zważywszy na okoliczności. – Panna Barnes się wzdrygnęła i oparła kosz na biodrze. Podeszła bliżej i zniżyła głos: – W sprawie petycji na razie cisza. Pani Lipmann zakomunikowała wiadomym rodzicom, żeby odpuścili. I przydzieliła mi praktykantkę, która weźmie dzieci pod lupę, zwłaszcza Amabellę i Ziggy’ego.
- To wspaniale. Ale dałabym głowę, że petycja wciąż jest w obiegu.

Czuła na sobie spojrzenia napierające ze wszystkich stron, jakby wszyscy rodzice obserwowali jej rozmowę z nauczycielką. Tak muszą się czuć sławni ludzie.

Panna Barnes westchnęła.

- Zauważyłam, że w piątek nie puściłaś Ziggy’ego do szkoły. Mam nadzieję, że nie dasz się zastraszyć.
- Część rodziców zabroniła swoim dzieciom się z nim bawić.
- Na miłość boską...
- Tak. I dlatego ja też składam petycję – ciągnęła Jane. – O zawieszenie wszystkich dzieci, które nie chcą się bawić z Ziggym.

Panna Barnes zmartwiała na chwilę. Następnie odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem.



Harper: Szkoła może sobie mówić, że brała tę sprawę na serio, ale panna Barnes urządziła sobie z Jane śmichy-chichy na placu zabaw! Wkurzyło mnie to, prawdę powiedziawszy. Było to w dniu napaści. Nie, nie waham się użyć słowa „napaść”.

Samantha: Napaść. Ludzie kochani!

Rozdział pięćdziesiąty

Czytanie odbywało się na placu zabaw. Tego dnia Jane siedziała w Żółwym Zakątku, nazwanym tak z powodu wielkiego, betonowego żółwia pośrodku piaskownicy. Rodzic i dziecko mogli siadać wygodnie na jego szyi, a panna Barnes przyniosła koc i poduszki.

Jane uwielbiała słuchać, jak dzieci czytają, patrzeć, jak sylabizują ze zmarszczonymi brwiami, uśmiechają się triumfalnie, kiedy im się uda, spontanicznie wybuchają śmiechem i rzucają komiczne uwagi. Gdy siedziała na żółwiu w blasku słońca, z piaskiem u stóp i oceanem połyskującym w oddali, czuła się jak na wakacjach. Pirriwee Public była czarodziejską szkołą, niemal szkołą z marzeń, toteż myśl o przeniesieniu Ziggy'ego gdzieś, gdzie nie ma żółwia ani panny Barnes, napełniła Jane smutkiem i urazą.

– Pięknie, Max! – zawołała, upewniwszy się najpierw, że to faktycznie Max, a nie Josh właśnie dobrnął do końca *Urodzin małpki*. Madeline zdradziła jej, że najłatwiej odróżnić ich po truskawkowym znamieniu na czole Maxa. „Nazywam go Max z Myszka”. – Świetna interpretacja – dodała, choć nie miała co do tego pewności. Kazano rodzicom mówić każdemu dziecku coś miłego.

– No – odparł Max niewzruszony. Zsunął się z szyi żółwia, usiadł po turecku na piasku i zaczął kopać.

– Max – upomniała go Jane.

Chłopiec westchnął teatralnie, po czym zerwał się na równe nogi i pognął do klasy, komicznie wymachując rękami jak postać z kreskówki. Obaj bliźniacy byli niewiarygodnie szybcy jak na pięciolatków.

Jane wykreśliła jego imię z listy i sprawdziła, kogo panna Barnes przysyła w następnej kolejności. Amabella. Max prawie się z nią zderzył, kiedy szła przez plac zabaw w stronę Jane, ze spuszczoną kędzierzawą główką i książką pod pachą.

– Witaj, Amabello! – zawołała wesoło Jane. Twoja mama i jej koleżanki

wymyśliły petycję o zawieszenie Ziggy'ego, bo myślą, że ci dokucza, skarbie!
Może mi powiesz, co tu jest grane, he?

Odkąd zaczęła przychodzić na czytanie, bardzo polubiła Amabellę. Tej cichej dziewczynki o poważnej, anielskiej twarzyczce nie sposób było nie lubić. Toczyła z Jane ciekawe rozmowy o książkach, które wspólnie czytały.

Oczywiście Jane nie nawiąże ani słowem do sprawy Ziggy'ego. To byłoby niewłaściwe. Wręcz nie do pomyślenia.

No przecież.



Samantha: Proszę mnie źle nie zrozumieć. Bardzo lubię pannę Barnes. Każdy, kto dzień w dzień godzinami stawia czoło pięciolatkom, według mnie zasługuje na medal. Ale nie powinna wysłać wtedy Amabelli na czytanie z Jane. To był gruby nietakt.

Panna Barnes: To był błąd. Jestem człowiekiem. Popełniam błędy. Jak każdy. Ci rodzice biorą mnie za maszynę i żądają zwrotu gotówki, ilekroć nauczyciel się pomyli. Nie chcę mówić na Jane nic złego – ale wtedy przeholowała.



Amabella czytała Jane książkę o Układzie Słonecznym. Była to najtrudniejsza książka z przedszkolnej biblioteki, ale dziewczynka jak zwykle czytała płynnie, z nienaganną ekspresją. Jane nie miała nic do roboty, wtrącała zatem tylko swoje trzy grosze na temat treści, która dziś nie wzbudziła jej zainteresowania. Myślała wyłącznie o Ziggym.

– Sądzisz, że jak żyłoby się na Marsie? – spytała w końcu.

Amabella uniosła głowę.

– To byłoby niemożliwe. Nie dałoby się oddychać z powodu dużej zawartości dwutlenku węgla w powietrzu. I byłoby za zimno.

– No właśnie – odpowiedziała Jane, choć dla pewności musiałaby to sprawdzić w sieci. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Amabella jest od niej mądrzejsza.

– I człowiek byłby samotny – dodała dziewczynka po chwili.

Czemu tak bystra istotka nie powie prawdy? Jeśli to był Ziggy, dlaczego to ukrywa? Dlaczego nie naskarzy? Jakie to dziwne. Przecież dzieci to takie gaduły.

– Kochanie, wiesz, że jestem mamą Ziggy’ego, prawda? – zagaiła ostrożnie. Amabella pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć „no przecież”. – Czy Ziggy ci dokucza? Jeśli tak, to możesz mi powiedzieć, a ja obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobi. – Oczy Amabelli natychmiast wypełniły się łzami. Jej dolna warga zadrżała. Spuściła głowę. – Amabello. Czy to był Ziggy? – Amabella tylko wykrztusiła coś niezrozumiałego. – Słucham?

– To nie był... – zaczęła dziewczynka, ale zaraz wygięła buzię w podkówkę i rozpłakała się na całego.

– To nie był Ziggy? – Serce Jane wypełniła desperacka nadzieja. Miała ochotę potrząsnąć dziewczynką, zmusić ją do odpowiedzi. – Mówisz, że to nie on?

– Amabello! Amabello, skarbie! – Harper stała na skraju piaskownicy ze skrzynką pomarańczy, którą niosła do stołówki. Na szyi miała białą apaszkę, zawiązaną tak ciasno, że wyglądała, jakby ją ktoś dusił. Purpurowa z gniewu końska twarz potęgowała ten efekt. – Co się stało? – Z rozmachem postawiła skrzynkę i ruszyła po piasku w ich stronę. – Amabello! – powtórzyła. – Co się dzieje?

Zupełnie jakby Jane nie istniała albo była innym dzieckiem.

– Wszystko w porządku, Harper – oznajmiła lodowato Jane i objęła Amabellę. – Pomarańcze ci uciekają. – Pokazała palcem. Żółwiowy Zakątek znajdował się na szczycie małego wzniesienia, skrzynka Harper przechyliła się na jedną stronę i owoce potoczyły się po placu zabaw w kierunku Stu, który siedział z drugim dzieckiem w pobliżu Ściany Rozgwiadzy.

Harper nie odrywała wzroku od Amabelli, ignorując Jane z takim rozmysłem, że było to wręcz zabawne, przede wszystkim jednak nad wyraz chamskie.

– Chodź ze mną, Amabello. – Wyciągnęła rękę.

Dziewczynka pociągnęła nosem. Gile ciekły jej do ust, lecz zwyczajem pięciolatek nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

– Ja tu jestem, Harper! – warknęła Jane, wyjmując z kieszeni kurtki paczkę chusteczek. Diabli nadali. Jeszcze chwila, a dowiedziałyby się prawdy. Przyłożyła chustkę do nosa małej. – Dmuchaaj, Amabello.

Amabella dmuchnęła posłusznie. Dopiero wtedy Harper raczyła spojrzeć na Jane.

– Widać, że jest zdenerwowana! Co jej nagadałaś?

– Nic! – burknęła z furią Jane, a poczucie winy, że chciała potrząsnąć Amabellą, jeszcze bardziej ją rozjuszyło. – Może pójdziesz pozbierać podpisy do swojej wrednej petycji?

– O na pewno! Żebyś mogła dalej się znęcać nad bezbronną dziewczynką! – Harper podniosła głos. – Jaka matka, taki syn!

Tego było za wiele. Jane zerwała się z żółwia i kopnęła piasek, z trudem się powstrzymując, żeby nie kopnąć Harper.

– Jak śmiesz mówić tak o moim synu!

– Jak śmiesz mnie kopać! – wrzasnęła Harper.

– Wcale cię nie kopnęłam! – Jane sama była zdziwiona skalą decybeli w swoim głosie.

– Co, do cho...? – Stu, w niebieskim kombinezonie roboczym, stał z naręczem ocalonych pomarańczy. Chłopczyk, który z nim czytał, z pomarańczą w każdej ręczce, oczami jak spodki chłonał dwie wrzeszczące matki.

W tej samej chwili rozległ się przeraźliwy skowyt. Carol Quigley, która właśnie wybiegła z sali muzycznej z odkażaczem w dłoni, poślizgnęła się na zbłąkanej pomarańczy i spektakularnie klapnęła na tyłek.



Carol: Pozwolę sobie zauważyć, że miałam bardzo stłuczoną kość ogonową.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Gabrielle: Ani się obejrzałam, jak Harper oskarżyła Jane o napaść w Żółwiowym Zakątku, co uważam za mało prawdopodobne.

Stu: Harper narobiła rabanu. Nie wyglądała na pokrzywdzoną. Ja tam nie wiem. Wezwano mnie do pękniętej rury, nie miałem czasu na awantury matek w piaskownicy.

Thea: Wtedy część rodziców postanowiła zgłosić sprawę do Wydziału Edukacji.

Jonathan: Co naturalnie przerażyło biedną panią Lipmann. Zdaje się, że to były jej urodziny. Biedaczka.

Pani Lipmann: Powiem jedno: nie mogliśmy zawiesić Ziggy'ego Chapmana. Oskarżono go tylko raz, podczas drzwi otwartych, kiedy nawet nie był jeszcze uczniem naszej szkoły. Potem były to jedynie domniemania rodziców. Nic mi nie wiadomo o urodzinach. To bez znaczenia.

Panna Barnes: Ci rodzice powariowali. Jak mieliśmy zawiesić Ziggy'ego? Był wzorowym uczniem. Żadnych problemów. Nigdy nie wysłałam go do kąta. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek dała mu czerwoną kropkę! A już na pewno nigdy nie dostał żółtej kartki. O białej nie wspominając.



PRZEDDZIEŃ WIECZORKU INTEGRACYJNEGO

W piątki Madeline pracowała, w związku z czym zwykle nie chodziła na apel. Ed pojawiał się, jeśli któreś z dzieci występowało bądź odbierało nagrodę za dobre zachowanie. Ale dziś Chloe ubłagała Madeline, żeby przyszła, gdyż przedszkolaki recytowały *Dentystę i krokodyla*, a ona miała do wypowiedzenia samodzielną kwestię.

Ponadto klasa Freda miała po raz pierwszy zagrać na fletach. *Sto lat* dla pani Lipmann będzie przeżyciem dla wszystkich zainteresowanych (po szkole krążyła opinia, że pani Lipmann kończy sześćdziesiąt lat, lecz nikt nie umiał tego potwierdzić ani zdementować).

Madeline postanowiła pójść na apel, a następnie odrobić to w poniedziałkowe popołudnie. Dotąd takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę, gdyż zawoziła Abigail na koszykówkę, a Ed brał młodsze dzieci na basen.

– Abigail zapewne nie musi już chodzić na koszykówkę – powiedziała, gdy wysiadali z samochodu z kubkami kawy na wynos. Po odwiezieniu dzieci zajrzeli do Blue Blues. Interes kręcił się pełną parą dzięki rodzicom z Pirriwee Public, którzy ratowali się kofeiną przed koncertem fletowym. – Nathan ją trenuje.

Ed zachichotał czujnie, być może w obawie, że usłyszy kolejną tyradę o zwolnieniu korepetytora. Był cierpliwym człowiekiem, Madeline zauważyła jednak jego szklisty wzrok, kiedy nadawała – faktycznie trochę przydługo – o trudnościach Abigail z algebrą oraz o tym, że Nathan nigdy nie pomagał jej odrabiać zadań domowych i dlatego nie ma pojęcia, jak bardzo Abigail kuleje z matmy, bo przecież to, że sam jest niezły, nie znaczy, że może nauczać, itepe, itede.

– Joy pisała do mnie dziś rano – oznajmił Ed, zamykając auto. Joy była redaktorką naczelną miejscowej gazety. – Mam napisać artykuł o tym, co się dzieje w szkole.

– O czym? O wieczorku integracyjnym? – spytała Madeline bez zainteresowania. Ed często pisał dla lokalnej gazety krótkie artykuły o zbiórkach pieniędzy. Jej uwagę przykuli Perry i Celeste idący przez ulicę w stronę szkoły. Zagadani, trzymali się za ręce i jak zwykle wyglądali wspaniale, Perry wysunął się trochę naprzód, jakby chciał osłonić żonę przed nadjeżdżającymi samochodami.

– Nie – odparł Ed z rozwagą. – O dokuczaniu. I o petycji. Joy twierdzi, że to temat na czasie.

Madeline przystanąła gwałtownie pośrodku ulicy.

– Nie możesz o tym pisać!

– Zejdź z drogi, kobieto. – Ed złapał ją za łokieć w chwili, kiedy z plaży z piskiem opon wyjechał samochód. – Kiedyś napiszę o tragedii na tej ulicy.

– Nie pisz o tym, Ed – poprosiła Madeline. – To zaszkodzi szkole.

– Nadal jestem dziennikarzem, jakbyś nie wiedziała – zaznaczył. Minęły trzy lata, odkąd rzucił bardziej stresującą, prestiżową i czasochłonną posadę za o wiele lepsze pieniądze w „The Australian”. Madeline mogła wrócić do pracy i oboje po równo mogli zająć się dziećmi. Ed nigdy ani słowem nie poskarżył się na nudę etatu w miejscowej gazecie i bez szemrania chodził na zawody surfingowe oraz setne urodziny do lokalnego domu starców (morskie powietrze chyba konserwowało jego pensjonariuszy). Teraz po raz pierwszy dał do zrozumienia, że może niezupełnie go to cieszy. – To ciekawy temat – dodał.

– Dobrze wiesz, że to wcale nie jest ciekawy temat! – wybuchła Madeline.

– Co nie jest ciekawym tematem? – usłyszeli głos Perry’ego. – Czołem, Ed. Miło cię widzieć, Madeline. – On i Celeste zrównali się z nimi.

Perry miał na sobie krawat i pięknie skrojony garnitur, szyty na zamówienie, włoski, na oko wart więcej niż cała garderoba Eda, łącznie z szafą. Kiedy nachylił się, żeby cmoknąć Madeline, ukradkiem pogłaskała jedwabisty rękaw i wciągnęła w nozdrza zapach jego wody kolońskiej.

Zastanawiała się, jakie to uczucie być żoną faceta, który tak świetnie się ubiera: rozkoszowałaby się kolorami i jakością tkanin, miękkością krawata i szelestem koszuli. Naturalnie Celeste, która nie przywiązywała wagi do stroju, zapewne nie dostrzegała różnicy między swoim mężem a zmiętym, nieogolonym Edem w byle jakiej oliwkowej koszuli z flaneli narzuconej na podkoszulek. Lecz spoglądając na nich obu, Madeline poczuła przypływ nieoczekiwanej czułości do Eda, chociaż jeszcze przed chwilą tak ją zdenerwował. Miało to coś wspólnego z żywym zainteresowaniem, z jakim przysłuchiwał się słowom Perry’ego, i z siwiejącym zarostem na tle gładkiego, lśniącego podbródka.

Tak. Zdecydowanie wolałaby całować Eda. Całe szczęście.

– Nie spóźnimy się? Zostawiliśmy chłopców pod szkołą i musieliśmy zaparkować gdzie indziej, bo nie było miejsca – powiedziała Celeste swoim spłoszonym, zatroskanym głosem. – Tak się cieszą, że Perry przyjdzie ich obejrzyć.

– Zdążymy – uspokoiła ją Madeline. Zastanawiała się, czy Celeste wspomniała mężowi, że jego kuzyn przypuszczalnie jest ojcem Ziggy’ego. Ed wiedziałby już dawno.

– Widziałaś się z Jane? – zapytała Celeste, jakby czytała jej w myślach.

Ed i Perry ruszyli przodem.

– Powiedziałaś mu...? – Madeline ściszyła głos i wskazała głową na Perry’ego.

– Nie – syknęła Celeste. Wyglądała niemal na przerażoną.

– W każdym razie Jane nie będzie – skwitowała Madeline. – Ma, no wiesz, tamto. – Jeszcze bardziej zniżyła głos: – No wiesz. Wizytę.

Jane kazała im obiecać, że nikomu nie wspomną o wizycie u psychologa. „Jeśli ktoś się dowie, że posyłam go do psychologa, nabierze pewności, że coś z nim nie tak”.

– Faktycznie. – Celeste pacnęła się w czoło. – Zupełnie wyleciało mi z głowy.

Perry zwolnił i obejrzał się na nie.

– Ed opowiedział mi o tej aferze. To córka Renaty Klein? Ta mała, której ktoś dokucza? – zapytał i dorzucił pod adresem Madeline: – Renata pracuje w tej samej branży, co ja.

– Naprawdę? – zapytała Madeline, mimo że wiedziała już o tym od Celeste. Czasami lepiej, by mężowie nie wiedzieli, jakie informacje przekazują sobie ich żony.

– Mam podpisać tę petycję, jeśli Renata mnie poprosi? – spytał Perry.

Madeline już chciała stanąć w obronie Jane, ale Celeste ją ubiegła.

– Perry, jeśli podpiszesz tę petycję, to cię zostawię – zagroziła.

Madeline roześmiała się z zakłopotaniem. To miał być żart, oczywiście, ale ton Celeste wzbudził jej niepokój. Jakby mówiła poważnie.

– Uważaj, stary! – zawołał Ed.

– No ba – odparł Perry, po czym objął Celeste i przycisnął usta do jej głowy.

– Skoro pani każe.

Ale Celeste się nie uśmiechała.



Do: WSZYSTKICH RODZICÓW

Od: KOMITETU SPOŁECZNEGO

„Wyczekiwany wieczorek integracyjny AUDREY I ELVIS rozpocznie się jutro o godzinie dziewiętnastej w szkolnej auli! Przygotujcie się na liczne wyzwania i wieczór pełen niespodzianek! DZIĘKUJEMY Brettowi Larsonowi, naszemu mistrzowi ceremonii, który przygotowuje dla nas łamigłówki!

Trzymajmy kciuki, żeby nie sprawdziła się prognoza pogody (90% możliwość deszczu – ale co oni tam wiedzą?), a poczęstunek odbędzie się na tarasie przed rozpoczęciem zabawy.

DZIĘKUJEMY wszystkim naszym hojnym miejscowym sponsorom! Nagrody w loterii to między innymi BAJECZNA TACKA NA WĘDLINY przekazana przez naszych przyjaciół ze wspaniałego Pirriwee Perfect Meats, boskie ŚNIADANIE DLA DWOJGA w BLUE BLUES (kochamy Cię, TOM!) oraz MYCIE i MODELOWANIE w O WŁOS DO WIECZNOŚCI! O RANY!

Pamiętajcie, że wszystkie zebrane pieniądze zostaną przeznaczone na zakup tablic interaktywnych dla naszych pociech!

Uściski! od Waszego komitetu społecznego,
czyli Fiony, Grace, Edwiny, Roweny, Harper, Holly oraz Helen!
XXXXXXXX

PS Pani Lipmann prosi, abyśmy mieli na uwadze sąsiadów i wychodząc, ograniczyli hałas do minimum”.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Samantha: Patrzyłam, jak dzieciaczki recytują wiersz na apelu w przeddzień wieczorku integracyjnego, i zauważyłam, że zwolennicy Renaty stoją po jednej stronie, a zwolennicy Madeline po drugiej, jak na ślubie. Śmiać mi się chciało.



Apele w Pirriwee Public zawsze wolno się rozkręcały i kończyły, ale lokalizacja nie pozostawiała nic do życzenia. Aula znajdowała się na drugim piętrze i miała wielki taras ciągnący się na całą szerokość budynku, z dużymi, rozsuwanymi drzwiami, przez które roztaczał się piękny widok na ocean. Dziś wszystkie drzwi były pootwierane i do środka wpływało rześkie, jesienne powietrze. (Przy zamkniętych drzwiach w pomieszczeniu bywało duszno, zważywszy na pierdzącą dziatwę, wypachnione Blond Pazię oraz ich obficie skropionych wodą kolońską małżonków).

Madeline spojrzała na ocean i spróbowała wykrzesać z siebie nieco optymizmu. Czuła się lekko rozdrażniona, co znaczyło, że jutro osiągnie apogeum PMS. Lepiej, żeby na wieczorku nikt jej nie wkurzył.

– Cześć, Madeline – usłyszała znajomy głos. – Cześć, Ed.

Bonnie usiadła na pustym krześle obok Madeline, roztaczając wokół gryzącą woń paczuli.

Madeline poczuła, że Ed, niby od niechcienia, kładzie jej rękę na kolanie.

– Cześć, Bonnie – odrzekła z rezygnacją, zerkając przez ramię. Czy naprawdę było to jedyne wolne miejsce? – Jak się masz?

– Świetnie. – Bonnie przerzuciła warkocz przez białe, hipisowskie ramię usiane skupiskiem ciemnych pieprzyków. Nawet to ramię było denerwujące.

– Nie zimno ci? – spytała Madeline. Bonnie miała na sobie koszulkę bez rękawów i spodnie do jogi.

– Właśnie wracam z zajęć Bikram Jogi.

- To ta, na której się poci, tak? Nie wyglądasz na spoconą.
- Wzięłam prysznic. Ale jeszcze nie ostygłam.
- Przeziębisz się.
- Nie przeziębię.
- Przeziębisz – ucięła Madeline. Czuła, że Ed dusi się ze śmiechu. Musiała mieć ostatnie słowo, zanim zmieniła temat: – Nathana nie ma?
- Musi pracować. Powiedziałam mu, że dużo nie straci. Skye ma taką tremę, że pewnie schowa się za innymi dziećmi. – Bonnie uśmiechnęła się do Madeline. – Nie to, co twoja Chloe.
- Nie to, co moja Chloe – potwierdziła Madeline.
- Przynajmniej jej nigdy mi nie odbierzesz, tak jak odebrałaś mi Abigail.
- Nie mieściło jej się w głowie, że ta *obca osoba* wie, co jej córka jadła dziś na śniadanie, a Madeline nie. Mimo że znały się od lat i odbyły wiele uprzejmych rozmów, Bonnie wciąż zdawała jej się nierealna. Madeline uważała ją za karykaturę i nie potrafiła wyobrazić jej sobie w trakcie wykonywania normalnych czynności. Czy kiedykolwiek marudziła? Podnosiła głos? Zataczała się ze śmiechu? Obżerała? Chłapała na umór? Wołała z łazienki, żeby ktoś przyniósł jej papier toaletowy? Gubiła kluczyki do samochodu? Czy kiedykolwiek była zwyczajnym człowiekiem i przestawała nadawać tym obleśnym, melodyjnym głosem instruktorki jogi?
- Przepraszam, że Nathan nie wspomniał ci o zwolnieniu korepetytora – oznajmiła Bonnie. Nie tutaj, kretynko. Ściany mają uszy. – Powiedziałam mu, że musimy popracować nad komunikacją – ciągnęła. – To skomplikowany proces.
- Jasne – odrzekła Madeline. Ed nieznacznie ścisnął jej kolano. Madeline zerknęła na niego, a potem na Celeste i Perry’ego po drugiej stronie. Miała nadzieję na nawiązanie rozmowy, ale oni, pochyleni ku sobie, oglądali coś na telefonie Celeste, śmiejąc się jak dwoje zakochanych nastolatków. Spięcie na tle petycji najwyraźniej poszło w niepamięć.
- Ponownie przeniosła wzrok na przód sali, gdzie wciąż panowało zamieszanie – gorączkowo sadzano dzieci, nauczyciele walczyli ze sprzętem nagłaśniającym, a Blond Pazię biegały ważne i zaaferowane, jak w każdy piątkowy ranek.
- U Abigail rozwija się sumienie społeczne – podjęła Bonnie. – To niesamowity widok. Słyszałaś, że pracuje nad potajemną akcją charytatywną?
- Byle to sumienie społeczne nie kolidowało z nauką – mruknęła

z przekąsem Madeline, godząc się na rolę wstrętnej, aspołecznej matki. – Myśli o fizjoterapii. Rozmawiałam o tym z Samantha, mamą Lily. Samantha twierdzi, że Abigail będzie do tego potrzebna matematyka.

– Zdaje się, że zrezygnowała z fizjoterapii – oznajmiła Bonnie. – Zainteresowała się pracą społeczną. Myślę, że praca na rzecz innych to jej powołanie.

– Chyba nie wiesz, co mówisz! – Madeline nie wytrzymała. – Jest zbyt delikatna. To by ją zabiło! Już widzę, jak by to przeżywała! Boże jedyny, taka praca byłaby dla niej straszna!

– Tak sądzisz? – zdziwiła się słodko Bonnie. – No cóż, ma jeszcze mnóstwo czasu na decyzję, prawda? Pewnie dziesięć razy zmieni zdanie.

Madeline złapała się na serii szybkich wydechów, jak w czasie porodu. Bonnie próbowała zmienić jej córkę w kogoś, kim nie była, kim nie mogła być. Niedługo nic nie zostanie z prawdziwej Abigail. Stanie się dla Madeline obcą osobą.

Na scenę z gracją wkroczyła pani Lipmann i w milczeniu stanęła przy mikrofonie, ze złożonymi rękami i błogim uśmiechem, w oczekiwaniu, aż jej królewska obecność zostanie dostrzeżona. Jedna z Blond Paziów wpadła na scenę, pomajstrowała coś przy mikrofonie i wybiegła. Tymczasem wychowawczyni szóstej klasy zaczęła klaskać rytmicznie, co chyba wywierało czarodziejski, hipnotyzujący efekt na uczniów, którzy natychmiast przestawali gadać, zwracali wzrok na scenę i przyłączali się do klaskania. (W domu nie działało. Madeline próbowała.)

– Ach! – westchnęła Bonnie, gdy klaskanie przybrało na sile i pani Lipmann uniosła ręce z prośbą o ciszę. Nachyliła się do ucha Madeline, wionąc słodkim, miętowym oddechem. – Byłabym zapomniała. Chcielibyśmy zaprosić ciebie, Eda i dzieci na piętnaste urodziny Abigail w przyszły wtorek! Wiem, że Abigail chce świętować z całą rodziną. Chyba nie będzie niezręcznie, jak uważasz?

Niezręcznie? Jaja sobie robisz, Bonnie? Będzie cudownie, wspaniale! Madeline będzie gościem na kolacji z okazji piętnastych urodzin swojej córki. Nie gospodynią. Gościem. Nathan będzie napełniał jej szklanekę, a gdy wyjdą, Abigail nie pojedzie z nimi. Zostanie. Zostanie tam, bo to jest teraz jej dom.

– Ekstra! Co mam przynieść? – odszepnęła. Położyła rękę na ramieniu Eda i mocno ścisnęła. Rozmowa z Bonnie miała jednak coś wspólnego z porodem: ból nasilał się nieubłagane.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

– Ziggy jest wspaniałym chłopcem – oznajmiła psycholożka. – Bardzo otwartym, dobrym i pewnym siebie. – Uśmiechnęła się do Jane. – Okazał zainteresowanie moim zdrowiem. Jest pierwszym klientem w tym tygodniu, który zauważył, że mam katar.

Głośno wysmarkała nos, jakby na dowód, że faktycznie jest przeziębiona. Jane siedziała jak na szpilkach. Nie była taka miła jak Ziggy. Miała gdzieś katar pani psycholog.

– A więc, uhm, nie uważa pani, że potajemnie zadręcza innych? – spytała z cichym chichocikiem, że niby żartuje, co oczywiście nie było prawdą. Dlatego tu przyszli. Dlatego płaciła krocie za tę wizytę.

Obie spojrzały na Ziggy’ego, który bawił się w sąsiednim, przeszklonym pomieszczeniu, gdzie nie mógł ich słyszeć. Zobaczyły, że podnosi szmacianą lalkę, zabawkę dla o wiele młodszego dziecka. Gdyby tak rzucił ją na ziemię i podeptał, pomyślała. Wniosek byłby oczywisty. Dziecko udaje zaniepokojone zdrowiem psycholożki, a następnie masakruje zabawkę. Ale Ziggy tylko spojrział na lalkę i ją odłożył, nie zauważywszy, że nie trafił w stół i zsunęła się na podłogę, co dowodziło jedynie jego patologicznego bałaganiarstwa.

– Bynajmniej – odrzekła psycholożka. Milczała przez chwilę. Kręciło ją w nosie.

– Powie mi pani, co mówił, tak? – spytała Jane. – Nie obowiązuje pani tajemnica lekarska, prawda? – Psycholożka kichnęła jak z armaty. – Na zdrowie – mruknęła Jane ze zniecierpliwieniem.

– Tajemnica zaczyna obowiązywać z chwilą, kiedy klient kończy czternaście lat – odparła przez nos kobieta. – Akurat wtedy, kiedy zaczynają zwierzać się z rzeczy, o których chciałoby się powiedzieć rodzicom, rozumie pani, co mam na myśli? Seks, narkotyki i tak dalej! – Tak, tak, małe dzieci, małe problemy. – Jane, moim zdaniem Ziggy nikogo nie dręczy. – Psycholożka dotknęła czubkami palców swojego czerwonego nosa. – Na wzmiankę o incydencie

z drzwi otwartych oznajmił jasno, że to nie była jego sprawka. Zdziwiłabym się, gdyby kłamał. Jeśli kłamie, to jest najbardziej wytrawnym kłamcą, jakiego widziałam. Poza tym nie zdradza żadnych klasycznych objawów patologicznych skłonności. Nie jest narcystyczny. Wykazuje empatię i wrażliwość. – Z oczu Jane mało nie trysnęły łzy ulgi. – Chyba że jest psychopata – dodała radośnie pani psycholog. Hę? – W takim wypadku symulowałyby empatię. Psychopaci są często uroczymi ludźmi. Ale... – Znowu kichnęła. – O matko... A już myślałam, że mi lepiej.

– Ale? – ponagliła Jane, świadoma swego braku empatii.

– Ale nie sądzę – dokończyła psycholożka. – Nie wydaje mi się, że Ziggy jest psychopata. Zdecydowanie chciałabym go jeszcze zobaczyć. I to niedługo. Moim zdaniem cierpi na poważne stany lękowe. Odnoszę wrażenie, że nie powiedział mi dzisiaj wszystkiego. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby to Ziggy’emu dokuczano w szkole.

– Ziggy’emu? – powtórzyła Jane. – Dokuczano?

Poczuła falę ciepła, jakby miała gorączkę. Krew zapulsowała jej w skroniach.

– Może się myłę. – Pani psycholog pociągnęła nosem. – Ale nie zdziwiłabym się. Stawiałabym na dręczenie psychiczne. Może jakiś bystry dzieciak znalazł jego czuły punkt. – Z pudełka na stole wyjęła ostatnią chusteczkę. Cmoknęła pod nosem. – Rozmawialiśmy też o jego ojcu.

– O jego ojcu? – zdziwiła się Jane. – Ale co...

– Bardzo się nim zadręcza. Myśli, że może być śnieżnym żołnierzem, Jabbą lub co najgorsze... – Terapeutka nie zdołała powstrzymać uśmiechu. – Darthem Vaderem.

– Nie mówi pani poważnie. – Jane była wstrząśnięta. To Fred zaraził Ziggy’ego Gwiezdnymi Wojnami. – Co on wygaduje?

– Dzieci często tkwią w pół drogi między rzeczywistością i fantazją – uspokoiła ją kobieta. – On ma zaledwie pięć lat. W świecie pięciolatka wszystko jest możliwe. Nadal wierzy w Świętego Mikołaja i Wróżkę Zębuszkę. Czemu nie miałby być synem Dartha Vadera? Sądzę jednak, że bardziej chodzi o to, że jego ojciec jest dla niego kimś... tajemniczym i przerażającym.

– A myślałam, że tak dobrze mi szło – westchnęła Jane.

– Pytałam, czy rozmawiał z panią o swoim tacie, a on na to, że owszem, ale wie, że nie lubi pani tego tematu. Był bardzo stanowczy. Nie życzył sobie,

żebym panią denerwowała. – Spojrzała na swoje notatki. – Powiedział: „Proszę uważać, jak będzie pani rozmawiać z mamą o tacie, bo ona robi wtedy taką dziwną minę...”. – Jane przycisnęła rękę do piersi. – Wszystko w porządku?

– Czy mam dziwną minę?

– Trochę – przyznała kobieta. Nachyliwszy się, rzuciła Jane porozumiewawcze spojrzenie, jakby rozmawiały w barze przy drinku. – Domyślam się, że tata Ziggy’ego był niezbyt miłym facetem, tak?

– No niezbyt – odpowiedziała Jane.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Zaraz po apelu Perry odwiózł Celeste do domu.

– Masz czas na kawę? – zapytała.

– Lepiej nie. Tyle roboty!

Spojrzała na jego profil. Wyglądał normalnie. Myślał o tym, co go dzisiaj czeka w pracy. Wiedziała, że spodobał mu się apel oraz to, że w przeciwieństwie do większości ojców przyszedł tak elegancko ubrany. Podobała mu się rola taty, wręcz się nią rozkoszował, podobnie jak lekką, nieco prześmiewczą rozmową z Edem.

Wszyscy śmiali się na widok chłopców brylujących na scenie w wielkim kostiumie krokodyla. Max był głową, a Josh ogonem; czasem wydawało się, że krokodyl się rozerwie, gdy ruszali w przeciwne strony. Na koniec Perry zrobił im zdjęcie na tarasie, z oceanem w tle. Następnie poprosił Eda, aby uwiecznił całą czwórkę: chłopcy wyglądali spod kostiumu, a Perry i Celeste przykucnęli obok nich. Na pewno zamieścił je na Facebooku; Celeste widziała, że bawił się telefonem po drodze do samochodu. Co napisał? „Narodziny gwiazd! Chłopcy w życiowej roli!” Coś w tym rodzaju.

„Do zobaczenia na wieczorku integracyjnym!” wszyscy wołali do siebie na pożegnanie.

Tak, był w doskonałym humorze. Nie zanosilo się na burzę. Od powrotu z ostatniej delegacji nie było między nimi żadnych spięć.

Dostrzegła jednak ten błysk gniewu, kiedy zapowiedziała, że go rzuci, jeśli podpisze petycję przeciwko Ziggy’emu. To miał być żart, ale wiedziała, że wyszło inaczej, jakby ośmieszyła go w towarzystwie Madeline i Eda, którego lubił i podziwiał.

Co ją naszło? To na pewno przez to mieszkanie. Było już prawie całkowicie umeblowane, co nadawało rozstaniu wszelkie pozory prawdopodobieństwa i nasuwało pytanie: zrobię to czy nie? Oczywiście, że zrobię, muszę. Ależ skąd, wykluczone. Wczoraj rano powlekła nawet świeżą pościel, czerpiąc

z tej czynności dziwną, kojącą przyjemność, wyklepała poduszki i wygładziła kołdry, żeby wyglądały zachęcająco, wiarygodnie. Ale kiedy w środku nocy obudziła się we własnym łóżku, z ręką Perry'ego ciężko opasującą jej talię, pod wiatrakiem, który z wolna obracał się u sufitu, tak jak lubił, pomyślała o tych pościelonych łóżkach i wpadła w panikę, jakby złapała się na czymś karygodnym. Zdradziła męża! Wynajęła i umeblowała inne mieszkanie. Cóż za szalony, ukradkowy, złośliwy i samolubny postęp.

Może zagroziła Perry'emu, że go rzuci, bo chciała przyznać się do tego, co zrobiła; ciążył jej ten sekret.

Oczywiście myśl o Perrym lub kimkolwiek innym podpisującym petycję, budziła jej oburzenie. Ale zwłaszcza o Perrym. Miał dług wobec Jane. Dług rodzinny – z powodu tego, co zrobił jego kuzyn. (Co mógł zrobić, podkreślała w duchu. Nie miały pewności. A jeśli Jane przekreśliła jego imię? To mógł być na przykład *Stephen Banks*, a nie *Saxon*.)

Ziggy mógł być synem kuzyna Perry'ego. Perry był mu winien chociaż lojalność.

Celeste przyjaźniła się z Jane, a gdyby nawet się nie przyjaźniła, żaden pięcioletek nie zasługuje na bojkot całej społeczności.

Perry nie wjechał do garażu, tylko zaparkował przed domem.

Celeste uznała, że nie będzie wchodził.

– To do zobaczenia wieczorem – powiedziała, nachylając się, aby go pocałować.

– Muszę jeszcze zabrać coś z biurka – odparł.

Otworzył drzwi.

Wtedy to poczuła. Było jak zapach lub wyładowanie elektryczne w powietrzu. Dostrzegła to w napięciu jego barków, szklistym wzrokiem, suchości w swoim gardle.

Otworzył drzwi wejściowe i uprzejmie wpuścił ją przodem.

– Perry – rzuciła pospiesznie, odwracając się, gdy zamykał drzwi. Wtedy złapał ją z tyłu za włosy i szarpnął tak mocno, że ból przeszył jej czaszkę, a oczy w jednej chwili zasły łzami.

– Jeśli jeszcze raz tak mnie znieważysz, to cię zabiję. Zabiję, kurwa. – Szarpnął mocniej. – Jak śmiałaś. Jak śmiałaś?

Puścił.

– Przepraszam – wybełkotała. – Bardzo cię przepraszam.

Chyba nie zabrzmiało to jak należy, bo zbliżył się powoli i ujął oburącz jej

twarz, jak zawsze, kiedy chciał ją czule pocałować.

– To za mało – odparł i walnął jej głową o ścianę.

Zimne wyrachowanie, z jakim to zrobił, było równie szokujące i surrealistyczne, jak pierwszy raz, kiedy ją uderzył. Ból zdawał się mieć wymiar osobisty, jak złamane serce.

Świat zawirował, jakby była pijana.

Osunęła się na podłogę.

Miała odruch wymiotny, raz, a potem drugi, ale nie zwymiotowała. Zawsze miała tylko odruchy. Nigdy nie wymiotowała.

Usłyszała oddalające się kroki i skuliła się na podłodze, z kolanami pod brodą i ręką na pulsującej głowie. Pomyślała o chłopcach, kiedy się uderzyli, jak szlochali: „Boli, mamusiu. Tak strasznie boli”.

– Usiądź – powiedział Perry. – Kochanie, usiądź.

Ukląkł obok niej, dźwignął ją do pozycji siedzącej i przyłożył jej do potylicy lód owinięty kuchenną ścierką.

Gdy zbawienne zimno złagodziło ból, Celeste odwróciła głowę i omiotła jego twarz mętnym wzrokiem. Był blady jak ściana, miał sine cienie pod oczami. Rysy mu zwiotczały, jak podczas ciężkiej choroby. Załkał raz. Groteskowy, rozpaczliwy skowyt, jak zwierzę uwięzione w sidłach.

Oparła się o jego bark i kołysali się na lśniącym parkiecie z czarnego orzecha, pod strzelistym sklepieniem ich własnej katedry.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Madeline często powtarzała, że praca i życie w Pirriwee przypominają życie w wiosce. Na ogół ta zażyłość jej odpowiadała, nie licząc oczywiście dni, kiedy PMS brał ją w swoje szpony i miała ochotę przejść przez centrum handlowe bez obstrzału uśmiechów i spojrzeń oraz cholernej wymiany uprzejmości. Wszystkich coś łączyło, często na wiele sposobów, dzięki szkole bądź klubowi surfingowemu, dziecięcym drużynom sportowym, siłowni, fryzjerowi oraz tym podobnym.

Oznaczało to, że gdy usiadła przy biurku w swoim ciasnym, zagraconym biurze w Pirriwee Theatre i zadzwoniła do redakcji lokalnej gazety z pytaniem, czy znajdzie się miejsce na ogłoszenie w przyszłotygodniowym wydaniu (pilnie potrzebowali chętnych do szkoły teatralnej, bo przydałby się zastrzyk gotówki), nie dzwoniła jedynie do Lorraine z działu ogłoszeń. Dzwoniła do Lorraine, mamy Petry z klasy Abigail oraz czwartoklasisty z Pirriwee Public, żony Alexa, właściciela miejscowego sklepu monopolowego, który razem z Edem grał w drużynie piłkarskiej dla oldboyów.

Nie zanosilo się na krótką rozmowę, bo dawno nie miały okazji poplotkować. Madeline uświadomiła sobie to na dźwięk sygnału w słuchawce i nabrała ochoty, żeby się rozłączyć i napisać maila: miała tego dnia mnóstwo pracy i opóźnienie z powodu apelu. Stwierdziła jednak, że krótka pogawędka będzie miła, poza tym chciała usłyszeć zdanie Lorraine na temat petycji i całej reszty. Byle tylko Lorraine się nie rozgadała i...

– Lorraine Edgely?

Za późno.

– Cześć, Lorraine. Tu Madeline.

– Kochana! – Lorraine powinna pracować w teatrze, a nie w lokalnej gazecie. Minęła się z powołaniem.

– Co słyhać?

– O Boże, musimy iść na kawę! Koniecznie! Mamy tyle do obgadania. –

Lorraine tak ściszyła głos, że Madeline ledwie ją słyszała. Pracowała w biurze bez ścianek działowych. – Mam świeżutkie ploteczki. Świeżusieńkie.

– Dawaj! – zawołała z radością Madeline, siadając wygodniej i kładąc nogi na biurku. – Zamieniam się w słuch.

– Czekał, dam ci małą podpowiedź – oznajmiła Lorraine. – *Parlez-vous anglais?*

– Tak, mówię po angielsku – odrzekła Madeline.

– Nic innego nie umiem po francusku – wyznała Lorraine. – A zatem to sprawa francuska.

– Sprawa francuska? – powtórzyła Madeline ze zdziwieniem.

– Tak i... uhm, ma związek z naszą wspólną znajomą Renatą.

– Chodzi o petycję? – zapytała Madeline. – Mam nadzieję, że jej nie podpisałaś, Lorraine. Amabella nawet nie potwierdziła, że to był Ziggy, a nauczycielka nie spuszczała ich z oka.

– No, też mi się zdawało, że przegięli z tą petycją, chociaż faktycznie słyszałam, że matka chłopca doprowadziła Amabellę do płaczu. A potem jeszcze kopnęła Harper w piaskownicy, więc każdy medal ma dwie strony. Ale nie, nie chodzi o petycję, Madeline, mówimy o sprawie francuskiej.

– Niania – rzuciła Madeline w przebłysku olśnienia. – Mówisz o niani? Juliette? A co się stało? Podobno ktoś dokuczał Amabelli od długiego czasu, a Juliette nawet nie...

– Tak, tak, właśnie o niej mówię, ale do diabła z petycją! Jak by to ująć? To ma związek z mężem naszej wspólnej znajomej.

– I nianią.

– Właśnie.

– Nie rozu... Nie! – Madeline spuściła nogi na podłogę i usiadła prosto. – Chyba nie mówisz poważnie? Geoff i niania? – Dreszczyk emocji był nieunikniony. Porządny, ugrzeczony, zapalony ornitolog z brzuszkiem i młoda Francuzka. Cóż za odrażająco rozkoszny schemat. – Mają romans?

– Owszem. Zupełnie jak Romeo i Julia, tyle że, no wiesz, to Geoff i Juliette – oświadczyła na cały głos Lorraine, najwyraźniej porzuciwszy dyskrecję.

Madeline poczuła lekkie mdłości, jakby zjadła coś bardzo słodkiego i niestrawnego.

– To straszne. Okropne. – Nie życzyła Renacie najlepiej, ale coś takiego? Jediną kobietą, która zasługiwała na niewiernego męża, była niewierna żona.

– Czy Renata wie?

– Chyba nie. Ale to potwierdzone. Geoff powiedział Andrew Faradayowi na squashu, Andrew Shane’owi, a Shane Alexowi. Mężczyźni to niewiarygodni plotkarze.

– Ktoś musi jej powiedzieć.

– Na mnie nie licz. Poślaniec zawsze ma przechłapanie.

– Ja na pewno nie mogę – stwierdziła Madeline. – Jestem ostatnią osobą, od której powinna to usłyszeć.

– Tylko nikomu ani słowa – poprosiła Lorraine. – Obiecałam Alexowi, że będę milczeć jak grób.

– Jasne.

Nie ulegało wątpliwości, że tak soczysty kąsek obiegił już półwysep lotem błyskawicy, przekazywany z ust do ust, od przyjaciela do przyjaciela, od męża do żony, i niebawem grzotnie biedną Renatę jak obuchem, i to akurat w chwili kiedy myślała, że jej największy problem to dokuczanie Amabelli.

– Podobno mała Juliette chce, aby poznał jej *hodziców* we *Fhancji* – dorzuciła z udawanym akcentem Lorraine. – U la, la.

– Wystarczy, Lorraine! – burknęła ostro Madeline. – To nie jest śmieszne. Nie chcę już tego słuchać. – Było to bardzo niesprawiedliwe z jej strony, zważywszy, że w pierwszej chwili sama rzuciła się na tę wiadomość jak sęp.

– Wybacz, skarbie – odrzekła Lorraine jak gdyby nigdy nic. – Powiedz więc, cóż mogę dla ciebie zrobić? – Madeline zamówiła ogłoszenie, a Lorraine je przyjęła. Poszło im tak sprawnie, iż Madeline pożałowała, że jednak nie wysłała maila. – To do zobaczenia w sobotę wieczorem – powiedziała Lorraine na pożegnanie.

– W sobotę wieczorem? No tak, wieczorek integracyjny – odrzekła Madeline serdecznie, aby zatuszować swój wcześniejszy ostry ton. – Nie mogę się doczekać. Kupiłam sobie nową sukienkę.

– Nie wątpię – skwitowała Lorraine. – Ja przebieram się za Elvisa. Nikt nie powiedział, że kobiety mają się przebierać za Audrey, a faceci za Elvisa. – Madeline wybuchnęła śmiechem. Lubiła Lorraine, której zaraźliwy rechot gwarantował dobrą zabawę na imprezie. – A więc na razie – powiedziała Lorraine. – Czekaj! O co chodzi z tą akcją dobroczynną Abigail?

– Tak dokładnie to nie wiem – przyznała Madeline. – Zbiera pieniądze dla Amnesty International. Może organizuje loterię. Powinnam jej powiedzieć, że trzeba mieć na to pozwolenie.

– Hmm – mruknęła Lorraine.

– A co?

– Hmm.

– No co? – Madeline zakręciła się na obrotowym krześle i zawadziła łokciem o segregator. W porę go złapała. – Co się dzieje?

– No właśnie nie wiem. Petra wspomniała mi o jakiejś akcji Abigail i odniosłam wrażenie, że coś jest nie tak. Nie chciała mi powiedzieć, wykręcała się i chichotała, rzuciła tylko oględnie, że niektóre dziewczynki nie pochwalają zachowania Abigail, ale ona owszem. Już to wzbudziło moje obawy. Przepraszam. Trochę zamotałam. Po prostu moja matczyzna intuicja dała o sobie znać.

Madeline przypomniała sobie dziwny komentarz na profilu Abigail. Na śmierć o tym zapomniała, pochłonięta odwołaniem korepetycji z matematyki.

– Muszę to zbadać – stwierdziła. – Dzięki za informację.

– To pewnie nic takiego. *Au revoir*, skarbie.

Madeline wzięła komórkę i wysłała wiadomość do Abigail: „Zadzwoń, jak tylko będziesz mogła. Mama x”.

Abigail jest w szkole, co oznacza, że odbierze wiadomość dopiero po lekcjach.

Cierpliwości, przykazała sobie, kładąc dłonie z powrotem na klawiaturze. No dobrze. Co dalej. Afisze do *Króla Leara* na przyszły miesiąc. Nikt w Pirriwee nie miał ochoty patrzeć na króla Leara, miotającego się szaleńczo po scenie. Woleliby współczesną komedię. Mieli dosyć szekspirowskich dramatów na szkolnym placu zabaw i boisku piłkarskim. Ale szefowa Madeline nalegała. Sprzedaż biletów spadnie, a winę za to poniesie Madeline. Jak co roku.

Ponownie spojrzała na komórkę. Abigail pewnie zaczeka z telefonem do wieczora.

– Głębiej dziecka przenika niewdzięczność niż żmii zęby², Abigail – powiedziała do milczącej komórki. (Znała na pamięć całe fragmenty *Króla Leara*, tak często słyszała próby.)

Gdy zabrzączał telefon, aż podskoczyła.

– Tylko się nie denerwuj – usłyszała głos Nathana.

² *Król Lear*, przełożył Leon Ulrich.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

„Przemoc w związkach na ogół nasila się z czasem”.

Przeczytała to zdanie w jakiejś ulotce czy może usłyszała od Susi, wypowiedziane tym jej spokojnym, neutralnym głosem.

Celeste leżała na boku, ściskając poduszkę. Wyglądała przez okno. Perry odsunął zasłonę, żeby widziała ocean.

„Będziemy leżeć w łóżku i patrzeć na ocean!”, zapiał, kiedy po raz pierwszy oglądali dom, a agentka nieruchomości odparła przebiegle: „To ja państwa zostawię”, bo dom oczywiście mówił sam za siebie. Perry zachowywał się wówczas jak dziecko, a nie jak człowiek, który wyda miliony na „ekskluzywną posiadłość z widokiem”. Jego entuzjazm prawie przeraził Celeste, był zbyt optymistyczny, zbyt żywiołowy. Słusznie się obawiała. To nie mogło się dobrze skończyć. Była wtedy w czternastym tygodniu ciąży, spuchnięta, miała mdłości i metaliczny smak w ustach i nie chciała wierzyć w tę ciążę – ale Perry był pijany nadzieją, bo „Co za życie! Co za życie dla dzieci, tak blisko plaży!”. Miało to miejsce, zanim choćby podniósł na nią głos. Wtedy myśl, że miałby ją uderzyć, była niemożliwa, nie do ogarnięcia, śmiechu warta.

Jeszcze nie otrząsnęła się ze zdumienia.

To było takie... takie niespodziewane.

Usiłowała opowiedzieć Susi o tym zdziwieniu, ale coś jej podpowiadało, że wszystkie jej podopieczne czuły to samo. („Ależ nie, widzi pani, u nas to co innego!”, chciała powiedzieć.)

– Przynieść ci jeszcze herbaty?

Perry stał w drzwiach sypialni. Wciąż był ubrany jak do pracy, ale zdjął krawat i marynarkę, a rękawy koszuli podwinął do łokci. „Po południu będę musiał wyjść, ale teraz popracuję w domu, żeby w razie czego ci pomóc”, oznajmił po tym, jak pozbierał ją z podłogi w holu, jakby się poślizgnęła i uderzyła albo miała zawroty głowy. Bez pytania zadzwonił do Madeline i poprosił, by odebrała chłopców ze szkoły. „Celeste jest chora”, usłyszała,

jak mówi do słuchawki, a troska i współczucie w jego głosie były tak szczerze, tak prawdziwe, jakby rzeczywiście wierzył w jej nagłą, tajemniczą chorobę. Może i wierzył.

– Nie, dziękuję.

Spojrzała na jego przystojną, zaniepokojoną twarz, zamruła i nagle znów ujrzała ją tuż na wprost, zanim wyrzucił jej głową o ścianę. „To za mało”.

Ale zaskoczenie.

Doktor Jekyll i pan Hyde.

Tylko który był zły? Nie wiedziała. Przymknęła oczy. Lód pomógł, ale ból zastępnął na jednym poziomie i tak został, jakby miał tak trwać aż do końca, uwięziony w pulsującym punkcie. Kiedy unosiła rękę, spodziewała się wyczuć pod palcami coś na kształt rozmiękłego pomidora.

– No dobrze. Wołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

Mało nie parsknęła śmiechem.

– Zawołam.

Wyszedł, a ona znów przymknęła oczy. „Znieważyla” go. Czy poczułby się znieważony, gdyby naprawdę odeszła? Czy byłby upokorzony, gdyby świat dowiedział się, że jego facebookowe posty nieco mijają się z rzeczywistością?

„Musi pani przedsięwziąć środki ostrożności. Najniebezpieczniejszy dla bitej kobiety jest czas tuż po zakończeniu związku”, powtórzyła kilkakrotnie Susi w czasie ich ostatniej sesji, jakby czekała na odpowiedź, której nie dawała jej Celeste.

Celeste brała to z przymrużeniem oka. Dla niej wszystko sprowadzało się zawsze do decyzji, aby odejść, zostać albo uciec, jakby to miało wszystko zakończyć.

Oszukiwała siebie samą. Co za idiotka.

Gdyby jego gniew zapłonął odrobinę bardziej, uderzyłby jej głową o ścianę więcej niż raz. Uderzyłby mocniej. Mógł ją zabić, a potem opadłby na kolana i przytulił jej martwe ciało, zacząłby płakać, krzyczeć i uzalać się nad sobą – ale co z tego? Co za różnica? Nie zdołałby jej tego wynagrodzić. Chłopcy zostaliby bez matki; Perry był wspaniałym ojcem, ale dawał im za mało owoców i zawsze zapominał o myciu zębów. Poza tym chciała patrzeć, jak dorastają.

Jeżeli odejdzie, pewnie ją zabije.

Jeżeli zostanie i dalej będą podążać tą ścieżką, kiedyś tak się wścieknie, że

Celeste przypłaci to życiem.

Patowa sytuacja. Mieszkanie z ładnie pościelonymi łózkami nie było planem ucieczki, ale jedynie żartem.

Jakie to zaskakujące, że ten przystojny, zmartwiony mężczyzna, który właśnie zaproponował jej herbatę, a teraz siedzi przy komputerze w drugim pokoju, przybiegnie na każde zawołanie i kocha ją z całego swojego dziwnego serca, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa kiedyś ją wykończy.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

- Abigail założyła stronę internetową – oznajmił Nathan.
- Aha. – Madeline wstała od biurka, jakby miała zaraz gdzieś wyjść. Do szkoły? Do szpitala? Więzienia? Cóż jest takiego pilnego w stronie internetowej?
 - Zbiera pieniądze dla Amnesty International – ciągnął Nathan. – Odwaliła kawał dobrej roboty. Pomagałem jej w czasie kursu projektowania stron internetowych, który ma w szkole, ale siłą rzeczy nie... uhm... no tak, tego nie przewidziałem.
 - Nie rozumiem. O co chodzi? – zapytała ostro Madeline. Nathan nie zwykł szukać dziury w całym. Wręcz przeciwnie, nie widział problemu, nawet jeśli miał go pod nosem.
 - Odchrząknął.
 - To nie koniec świata, ale sytuacja pozostawiała wiele do życzenia – odparł zduszonym głosem.
 - Nathan! – Madeline bezsilnie tupnęła nogą.
 - No dobrze... – westchnął, po czym zaczął pospiesznie wyrzucać z siebie słowa: – Abigail objęła licytacją swoją cnotę, aby zwrócić uwagę świata na problem małżeństw dzieci i zmuszania do nierządu. Twierdzi, że, uhm, „świat przygląda się beczynnemu, kiedy siedmiolatka trafia do burdelu, dlatego nie mrugnie okiem, gdy uprzywilejowana biała czternastolatka odda się w szczytnym celu”. Wszystkie uzyskane w ten sposób pieniądze trafią na konto Amnesty International. Nie wie, jak się pisze „uprzywilejowana”.
 - Madeline opadła z powrotem na krzesło. O losie!
 - Dawaj adres – zażądała. – To licytacja na żywo? Chcesz powiedzieć, że to się dzieje w tej chwili?
 - Tak. Zdaje się, że założyła ją wczoraj rano. Nie patrz. Proszę cię, nie patrz. Sęk w tym, że nie filtruje komentarzy, więc oczywiście trolle mają używanie.
 - Natychmiast podaj mi ten adres.

– Nie.

– Podaj mi ten adres, Nathan! – krzyknęła, bliska płaczu z bezsilnej frustracji.

–

Www

kropka

kupmojacnoteabyskonczycmalzenstwamidzieciizmuszaniemdonierzadu kropka
com.

– Bomba... – Madeline wstukała adres drżącymi palcami. – Filantropi będą się pchali drzwiami i oknami. Nasza córka jest idiotką. Wychowaliśmy idiotkę. Co ja gadam. Ja ją wychowałam. Wychowałam idiotkę... – Urwała. – O Boże.

– Patrzysz na to?

– Owszem. – Strona wyglądała profesjonalnie, co w pewnym sensie pogarszało sprawę, jak gdyby prawo do zakupu cnoty Abigail zostało oficjalnie usankcjonowane. Na stronie głównej widniało zdjęcie w pozycji jogi, to samo, które Abigail zamieściła na Facebooku. Postrzegane w kontekście „zakupu cnoty”, zyskało złowieszczo seksualny wymiar: włosy opadające na ramię, długie, chude kończyny, pączkujące piersi. Mężczyźni oglądali jej córkę na monitorach swoich komputerów i myśleli o uprawianiu z nią seksu.

– Chyba zwymiotuję...

– Wiem – odparł Nathan.

Madeline nabrała tchu i przejrzała stronę fachowym okiem specjalisty od marketingu. Oprócz fotografii Abigail były tam również zdjęcia ze strony internetowej Amnesty International, do których wykorzystania przypuszczalnie nie miała upoważnienia. Przekaz był jasny. Czytelny. Sugestywny. Emocjonalny, ale bez przesady. Nie licząc literówki w wyrazie „uprzywilejowana” oraz całego chorego zamysłu, całość robiła wrażenie, zwłaszcza jako dzieło czternastolatki.

– Czy to w ogóle legalne? – zapytała po chwili. – To chyba niezgodne z prawem, gdy nieletnia sprzedaje swoją cnotę.

– Niezgodnie z prawem byłoby ją kupić – odpowiedział Nathan. Słyszała, że mówi przez zaciśnięte zęby.

Zrozumiała, że rozmawia z *Nathanem*, i na chwilę straciła grunt pod nogami. Chyba podświadomie trwała w przekonaniu, że ma do czynienia z Edem, ponieważ nigdy nie omawiała z byłym mężem żadnych problemów rodzicielskich. Ustanawiała zasady, a Nathan ich przestrzegał. Nie stanowili

drużyny.

Ale jednocześnie przyszło jej do głowy, że z Edem byłoby inaczej. Oczywiście byłby wstrząśnięty, jak najbardziej, ale nie przeżywałby takich katuszy jak Nathan. Gdyby chodziło o Chloe, owszem. Lecz do Abigail czuł pewien dystans: dystans, któremu Madeline zawsze zaprzeczała, ale który Abigail wyraźnie wyczuwała.

Kliknęła w zakładkę „datki i oferty”, pod którą ludzie mogli zostawiać komentarze i „licytować”.

Litery zatańczyły jej przed oczami:

„Ile za grupowe ruchanko?”.

„Możesz mi obciągnąć za \$20! Kiedy i gdzie zechcesz”.

„Hej malutka, przerznąłbym tą twoją małą cipkę za darmo”.

Madeline odsunęła się od biurka. Poczwała w ustach gorycz.

– Jak to zamknąć? Czy wiesz, jak to zamknąć? – Z zadowoleniem odnotowała, że całkowicie nad sobą panuje: zachowywała się jak w obliczu kryzysu w pracy, kiedy nawaliła kopiarka lub błąd wkradł się na stronę internetową teatru. Nathan ma smykałkę. Będzie umiał temu zaradzić. Ale gdy zamknęła stronę z komentarzami i jej wzrok ponownie padł na zdjęcie Abigail, jej niemożliwej, niewinnej, zbłąkanej córki, do której ślinili się źli panowie, wściekłość wystrzeliła z jej trzewi, znajdując ujście przez usta. – Jak to się stało, do cholery?! Gdzie ty i Bonnie mieliście oczy? Teraz to napraw! Napraw to natychmiast!



Harper: Słyszała pani o aferze z córką Madeline? Nie chcę nic mówić, ale jak wspomniałam wtedy Renacie (była u mnie na kolacji), to nie zdarzyłoby się w szkole prywatnej. Nie mam nic do zarzucenia szkołom publicznym, uważam jedynie, że w prywatnych dzieci nie są narażone na złe towarzystwo.

Samantha: Harper zjadła wszystkie rozumy. Oczywiście, że to mogło się zdarzyć w szkole prywatnej. Poza tym Abigail miała szlachetne pobudki! Po prostu czternastolatki są cholernie głupie. Biedna Madeline. Miała pretensje do Nathana i Bonnie, choć nie jestem pewna, czy słusznie.

Bonnie: Tak, Madeline miała do nas żal. Akceptuję to. Abigail znajdowała się wówczas pod moją opieką. Ale to nie miało nic wspólnego z... z tragedią. Zupełnie nic.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Po wizycie u psychologa Jane pojechała z Ziggyem na plażę, na drugie śniadanie w Blue Blues, zanim odwiezie go do szkoły.

– Danie dnia to placki jabłkowe z cytrynowym masłem i przyprawami – oznajmił Tom. – Musicie spróbować. Na koszt firmy.

– Na koszt firmy? – zafrasował się Ziggy.

– Za darmo – wyjaśniła Jane i spojrzała na Toma. – Ale wolałabym zapłacić.

Tom ciągle jej stawiał. Zaczynało się to robić krępujące. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest przekonany, że przymiera głodem.

– Potem to załatwimy – odpowiedział i lekko machnął ręką, co znaczyło, że nie weźmie od niej żadnych pieniędzy.

Gdy zniknął na zapleczu, Jane i Ziggy popatrzyli na wodę. Wiał lekki wietrzyk i ocean wyglądał swawolnie, białe fale tańczyły na horyzoncie. Jane wciągnęła w płuca wspaniałe zapachy Blue Blues i ogarnęła ją nostalgia, jakby decyzja już zapadła i naprawdę mieli się stąd wyprowadzić.

Termin wynajmu mieszkania upływał za dwa tygodnie. Mogą przenieść się gdzie indziej, zacząć wszystko od nowa, z czystym kontem. Jeżeli psychologka miała rację i Ziggy'emu faktycznie dokuczano, Jane nie zdoła przekonać co do tego szkoły. Wyglądałoby to na wybieg, jakby korzystała z karty przetargowej. Zresztą jak mieliby zostać w szkole, w której rodzice podpisują petycję? Wszystko się skomplikowało. Pewnie ludzie myślą, że napadła na Harper w piaskownicy i zastraszyła Amabellę. Istotnie doprowadziła małą do płaczu i nie dawało jej to spokoju. Nie było rady, trzeba wyjechać. To jedyne słuszne zagranie. Jedyne słuszne decyzja dla nich obojga.

Jej pobyt w Pirriwee pewnie musiał zakończyć się tak katastrofalnie. Prawdziwe, ciche powody, które skłoniły ją do przyjazdu, były tak specyficzne, tak zagmatwane i na wskroś dziwne, że nie potrafiła ich nawet wyartykułować.

Ale może przyjazd stanowił osobliwy, niezbędny krok w jakimś procesie, bo

coś zagoiło się w niej ostatnimi czasy. Pomimo zmartwień w związku z Ziggyem i konfliktu z innymi matkami w jej uczuciach wobec Saxona Banksa zaszła subtelna zmiana. Zobaczyła go w nowym świetle. Saxon Banks nie był potworem, a jedynie człowiekiem. Ot, zwykłym bandziorem. Pełno takich na świecie. Lepiej z nimi nie sypiać. Ale jej się zdarzyło. I koniec. Pojawił się Ziggy. Być może tylko bandyckie plemniki Saxona miały wystarczającą siłę przebicia, na przekór jej bezpłodności. Może był jedynym mężczyzną na świecie, który mógł dać jej dziecko. Może Jane znajdzie spokojny, wyważony sposób, aby o nim mówić, a Ziggy przestanie uważać ojca za jakieś monstrum.

– Ziggy, czy chciałbyś przeprowadzić się do nowego domu i znaleźć nowych kolegów? – zapytała.

– Nie – odparł kategorycznie. Sprawiał wrażenie lekko rozochoconego. Jakby niczym się nie niepokoił. Może psychologka popełniła błąd?

Jak to mówiła Madeline? „Dzieci są takie dziwne i nieprzewidywalne”.

– Aha. A dlaczego? Taki byłeś ostatnio zdenerwowany, kiedy dzieci mówiły, że... no wiesz... nie mogą się z tobą bawić.

– No – przyznał wesoło Ziggy. – Ale mam mnóstwo innych kolegów, którzy mogą się ze mną bawić, na przykład Chloe i Freda. Fred chodzi do drugiej klasy, ale się przyjaźnimy, bo obaj lubimy Gwiazdne Wojny. Mam też innych przyjaciół. Harrisona i Amabellę, i Henry’ego.

– Powiedziałaś „Amabellę”? – upewniła się Jane. Dotąd nie wspominał, że się z nią bawi, co dodatkowo podważało wersję o dokuczaniu. Myślała, że obracają się w innych kręgach, mówiąc w przenośni.

– Amabella też lubi Gwiazdne Wojny – oznajmił Ziggy. – Wie o nich wszystko, bo umie świetnie czytać, więc tak naprawdę się nie bawimy, ale gdy się zmęczę biegiem, siadamy pod Drzewem Smoka Morskiego i gadamy o Gwiazdnych Wojnach.

– Mówisz o Amabelli Klein? Amabelli z przedszkola? – wypytywała Jane z niedowierzaniem.

– No tak! Tylko że nauczyciele nie pozwalają nam ze sobą rozmawiać – westchnął Ziggy.

– Ponieważ rodzice Amabelli myślą, że jej dokuczasz – stwierdziła Jane z lekką irytacją.

– To nie ja jej dokuczam – oświadczył Ziggy, na wpół zsuwając się z krzesła, co ją bardzo denerwowało. (Z ulgą zauważyła, że Fred robi to samo.)

– Usiądź jak należy – burknęła.

Usiadł i westchnął.

– Głodny jestem. Myślisz, że niedługo będą moje naleśniki? – Wyciągnął szynkę i zerknął w stronę kuchni.

Jane utkwiała w nim wzrok. Dotarło do niej, co powiedział. „To nie ja jej dokuczam”.

– Ziggy...

Czy nie zadawała mu już tego pytania? Czy ktokolwiek je zadał? A może tylko powtarzali w kółko: „Czy to byłeś ty, Ziggy? Czy to twoja sprawka?”.

– Co?

– Czy wiesz, kto dokucza Amabelli?

To stało się natychmiast. Schował się jak ślimak w skorupie.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Jego dolna warga zadrżała.

– Powiedz mi tylko, czy wiesz, kochanie.

– Obiecałem – odpowiedział cicho.

Jane nachyliła się w jego stronę.

– Co obiecałeś?

– Obiecałem Amabelli, że nikomu nie powiem. Mówiła, że jeśli komuś powiem, to pewnie zostanie zabita na śmierć.

– Zabita na śmierć – powtórzyła Jane z namysłem.

– Tak! – odparł Ziggy żarliwie. Jego oczy wypełniły się łzami.

Jane postukała palcami o blat. Widziała, że język go świerzbi.

– A gdybyś – rzekła powoli – gdybyś to napisał? – Ziggy zmarszczył brwi. Zamrugał i otarł łzy. – Wtedy nie złamałbyś danego słowa. Przecież mi nie powiesz. A ja obiecuję, że Amabelli nie spadnie włos z głowy.

– Hmm... – Ziggy się zastanowił.

Jane wyjęła z torebki długopis oraz notes i podsunęła synowi.

– Umiesz to napisać? Spróbuj po swojemu.

Tak właśnie uczono ich w szkole: mieli „próbować”.

Ziggy wziął długopis, po czym się odwrócił, rozproszony brzękiem dzwonka nad drzwiami. Do lokalu weszły dwie osoby: kobieta z jasnymi włosami ściętymi na pazia oraz przeciętny krawaciarz. (Wszyscy siwiejący mężczyźni w garniturach w oczach Jane wyglądali tak samo.)

– To mama Emily – oznajmił Ziggy.

Harper. Jane poczuła, że się czerwieni na wspomnienie incydentu w piaskownicy, kiedy to Harper oskarżyła ją o „napaść”. Tego samego wieczoru zadzwoniła pani Lipmann i oznajmiła powściągliwie, że pewien

rodzic złożył oficjalną skargę, w związku z czym Jane ma „położyć uszy po sobie, dopóki sprawa nie przycichnie”.

Harper zerknęła w jej stronę i Jane serce zabiło mocniej w piersi, jakby ze strachu. Na miłość boską, przecież cię nie zabije, zganiła się w duchu. Jakie to dziwne uczucie być skłóconym z kimś, kogo się praktycznie nie zna. Przez większość swego dorosłego życia Jane jak ognia unikała konfrontacji. Nie mogła pojąć, że Madeline się w nich lubuje i mówiąc bez ogródek, sama szuka guza. To było okropne: niezręczne, krępujące i bardzo, ale to bardzo stresujące.

Mąż Harper stuknął jednym palcem w dzwonek, żeby przywołać Toma z kuchni. W kawiarni było pustawo. W rogu siedziała kobieta z małym dzieckiem, a dwóch mężczyzn w kombinezonach zachlapanych farbą zajadało jajka i bułki z bekonem.

Harper szturchnęła męża łokciem i szepnęła mu coś do ucha. Popatrzył na Jane i Ziggy’ego.

O matko. Idzie tu.

Miał wielki, piwny brzuch i nosił go z dumą, jak medal honorowy.

– Witam. – Wyciągnął rękę do Jane. – Jane, zgadza się? Jestem Graeme. Tata Emily.

Jane podała mu dłoń. Ścisnął ją tak, aby wiedziała, że chciał mocniej.

– Witam – odpowiedziała. – A to jest Ziggy.

– Cześć, mały. – Mężczyzna omiół chłopca wzrokiem, po czym wrócił do niej.

– Daj spokój, Graeme – wtrąciła Harper, która stanęła obok niego. Ignorowała Jane i Ziggy’ego, zupełnie jak w piaskownicy.

– Słuchaj no, Jane – powiedział Graeme. – Rzecz jasna nie będę za dużo mówił przy twoim synu, ale rozumiem, że narobiłaś bigosu. Prawdę mówiąc, mam to w poważaniu, ale jedno ci powiem, Jane. – Oparł obie ręce na stole i pochylił się nad nią. Groźba była tak wykalkulowana, że koń by się uśmieł. Jane zadarła podbródek. Musiała przełknąć ślinę, ale nie chciała, żeby to zobaczył, jeszcze pomyśli, że się denerwuje. Widziała jego głębokie zmarszczki pod oczami. Mały pieprzyk koło nosa. Wysunął brzydko dolną szczękę zwyczajem wytatuowanych mężczyzn bez koszuli, jacy pokrzykują na reporterów w telewizji. – Postanowiliśmy tym razem nie zawiadamiać policji, ale jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mojej żony, to pogadamy inaczej, Jane, bo nie będę tego tolerował. Prowadzę kancelarię i będziesz miała do czynienia

z pra...

– Proszę o opuszczenie lokalu – rozległ się głos Toma, który podszedł do stolika Jane z naleśnikami. Postawił talerz na blacie i delikatnie położył rękę na głowie Ziggy’ego.

– Ach, Tom, przepraszam, my tylko... – spłoszyła się Harper. Matki z Pirriwee nie mogły żyć bez jego kawy i traktowały go jak swojego ukochanego dilera.

Graeme wyprostował się i poprawił krawat.

– Wszystko gra, stary.

– Nie – odpowiedział Tom. – Nie gra. Nie życzę sobie nagabywania moich klientów. Macie stąd natychmiast wyjść.

Graeme postukał zwiniętymi palcami w stół Jane.

– Posłuchaj, w świetle prawa nie możesz nas...

– Nie prosiłem o poradę prawną – przerwał mu Tom. – Proszę, abyście wyszli.

– Przepraszam, Tom – łagodziała Harper. – Naprawdę nie chcieliśmy...

– Do zobaczenia. – Tom podszedł do drzwi i otworzył je. – Ale już nie dziś.

– Dobrze – burknął Graeme. Odwróciwszy się, dźgnął palcem powietrze zaledwie o centymetr od nosa Jane. – Zapamiętaj, co ci powiedziałem, młoda damo, ponieważ...

– Wynocha, zanim ci pomogę – powiedział Tom ze spokojem, który nie wróżył nic dobrego.

Graeme się wyprostował. Popatrzył na Toma.

– Właśnie straciłeś klienta – oświadczył, wychodząc w krok za żoną.

– Mam nadzieję – odparł Tom. Zamknął drzwi, odwrócił się i spojrzał na klientów. – Bardzo państwa przepraszam – powiedział grzecznie, na co jeden z mężczyzn w kombinezonach zaczął klaskać.

– Dobra robota, stary!

Kobieta z dzieckiem rzuciła Jane zaciekawione spojrzenie. Ziggy wykręcił się na krześle i spojrzał przez witrynę na odchodzących, po czym wzruszył ramionami, sięgnął po widelec i zaczął z apetytem pałaszować naleśnika.

Tom przykucnął obok krzesła Jane i położył rękę na oparciu.

– W porządku?

Nabrała spazmatycznie powietrza. Tom pachniał czysto i tak słodko. Zawsze roztaczał zapach świeżości, ponieważ dwa razy dziennie surfował, a potem brał długi, gorący prysznic. (Wiedziała o tym, bo kiedyś jej powiedział, że stoi

pod strumieniem wody i na nowo przeżywa fale, które złapał.) Przyszło jej do głowy, że uwielbia go tak, jak uwielbia Madeline i Celeste, i że wyjazd z Pirriwee złamałby jej serce. Ale nie mogła zostać. Zawarła tu prawdziwe przyjaźnie, ale też narobiła sobie prawdziwych wrogów. Nie było tu dla niej przyszłości.

– W porządku – odpowiedziała. – Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

– Przepraszam! Ojejku, tak mi przykro! – Siedzący nieco dalej malec wylał swój napój na podłogę i uderzył w głośny płacz.

Tom położył Jane rękę na ramieniu.

– Uważaj, bo Ziggy zje wszystkie naleśniki. – Wstał i podszedł do stroskanej matki. – Nic się nie stało, kolego, zaraz przyniosę ci drugi.

Jane wzięła widelec i spróbowała kęs aromatycznego placka z jabłkami. Przymknęła oczy.

– Mmm... – Tom uszczęśliwił kiedyś jakiegoś faceta.

– Napisałem – oznajmił Ziggy.

– Co napisałeś? – Odkroiła widelcem drugi kawałek. Starła się nie myśleć o mężu Harper. O tym, jak się nad nią pochylił. Jego metody były absurdalne, ale skuteczne. Naprawdę ją zastraszył. I zawstydził. Zasłużyła na to? Bo kopnęła piasek? Przecież nie kopnęła Harper! Dałaby sobie rękę uciąć, że nawet jej nie dotknęła. A jednak. Straciła panowanie nad sobą. Źle się zachowała i Harper wróciła do domu zdenerwowana. Traf chciał, że ma kochającego, nadopiekuńczego męża, który stanął w jej obronie.

– Imię – odpowiedział Ziggy i pchnął ku niej notes. – Imię tego, kto dokucza Amabelli.



Samantha: Podobno mąż nie pozwalała Harper chodzić do Blue Blues. Powiedziałam jej: „Harper, to nie są lata pięćdziesiąte! Nie może ci zabronić chodzenia do kawiarni!”, ale ona twierdzi, że uznałby to za zdradę. Co za bzdury! Ja zdradziłabym Stu za kawę Toma. Jezu, zamordowałabym za nią! Ale nikogo nie zabiłam, jakby co. Zdaje się, że tam nie chodziło o kawę.



Jane odłożyła widelec i przysunęła notes.

Ziggy nabazgrał na kartce cztery litery. Niektóre były ogromne. A niektóre tycie.

M. a. K. s.

– Maks – przeczytała. – Przecież nie ma nikogo o takim.. – Urwała. O losie!
– Mówisz, że to Max?

Ziggy pokiwał głową.

– Zły bliźniak.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

– Druga. Idę na spotkanie – oznajmił Perry. – Madeline odbierze chłopców. Do czwartej będę, więc posadź ich przed telewizorem, dopóki nie wrócę. Jak się czujesz?

Celeste spojrzała na niego.

Przecież to jakiś obłąd. Zachowywał się tak, jakby leżała w łóżku z bólem głowy. Jakby nie miał z tym nic wspólnego. W miarę upływu czasu jego strapienie mijało. Poczucie winy z wolna się ulatniało. Spływało po nim jak woda po gęsi. A ona brała udział w tym szaleństwie. Szła mu na rękę. Zachowywała się, jakby naprawdę zaniemogła. Dawała się sobą opiekować.

Oboje powariowali.

– Dobrze – odpowiedziała. Właśnie dał jej silny środek przeciwbólowy. Zwykle ich unikała, gdyż bardzo na nią działały, ale ból rozpierający czaszkę w końcu stał się nie do zniesienia. Nie minęło kilka minut, jak zelżał, lecz wraz z nim wszystko zaczęło się rozmywać. Czuła, że kończyny ciężą jej, jakby były z ołowiu. Ściany sypialni rozmiękły się, a myśli sunęły leniwie, jakby opalała się w upalny, letni dzień. – Kiedy byłeś mały... – zaczęła.

– Tak? – Perry usiadł obok i wziął ją za rękę.

– Wtedy – ciągnęła – kiedy ci dokuczali.

Uśmiechnął się.

– Byłem małym grubaskiem w okularach.

– To było straszne, prawda? Teraz się z tego śmiejesz, ale wtedy bardzo cierpiełeś.

Uściskał jej dłoń.

– Tak. Cierpiełem. Bardzo cierpiełem.

O co jej chodziło? Nie potrafiła ująć tego w słowa. Dotyczyło bezsilnego gniewu stłamszonego ośmiolatka oraz jej domysłów, czy przypadkiem nie tutaj jest pies pogrzebany. Ilekroć Perry czuł się upokorzony, mały grubasek karał za to Celeste. Tyle że teraz miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– To Saxon w końcu ci pomógł, prawda? – spytała. Jej słowa też się rozmywały. Słyszała to.

– Saxon wybił przedni ząb prowodyrowi – oznajmił Perry. Zachichotał na samo wspomnienie. – Od tamtej pory dali mi spokój.

– No tak – odpowiedziała Celeste. Saxon Banks. Bohater Perry’ego. Oprawca Jane. Ojciec Ziggy’ego.

Od czasu tamtego spotkania klubu książki nie mogła uwolnić się od myśli o nim. Coś łączyło ją z Jane. Obie zostały przez nich skrzywdzone. Przez tych przystojnych, przebojowych, okrutnych kuzynów. Celeste czuła się odpowiedzialna za to, co Saxon zrobił Jane. Była taka młoda i bezbronna. Gdyby tylko Celeste mogła ją obronić. Miała wprawę. Umiała bić i drapać w razie konieczności.

Coś jej umykało. Przelotna myśl, której nie mogła uchwycić – jak coś widzianego kątem oka. Nie dawało jej spokoju.

Jak brzmiałaby wymówka Saxona? O ile Celeste wiedziała, nie był w dzieciństwie dręczony. Czy to oznaczało, że zachowanie Perry’ego nie miało nic wspólnego z tamtymi wydarzeniami? Może stanowiło ich cechę rodzinną?

– Ale ty nie jesteś taki zły jak on – wymamrotała. Czyżby o to chodziło? Tak. To był klucz. Klucz do wszystkiego.

– Słucham? – Perry wyglądał na rozbawionego.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Czego? – zapytał.

– Spać...

– Wiem. Śpij, kochana. – Perry podciągnął jej kołdrę pod brodę i odgarnął włosy z twarzy. – Niedługo wrócę.

Kiedy odpływała, chyba wyszeptał jej do ucha: „przepraszam”, ale może to był tylko sen.

Rozdział sześćdziesiąty

– Nie mogę tego zamknąć – oznajmił Nathan. – Nie sądzisz, że zrobiłbym to, gdybym mógł? Zanim do ciebie zadzwoniłem? To strona publiczna, na serwerze, którego nie ma w domu. Nie działa na pstryczek. Potrzebuję dane do logowania. I hasło.

– Świnki trzy! – krzyknęła Madeline. – To hasło. Ma takie samo na wszystko. Zamykaj!

Zawsze znała hasła Abigail do portali społecznościowych. Znała hasła i zakradała się zniecka do pokoju córki, stawiała za nią i patrzyła w ekran, dopóki Abigail się nie zorientowała, co zwykle trochę trwało, bo Madeline umiała się zakradać. Doprowadzało to Abigail do szału i za każdym razem ze strachu mało nie wyskakiwała ze skóry, ale Madeline o to nie dbała: rodzic wychowujący nastolatka ma swoje prawa, a jedno z tych praw polegało na szpiegowaniu. I dlatego cała ta sytuacja nie miałaby miejsca, gdyby Abigail została w domu, jak Bóg przykazał.

– Próbowałem – odparł ciężko Nathan. – Nie pasuje.

– Musi pasować. Pewnie źle wpisujesz: wszystko małą literą, bez spacji. Zawsze pa...

– Powiedziałem jej kiedyś, że nie może mieć na wszystko jednego hasła. Chyba wzięła to sobie do serca.

– No tak – skwitowała Madeline. Jej gniew ostygł i stęzał w coś monumentalnego i lodowatego. – A to dobre. Rada nie od parady. Mądry tatuś.

– Kradzież danych...

– Nieważne! Cicho bądź, muszę się skupić. – Postukała dwoma palcami w dolną wargę. – Masz coś do pisania?

– Oczywiście, że mam coś do pisania.

– Spróbuj „Huckleberry”.

– Czemu „Huckleberry”?

– To był jej pierwszy zwierzak. Szczeniaczek. Miałyśmy go dwa tygodnie.

Wpadł pod samochód. Abigail była zrozpaczona. Byłeś wtedy... gdzie ty byłeś? Bali? Vanuatu? Bóg raczy wiedzieć. Nie zadawaj pytań, tylko słuchaj.

Wymieniła dwadzieścia potencjalnych haseł, jedno za drugim: nazwy zespołów, imiona bohaterów filmowych i nazwiska pisarzy. Strzelała na chybił trafił, na przykład „czekolada” lub „nienawidzę mamy”.

– To na pewno nie – podlizał się Nathan.

Madeline go zignorowała. Tkwili w martwym punkcie. To mogło być cokolwiek: dowolne zestawienie liter i cyfr.

– Na pewno nie ma innego sposobu? – zapytała.

– Przyszło mi do głowy, że mógłbym spróbować przekierować nazwę domeny – odparł Nathan. – Lecz i tak musiałbym się zalogować na jej koncie. Cały sęk w logowaniu. Jakiś geniusz informatyk pewnie mógłby się włamać, to przecież tylko konto Google, ale potrzebowałyby czasu. W końcu nam się uda, ale byłoby szybciej, gdyby sama to zrobiła.

– No tak. – Madeline wyjęła już z torebki kluczyki do samochodu. – Zwolnię ją wcześniej ze szkoły.

– Możesz, uhm, możemy kazać jej zlikwidować stronę. – Madeline słyszała, jak Nathan rąbie palcami w klawiaturę, wypróbowując różne hasła. – Jesteśmy jej rodzicami. Niech wie, że wyciągniemy te, no, konsekwencje, jeżeli nas nie posłucha.

Terminologia wychowawcza w jego ustach brzmiała doprawdy pociesznie.

– Jasne, to nie będzie trudne – stwierdziła Madeline. – Ma czternaście lat, myśli, że ratuje świat, i jest uparta jak osioł.

– Powiemy jej, że ma szlaban! – oznajmił triumfalnie Nathan. Pewnie usłyszał ten zwrot w amerykańskim serialu.

– Będzie zachwycona. Uzna się za męczennicę dla sprawy.

– Ale... przecież ona nie myśli poważnie! Chyba nie zamierza doprowadzić tego do końca! Uprawiać seksu z obcym człowiekiem? – Nathan tracił panowanie. – Ja po prostu nie... Chyba nigdy nie miała chłopaka, co?

– O ile wiem, nawet się nie całowała – stwierdziła Madeline i zachciało jej się płakać, gdyż doskonale wiedziała, co odpowiedziałyby na to Abigail: „Te dziewczynki też się nie całowały”.

Przypomniała sobie, że Perry dzwonił z prośbą o odebranie chłopców, bo Celeste jest chora. Zadrzała jej lewa powieka.

– Madeline – powiedział Nathan. – Tylko na nią nie krzycz, dobra? Bo...

– Zwariowałeś? Jasne, że na nią nakręcę! – wrzasnęła Madeline. – Ona

kupczy swoją cnotą przez internet!

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Po śniadaniu w Blue Blues Jane odwiozła Ziggy'ego do szkoły.

– Powiesz Maxowi, że ma przestać dokuczać Amabelli? – spytał, kiedy parkowała.

– Na pewno porozmawia z nim ktoś dorosły. – Jane przekreśliła kluczyk w stacyjce. – Zapewne nie ja. Może panna Barnes.

Głowiła się nad wyjściem z sytuacji. Czy powinna wparować do gabinetu dyrektorki? Wolałaby zamienić słówko z panną Barnes, która okaże więcej zrozumienia i uwierzy, że Ziggy nie chce wsypać kolegi, aby odwrócić uwagę od swojej osoby. Poza tym panna Barnes wiedziała, że Jane i Celeste są przyjaciółkami. Byłaby świadoma niezręcznej sytuacji.

Ale panna Barnes prowadziła lekcję. Nie wypadało wyciągać jej z klasy. Jane napisze do niej z prośbą o telefon.

Chciała jednak od razu komuś o tym powiedzieć. Może powinna zwrócić się do pani Lipmann?

Ostatecznie Amabelli nic nie groziło, ponoć nie spuszczano jej z oka. Jane niecierpliwiła się, bo język ją świerbił. „To nie był mój syn, tylko jej syn!”

I co z biedną Celeste? Czy powinna zadzwonić i ją uprzedzić? Czy tak postąpiłaby przyjaciółka? Możliwe. Wszelkie podchody i wybiegi miały w sobie coś ohydneho. Jane nie zniosłaby, gdyby to wpłynęło na ich zażyłość.

– Idziemy, mamusiu – zniecierpliwił się Ziggy. – Co tak siedzisz?

Jane odpięła pas i zwróciła się twarzą do syna.

– Słusznie postąpiłeś, mówiąc mi o Maxie, Ziggy.

– Przecież ci nie powiedziałem! – Ziggy, który zdążył odpiąć pas i złapać za klamkę, gotów wyskoczyć z samochodu, utkwiał w niej wzrok. Był wstrząśnięty, przerażony.

– Przepraszam, przepraszam! – zreflektowała się Jane. – Nie, nie powiedziałeś. No przecież.

– Bo obiecałem Amabelli, że nigdy, przenigdy nikomu nie powiem. – Ziggy

wepchnął się pomiędzy siedzenia, tak że jego zmartwiona twarzyczka znalazła się tuż na wprost jej twarzy. Miał buzię umazaną lepkiem sosem do naleśników.

– Zgadza się. Dotrzymałeś słowa. – Jane pośliniła palec i spróbowała zetrzeć sos.

– Dotrzymałem. – Ziggy uchylił się przed jej palcem. – Jestem w tym dobry.

– A pamiętasz, co było w czasie drzwi otwartych? – Jane opuściła rękę. – Amabella powiedziała, że ty jej dokuczałeś. Czemu to zrobiła?

– Bo Max groził, że znowu to zrobi po kryjomu – wyjaśnił Ziggy. – Dlatego Amabella wskazała na mnie. – Niecierpliwie wzruszył ramionami, jak gdyby ten temat zaczynał go nudzić. – Przeprosiła. A ja powiedziałem, że nic nie szkodzi.

– Kochany z ciebie chłopiec, Ziggy – oznajmiła Jane. I nie jesteś psychopata! (W przeciwieństwie do Maxa.)

– No.

– Kocham cię.

– Idziemy do szkoły? – Położył rękę na klamce.

– Tak jest.

Kiedy ruszyli ścieżką, Ziggy pobiegł przodem, jakby niczym się nie przejmował. Plecak podskakiwał rytmicznie na jego plecach.

Jane zrobiło się ciepło na sercu na ten widok. Nie martwił się, bo ktoś mu dokuczał. Martwił się, ponieważ dzielnie i niemądrze skrywał tajemnicę. Nie pękł nawet, kiedy pani Lipmann wzięła go w obroty. Dotrzymał słowa danego Amabelli. Nie był chuliganem, tylko bohaterem.

Trochę głupiutkim, że od razu nie podkablował Maxa, i naprawdę wierzył, że napisanie imienia się nie liczy, ale w końcu miał dopiero pięć lat i ten sekret ciążył mu kamieniem.

Ziggy porwał kij z chodnika i zaczął wymachiwać nim nad głową.

– Zostaw ten patyk, Ziggy! – zawołała. Rzucił kij i skręcił ostro w trawiastą dróżkę biegnącą wzdłuż domu pani Ponder w stronę szkoły.

Jane kopnęła patyk na bok i poszła za nim. Co takiego mógł powiedzieć Max, aby skłonić do milczenia taką mądrą dziewczynkę jak Amabella? Czy faktycznie zagroził, że „zabije ją na śmierć”? A ona mu uwierzyła?

Zastanowiła się, co o nim wie. Nie licząc znamienia na czole, nie rozróżniała chłopców Celeste. Była przekonana, że mają też identyczne charaktery.

Max i Josh byli w jej oczach jak dwa słodkie, rozbrykane szczeniaczki. Ze

swoją niespożytą energią i szerokimi uśmiechami wyglądali na nieskomplikowane dzieci, w przeciwieństwie do Ziggy'ego, który często był ponury i nieprzenikniony. Chłopcy Celeste sprawiali wrażenie dzieci, które trzeba kąpać, karmić i trzymać na wodzy: fizycznie wyczerpujących, ale nie wykańczających psychicznie, na wzór skrytych chłopców pokroju Ziggy'ego.

Jak zareaguje Celeste na wieść o postępkach Maxa? Jane nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Doskonale wiedziała, jak zareagowałyby Madeline (obłąkańczo i hałaśliwie), nigdy jednak nie widziała Celeste naprawdę rozzłoszczonej na synów; oczywiście traciła cierpliwość, ale nigdy nie podnosiła głosu. Za to często sprawiała wrażenie zamyślanej i rozkojarzonej, aż podskakiwała, gdy wpadali na nią z nienacką.

– Dzień dobry! Zaspaliście?! – zawołała pani Ponder, która właśnie podlewała swój ogródek.

– Mieliśmy coś do załatwienia – wyjaśniła Jane.

– Powiedz mi, kochana, za kogo się przebierasz? Za Elvisa czy Audrey? – Pani Ponder uśmiechnęła się figlarnie.

– Za Elvisa czy Audrey? – W pierwszej chwili Jane nie zrozumiała, o czym mowa. – Ach! Szkolny wieczorek. – Na śmierć zapomniała. Madeline wszystko zaplanowała, ale było to przed ostatnimi wydarzeniami: petycją, awanturą w piaskownicy. – Nie jestem pewna, czy...

– Och, ja tylko żartowałam, skarbie! Naturalnie, że za Audrey. Masz do tego figurę. Myślę, że wyglądałabyś świetnie w krótkiej fryzurce. Jak to się mówi? Na chłopaka!

– Hm – mruknęła Jane i poprawiła kucyk. – Dziękuję.

– À propos włosów, kochana. – Pani Ponder nachyliła się konspiracyjnie. – Ziggy okropnie się drapie.

Powiedziała „Ziggy” w taki sposób, jakby to było jakieś śmieszne przydomko.

Jane spojrzała na synka. Faktycznie, drapał się jak dziki jedną ręką, studiując coś ważnego na trawniku.

– Tak – odpowiedziała grzecznie. I co z tego?

– Sprawdzają? – zapytała pani Ponder.

– Co? – Jane doszła do wniosku, że stanowczo zbyt wolno kojarzy.

– Czy nie ma wszy – wyjaśniła rzeczowo pani Ponder. – No wiesz, na głowie.

– Och! – Jane przycisnęła rękę do ust. – Nie! Myśli pani... och! Ja nie... Nie

mogę... Och!

Pani Ponder zachichotała.

– Nigdy nie miałaś ich w dzieciństwie? Istnieją od tysięcy lat.

– Nie! Pamiętam, że w szkole była plaga, ale chyba mnie ominęła. Nie cierpię pełzających stworzeń. – Zadrzała. – O Boże...

– A ja mam spore doświadczenie z tymi małymi szkodnikami. Wszystkie miałyśmy w czasie wojny. Tylko nie myśl, że to ma coś wspólnego z higieną. Są po prostu denerwujące i tyle. Podejdz no tutaj, Ziggy!

Gdy Ziggy podszedł, pani Ponder urwała gałązkę z różanego krzewu i przeczesała nią włosy chłopca.

– Wszy! – oznajmiła radośnie na cały głos, który poniósł się echem w okolicy dokładnie w chwili, gdy nadeszła Thea ze śniadaniówką. – Ale go oblaży.



Thea: Harriette zapomniała śniadania, więc jej zniosłam. Miałam tego dnia tyle zajęć. I co ja nagle słyszę? Ziggy’ego oblaży wszy! Tak, zabrała go do domu, ale gdyby nie pani Ponder, poszedłby do szkoły! Po co w ogóle prosiła starszą panią o sprawdzenie mu głowy?

Rozdział sześćdziesiąty drugi

– I co z tego? – zapytała Abigail.

– Nie. Nie mów „I co z tego”. To nie byle wygłup, tylko dorosła sytuacja, Abigail. Tu nie ma żartów. – Madeline tak mocno ścisnęła kierownicę, że ręce ślizgały jej się od potu.

Niesamowite, ale jeszcze nie podniosła głosu. Pojechała do szkoły i oznajmiła pani od angielskiego, że z powodu „pilnej sprawy rodzinnej” musi zwolnić Abigail do domu. Wieść o stronie internetowej najwyraźniej nie dotarła jeszcze do grona pedagogicznego. „Abigail świetnie sobie radzi”, pochwaliła nauczycielka. „Jest bardzo kreatywna”. „O, tak”, potwierdziła Madeline, z wysiłkiem powstrzymując się, by diabelsko nie zachichotać.

Wymagało to od niej wiele zachodu, ale nie pisnęła ani słowa, kiedy wsiadły do samochodu. Nie krzyknęła: „Na głowę upadłaś?!”. Czekwała, aż Abigail odezwie się pierwsza. (Uznała, że lepiej tak to rozegrać.) I gdy w końcu zapytała, ze wzrokiem wbitym w deskę rozdzielczą, co to za „pilna sprawa”, Madeline odpowiedziała bardzo spokojnie, tak spokojnie jak Ed:

– Ludzie piszą w internecie o uprawianiu seksu z moją czternastoletnią córką, Abigail.

Abigail się wzdrygnęła.

– Wiedziałam – mruknęła.

Madeline sądziła, że ten mimowolny dreszcz dobrze wróży: Abigail pewnie żałuje tego, co zrobiła. Zagalopowała się i teraz szuka wyjścia. Chce, żeby rodzice kazali jej zlikwidować stronę.

– Kochanie, doskonale rozumiem, co chciałaś osiągnąć. Prowadzisz kampanię społeczną na bazie kontrowersji. To wspaniale. Nieźle to wymyśliłaś. W tym wypadku jednak przeholowałaś z tą kontrowersją. Ludzie nie myślą o pogwałceniu prawa człowieka, tylko o czternastolatce, która sprzedaje się przez internet.

– Nic mnie to nie obchodzi – oznajmiła Abigail. – Chcę zebrać pieniądze.

Uświadomić ludziom, co się dzieje. Chcę coś zrobić, a nie mówić „ach, to straszne” i potem stać z założonymi rękami.

– Tak, ale ty nie uświadamiasz ludzi, tylko tworzysz sensację wokół własnej osoby! „Abigail Mackenzie, czternastolatka, która chciała sprzedać swoją cnotę”. Nikt nie dba o to i nie zapamięta, że robisz to w słusznej sprawie. Fundujesz sobie wilczy bilet na przyszłość.

I wtedy Abigail zapytała:

– I co z tego?

Jakby to była tylko kwestia punktu widzenia.

– Powiedz mi jedno, Abigail. Zamierzasz doprowadzić to do końca? Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś nieletnia? Masz czternaście lat. Jesteś za młoda, żeby uprawiać seks. – Madeline słyszała, jak głos jej drży.

– To są małe dziewczynki, mamó! – wybuchła Abigail, równie wstrząśnięta.

Miała zbyt wybujałą fantazję. Za dużo empatii. Madeline próbowała wytłumaczyć to Bonnie w czasie apelu. Te dziewczynki naprawdę dla niej istniały – jasne, że istniały, tak jak na świecie istniało cierpienie, a ludzie doświadczali niewyobrażalnych katuszy, na które nie wolno zamykać się całkowicie, ale nie wolno też się otwierać na oścież, no bo jak przeżyć swoje życie, jeśli człowiekowi akurat się poszczęściło? Trzeba odnotować istnienie zła, robić, co w naszej mocy, a potem zamknąć oczy i pomyśleć o nowych butach.

– Dlatego coś z tym zrobimy – obiecała Madeline. – Wymyślimy razem jakąś sensowną kampanię. Wciągniemy w to Eda! On zna różnych dziennikarzy...

– Nie – ucięła Abigail. – Tylko tak mówisz, a potem nie kiwniesz palcem. Zajmiesz się czymś innym i sprawa pójdzie w niepamięć.

– Obiecuję... – Madeline wiedziała, że coś w tym jest.

– Nie – powtórzyła Abigail.

– Nie ma dyskusji. Jesteś jeszcze dzieckiem. Jeśli będzie trzeba, włączę w to policję. Masz zlikwidować tę stronę, Abigail.

– Wykluczone. I nie dam tacie hasła, choćbyś mnie torturowała.

– Och, na miłość boską, nie bądź niemądra. Mówisz jak pięciolatka. – Madeline pozałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała.

Zbliżały się do miejsca odbioru dzieci przy szkole. Madeline ujrzała tuż przed sobą lśniące, czarne bmw Renaty. Przez zaciemnione szyby nie widziała, kto prowadzi – zapewne była to ta flądra opiekunka. Wyobraziła sobie minę Renaty na wieść, że córka Madeline wystawiła swoją cnotę na aukcji.

Zapewne by jej współczuła. Renata nie była taka zła. Ale poczułaby też pewną satysfakcję, podobnie jak Madeline na wieść o romansie jej męża.

Madeline szczyliła się tym, że nie dba o cudze zdanie, zależało jej jednak, aby Renata nie miała złej opinii o jej córce.

– A zatem chcesz to ciągnąć? I przespać się z obcym facetem? – zapytała. Podjechała kawałek i próbowała zwrócić uwagę Chloe, która jej nie zauważyła, bo zagadała się z Lily, wyglądającą na lekko znudzoną. Chloe zadarła sobie spódniczkę, zakładając plecak, i cała kolejka samochodów widziała teraz jej majtki z Myszka Minnie. Normalnie rozśmieszyłoby to Madeline, lecz w tym momencie wydało jej się przykre i niestosowne; miała nadzieję, że któraś z nauczycielek zauważy i podejdzie, by poprawić ubranie Chloe.

– Lepsze to, niż przespać się z pijanym chłopakiem na imprezie – oznajmiła Abigail z twarzą odwróconą do okna.

Madeline ujrzała, jak nauczycielka rozdziela bliźniaków, wściekłych i czerwonych na twarzach. Uświadomiła sobie ze wstrząsem, że ma ich dzisiaj odebrać. O mały włos by o tym zapomniała.

Kolejka znieruchomiała, bo ktoś z przodu wdał się w długą rozmowę z nauczycielką, wbrew regulaminowi. Najprawdopodobniej jedna z Blond Paziów. W końcu ich nie obowiązywały żadne zasady.

– Ale na miłość boską, czy przemyślałaś szczegóły? Jak miałyby się to odbyć? I gdzie? Spotkacie się w hotelu? Poprosisz, żebym cię podwiozła? „Mamo, jadę stracić cnotę, wstąp do apteki po kondomy”. – Zerknęła na profil Abigail. Dziewczynka siedziała ze zwieszoną głową i jedną ręką osłaniała oczy. Wargę jej zadrzała. Jasne, że tego nie przemyślała. Miała czternaście lat. – A pomyślałaś, jakie to uczucie uprawiać seks z nieznanym? Pozwalać się dotykać jakiemuś zboczeńcowi...

Abigail opuściła rękę i odwróciła głowę.

– Przestań, mamo! – krzyknęła.

– Bujasz w obłokach, Abigail. Myślisz, że przystojniak w typie George’a Clooneya porwie cię do swojej willi, odbierze ci cnotę i wypisze hojny czek dla Amnesty International? Jesteś w błędzie. Czeka cię wielkie rozczarowanie. To będzie obrzydliwe i straszne...

– Jak dla tych dziewczynek! – krzyknęła Abigail i łzy pociekły jej po twarzy.

– Ale ja nie jestem ich matką! – wrzasnęła Madeline i wjechała prosto w tył bmw Renaty.



Harper: Nie chcę rzucać bezpodstawnych oskarżeń, ale Madeline specjalnie skasowała tył samochodu Renaty.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

– Tylko proszę nie rozpowiadać, że to robię. – Córka pani Ponder nachyliła się do ucha Jane, wykorzystując szum suszarek. – Jeszcze zwałą mi się bogate mamusie, żebym odwszawiała ich kochane dzieciątka.

Pani Ponder najpierw poradziła Jane, aby wybrała się do apteki po środek na wszy. „To proste”, oznajmiła. „Wystarczy przeczesać włosy grzebieniem i wydłubać żyjątko...” Urwała na widok miny Jane, a po chwili dodała: „Wiesz co, sprawdzę, czy Lucy znajdzie czas, żeby was dzisiaj przyjąć”.

Lucy, córka pani Ponder, prowadziła O Włos od Wieczności, bardzo popularny salon fryzjerski w Pirriwee, położony między kioskiem a rzeźnikiem. Podobno wszystkie blond pazie w okolicy były jej sprawką.

Kiedy zakładała Ziggy’emu pelerynę, Jane trwożnie potoczyła wzrokiem dokoła, by upewnić się, czy nie ma nikogo znajomego, ale otaczały ją same obce twarze.

– Ostrzyc go przy okazji?

– Tak, poproszę – odpowiedziała Jane.

Lucy zerknęła na nią.

– Mama chce, żebym ostrzygła też panią. Na króciutko.

Jane poprawiła kucyk.

– Właściwie to nie przywiązuję wagi do włosów.

– Chociaż rzucę okiem. Na wypadek wiadomo czego. Wszy nie latają, ale przeskakują z głowy na głowę jak mali akrobaci – dodała z meksykańskim akcentem, na co Ziggy zachichotał.

– O matko... – Jane natychmiast poczuła, że swędzi ją skóra głowy.

Lucy przyjrzała się jej spod zmrużonych powiek.

– Widziała pani *Przypadkową dziewczynę*? Ten film, gdzie Gwyneth Paltrow ścina włosy i wygląda fantastycznie?

– Jasne – odrzekła Jane. – Wszystkie dziewczyny lubią ten kawałek.

– Fryzjerki także. To dla nich wymarzone zadanie. – Lucy jeszcze chwilę

przyglądała się Jane, po czym odwróciła się z powrotem do Ziggy'ego i oparła ręce na jego barkach. – Twoja mama będzie nie poznania, kiedy z nią skończę.



Samantha: Nie poznałam Jane, kiedy zobaczyłam ją na wieczorku. Miała nową, fantastyczną fryzurę i założyła czarne rybaczki, białą koszulę z postawionym kołnierzykiem i baletki. O raju. Biedna. Taka była wesoła na początku.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Celeste faktycznie wygląda na chorą, pomyślała Madeline, zaganiając przed sobą bliźniaków. Przyjaciółka miała na sobie niebieską, męską koszulkę i kraciasty dół od piżamy. Była blada jak upiór.

– Jezu, myślisz, że to jakiś wirus? Tak cię ścięło! – zawołała. – Jeszcze na apelu wyglądałaś kwitnąco!

Celeste zaśmiała się dziwnie i dotknęła ręką potylicy.

– Tak, to spadło jak grom z jasnego nieba.

– Może wezmę chłopców do siebie? Perry odbierze ich w drodze powrotnej.
– Madeline obejrzała się na samochód. Rozbity reflektor łypnął na nią z wyrzutem. Zostawiła Abigail płaczącą na przednim siedzeniu, a Fred i Chloe darli koty z tyłu. (Zauważyła, że Fred drapie się ochoczo. Ze straszego doświadczenia wiedziała, co się święci; tylko wszy jej brakowało.)

– Nie, nie, to miło z twojej strony, ale dziękuję – odparła Celeste. – W piątki mają nieograniczony dostęp do telewizora. Będę miała ich z głowy. Bardzo ci dziękuję, że ich odebrałaś.

– Myślisz, że do jutra poczujesz się lepiej? – zapytała Madeline.

– O, na pewno. Perry nie może się doczekać wieczorku.

– No dobrze, to ja już pójdę. Wrzeszczałyśmy na siebie z Abigail w kolejce i wjechałam w tył samochodu Renaty.

– O nie! – Celeste uniosła rękę do twarzy.

– A jednak. Wrzeszczałam, bo Abigail wystawiła swoją cnotę na licytację w ramach akcji zapobiegania małżeństwom dzieci – ciągnęła Madeline. Celeste była pierwszą osobą, której o tym powiedziała; czuła wręcz desperacką potrzebę zwierzeń.

– Co takiego?

– Cel jest szczytny – dodała Madeline z udawaną nonszalancją. – Dlatego nie oponowałam, rzecz jasna.

– Och, Madeline. – Celeste położyła jej rękę na ramieniu i Madeline poczuła

pod powiekami łzy.

– Sama zobacz – powiedziała. –
Kupmojacnoteabyskonczyczmalzenstwamidzieciizmuszaniemdonierzadu
kropka com. Odmawia zlikwidowania strony, chociaż ludzie wypisują o niej
straszne rzeczy.

Celeste się wzdrygnęła.

– To chyba lepsze niż prostytuowanie się za narkotyki.

– Masz rację – zgodziła się Madeline.

– To jeden z tych wielkich, symbolicznych gestów, prawda? – Celeste
ponownie uniosła rękę do potylicy. – Jak wówczas, gdy Amerykanki
przeplływały Cieśninę Beringa czasie zimnej wojny.

– Co ty pleciesz?

– W latach osiemdziesiątych. Chodziłam wtedy do szkoły. Pamiętam, że
uważałam za głupie i bezsensowne pływać w lodowatej wodzie, lecz ponoć
osiągnęły zamierzony efekt, nie?

– Czyli uważasz, że mam jej na to pozwolić? Czy ten wirus padł ci na mózg?

Celeste zamrużyła. Zakołysała się lekko i oparła o ścianę.

– Nie. Jasne, że nie. – Na chwilę przykneęła oczy. – Mówię tylko, że
powinnaś być z niej dumna.

– Uhm – mrukneęła Madeline. – A ty powinnaś się położyć. – Cmokneęła
przyjaciółkę w chłodny policzek. – Mam nadzieję, że niedługo poczujesz się
lepiej. Wtedy sprawdź, czy chłopcy nie są zawszeni.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

OSIEM GODZIN PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

Cały ranek kropiło, a kiedy Jane wracała do Pirriwee, rozpadało się tak, że musiała pogłośnić radio i przełączyć wycieraczki na szybszy, bardziej spanikowany tryb.

Jechała od swoich rodziców, gdzie zostawiła Ziggy'ego na noc, żeby mogła pójść na wieczorek. Zostało to ustalone przed dwoma miesiącami, kiedy rozesłano zaproszenia, a Madeline emocjonowała się kostiumami i dobraniem towarzystwa przy stole pod kątem zainteresowań.

Ponoć jej były mąż celował w wiedzy podróżniczej („Kiedyś zjechał świat, był na Bali”) i Madeline zawzięta się, żeby go pobić. „Byłoby też miło utrzcę nosa stołowi Renaty”, dodała. „I pozostałym, którzy mają szczególnie uzdolnione dzieci, bo uważają ich geniusz za swoją zasługę”.

Madeline twierdziła, że jest beznadziejna w zagadkach, a Ed nie orientował się w niczym, co miało miejsce po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. „Będę przynosić wam drinki i robić masaże”, obiecała.

Zważywszy na zawirowania minionego tygodnia, Jane zapowiedziała rodzicom, że nie pójdzie na wieczorek. Po co się na to narażać? Zresztą wyświadczy innym przysługę. Niektórzy zapewne skorzystają z okazji, aby zbierać więcej podpisów pod petycją. Jeszcze ktoś przez pomyłkę poprosi ją o podpis w sprawie zawieszenia własnego syna.

Jednakże tego ranka, po spokojnie przespanej nocy, obudziła się na dźwięk deszczu, pełna optymizmu.

Jeszcze niczego nie postanowiła, ale postanowi.

Panna Barnes odpisała i umówiły się na poniedziałek rano. Po wczorajszym fryzjerze Jane wysłała Celeste wiadomość z pytaniem, czy nie pójda na kawę, ale Celeste odpisała, że leży chora w łóżku. Jane była rozdarta, czy powiedzieć jej o Maxie przed poniedziałkiem. (Biedaczka jest chora. Po co ją

dobijać?) Może to zbyt wiele. Celeste jest miła, więc to nie wpłynie na ich przyjaźń. Wszystko się ułoży. Petycja rozejdzie się po kościach. Może kiedy wiadomość się rozniesie, Jane doczeka się przeprosin od niektórych rodziców. (I łaskawie je przyjmie.) Wszystko możliwe, nieprawdaż? Nie chciała przekazywać biednej Celeste tytułu najgorszej matki roku, ale spodziewała się innej reakcji otoczenia aniżeli w swoim przypadku. Piękni, bogaci ludzie mają święte prawo zostać tam, gdzie są. Celeste i Perry, rzecz jasna, przeżyją ciężkie chwile, ale Max otrzyma konieczną pomoc. Sprawa przycichnie. Burza w szklance wody.

A ona zostanie w Pirriwee, dalej będzie pracować w Blue Blues i pić Tomową kawę.

Wiedziała, że bywa niepoprawną optymistką. Na dźwięk słów „Pani Champan?” w słuchawce w pierwszej chwili nachodziła ją durna myśl, że może wygrała samochód. (Choć nie brała udziału w żadnych konkursach.) Nawet lubiła to swoje dziwactwo, mimo że jej złudne nadzieje na ogół prowadziły donikąd.

„Chyba jednak pójdę na wieczorek”, oznajmiła matce przez telefon. „I dobrze”, odrzekła Di. „Nie masz się czego wstydzić”.

(Na wieść o niewinności wnuka Di zaczęła wiwatować. „Wiedziałam, że to nie on!”, stwierdziła tak skwapliwie, że chyba jednak skrycie dopuszczała inną możliwość.)

Dziadkowie mieli spędzić popołudnie, układając z wnukiem nową układankę z Gwiezdnymi Wojnami, w nadziei, że w końcu zarażą go swoją pasją. Rano Dane zabierze Ziggy’ego na ściankę wspinaczkową i odwiezie w niedzielę po południu.

„Potrzebujesz trochę czasu dla siebie”, oznajmiła matka. „Odpręż się. Zasługujesz na to”.

Jane zamierzała nadrobić zaległości w praniu, opłacić rachunki przez internet i ogarnąć pokój Ziggy’ego, zanim znowu nabałagani, lecz gdy znalazła się w pobliżu plaży, postanowiła zajrzeć do Blue Blues. Tam będzie ciepło i przytulnie. Tam na pewno napalił w piecyku. Dotarło do niej, że zaczyna się tam czuć jak w domu.

Zaparkowała na bezpłatnym miejscu w pobliżu promenady. Żadnych samochodów. Wszyscy siedzieli w domach. Odwołano pewnie wszystkie sobotnie zajęcia sportowe. Jane rozejrzała się po podłodze, gdzie zwykle wozila parasolkę, i zrozumiała, że zostawiła ją w mieszkaniu. Lało tak, jakby

ktoś ochlapywał szyby wodą z wiadra. Deszcz wyglądał na zdeterminowany, bardzo zimny i mokry: sam jego widok zapierał jej dech w piersi.

Z namysłem uniosła rękę do głowy. Przynajmniej ma mało włosów, więc tak nie zmokną. Była to kolejna rzecz, która poprawiła jej humor. Nowa fryzura.

Przejrzała się we wstecznym lusterku.

„Cudownie”, oznajmiła wczoraj córce pani Ponder. „Jestem zachwycona”. „Proszę opowiedzieć wszystkim, że to ja panią ostrzygłam”, zaznaczyła Lucy.

Jane nie mogła uwierzyć, jak króciutka fryzura odmieniła jej twarz, uwydatniła kości policzkowe i powiększyła oczy. Nowy, ciemniejszy kolor podkreślił karnację.

Po raz pierwszy od tamtego wieczoru w hotelu, gdy paskudne słowa wkradły się do jej umysłu, widok własnego odbicia sprawiał jej niekłamaną przyjemność. Ba, przeglądała się w kółko, szczyrzyła jak głupia i kręciła głową na wszystkie strony.

To przygnębiające, ileż radości czerpała z czegoś tak powierzchownego. Ale może to naturalne? A nawet normalne? Może miała prawo cieszyć się swoim wyglądem. Może nie należało w to wnikać ani rozmyślać o obsesji Saxona Banksa i współczesnego świata na punkcie urody, młodości, szczupłej sylwetki i wyretuszowanych modelek, które wyznaczały nierealistyczne kanony, gdyż poczucie wartości każdej kobiety nie powinno wypływać z jej wyglądu, bo liczy się piękno wewnętrzne, la, la, la... Dostyc tego! Dzisiaj miała nową fryzurę, która jej pasowała, i to ją niezmiernie radowało.

(„Ach!”, zawołała na jej widok matka i przycisnęła rękę do ust z taką miną, jakby miała się rozpłakać. „Nie podoba ci się?”, zapytała Jane nieśmiało, nagle pełna zwątpienia, na co matka odpowiedziała: „Głuptasie, wyglądasz przepięknie!”.)

Jane dotknęła kluczyka w stacyjce. Powinna wracać do domu. Bez sensu tak siedzieć w deszczu.

Ale tak rozpaczliwie zatęskniła za Blue Blues oraz za wszystkim, co z nim związane: zapachem, ciepłem, kawą. Poza tym chciała pokazać Tomowi nową fryzurę. Geje się znają na tych rzeczach.

Nabrała tchu, otworzyła drzwi i pobięła.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Celeste obudziła się późno przy wtórze deszczu oraz muzyki klasycznej. W domu pachniało jajecznicą na bekonie, co oznaczało, że Perry urzęduje w kuchni, a chłopcy mu asystują, uszczęśliwieni siedząc na blacie w piżamkach. Uwielbiali kucharzenie z tatą.

Kiedyś przeczytała artykuł, jak to każdy związek ma swoje „konto miłosne”. Dobry uczynek na rzecz partnera jest jak depozyt. Przykre słowa – wycofanie środków. Grunt to utrzymać dodatnie saldo. Walenie głową żony o ścianę stanowiło potężną wypłatę. A wczesna pobudka i zrobienie z dziećmi śniadania – mały depozyt.

Usiadła i pomacała tył głowy. Nadal poboлеваła, ale było lepiej. Niesamowite, jak szybko rozpoczyna się proces gojenia i zapominania. I tak w koło Macieju.

Dzisiaj wieczorek integracyjny. Ona i Perry przebiorą się za Audrey Hepburn i Elvisa Presleya. Perry zamówił kostium z ekskluzywnej londyńskiej firmy. Gdyby książę Harry chciał przebrać się za Elvisa, udałby się w to samo miejsce. Pozostali zadowolą się poliestrem i rekwizytami ze sklepu z chińszczyzną.

Jutro Perry leci na Hawaje. Pic na wodę, a nie wyjazd służbowy, jak sam przyznał. Pytał ją przed kilkoma miesiącami, czy nie chce mu towarzyszyć, a Celeste nawet brała to pod uwagę, jakby wyjazd mógł cokolwiek rozwiązać. Egzotyczne wakacje! Masaże i drinki z parasolką. Z dala od codziennego stresu! Co mogło pójść nie tak? (A jednak. Kiedyś uderzył ją w pięciogwiazdkowym hotelu, bo zaśmiała się, kiedy powiedział „izuloryczny”. W życiu nie zapomni jego zmartwiałej miny, gdy zrozumiał, że mówił tak całe życie.)

Pod jego nieobecność przeniesie się z chłopcami do mieszkania w McMahan's Point. Zadzwoi do adwokata. To nie będzie trudne. Rozprawa nie wzbudzała jej strachu. Zna dużo osób. Będzie dobrze. Oczywiście będzie

strasznie, ale wszystko dobrze się skończy. Przecież jej nie zabije. Po każdej kłótni wyolbrzymiała sytuację. „Zabije”, dobre sobie, a teraz siedzi spokojnie w kuchni i smaży jajecznicę.

Przez pewien czas będzie okropnie, lecz potem wszystko się ułoży. Chłopcy nadal będą z nim robić śniadanie podczas wspólnych weekendów.

Wczoraj skrzywdził ją po raz ostatni.

To koniec.

– Mamusiu, zrobiliśmy ci śniadanie!

Chłopcy wpadli do sypialni i zaczęli pełzać po łóżku jak małe kraby.

Perry stanął w drzwiach z talerzem w uniesionej dłoni, jak kelner w eleganckim lokalu.

– Mniam! – powiedziała Celeste.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

– Wiem, co zrobimy – oznajmił Ed.

– Nie, nie wiesz – zgasiła go Madeline.

Siedzieli w dużym pokoju, nasłuchując deszczu i zajadając ponuro babeczki Jane. (To straszne, że z uporem przynosiła je Madeline, jakby chciała ją utuczyć.)

Abigail tkwiła w swoim pokoju, na sofie, która zastąpiła jej piękne łóżko z kolumnami. Leżała na boku, z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej i słuchawkami w uszach.

Strona działała w najlepsze. Cnota Abigail wciąż stanowiła przedmiot licytacji dla mężczyzn na całym świecie.

Madeline czuła się obnażona, jakby wścibskie oczy zaglądały przez okna, a nieznajomi chodzili po domu, by naigrawać się z jej dziecka.

Wczoraj wieczorem przyszedł Nathan i dwie godziny usiłovali przywołać córkę do porządku: prośbą, groźbą, krzykiem i łagodną perswazją. W końcu Nathan bezsilnie się rozplakał, co wstrząsnęło Abigail w sposób widoczny, lecz uparcie trwała w swoim postanowieniu. Nie poda im hasła. Nie zlikwiduje strony. Doprowadzi aukcję do końca albo i nie, ale niech skończą z tą „obsesją” na punkcie seksu. Pozostawi stronę, aby uświadomić ludziom skalę problemu i ponieważ jest „jedynym głosem tych dziewczynek”.

Co za egocentryczka, jakby światowe organizacje charytatywne tylko czekały, co wskóra mała Abigail Mackenzie z Pirriwee, na przekór ich własnej niemocy! Twierdziła, że wulgarne komentarze wcale jej nie obchodzą. Ci ludzie nic dla niej nie znaczą. To się nie liczy. Ludzie zawsze będą wypisywać w sieci wredne rzeczy.

– Tylko nie mów, żeby zawiadomić policję, Ed – powiedziała teraz Madeline. – Ja naprawdę...

– Zadzwonimy do australijskiej filii Amnesty International – oznajmił Ed. – Na bank nie będą chcieli, aby kojarzono ich z czymś takim. Jeśli organizacja,

która naprawdę reprezentuje prawa dzieci, każe jej zamknąć stronę, na pewno to zrobi.

Madeline wycelowała w niego palcem.

– Dobrze. To może zadziałać.

Z korytarza dobiegł nagły łomot. Fred i Chloe źle znosili konieczność przebywania w domu w deszczowy dzień.

– Oddawaj! – wrzasnęła Chloe.

– W życiu! – odkrzyknął Fred.

Wpadli do pokoju, wydzierając sobie kartkę papieru.

– Nie mówcie, że bijecie się o ten świstek – powiedział Ed.

– On się nie dzieli! – zawyła Chloe. – Bogaty sknera z głodu umiera!

– Dobry zwyczaj nie pożyczaj! – ryknął Fred.

W innych okolicznościach Madeline uśmiełaby się do rozpuku.

– To mój samolocik! – zawodził Fred.

– Ja narysowałam pasażerów!

– Nie narysowałaś!

– Możecie dać sobie spokój.

Wzrok Madeline padł na najstarszą córkę stojącą w progu.

– Co? – zapytała. Abigail powiedziała coś, co zagłuszył wrzask Freda i Chloe. – Jasna cholera! – Madeline wyrwała Fredowi samolocik, przedarła go na pół i wręczyła obojgu po połowie. – A teraz znikać mi z oczu!

Uciekli.

– Zlikwidowałam stronę – oznajmiła Abigail z westchnieniem osoby znużonej życiem.

– Zlikwidowałaś? Dlaczego? – Madeline powstrzymała się, aby nie skoczyć na równe nogi i nie odtńczyć tańca radości, jak Fred po zwycięskim голу.

Abigail podała jej wydrukowaną wiadomość.

– Dostałam to.

Ed i Madeline pochylili się nad kartką.

Do: Abigail Mackenzie

Od: Larry Fitzgerald

Temat: Aukcja

Szanowna Panno Mackenzie,

Nazywam się Larry Fitzgerald i miło mi Panią poznać. Przypuszczam, iż rzadko otrzymuje Pani listy od osiemdziesięcioletników z drugiego końca świata, a konkretnie z Sioux Falls w Dakocie Południowej. Moja droga żona i ja odwiedziliśmy Australię przed wielu laty, w 1987 roku, zanim Pani przyszła na świat. Mieliśmy przyjemność zobaczyć Operę w Sydney. (Jestem emerytowanym architektem i zawsze było moim marzeniem ujrzeć Operę.) Australijczycy okazali nam wiele ciepła. Niestety moja piękna żona umarła w zeszłym roku. Tęsknię za nią każdego dnia. Panno Mackenzie, widziałem Pani stronę i ujęło mnie Pani zaangażowanie w los tych nieszczęsnych dzieci. Nie kupię Pani cnoty, jednakże chciałbym złożyć pewną ofertę. Oto, co proponuję. Natychmiast zamknij Pani aukcję, a w zamian ja wpłacę \$100 000 na konto Amnesty International. (Oczywiście wyślę Pani potwierdzenie.) Przez wiele lat działałem na rzecz praw człowieka, ale Pani sama jest jeszcze dzieckiem, Panno Mackenzie, i nie mógłbym spokojnie patrzeć, jak realizuje Pani swój plan.

Czekam na Pani odpowiedź.

Z poważaniem,

Larry Fitzgerald

Madeline i Ed spojrzeli po sobie, a następnie przenieśli wzrok na Abigail.

– Sto tysięcy to zająca kwota – stwierdziła nastolatka. Mówiąc to, stała już przy otwartej lodówce, wyciągała różne pojemniki i zaglądała do środka. – Przypuszczam, że Amnesty zrobi z niej dobry użytek.

– Na pewno – rzucił Ed neutralnym tonem.

– Odpisałam mu, że zlikwidowałam stronę – ciągnęła Abigail. – Jeżeli nie przyśle potwierdzenia, założę ją ponownie.

– No pewnie – mruknął Ed. – Musi dotrzymać słowa.

Madeline uśmiechnęła się do niego, a potem do córki. Widziała, że Abigail odetchnęła z ulgą, z radości aż przytupywała bosą stopą. Zapędziła się w kozi róg, a wspaniały Larry z Dakoty Południowej wybawił ją z opresji.

– Czy to spaghetti bolońskie? – zapytała Abigail, pokazując na jeden z plastikowych pojemników. – Umieram z głodu.

– Myślałam, że jesteś weganą – zdziwiła się Madeline.

– Nie w tym domu. – Abigail zaniósła pojemnik do mikrofalówki. – Tutaj ciężko być weganą.

- A jakie miałaś hasło? – zainteresowała się Madeline.
 - Nigdy nie zgadniesz.
 - No wiem. Próbowaliśmy z tatą wszystkiego.
 - Właśnie to jest moje hasło. Nigdy nie zgadniesz.
 - Sprytne – pochwaliła Madeline.
 - Dziękuję. – Abigail pokazała dołeczki w uśmiechu.
- Mikrofalówka zadzwoniła; Abigail otworzyła drzwiczki i wyjęła pojemnik.
- Oczywiście masz świadomość, że poniesiesz te, no, konsekwencje – podjęła Madeline. – Gdy cię o coś prosimy, masz nas słuchać.
 - Jasne – odrzekła Abigail wesoło. – Czyńcie swoją powinność.
- Ed chrząknął, lecz Madeline pokręciła głową.
- Mogę zjeść w pokoju przy telewizorze? – Abigail uniosła parujący talerz.
 - Pewnie – odpowiedziała Madeline.
- Gdy Abigail wyszła w podskokach, Ed oparł się na krzesło z rękami splecionymi za głową.
- Kryzys minął.
 - A to wszystko dzięki Larry’emu Fitzgeraldowi. – Madeline sięgnęła po wydrukowaną wiadomość. – Jakie to szczęście...
- Urwała i postukała palcem w wargę. No właśnie.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

Na drzwiach Blue Blues wisiała tabliczka „zamknięte”. Jane przycisnęła dłoń do drzwi. Poczuła się oszukana. Nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek pocałowała tu klamkę.

Jednym słowem – na darmo zmokła do suchej nitki.

Opuściła ręce i zakląła. No tak. Mówi się trudno. Pojedzie do domu i weźmie prysznic. Oby tylko woda zechciała lecieć dłużej niż dwie minuty i dwadzieścia siedem sekund. Dwie minuty i dwadzieścia siedem sekund to stanowczo za mało, żeby się rozgrzać, ale w sam raz, by człowieka podręczyć.

Zawróciła na pięcie, gdy nagle usłyszała:

– Jane!

Drzwi się otworzyły.

W progu stał Tom, w białym podkoszulku z długim rękawem i w dżinsach. Wyglądał niezwykle sucho, ciepło i apetycznie. (Zawsze kojarzyła go z kawą, toteż miała na jego widok odruch Pawłowa.)

– Zamknięte – oznajmiła Jane z pretensją. – Ty nigdy nie zamykasz.

Tom położył suchą rękę na jej mokrym ramieniu i wciągnął ją do środka.

– Dla ciebie mam otwarte.

Jane spojrzała po sobie. Miała buty pełne wody. Idąc, zasysała podłogę. Woda spływała jej po twarzy jak łzy.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wzięłam parasolki i pomyślałam, że jak pobiegnę szybko...

– Nie ma sprawy. Dla mnie to codzienność. Ludzie daliby się posiekać za moją kawę – oświadczył. – Chodźmy na zaplecze, to dam ci coś do przebrania. Uznałem, że zamknę i pooglądam telewizję. Od kilku godzin nikt tu nie zajrzał. A gdzie mój kumpel Ziggy?

– Zostawiłam go u rodziców, żeby iść na wieczorek integracyjny – wyjaśniła Jane. – Zapowiada się szalona noc.

– O tak – potwierdził Tom. – Rodzice z Pirriwee lubią sobie chlapnąć.

A wiesz, że ja też się wybieram? Madeline posadziła mnie przy waszym stoliku.

Jane ruszyła za nim przez kawiarnię w stronę drzwi z napisem „prywatne”. Wciąż zostawiała za sobą mokre ślady. Wiedziała, że Tom mieszka na zapleczu, ale nigdy tam nie zaglądała.

– O rany – powiedziała, kiedy Tom otworzył drzwi. – Ekstra!

– No – potwierdził. – Czuj się wyróżniona.

Rozejrzawszy się, stwierdziła, że mieszkanie stanowi przedłużenie lokalu – ta sama wypolerowana posadzka, szorstkie białe ściany i półki wypełnione starymi książkami. Jediną różnicę stanowiły deska surfingowa i gitara oparte o ścianę, stos płyt kompaktowych oraz sprzęt grający.

– Nie wierzę – powiedziała.

– Co? – zapytał.

– Lubisz układanki – westchnęła, wskazując na ułożone do połowy puzzle na blacie. Spojrzała na pudełko. Był to prawdziwy hardcore (używając określenia jej brata): dwa tysiące elementów z biało-czarnym zdjęciem przedstawiającym Paryż w czasie wojny. – My też lubimy – dodała. – To znaczy moja rodzina. Właściwie mamy bzika na tym punkcie.

– Zawsze lubię mieć zaczętą. To mnie odpręża.

– No właśnie.

– Wiesz co? Dam ci ciuchy na przebranie, podgrzeję zupę dyniową i pomożesz mi układać – zaproponował Tom.

Wyjął z komody spodnie od dresu i bluzę z kapturem, a Jane poszła do łazienki i wrzuciła do umywalki wszystkie przemoczone rzeczy, łącznie z bielizną. Ubranie, które od niego dostała, pachniało Tomem i Blue Blues.

– Czuję się jak Charlie Chaplin – powiedziała, gdy wróciła. Rękawy zwisały jej poza nadgarstki, a za luźne spodnie musiała podciągać.

– Proszę – powiedział Tom i podwinął jej rękawy. Jane poddała się temu jak dziecko. Czowała się niemożliwie szczęśliwa. Rozpieszczona.

Usiadła przy stole, a Tom przyniósł dwa talerze zupy dyniowej z kleksem gęstej śmietany i chlebem na zakwasie, posmarowanym masłem.

– Ciągłe mnie karmisz – zauważyła.

– Ktoś musi – odparł. – Wcinaj. – Spróbowała łyżkę słodkiej, pikantnej zupy. – Wiem, co się zmieniło! – rzucił nagle Tom. – Ściąłaś włosy! Świetnie wyglądasz.

Jane się roześmiała.

– A myślałam po drodze, że gej od razu zauważy zmianę. – Sięgnęła po element układanki i znalazła miejsce, gdzie pasował. Czują się jak w domu, jadła i układała. – Przepraszam. Wiem, że to okropny stereotyp.

– Hm... – mruknął Tom.

– Co się stało? – Jane podniosła na niego wzrok. – Pasuje. Sam zobacz. To róg czołgu. Niesamowita ta zupa! Czemu nie włączysz jej do menu?

– Nie jestem gejem – oznajmił Tom.

– Akurat – prychnęła Jane wesoło. Wzięła to za kiepski żart.

– Nie jestem. Serio.

– Słucham?

– Wiem, że lubię układanki i świetnie gotuję zupę dyniową, ale jestem hetero.

– O rany! – jęknęła. Poczwała, że czerwienieje jak burak. – Przepraszam. Myślałam... nie myślałam, wiedziałam! Skąd wiedziałam? Ktoś mi powiedział. Madeline powiedziała mi wieki temu. Ale dobrze pamiętam! Opowiedziała mi całą historię, że zerwałeś z chłopakiem, bardzo źle to zniosłeś i godzinami płakałeś i surfowałeś...

Tom wyszczerzył zęby.

– Tom O'Brien – oświadczył. – Mówiła o nim.

– Tom O'Brien? Ten mechanik? – Był to kawał chłopca z krzaczastą brodą à la Ned Kelly. Jakoś nigdy do niej nie dotarło, że noszą to samo imię. Tak bardzo się różnili.

– To całkowicie zrozumią. Tom barista bardziej pasuje na geja niż Tom mechanik wyrwidąb – przyznał Tom. – Swoją drogą, ponoć odnalazł szczęście i zakochał się w kimś innym.

– No popatrz. Faktycznie jego faktury ładnie pachniały – dodała Jane po chwili namysłu. Tom parsknął. – Uhm, mam nadzieję, że cię nie uraziłam – rzuciła.

Nawet nie domknęła łazienki, kiedy się przebierała. Zostawiła uchylone drzwi, jakby Tom był dziewczyną, aby mogli swobodnie rozmawiać. I zdjęła majtki. Tak swobodnie z nim rozmawiała. Zawsze była przy nim taka swobodna. Gdyby wiedziała, że jest hetero, osłoniłaby jakąś część siebie. Podobał się jej, bo był gejem, a to się nie liczyło.

– Jasne, że nie. – Wymienili spojrzenia. Jego twarz, tak droga i znajoma po tych wszystkich miesiącach, nagle wydała się Jane obca. Poczzerwieniał. Oboje poczerwienieli. Jej żołądek dał nura jak na rollercoasterze. O losie! –

To chyba pasuje tutaj – rzucił.

Jane spojrzała na wskazany element i wstawiła go we wskazanym miejscu. Miała nadzieję, że drżenie jej palców zostanie odczytane jako zwykła niezdarność.

– Masz rację.



Carol: Widziałam Jane na wieczorku pochłoniętą, nazwijmy to, intymną pogawędką z jednym z ojców. Siedzieli o, tak blisko, i dałabym głowę, że trzymał ją za kolano. Prawdę powiedziawszy, byłam w szoku.

Gabrielle: To nie był żaden z ojców, tylko Tom! Barista! Który jest gejem!

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

PÓŁ GODZINY PRZED WIECZORKIEM INTEGRACYJNYM

– Ślicznie wyglądasz, mamusiu – powiedział Josh. Stał w drzwiach sypialni, spoglądając na Celeste.

Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów, długie białe rękawiczki oraz naszyjnik z pereł, przywieziony przez Perry’ego ze Szwajcarii. Upięła nawet włosy w stylu Audrey Hepburn i właśnie znalazła swój stary brylantowy grzebień. Wyglądała całkiem nieźle. Madeline będzie zadowolona.

– Dziękuję, Josh. – Nie pamiętała, kiedy jakiś komplement sprawił jej taką przyjemność. – Chodź, niech cię przytulę.

Podbiegł do niej, a ona usiadła na łóżku i rozpostarła ramiona. Nigdy nie był tak skory do pieszczot jak Max, więc gdy wykazywał taką gotowość, poświęcała mu pełną uwagę. Przycisnęła usta do jego włosów. Wzięła kolejną tabletkę przeciwbólową, choć nie była pewna, czy to konieczne, i czuła się trochę rozkojarzona.

– Mamusiu...

– Hmm?

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Hmm. Co takiego? – Przymknęła oczy i mocniej go przytuliła.

– Nie chcę ci mówić.

– Nie musisz – zapewniła sennym tonem.

– Kiedy to mnie smuci.

– Co cię smuci? – Celeste uniosła głowę i postarała się skupić.

– Max już nie dokucza Amabelli, tak? – podjął Josh. – Ale wczoraj znowu zepchnął Skye ze schodów obok biblioteki, a ja powiedziałem, że tak nie wolno, i strasznie się pobiliśmy, bo zagroziłem, że naskarzę.

Max zepchnął Skye.

Skye. Przestraszona, chudziutką córeczkę Bonnie i Nathana. Znowu. Celeste

poczuła mdłości na myśl o tym, że jej syn mógłby skrzywdzić to wrażliwe dziecko.

– Ale dlaczego? – spytała. – Czemu miałyby to robić? – Poczowała tępy ból z tyłu głowy.

– Nie wiem. – Josh wzruszył ramionami. – On tak ma.

– Zaczekaj. – Z parteru dobiegł dźwięk jej komórki. Celeste przycisnęła palce do czoła. Kojarzyła jak przez mgłę. – Powiedziałaś: „Max już nie dokucza Amabelli”. O czym ty mówisz? Co to ma znaczyć?

– Odbiorę! – zawołał Perry.

Josh tracił cierpliwość.

– Nie, nie, mamusiu. Posłuchaj! Amabellę zostawił w spokoju. Chodzi o Skye. Kiedy nikt oprócz mnie nie patrzy.

– Mamusiu! – Do sypialni przybiegł Max, cały w ekstazie. – Chyba ząb mi się rusza! – Wpakował palec do ust. Wyglądał tak słodko. Tak słodko i niewinnie. Wciąż miał okrągłą buzię, jak bobas. Marzył o utracie zęba, bo wyczekiwał Wróżki Zębuszki.

Na trzecie urodziny Josh poprosił o miecz, a Max o lalkę niemowlaka. Celeste i Perry świetnie się bawili, patrząc, jak ją nosi i śpiewa kołysanki. Celeste doceniła przy tym fakt, że Perry nie ma nic przeciwko tak niemęskiemu zachowaniu syna. Oczywiście niebawem Max porzucił lalki na rzecz mieczy świetlnych, lecz nadal był jej małym pieszczochem.

A teraz upatrywał sobie ciche dziewczynki z klasy i pastwił się nad nimi. Jej syn był małym oprawcą. „Jak to wpływa na dzieci?”, spytała Susi. „Nie wpływa”, odpowiedziała Celeste.

– Och, Max... – jęknęła.

– Zobacz! – zawołał. – Ja nie zmyślam! Naprawdę się rusza! – Rzucił okiem na ojca, którzy właśnie wszedł do pokoju. – Śmiesznie wyglądasz, tatusiu! Zobacz mój ząb! Zobacz, zobacz!

Perry w idealnie dopasowanej czarnej peruce, wielkich okularach lustrzankach i oczywiście białym kombinezonie, wysadzonym błyszczącymi kamieniami, był nie do poznania. W ręku trzymał komórkę żony.

– O kurczę! Naprawdę się rusza? – zapytał. – Pokaż!

Odłożył telefon na łóżko obok Celeste i Josha, po czym ukląkł przed Maxem i zsunął okulary na czubek nosa, żeby lepiej widzieć.

– Mam dla ciebie wiadomość. – Zerknął na Celeste i położył palec na dolnej wardze Maxa. – Pokaż, kolego. Od Mindy.

– Mindy? – mruknęła z roztargnieniem. – Nie znam żadnej Mindy. – Myślała o Jane i Ziggym. O petycji, na której powinno widnieć imię jej syna. Musi to zgłosić. Czy powinna zadzwonić do panny Barnes? A może najpierw do Jane?

– Z twojej wspólnoty mieszkaniowej – wyjaśnił Perry.

Ścisnęło ją w żołądku. Nie zareagowała, kiedy Josh zsunął się z jej kolan.

– Na pewno bujasz! – oznajmił bratu.

– Może trochę się rusza – przyznał Perry. Zmierzył Maxowi włosy i poprawił okulary. – Zakładają nowe czujniki dymu w twoim mieszkaniu i pytają, czy mogliby przyjść w poniedziałek rano. Mindy pytała, czy dziewiąta ci pasuje. – Chwycił synów w pasie i oparł na biodrach, gdzie zawisli swobodnie jak małpki, z rozradowanymi twarzyczkami. Spojrzał na Celeste z ukosa. – Pasuje ci, kochanie?

Wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Rozdział siedemdziesiąty

WIECZOREK INTEGRACYJNY

Stu: Zaraz na wejściu dostaliśmy różowe napitki.

Samantha: Były boskie. Sęk w tym, że nauczyciele klas szóstych coś źle obliczyli i w każdym była równowartość trzech lufek. I ci ludzie uczą nasze dzieci matematyki.

Gabrielle: Umierałam z głodu, bo cały dzień oszczędzałam kalorie na wieczór. Wypiłam pół koktajlu i – łup!

Jackie: Chodzę na przyjęcia firmowe, gdzie ludzie nie wylewają za kołnierz, ale w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak szybko się upił jak rodzice na wieczorku integracyjnym.

Thea: Catering się spóźnił, więc wszyscy byli głodni i pili mocne drinki. Pomyślałam sobie, że to nie wróży nic dobrego.

Panna Barnes: Nieładnie, kiedy nauczyciele się upijają na przyjęciach szkolnych, dlatego zawsze ograniczam się do jednego kieliszka, ale ten koktajl! Nawet nie mam pewności, co plotłam.

Pani Lipmann: Obecnie weryfikujemy procedury w związku z serwowaniem alkoholu na przyjęciach szkolnych.



– Koktajl? – spytała jasnowłosa Audrey Hepburn dzierżąca tacę.

Jane sięgnęła po różowy napój i rozejrzała się po auli. Wszystkie Blond Pазie chyba się zmówiły, bo miały na sobie identyczne naszyjniki i małe czarne. Wszystkie też upięły włosy. Może córka pani Ponder zaproponowała im grupową zniżkę?

– Pani tu nowa? – zagadnęła jedna z nich. – Chyba pani nie kojarzę.

– Ależ skąd – odpowiedziała Jane. – Jestem jedną z mam przedszkolaków. Jezu, jakie dobre.

– Tak, to dzieło nauczycieli szóstych klas. Nazwali go Od Święta czy jakoś tak. – Blond Paż przyjrzała się uważniej. – Ach, no tak! Ścięła pani włosy. Uhm, Jane, prawda? – Zgadza się. To ja. Matka chuligana. Który nie jest chuliganem. – Blond Paż zmyła się jak niepyszna. – Miłej zabawy! – rzuciła na pożegnanie, ale jeszcze machnęła ręką w bliżej nieokreśloną stronę i dodała: – Tam jest plan, kto gdzie siedzi.

Jane weszła w tłum, mijając ożywionych Elvisów i chichoczące Audrey, sączących różowe koktajle. Rozejrzała się za Tomem, wiedząc, że pomoże jej rozwiązać zagadkę tego pysznego smaku.

Tom jest hetero. Myśl zniknęła i wyskakiwała w jej głowie jak diabeł z pudełka. Bum! Tom nie jest gejem. Bum! Tom nie jest gejem. Bum!

Było to cudowne i przezabawne, a zarazem przerażające.

Nagle stanęła twarzą w twarz z Madeline – całą w różu: różowa sukienka, różowa torebka i różowy drink w dłoni.

– Jane! – Jaskrawa sukienka była wysadzana zielonymi kamieniami i ozdobiona w talii ogromną, satynową kokardą. Większość kobiet na sali wybrała czerń, ale Madeline, rzecz jasna, umiała się wyróżnić.

– Wyglądasz bosko – oznajmiła Jane. – Czy to tiara Chloe?

Madeline dotknęła swojej korony z różowymi diamencikami z plastiku.

– Tak. Drogo mnie kosztowała. Ale to ty wyglądasz bosko! – Wzięła Jane za rękę i powoli obróciła wokół. – Twoje włosy! Nie mówiłaś, że zamierzasz się ostrzyc! Są cudowne! To dzieło Lucy Ponder? I ten strój! Uroczy! – Gdy znów stanęły twarzą w twarz, Madeline uniosła rękę do ust. – Jane! Pomalowałaś usta na czerwono! Ja... ja... – Głos jej zadrżał z emocji. – Jestem taka szczęśliwa!

– Ile różowych szklaneczek już obaliłaś? – zainteresowała się Jane, biorąc kolejny długi łyk.

– To dopiero druga – oznajmiła Madeline. – Mam straszny, potworny PMS.

Zabiję kogoś, zanim ten wieczór się skończy. Ale! Nie ma tego złego! Wszystko gra! Abigail zlikwidowała stronę internetową. Czeka, ty nic nie wiesz, prawda? Tyle się działo! Tyle katastrof! Zaraz! Jak było wczoraj? Mówię o wizycie u wiesz kogo.

– O co chodzi z tą stroną internetową? – Jane pociągnęła kolejny długi łyk przez słomkę, patrząc, jak obniża się poziom różowego płynu. Uderzał jej do głowy. Czuła się niesamowicie, nie do opisanego szczęśliwa. – Wizyta u psychologa dobrze poszła. – Zniżyła głos: – To nie Ziggy dokuczał Amabelli.

– No jasne, że nie – stwierdziła z przekonaniem Madeline, a zerkając na koktajl, zapytała: Myślisz, że w tym jest alkohol? Smakuje jak oranżada z dzieciństwa. Jak letnie popołudnie, pierwszy pocałunek, jak...

– Ziggy ma wszy – wyznała Jane.

– Fred i Chloe też – westchnęła ponuro Madeline.

– Ach, mam ci tyle do opowiedzenia. Mąż Harper odegrał wczoraj przy mnie Tony’ego Soprano. Zagroził, że jeśli zbliżę się do Harper, to postawi mnie przed obliczem sprawiedliwości. Podobno jest współnikiem w kancelarii.

– Graeme? Pracuje w funduszach inwestycyjnych, na litość boską!

– Tom wyrzucił ich z kawiarni.

– Serio? – Madeline się ożywiła.

– Gołymi rękami – zabrzmiał głos za jej plecami i Jane zobaczyła Toma w dzinsach i kraciastej koszuli. W dłoni trzymał jeden ze wszechobecnych różowych drinków.

– Tom! – zawołała w ekstazie, jakby wrócił z frontu. Odruchowo zrobiła krok naprzód, ale gdy otarła się o niego ramieniem, szybko odskoczyła.

– Obie wyglądacie wspaniale – powiedział Tom, patrząc tylko na Jane.

– A ty nie wyglądasz jak Elvis – stwierdziła Madeline z dezaprobatą.

– Ja się nie przebieram – oświadczył i nieśmiało wygładził idealnie wyprasowaną koszulę. – Bardzo mi przykro. – Ta koszula do niego nie pasowała. Znacznie lepiej prezentował się w czarnych koszulkach, które nosił w kawiarni. Myśl o Tomie z gołą klatką, prasującym nieładną koszulę w swoim małym mieszkanku na zapleczu, napełniła Jane tkliwością i pożądaniem. – Czujecie w tym miętę?

– No właśnie! – zawołała Jane. – Truskawkowy mus, szampan...

– I wódka – uzupełnił. Upił kolejny łyk. – Dużo wódki.

– Myślisz? – Jane nie spuszczała wzroku z jego ust. Zawsze uważała go za przystojnego. Miał piękne, niemal kobiece wargi. To doprawdy smutny dzień

dla gejów.

– Aha! – wykrzyknęła Madeline. – Aha!

– Co się stało? – zapytał Tom.

– O, witaj, Tom, stary. – Ed stanął obok Madeline i objął ją w talii. Był ubrany w czarno-złoty kostium Elvisa, z bufiastymi rękawami i wielkim kołnierzem. Można było paść ze śmiechu. – Powiedzcie mi, dlaczego Tom nie wygląda jak palant? – zapytał i uśmiechnął się do Jane. – Przestań rechotać, Jane. À propos, wyglądasz bosko. Zrobiłaś coś z włosami?

Madeline szczyrzyła się idiotycznie do Jane i Toma, a głowa latała jej na boki jak na meczu tenisowym.

– Zobacz, skarbie – zwróciła się do Eda. – Tom i Jane.

– Tak – odparł. – Widzę. Gwoli ścisłości, właśnie z nimi rozmawiam.

– To takie oczywiste! – zawołała Madeline z roziskrzonym wzrokiem i ręką na sercu. – Jak mogłam być taka... – Ku wielkiej uldze Jane urwała, bo coś za ich plecami przykuło jej uwagę. – Patrzcie, kto przyszedł. Król i królowa balu.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

W czasie krótkiej drogi do szkoły Perry się nie odzywał. Jednak nie zrezygnowali z wieczorku. Celeste nie mogła w to uwierzyć, ale w końcu dlaczego nie. Nigdy nie odwoływali. Niekiedy musiała włożyć coś innego albo mieć wymówkę w pogotowiu, ale przedstawienie musi trwać.

Perry zamieścił już na Facebooku ich zdjęcie w przebraniu. Wyglądali na nim na wesołych, wyluzowanych ludzi, którzy nie biorą siebie zbyt poważnie oraz dbają o szkołę i lokalną społeczność. Pasowało to jak ulał do pozostałych postów o zagranicznych wycieczkach i kosztownych fetach. Szkolny wieczorek integracyjny tylko dopełniał obrazu.

Patrzyła przed siebie na rytmicznie przesuwane się wycieraczki. Przednia szyba przypominała do złudzenia zmienny tryb jej umysłu. Zamęt. Jasność. Zamęt. Jasność. Zamęt. Jasność.

Zerknęła na jego dłonie na kierownicy. Zręczne dłonie. Dłonie pełne czułości. I podłe. Był tylko mężczyzną w kostiumie Elvisa, wiozącym ją na szkolny wieczorek.

Był mężczyzną, który właśnie odkrył, że żona chce go rzucić. Mężczyzną zranionym. Zdradzonym. Wściekłym. Ale na wskroś ludzkim.

Zamęt. Jasność. Zamęt. Jasność.

Kiedy Gwen przyszła do chłopców, Perry uruchomił swój czar, jakby wiele od tego zależało. Z początku starsza pani traktowała go chłodno, okazało się jednak, że ma słabość do Presleya. Popłynęła opowieść o tym, jak to była jedną ze „złotych dziewcząt”, kiedy złoty cadillac Elvisa jeździł po Australii, ale Perry przerwał jej gładko, jak dżentelmen, który porywa damę do tańca.

Gdy wjechali w ulicę prowadzącą do szkoły, deszcz zelżał. Ulica była zapchana samochodami, ale czekało na nich jedno miejsce w pobliżu wejścia, jakby Perry je zaklepał. Zawsze miał gdzie zaparkować. Dla niego włączało się zielone, a dolar posłusznie szedł w górę lub spadał. Może dlatego dostawał szału, gdy coś nie szło po jego myśli.

Zgasił silnik.

Siedzieli jak zaczarowani. Celeste dostrzegła jedną z matek przedszkolaków, która przebiegła im przed maską, drobiąc krocзки w długiej sukni. Niosła dziecięcą parasolkę w groszki. Gabrielle, pomyślała Celeste. Ta, która wiecznie narzeka na swoją wagę.

Spojrzała na męża.

– Max dokucza Amabelli. Córce Renaty.

Wciąż patrzył przed siebie.

– Skąd wiesz?

– Josh mi powiedział. Zanim wyszliśmy. Wszyscy obwiniali Ziggy’ego.

Ziggy’ego. Synka twojego kuzyna.

– To jego dotyczy petycja. – Na chwilę przymknęła oczy na wspomnienie, jak uderzył jej głową o ścianę. – Powinni żądać zawieszenia Maxa. Nie Ziggy’ego.

Perry odwrócił głowę i utkwiał w niej wzrok. W czarnej peruce był nie do poznania. Jego oczy były jak niezapominajki.

– Porozmawiamy z wychowawczynią – oznajmił.

– Ja porozmawiam – odpowiedziała Celeste. – Ciebie nie będzie, pamiętasz?

– No tak. Jutro pogadam z Maxem. Przed wyjazdem na lotnisko.

– I co mu powiesz?

– Nie wiem.

Czuła potężny ucisk w piersi. Czy to zawał? Czy furia? Złamane serce? A może ciężar odpowiedzialności?

– Powiesz mu, że tak nie traktuje się kobiet? – Było to niczym skok w przepaść. Jeszcze nigdy. Nie tak. Złamała zasadę. Dlatego że wyglądał jak Elvis Presley i nic nie było rzeczywiste czy dlatego że wiedział o mieszkaniu i wszystko stało się tak namacalne jak nigdy dotąd?

Twarz mu się zmieniła, zapłonął oburzeniem.

– Chłopcy nigdy...

– Ależ tak! – krzyknęła Celeste. Udawała tak usilnie, tak długo. – Nocą w przeddzień urodzin Max nie mógł spać i stanął w drzwiach...

– No dobrze – odparł Perry.

– I w kuchni, kiedy ty... kiedy ja...

Podniósł rękę.

– Dobrze, już dobrze. – Umilkła. – A więc wynajęłaś mieszkanie – podjął po

chwili.

– Tak.

– Kiedy się wyprowadzasz?

– W przyszłym tygodniu. Tak sędzę.

– Z chłopcami?

Teraz powinnaś zacząć się bać, pomyślała. Było inaczej, niż mówiła Susi. Scenariusze. Plany. Wyjścia awaryjne. Stapała nierozważnie, lecz od lat patrzyła pod nogi i wiedziała, że to bez różnicy.

– Oczywiście, że z chłopcami.

Gwałtownie zaczerpnął tchu, jakby coś go zabolalo. Ukrył twarz w dłoniach i pochylił się, aż oparł czoło o kierownicę. Cały dygotał.

Celeste utkwiała w nim wzrok, w pierwszej chwili nie wiedziała, co jest grane. Zemdliło go? A może się śmiał? Ścisnęło ją w żołądku i położyła rękę na klamce, wówczas jednak uniósł głowę i zwrócił się w jej stronę.

Miał twarz zalaną łzami. Peruka mu się przekrzywiła. Wyglądał jak obłąkany.

– Pójdę na leczenie – powiedział. – Przysięgam.

– Nie pójdziesz – szepnęła. Deszcz prawie ustał. Widziała inne Audrey i Elvisów, spieszących ulicą pod parasolami. Słyszała ich nawoływania i śmiechy.

– Pójdę. – Oczy mu rozbłyły. – W zeszłym roku dostałem od doktora Huntera skierowanie do psychiatry. – W jego głosie zabrzmiała nuta triumfu.

– Powiedziałaś doktorowi Hunterowi... o nas? – Ich lekarz rodzinny był życzliwym, dobrze wychowanym starszym panem.

– Powiedziałem, że mam stany lękowe – odrzekł Perry, a widząc minę Celeste, dodał obronnym tonem: – Doktor Hunter nas zna! Ale ja naprawdę chciałem pójść do psychiatry. Chciałem mu powiedzieć. Ale najpierw nie miałem czasu, a potem doszedłem do wniosku, że sam sobie poradzę. – Nie mogła brać mu tego za złe. Wiedziała, jak to jest, kiedy umysł zatacza kręgi i nic z tego nie wynika. – Tamto skierowanie pewnie już się przeterminowało, ale zdobędę drugie. Po prostu, kiedy się wściekam... Nie wiem, co się ze mną dzieje. To jest jak obłąd. Jak niepowstrzymany... Nigdy, przenigdy nie mam zamiaru... To się po prostu staje, a ja za każdym razem nie mogę w to uwierzyć i myślę, że to się więcej nie powtórzy, a potem znowu. To, co się wczoraj stało, Celeste... – Szyba zachodziła mgłą. Celeste przetarła ją, aby wyjrzeć na zewnątrz. Perry mówił tak, jakby naprawdę wierzył, że mówi to pierwszy raz,

jakby przekazywał jej coś nowego.

– Nie możemy tak wychowywać chłopców. – Wyrzała na ciemną, moką ulicę, którą co rano wypełniały okrzyki i śmiech dzieci w niebieskich czapczkach. Uświadomiła sobie z lekkim wstrząsem, że gdyby nie dzisiejsze rewelacje Josha na temat zachowania Maxa, pewnie wciąż by zwlekała. Wmówiłaby sobie, że przesadza, że wczoraj nie było tak źle, że każdy mężczyzna miałby prawo się zdenerwować, gdyby został tak upokorzony, jak ona upokorzyła Perry'ego przed Edem i Madeline. Chłopcy zawsze stanowili jej powód, aby zostać, lecz oto po raz pierwszy stali się powodem, żeby odejść. Pozwoliła, aby przemoc stała się nieodłącznym elementem ich życia. Przez ostatnie pięć lat Celeste wobec niej zobojętniała, wręcz się z nią pogodziła, przez co mogła oddawać, a często nawet uderzać pierwsza. Drapała, kopała, biła. Jakby to było normalne. Nienawidziła tego, ale to robiła. Jeżeli zostanie, to właśnie będzie jej spuścizna. Odwróciła się od okna i spojrzała na Perry'ego. – To koniec – powiedziała. – Przecież wiesz.

Usta mu zadrżały. Widziała, jak się zbiera do walki, kalkuluje, co tu zrobić, żeby wygrać. Nigdy nie przegrywał.

– Odwołam następny wyjazd – zapowiedział. – Zrezygnuję. Poświęcę kolejne pół roku na pracę nad nami... nie nad nami, nad sobą. Przez następne... Kurwa mać!

Podskoczył jak oparzony, spoglądając na coś za plecami Celeste. Odwróciła się i ją zatkało. Ujrzała twarz przyciśniętą do szyby, jak maskaron.

Perry nacisnął guzik i okno po stronie Celeste zjechało. Renata zajrzała do środka z promiennym uśmiechem, ściskając dłoń wiotką narzutkę na ramionach. Jej mążonek stał obok, osłaniając ją od deszczu wielkim, czarnym parasolem.

– Przepraszam! Nie chciałam was wystraszyć! Macie parasol? Wyglądacie odjazdowo!

Rozdział siedemdziesiąty drugi

Jakby wchodzili na czerwony dywan, pomyślała Madeline. Perry i Celeste nosili się jak na scenie, zbyt wystudiowani, jakby mieli zacząć pozować do zdjęć. Ubrali się podobnie jak większość gości, lecz jakby nie byli przebrani, jakby zjawili się prawdziwi Audrey i Elvis. Każda kobieta w czarnej sukience ze *Śniadania u Tiffany'ego* odruchowo uniosła dłoń do swoich lichych perełek. Każdy mężczyzna w białym kombinezonie Elvisa wciągnął brzuch. Poziom różowego płynu w kieliszkach malał w zastraszającym tempie.

– Raju... Celeste wygląda zjawiskowo.

Madeline odwróciła się i ujrzała Bonnie. Jak zwykle miała warkocz przerzucony przez ramię. Była bez makijażu. Wyglądała jak bezdomna wystrojona na specjalną okazję: bluzka z długim rękawem, z cienkiego spłowiałego materiału, odsłaniała jedno ramię (wszystkie ubrania jej się zsuwały w denerwujący sposób; Madeline zawsze miała ochotę doprowadzić ją do porządku), długa bezkształtna spódnica, stary skórzany pasek w talii oraz mnóstwo cygańskiej biżuterii z czaszkami, jeśli można to nazwać biżuterią.

Gdyby była tu Abigail, spojrzwałyby na matkę i na macochę i to strój Bonnie wzbudziłby jej podziw, to ją chciałyby naśladować. No i dobrze, gdyż żadna nastolatka nie chce wyglądać jak mama, Madeline o tym wiedziała. Ale czemu Abigail nie mogła podziwiać jakiejś naćpanej celebrytki? Dlaczego musiało paść na cholerną Bonnie?

– Jak się masz, Bonnie? – spytała. Patrzyła, jak Tom i Jane wtapiają się w tłum, ktoś poprosił go żartobliwie o latte z mlekiem sojowym (biedny Tom), lecz jemu to nie przeszkadzało. Co chwilę spoglądał na Jane, a ona na niego. Widok ich wzajemnej fascynacji sprawił, że Madeline poczuła się świadkiem pięknego, niezwykłego, a zarazem codziennego zdarzenia, jak wykluwanie się kurczęcia. Ale teraz rozmawiała z wybranką byłego męża i chociaż alkohol mile ją znieczulał, widmo PMS wciąż groziło palcem. – Z kim została Skye? – zapytała. – Przepraszam! – Pacnęła się w czoło. – Mogliśmy zaprosić ją do

nas! Abigail pilnuje Freda i Chloe. Mogłaby się zająć całym rodzeństwem naraz.

Bonnie uśmiechnęła się czujnie.

– Skye jest z moją mamą.

– Mogłaby ich nauczyć projektowania stron internetowych – rzuciła Madeline w tej samej chwili.

Uśmiech Bonnie zniknął.

– Madeline, no właśnie...

– Ach, Skye jest z babcią! – Madeline nie dopuszczała jej do głosu. – Cudownie! Jeśli dobrze pamiętam, Abigail łączy więź z twoją mamą, czyż nie?

Zachowywała się wrednie. Była wstrętną, antypatyczną babą. Musiała znaleźć kogoś, przy kim może się wyładować, kto nie będzie jej oceniał i zachowa to dla siebie. Gdzie podziała się Celeste? Świetnie się do tego nadawała. Ujrzała, że Bonnie wypija koktajl do dna. Madeline zatrzymała Blond Pazię z tacą i wzięła kolejne dwa drinki, dla siebie i dla niej.

– Kiedy zaczniemy zagadki? – zapytała Blond Pazię. – Jeszcze chwila, a będziemy zbyt pijani, żeby się skupić.

Blond Paź się spłoszyła, co było do przewidzenia.

– Wiem! Mamy poślizg. Mieliśmy już zjeść przekąski, ale firma cateringowa utknęła w wielkim korku na Pirriwee Road. – Zdmuchnęła z oczu blond kosmyk. – Brett Larson jest naszym mistrzem ceremonii i stoi w tym samym korku.

– Ed może być mistrzem ceremonii! – oznajmiła Madeline w olśnieniu. – Jest świetny. – Rozejrzała się za Edem i zobaczyła, jak podchodzi do męża Renaty i wita się z nim serdecznie, ściska mu dłoń i klepie go po plecach. Żle trafiłeś, najdroższy. Czy wiesz, że twoja żona wjechała wczoraj w samochód jego żony, w wyniku czego stoczyły pojedynek na wrzaski? Pewnie myśli, że rozmawia z Garethem golfistą, a nie Geoffem zapalonym ornitologiem, i właśnie pyta Geoffa, czy ostatnio trafił w jakiś dołek.

– Dzięki, ale Brett ma wszystkie pytania konkursowe. Wymyślał je od miesięcy. Zaplanował całą prezentację multimedialną – wyjaśniła Blond Paź i ruszyła dalej. – Jeszcze chwileczkę cierpliwości!

– Te drinki idą prosto do głowy – oznajmiła Bonnie. Madeline słuchała jej jednym uchem. Patrzyła, jak Renata chłodno wita się z Edem i odwraca się pospiesznie do kogoś innego. Nagle przypomniała sobie zasłyszane wczoraj „rewelacje” na temat romansu jej męża z nianią. Przez tę aferę ze stroną

internetową Abigail kompletnie o tym zapomniała. Teraz żałowała swojego wybuchu, gdy Renata nakrzyczała na nią za to, że w nią wjechała. Bonnie lekko się zakołysała. – Rzadko piję alkohol, więc mam słabą głowę...

– Wybacz, Bonnie. Idę po męża. Właśnie wdał się w ożywioną rozmowę z cudzołóżnikiem. Nie chcę, żeby mu się udzieliło. – Bonnie odwróciła głowę, żeby spojrzeć, z kim rozmawia Ed. – Spokojnie – dodała Madeline. – Nie chodzi o twojego męża! Nathan zawsze jest wierny, dopóki nie rzuca kobiety z nowo narodzonym dzieckiem. Czekaj, ciebie nie rzucił. To byłem ja! – Do diabła z uprzejmością. Jest przereklamowana. Jutrzejsza Madeline gorzko pozałuje tych słów, ale dzisiejsza rozkoszowała się znoszeniem wszelkich uciążliwych barier. Jakie to wspaniałe uczucie mówić to, co ślina na język przyniesie. – A gdzież to podziewa się mój uroczy były małżonek? Jeszcze go nie widziałam. Nie masz pojęcia, jakie to boskie iść na szkolny wieczorek ze świadomością, że wpadnę na Nathana.

Bonnie bawiła się końcem warkocza i spoglądała na nią lekko mętным wzrokiem.

– Nathan zostawił cię piętnaście lat temu – powiedziała. W jej głosie dało się słyszeć coś, czego Madeline nigdy nie słyszała. Pewna chropowatość, jakby ktoś startł wierzchnią warstwę. A to ciekawe! O tak, pokaż mi swoje prawdziwe oblicze, Bonnie! – Zrobił straszną, straszną rzecz – ciągnęła. – Ale może przyszedł czas, żebyś mu to wybaczyła, Madeline? Przebaczenie ma uzdrowicielską moc. – Madeline w duchu przewróciła oczami. A może nie tylko w duchu? Przez chwilę myślała, że ujrzy prawdziwą Bonnie, ale ona znów plotła te swoje bzdety. Bonnie spojrzała na nią żarliwie. – Wiem po sobie...

W grupie ludzi za jej plecami rozległy się piski zachwytu. Ktoś krzyknął: „Tak się cieszę!”. Ktoś inny się cofnął i Bonnie poleciała naprzód, wylewając zawartość kieliszka prosto na różową sukienkę Madeline.



Gabrielle: To był wypadek. Davina objęła Rowenę. Miała coś do zakomunikowania. Chyba osiągnęła upragnioną wagę.

Jackie: Rowena właśnie oznajmiła, że kupiła thermomix. Albo vitamix.

Sama nie wiem. Nie znam się na tym. I Davina rzuciła jej się na szyję. Z powodu sprzętu AGD. Mówię poważnie.

Melissa: Nie, nie, rozmawialiśmy o wszach i Rowena spytała Davinę, czy siebie też sprawdziła, a wtedy czyjś mąż udął, że widzi coś w jej włosach. Biedaczka mało nie oszalała i zderzyła się z Bonnie.

Harper: Słucham? Nie! Bonnie rzuciła kieliszkiem w Madeline. Sama widziałam!

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

Wieczorek trwał od godziny bez jedzenia i atrakcji. Jane czuła lekkie kołysanie, jak na statku. W sali robiło się coraz cieplej. Wcześniej było chłodnawo i dlatego nadmiernie zwiększono ogrzewanie. Twarze gości poróżnowiały. Znowu zaczęło padać i deszcz załomotał o dach, więc ludzie podnosili głosy, żeby się nawzajem słyszeć. Sala drżała od wybuchów śmiechu. Krążyła pogłoska, że ktoś zamówił pizzę. Kobiety zaczęły wyciągać z torebek awaryjne przekąski. Potężny Elvis zaoferował pięćset dolarów na rzecz szkoły w zamian za octowe chipsy Samantha.

– Nie ma sprawy – oznajmiła Samantha, ale Stu porwał chipsy, zanim transakcja doszło do skutku.

– Wybacz, stary, ale potrzebuję ich bardziej niż dzieciaki tablic interaktywnych.

– Czemu nie wzięłaś przekąski, Madeline? – zapytał Ed. – Co z ciebie za kobieta?

– To kopertówka! – Madeline pokazała mu małą torebeczkę z cekinami. – Przestań, Bonnie. Nic się nie stało! – Opędzała się od Bonnie, która chodziła za nią z naręczem papierowych ręczników.

Dwie Audrey kłóciły się namiętnie z Elvisem o system ocen egzaminacyjnych.

– Nic nie wskazuje...

– Oni uczą pod egzaminy! Wiem to na pewno!

Blond Pазie miały się z telefonami przyciśniętymi do uszu.

– Zaraz będzie poczęstunek! – fuknęła jedna na widok Stu zjadającego chipsy.

– Przepraszam – odparł Stu i wyciągnął torebkę. – Może jednego?

– A co tam. – Wzięła chipsa i pobiegła.

– Nie odróżniłaby dupy od rogu. – Stu potrząsnął głową ze smutkiem.

– Ciii – syknęła jego żona.

– Czy szkolne wieczorki zawsze są takie... – Tomowi zabrakło słów.

– Nie wiem – odparła Jane.

Tom uśmiechnął się do niej. A ona do niego. Uśmiechali się do siebie cały wieczór, jakby coś ich bardzo cieszyło.

Proszę Cię, Boże, niech mi się tylko nie zdaje...

– Tom! Gdzie moje cappuccino? Cha, cha! – rozległo się nagle i Tom lekko wytrzeszczył oczy, po czym ktoś zajął go rozmową.

– Jane! Szukałam cię! Jak się masz? – Panna Barnes wyrosła jak spod ziemi, o wiele wyższa niż zwykle na niebotycznych obcasach. Miała wielki kapelusz i różowe boa, a w rękę trzymała parasolkę. Jane stwierdziła, że wcale nie wygląda jak Audrey. Wymawiała słowa po-wo-li i bar-dzo wy-raż-nie, aby nikt nie zauważył, że jest wstawiona. – Jak się trzymasz? – spytała, jakby Jane spotkało ostatnio coś strasznego, i Jane musiała sobie przypomnieć, co to takiego było. Petycja, no tak! Cała szkoła miała jej syna za chuligana. Ach, to. Ale co tam. Tom nie jest gejem! – Widzimy się przed lekcjami w poniedziałkowy ranek, tak? – spytała panna Barnes. – Rozumiem, że chodzi o wiadomą sprawę.

– Tak – odpowiedziała Jane. – Muszę ci coś powiedzieć. Ale wolałabym nie teraz. – Cały czas widziała w oddali Celeste, ale jeszcze nie miała okazji się przywitać.

– Przebrałam się za Audrey Hepburn w *My Fair Lady* – oznajmiła panna Barnes z lekką urazą i wskazała na swój strój. – Nakręciła nie tylko *Śniadanie u Tiffany’ego*.

– Od razu wiedziałam, za kogo jesteś przebrana – skłamała Jane.

– Tak czy siak, ta sprawa z dokuczaniem wymknęła się spod kontroli – podjęła nauczycielka. Przestała silić się na dobrą dykcję i słowa popłynęły bełkotliwym strumieniem. – Dzień w dzień dostaję maile od rodziców zaniepokojonych sytuacją. Chyba się uwzięli. W kółko to samo. „Chcemy być pewni, że nasze dzieci przebywają w bezpiecznym środowisku”, a część wyjeżdża z pasywno-agresywnym: „Wiemy, że pani się nie rozdziwi, więc służę pomocą. Jestem wolna w środy od pierwszej”. A jeśli nie odpisuję od razu, „Panno Barnes, nie dostałam jeszcze odpowiedzi na moją wiadomość”. I oczywiście wszystko, kurwa, idzie do wiadomości pani Lipmann... – Pociągnęła przez słomkę z pustego już kieliszka. – Przepraszam za wyrażenie. Przedszkolankom nie wypada przeklinać. Nigdy nie przeklinam przy dzieciach. Informuję, na wypadek gdybyś chciała złożyć oficjalną skargę.

– Nie jesteś na służbie – skwitowała Jane. – Możesz mówić, co chcesz. – Cofnęła się nieco, gdyż rondo kapelusza panny Barnes bez przerwy stukało ją w czoło. Gdzie się podział Tom? O tam, otoczony wianuszkiem rozkochanych Audreyek.

– Na służbie? Ja zawsze jestem na służbie. W zeszłym roku pojechałam z byłym chłopakiem na Hawaje, wchodzimy do hotelu, a tu słyszę nagle słodki głosik: „Panno Barnes! Panno Barnes!”. Myślałam, że padnę. To był dzieciak, który dawał mi się we znaki całe półrocze. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu! Musiałam udawać, że się cieszę! I pluskać się z nim w zasranym basenie! Rodzice leżeli na leżaczkach błogo uśmiechnięci, jakby robili mi łaskę! Zerwałam wtedy z chłopakiem, przez tego gnojka, na sto procent. Nie powtarzaj nikomu. Są tutaj ci rodzice. O matko, obiecaj, że nikomu nie powiesz, błagam...

– Przysięgam. Klnę się na swoje życie.

– O czym to ja...? Aha, maile. Ale to nie wszystko! Oni przyłożą! – Panna Barnes załomotała parasolką o posadzkę. – Rodzice! Znienacka! Renata wzięła wolne, żeby czuwać nad Amabellą, chociaż mamy nauczycielkę specjalnie w tym celu. Jasne, nie wiedziałam, co jest grane, i teraz mi głupio. Ale nie tylko Renata! Prowadzę zajęcia, aż tu nagle patrzę, a ktoś stoi w drzwiach i mnie obserwuje. Koszmar. Czuję się podglądana.

– To mi wygląda na prześladowanie – stwierdziła Jane. – Oho, uwaga. – Delikatnie odsunęła rondo kapelusza od swojej twarzy. – Może się jeszcze napijesz? Wyglądasz, jakbyś chciała.

– Byłam w weekend w aptece – podjęła przedszkolanka – bo mam okropne zakażenie dróg moczowych... Zaczęłam się z kimś spotykać, przepraszam, trochę się rozgadałam... No więc czekam przy kasie, aż tu nagle zjawia się Thea Cunningham. Nie zdążyłam się nawet przywitać, a ona zaczyna nawijać, jak to Violet się strasznie zdenerwowała, bo Chloe powiedziała, że ma dwie różne spinki. No bo miała. Jezus Maria, czy to jest dokuczanie? Przecież to dzieci! Ale gdzie tam, Violet zrobiło się przykro, więc czy mogłabym porozmawiać z całą grupą, jak należy się do siebie odzywać i... Oho. Pani Lipmann zabija mnie wzrokiem. Wybacz. Pójdę ochłapać twarz zimną wodą.

Odwróciła się tak szybko, że omiotła Jane swoim różowym boa.

Jane zakręciła się w miejscu i stanęła twarzą w twarz z Tomem.

– Wyciągnij rękę – powiedział. – Szybko.

Wyciągnęła rękę, a on wcisnął w nią garść precelków.

– Ten wielgachny groźny Elvis znalazł w kuchni całą torebkę – oznajmił.
Zdjął z jej włosów coś różowego. – Piórko.

– Dzięki – powiedziała Jane i ukradkiem wrzuciła precelka do ust.

– Jane. – Poczwała na ramieniu chłodną dłoń.

Celeste.

– Hej! – zawołała wesoło Jane. Celeste wyglądała olśniewająco, aż miło było patrzeć. O co Jane zawsze chodziło z tymi pięknymi ludźmi? Nie mogli nic poradzić na swoją urodę i przyjemnie się na nich patrzyło, Tom przyniósł jej precelka i lekko się zarumienił, zdejmując piórko z włosów, nie był gejem, musujący koktajl wybornie smakował, a ona kochała szkolne wieczorki. Ale jazda.

– Możemy pogadać? – zapytała Celeste.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

– Wyjdziemy na balkon? – zaproponowała Celeste. – Zaczerpniemy świeżego powietrza.

– Jasne.

Jane wydaje się dziś taka młoda i beztroska, pomyślała Celeste. Jak nastolatka. Aula była przytłaczająca i przegrzana. Krople potu spływały Celeste po plecach. Jeden but piekielnie obcierał ją tuż nad piętą, tworząc ranę podobną do odleżyny. Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Zostanie tu na wieki, osaczona strzepami złośliwych rozmów.

– No więc ja jej mówię, że to niedopuszczalne...

– Co za brak kompetencji, one mają się dostosować...

– Rozwydrzone bachory, żrą tylko hamburgery, więc...

– Jeśli nie potrafisz zapanować nad własnym dzieckiem...

Odeszła, kiedy Perry wdał się z Edem w rozmowę o golfie. Był czarujący, uwodził każdego swoim uważnym spojrzeniem, ale pił znacznie więcej, niż miał w zwyczaju, toteż zauważyła, jak subtelnie, prawie niedostrzegalnie zmienia się jego nastrój, niczym powolne zawracanie liniowca. Widziała to po jego zaciśniętych zębach i szklistym wzroku.

Zanim pójdą do domu, po roztrzęsionym, szlochającym mężczyźnie z samochodu nie pozostanie nawet ślad. Doskonale wiedziała, że jego myśli skrecają się i powyginają niczym korzenie starego drzewa. Normalnie po takiej „kłótni” jak wczoraj miałyby spokój na kilka tygodni, ale Perry odebrał mieszkanie jako zdradę. Okazała mu brak szacunku. Został upokorzony. Ukrywała coś przed nim. Jeszcze trochę, a będzie myślał tylko o jej nieczystym zagranium. Jakby nic innego się nie liczyło, jakby byli kochającym małżeństwem, przeciwko któremu żona zrobiła coś przedziwnego i niewybaczalnego: uknuła misterny plan, żeby go rzucić. To naprawdę było przedziwne i niewybaczalne. W pełni zasłużyła na to, co ją spotka.

Na wielkim tarasie, ciągnącym się przez całą szerokość budynku, nie było

nikogo. Nadal padało i choć taras znajdował się pod dachem, wiatr rozsiewał krople, więc kafelki były mokre i śliskie.

– Może to zły pomysł – stwierdziła Celeste.

– Nie, jest przyjemnie. Tam robiło się za głośno. Zdrowie. – Stuknęły się kieliszkami i przechyliły różowy płyn. – Pyszne te koktajle – zauważyła Jane.

– Wyborne – zgodziła się Celeste. To był jej trzeci, toteż wszystkie emocje – łącznie z pulsującym strachem – tkwiły teraz w miłej otoczce jak z różowej waty.

Jane głęboko wciągnęła powietrze.

– Chyba w końcu przestaje padać. Ładnie pachnie. Tak świeżo i słono. – Podeszła do skraju balkonu i oparła rękę o moką barierkę. Rozpierała ją radość.

Według Celeste pachniało szlamem i wilgocią.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła. Jane uniosła brwi. Celeste zauważyła, że Jane pomalowała usta na czerwono. Madeline będzie wniebowzięta. – Zanim wyszliśmy, Josh powiedział mi, że to Max dokucza Amabelli, a nie Ziggy. Byłam przerażona. Przepraszam. Tak strasznie mi przykro. – Podniosła głowę i ujrzała Harper, która wyszła na taras i grzebała w torebce. Zerknęła w ich stronę i szybko podreptała w przeciwną, po czym zapaliła papierosa.

– Wiem – odparła Jane.

– Wiesz? – Celeste cofnęła się o krok i mało nie poślizgnęła.

– Ziggy powiedział mi wczoraj – wyjaśniła Jane. – Podobno Amabella prosiła go o dochowanie tajemnicy. Nic się nie martw. Wszystko w porządku.

– A właśnie, że nie! Miałaś tyle przykrości, musiałaś znieść tę petycję i takich jak ona... – Celeste wskazała głową w stronę Harper. – Rodzice zabraniali dzieciom bawić się z biednym Ziggyem. Powiem Renacie jeszcze dziś. I pannie Barnes, i pani Lipmann. Powiem wszystkim. Może nawet ogłoszę to publicznie: „Uwzięliście się na niewłaściwego dzieciaka”.

– Nie musisz tego robić – zapewniła Jane. – Nic się nie stało. Wszystko się ułoży.

– Bardzo cię przepraszam... – Głos Celeste zadrżał. Myślała o Saxonie Banksie.

– No co ty! – Jane ją objęła. – Przecież mówię, że nic się nie stało. Wszystko się ułoży. To nie twoja wina.

– W pewnym sensie owszem.

– Ależ skąd!

– Możemy się przyłączyć? – Na taras weszli Nathan i Bonnie. Bonnie wyglądała jak zawsze, a on przebrał się w tańszą wersję kostiumu Perry’ego, tyle że teraz zdjął perukę i kręcił nią na zaciśniętej pięści jak pacynką.

Celeste wiedziała, że powinna ich nie lubić w imieniu Madeline, ale czasami było jej trudno. Oboje sprawiali wrażenie tak nieszkodliwych i serdecznych, a Skye była przesłodka.

O Boże!

Na śmierć zapomniała. Josh wspomniał, że Max „znowu” zepchnął Skye ze schodów. Upatrzył sobie nową ofiarę. Musiała do tego nawiązać. Bez chwili namysłu przeszła do działania.

– Nathan, Bonnie. Cieszę się, że przyszliście, bo dowiedziałam się dzisiaj, że Max, mój syn, dokucza koleżankom z klasy. Zdaje się, że zepchnął waszą córkę ze schodów, uhm, więcej niż raz. – Czuła, że płoną jej policzki. Jane krzepiąco dotknęła jej ręki. – Przepraszam, chciałam tylko...

– Nic nie szkodzi – odrzekła spokojnie Bonnie. – Wiem o tym od Skye. Omówiliśmy strategię na wypadek, gdyby sytuacja się powtórzyła.

Strategię, powtórzyła Celeste w myślach. Mówiła jak Susi, jakby Skye była ofiarą przemocy domowej. Zobaczyła, że Harper gasi papierosa na barierce, po czym zawija niedopałek w papier i wychodzi, starannie omijając ich wzrokiem.

– Napisaliśmy dziś o tym do panny Barnes – dodał skwapliwie Nathan. – Mam nadzieję, że nie weźmiesz nam tego za złe, ale Skye jest tak chorobliwie nieśmiała i nie umie walczyć o swoje, uznaliśmy więc, że będzie lepiej, gdyby panna Barnes nad wszystkim czuwała. Zresztą to ona powinna załatwiać takie sprawy. Tak chyba stoi w regulaminie szkoły. Niech zajmą się tym nauczyciele. Nie chcieliśmy poruszać z tobą tego tematu.

– Ach! – westchnęła Celeste. – Bardzo dziękuję. I jeszcze raz przepraszam najmocniej...

– Nie musisz! O rany! Przecież to tylko dzieci! – zachnął się Nathan. – Muszą same wszystkiego się nauczyć. Nie bij kolegów. Broń swoich racji. Postępuj jak dorośli.

– Postępuj jak dorośli – powtórzyła Celeste drżącym głosem.

– Sam się tego uczyć! – dodał Nathan.

– To część ich emocjonalnego i duchowego rozwoju – uzupełniła Bonnie.

– Chyba jest o tym książka – wtrąciła Jane. – Wszystkiego, co musisz wiedzieć, nauczyłeś się w przedszkolu: nie bądź wredny, baw się ładnie

z innymi, dziel się zabawkami.

– Bogaty sknera z głodu umiera! – zawołał Nathan i wszyscy wybuchnęli śmiechem.



Detektyw sierżant Adrian Quinlan: W czasie gdy doszło do zdarzenia, na tarasie znajdowało się osiem osób, łącznie z ofiarą. Wiem, kim są. One też wiedzą i wiedzą, co widziały. Zeznanie zgodne z prawdą to obowiązek świadka.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

Madeline dyskutowała o remontach łazienek i czuła się jak w pułapce. Jej rozmówcami byli rodzice drugoklasisty; bardzo ich lubiła, więc po arcyciekawym dialogu z żoną na temat korzystnych fasonów sukienek kopertowych czuła się zobowiązana poświęcić mężowi chwilę uwagi.

Problem polegał na tym, że tak naprawdę nie miała nic do powiedzenia na ten temat, i choć przyznawała rację, że to straszne, gdy kończą się kafelki i zostają tylko trzy, nie miała wątpliwości, że wszystko się ułoży. Widziała przez szybę Celeste i Jane na tarasie: śmiały się z Nathanem i Bonnie, co uznała za niedopuszczalne. Były przecież jej przyjaciółkami.

Rozejrzała się za kimś, kto ją zastąpi, i złapała za łokieć Samanthę. Jej mąż to hydraulik. Remonty łazienek musiały ją interesować.

– Musisz to usłyszeć! – zawołała. – Masz pojęcie? Skończyły się kafelki!

– O nie! Miałam to samo! – wykrzyknęła Samantha.

Bingo. Madeline zostawiła Samanthę słuchającą w skupieniu i oczekiwaniu, aż będzie mogła podzielić się własnymi łazienkowymi perypetiami. Ludzie kochani! Że też kogoś może to interesować bardziej niż sukienki kopertowe!

Przeciskając się przez tłum, minęła grupkę Blond Paziów, zbitą tak ciasno, że musiało chodzić o jakiś skandalik. Nadstawiła ucha.

– Francuska niania! Ta dziwnie wyglądająca dziewczyna.

– Czy Renata jej nie wylała?

– Tak, bo zupełnie umknął jej fakt, że Amabella jest dręczona przez tego całego Ziggy’ego.

– Tak w ogóle, to co z petycją?

– W poniedziałek zaniemiemy ją do pani Lipmann.

– A widziałyście dzisiaj jego matkę? Ścięła włosy. Ma tupet się panoszyć! Gdyby to był mój dzieciak, nie wytknęłabym nosa z domu. Poświęciłabym czas dziecku, które na pewno tego potrzebuje.

– Potrzebuje klapsa, nic innego.

- Podobno wczoraj przyprowadziła go z wszami.
- Niewiarygodne, że szkoła nie poczyniła żadnych kroków. W dzisiejszych czasach, kiedy tyle się mówi o znęcaniu...
- No tak, tak, ale mówiłyśmy o tym, że niania Renaty ma romans z Geoffem.
- Po co chciałyby mieć z nim romans?
- Wiem to na pewno.

Madeline wściekła się w imieniu Jane i o dziwo w imieniu Renaty – choć ta zapewne popierała akcję przeciwko Ziggy’emu.

- Jesteście wstrętne – oznajmiła donośnym tonem. Blond Pазie spojrzały w jej stronę. Oczy i usta miały okrągłe ze zdziwienia. – Doprawdy odrażające. Poszła dalej, nie czekając na ich odpowiedź. Kiedy rozsuwała drzwi na taras, ujrzała za sobą Renatę.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Robi się duszno.
- Owszem – przytaknęła Madeline. – I chyba przestało padać. – Wyszły razem na taras. – À propos, dzwoniłam do ubezpieczalni. W sprawie samochodu.

Renata się wzdrygnęła.

- Przepraszam, że wczoraj narobiłam takiego rabanu.
- A ja przepraszam, że w ciebie wjechałam. Krzyczałam na Abigail.
- Przestraszyłam się – odrzekła Renata. – Kiedy się boję, to atakuję. Paskudna wada. – Podeszły do grupy przy balustradzie.

- Serio? – spytała Madeline. – A to pech. Ja tam jestem bardzo spokojna.

Renata prychnęła.

- Maddie! – zawołał Nathan. – Jeszcze cię dzisiaj nie widziałem. Jak się masz? Podobno moja żona oblała cię drinkiem.

On też jest trochę pijany, stwierdziła w duchu Madeline. Zwykle nie nazywał Bonnie „swoją żoną” w jej obecności.

- Na szczęście był różowy, więc pasował – ucięła.
- Świątuję szczęśliwe zakończenie małego dramatu naszej córki – ciągnął Nathan. – Wypijmy zdrowie Larry’ego Fitzgeralda z Dakoty Południowej! – Wzniósł kieliszek.

- Uhm – mruknęła Madeline. I utkwiała wzrok w Celeste. – Mam dziwne wrażenie, że ten Larry Fitzgerald jest bliżej, niż nam się wydaje.

- Hę? – rzucił Nathan. – Co ty opowiadasz?

- Masz na myśli stronę Abigail? – zapytała Celeste. – Zamknęła?

Kamienna twarz, pomyślała Madeline. I to ją zdradziło. Na ogół

zachowywała się wymijająco, jakby miała coś do ukrycia. Teraz wyglądała na zupełnie opanowaną, przytrzymała wzrok Madeline. Kiedy większość ludzi kłamała, unikała wzroku rozmówcy, Celeste przeciwnie, patrzyła prosto w oczy.

– Ty jesteś Larrym Fitzgeraldem z Dakoty Południowej, prawda? – zapytała Madeline. – Wiedziałam! To znaczy nie wiedziałam na pewno, ale miałam przeczucie. To byłoby zbyt piękne.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – oznajmiła twardo Celeste.

Nathan spojrział na nią w osłupieniu.

– Przekazałaś sto tysięcy dolarów dla Amnesty? Żeby nam pomóc? Mój Boże...

– Nie powinnaś tego robić – dodała Madeline. – Naprawdę nie powinnaś. Jak ci się odwdzięczymy?

– Boże jedyny – wtrąciła Renata. – O co tu chodzi?

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz – Celeste obstawała przy swoim. – Ale nie zapominaj, że uratowałaś Maxowi życie wtedy na basenie. Jestem ci do zgonnie wdzięczna.

Z auli dobiegły podniesione głosy.

– Ciekawe, co się dzieje – zainteresował się Nathan.

– Ach, chyba wzniciłam kilka pożarów – oznajmiła Renata z uśmiechem.

– Mój mąż nie jest jedynym, który tkwi w przekonaniu, że zakochał się w naszej niani. Juliette znalazła w Pirriwee wiele rozrywek. Jak to się mówi po francusku? *Polyamour*. Zauważyłam, że preferuje określony typ mężczyzn. A dokładniej – określony typ kont bankowych.

– Renato – odezwała się Celeste. – Dowiedziałam się dzisiaj, że...

– Nie mów – przerwała jej Jane.

– ...to mój syn Max dokuczał Amabelli – dokończyła Celeste.

– Twój syn? – powtórzyła Renata. – Jesteś pewna? – Zerknęła na Jane. – Przecież w czasie drzwi otwartych Amabella...

– Jestem pewna. Wskazała Ziggy'ego, bo bała się Maxa.

– Ale... Na pewno?

– Na pewno – powtórzyła Celeste. – Bardzo przepraszam.

Renata uniosła rękę do ust.

– Amabella nie chciała zaprosić bliźniaków na urodziny – powiedziała powoli. – Urządziła scenę, a ja ją zignorowałam. Wzięłam to za widzimisię.

Popatrzyła na Jane. Jane odwzajemniła spojrzenie. Naprawdę wygląda dziś

zjawiskowo, pomyślała Madeline z satysfakcją i zrozumiała, że od kilku tygodni Jane nie żuła też gumy, co chyba umknęło jej uwadze.

– Jestem ci winna wielkie przeprosiny – oznajmiła Renata.

– Owszem – przyznała Jane.

– Tobie i Ziggy’emu. Jestem wam winna przeprosiny. Ja... sama nie wiem, co zrobię.

– Przyjmuję. – Jane uniosła kieliszek. – Przyjmuję twoje przeprosiny.

Drzwi znów się otworzyły i na taras weszli Ed i Perry.

– Sprawy wymykają się spod kontroli – zaraportował Ed. Przyniósł ze sobą kilka stołków barowych i ustawił je opodal drzwi. – Może siądziemy wygodnie? Witaj, Renato. Bardzo przepraszam za ciężką nogę mojej żony na pedale gazu.

Perry też przyniósł stołki.

– Miło widzieć cię w kraju, Perry – powiedziała Renata. Madeline zauważyła, że nie jest już dla niego taka przymilna, odkąd wiedziała, że jego syn dokuczał Amabelli. Przeciwnie, w jej głosie zabrzmiała ostra nuta.

Nathan wyciągnął rękę.

– Perry, zgadza się? My się chyba nie znamy. Mam na imię Nathan. Zdaje się, że jesteśmy twoimi dłużnikami.

– Naprawdę? – spytał Perry. – Jak to?

O Jezu, zamknij się, Nathan, pomyślała Madeline. Przecież on nie wie. Na pewno nic nie wie.

– Perry, to jest Bonnie – wtrąciła Celeste. – A to Jane. Mama Ziggy’ego.

Madeline podchwyciła wzrok Celeste. Wiedziała, że obie myślą teraz o kuzynie Perry’ego. Tajemnica wisiała między nimi niczym złowroga, bezkształtna chmura.

– Miło mi was poznać. – Perry uścisnął ich dłonie i grzecznie zaoferował stołki kobietom.

– Wygląda na to, że wpłaciliście z żoną sto tysięcy dolarów na rzecz Amnesty International, aby wyciągnąć naszą córkę z opresji – paplał Nathan. Dalej kręcił peruką, która nagle wyfrunęła przez balkon i zniknęła w ciemności. – O kurde! – Wyjrzał przez barierkę. – Stracę depozyt w wypożyczalni.

Perry też zdjął perukę.

– Głowa od nich swędzi – zauważył. Gdy mierzwił palcami włosy, wyglądał jak chłopiec. Usiadł na stołku, plecami do barierki. Wydawał się bardzo

wysoki; niebo jaśniało za nim, rozświetlone księżycem w pełni, jak czarodziejską kulą. Towarzystwo bezwiednie otoczyło Perry'ego, jak jakiegoś przywódcę. – O co chodzi z tą wpłata? – zapytał. – Czy to kolejny z sekretów mojej żony? Zadziwiająco tajemnicza z niej kobieta. Bardzo tajemnicza. Spójrzcie na jej minę Mony Lisy. – Madeline zerknęła na Celeste, która siedziała na stołku z jedną długą nogą na drugiej długiej nodze i dłońmi złożonymi na podołku. Trwała zupełnie nieruchomo. Wyglądała jak wyrzeźbiona z marmuru, piękność zaklęta w kamień. Odwróciła się lekko, żeby nie patrzeć na Perry'ego. Czy ona w ogóle oddycha? Czy dobrze się czuje? Madeline poczuła przypływ niepokoju. Coś powoli do niej docierało. Poszczególne elementy zaczynały tworzyć spójną całość. Nasuwały się odpowiedzi na pytania, które dotąd nie padły. Małżeństwo doskonałe. Życie jak z bajki. Tylko skąd u niej taki popłoch? To wieczne rozedrganie? – I chyba myśli, że czerpiemy ze studni bez dna – dodał Perry. – Sama nie zarabia ani centa, ale za to umie wydawać.

– Ejże – burknęła Renata, jakby upominała dziecko.

A za chwilę odezwała się Jane:

– My się chyba znamy. – Usłyszała to jedynie Madeline. Jane jako jedyna stała, podczas gdy reszta przycupnęła na stołkach. Wydawała się taka mała, jak dziecko. Musiała zadrzeć głowę, gdy zwracała się do Perry'ego. Odchrząknęła. – My się chyba znamy – powtórzyła.

Perry zerknął na nią.

– Tak? Na pewno? – Z wdziękiem przechylił głowę. – Przepraszam, ale nie pamiętam.

– Na pewno – potwierdziła Jane. – Ale mówiłeś, że nazywasz się Saxon Banks.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

Początkowo nie zareagował. Jego twarz wyrażała czystą uprzejmość. Nie poznał jej. „Nie odróżniłbym jej od kostki mydła!”, przemknęło Jane przez głowę. Jej mama tak mówiła.

Coś drgnęło dopiero na dźwięk słów „Saxon Banks”, nie dlatego że ją rozpoznał, nadal nie miał pojęcia, kim jest, nawet nie starał się sobie przypomnieć, ale ponieważ zrozumiał, co oznaczała. Była jedną z wielu.

Podał jej fałszywe nazwisko. Nigdy nie wzięła tego pod uwagę. Jakby nazwisko było nie do podrobienia, w przeciwieństwie do osobowości i czaru.

– Tak myślałam, że na ciebie wpadnę – oznajmiła.

– Perry? – odezwała się Celeste.



Perry zwrócił się do żony.

Jego twarz znów była naga, jak w samochodzie, jakby ktoś zdarł z niej maskę. Odkąd Madeline pierwszy raz wspomniała o Saxonie Banksie, na wieczorze książkowym, coś nie dawało Celeste spokoju – wspomnienie sprzed urodzenia dzieci, zanim Perry uderzył ją po raz pierwszy.

Teraz sobie przypominała. Jakby to było wczoraj. Jakby wspomnienie tylko czekało na odpowiedni moment.

To było na weselu kuzynki, kiedy Saxon pojechał z Perrym do kościoła po telefon Eleni. Siedzieli przy okrągłym stole. Biały, wykrochmalony obrus. Ogromne kokardy na krzesłach. Kieliszki z winem słały lśniące refleksy. Saxon i Perry opowiadali anegdoty, anegdoty ze wspólnego dzieciństwa na przedmieściach: o pojazdach własnej roboty, o tym, jak Saxon ocalił Perry'ego przed chuliganami ze szkoły, i o tym, jak Perry zwinął lód na patyku z zamrażarki w miejscowym sklepiku, a straszny Grek złapał go wielką łapą za kołnierz i zapytał: „Jak się nazywasz?”. „Saxon Banks”, odpowiedział wtedy

Perry. Sklepiarz zadzwonił do matki Saxona i naskarzył. „Mój syn cały czas był ze mną”, odparła i rzuciła słuchawkę.

Jakie to śmieszne. I jakie zuchwałe. Zaśmiewali się, popijając szampan.

– To nic nie znaczyło – powiedział teraz Perry.

Zahuczało jej w uszach, jakby zanurkowała głęboko pod powierzchnię wody.



Jane obserwowała, jak Perry odwraca się od niej i patrzy na żonę. Olał ją natychmiast, nie próbując nawet sobie przypomnieć lub odnotować jej obecności. Nigdy dla niego nie istniała. Była w jego życiu bez znaczenia. Miał piękną żonę, a Jane była pornografią. Filmem erotycznym, nieujętych w rachunku za hotel. Internetowym porno dla zaspokojenia frywolnych potrzeb. Lubisz znieważać młode grubaski? Wpisz numer karty kredytowej i zatwierdź.

– Dlatego przeniosłam się do Pirriwee – oznajmiła. – Na wypadek gdybyś tu był.

Winda jak szklana bańka. Przydymione światło pokoju hotelowego.

Pamiętała, jak się rozejrzała – swobodnie, jak gdyby nigdy nic – w poszukiwaniu dalszych dowodów na to, kim był, dowodów jego pozycji, na potwierdzenie tego, że to będzie przygoda w oparach luksusu. Niewiele zobaczyła. Zamknięty laptop. Mała walizka ustawiona w rogu. Obok laptopa ulotka firmy deweloperskiej. „NA SPRZEDAŻ. Widok na ocean. LUKSUSOWY DOM Z WIDOKIEM NA WSPANIAŁY PÓŁWYSEP PIRRIWEE”.

„Kupujesz?”, spytała. „Możliwe”, odparł, nalewając jej szampana. „Masz dzieci?”, zapytała nierozważnie, jak skończona idiotka. „To byłoby dla nich wymarzone miejsce”. O żonę nie zapytała. Nie miał obrączki. Na pewno. „Nie mam. Może kiedyś. Chciałbym”.

Dostrzegła coś w jego twarzy: smutek, rozpaczliwe pragnienie, i wymyśliła w swej kretyńskiej naiwności jego powód. Właśnie z kimś zerwał! No przecież. Był zupełnie jak ona, leczył złamane serce. Szukał odpowiedniej kobiety, by założyć rodzinę, może nawet przemknęło jej przez tę durną pałę, gdy uśmiechnął się do niej tym swoim nieodpartym uśmiechem i wręczył kieliszek z szampanem, że to ona będzie tą kobietą. Świat widział dziwniejsze

rzeczy!

A potem zrobiło się jeszcze dziwniej.

Przez następne lata rzucało nią na sam dźwięk nazwy „Pirriwee”, czy słyszała ją w trakcie rozmowy, czy widziała w druku. Zmieniała temat. Przerzucała kartkę.

Któregoś dnia, bez ostrzeżenia, zrobiła jednak odwrotnie. Oznajmiła Ziggy’emu, że jadą na plażę, i pojechali na precudny półwysep Pirriwee, a ona przez całą drogę udawała, że nie pamięta nawet tamtej ulotki, choć przecież wspominała ją bez przerwy.

Bawili się na plaży, a ona wypatrywała, aż mężczyzna z nieodpartym uśmiechem wyłoni się z fal. Nasłuchiwała wołania jego żony: „Saxon!”.

Czego chciała?

Zemsty? Usankcjonowania? Chciała mu pokazać, że schudła? Uderzyć go, zranić, ściągnąć mu policję na kark? Wygarnąć to wszystko, co powinna mu wtedy powiedzieć zamiast głupiego „na razie”? Dać do zrozumienia, że nie uszło mu to na sucho, choć oczywiście uszło?

Chciała, żeby zobaczył Ziggy’ego.

Żeby się zachwycił swoim pięknym, poważnym, mądrym synkiem.

To nie miało żadnego sensu. Były to tak dziwne, głupie i chore pobudki, że nie przyjmowała ich w pełni do wiadomości, a czasami wręcz z niej wypierała.

No bo jak miałoby się odbyć to wyśnione spotkanie? „O, cześć! Pamiętasz mnie? Mam syna! O, proszę! Nie, nie, oczywiście, że nie chcę się z tobą wiązać, ale postój chwilę i się nim pozachwycaj. Uwielbia dynie. Zawsze uwielbiał! Czy to nie niesamowite? Jaki dzieciak lubi dynie? Jest nieśmiały, poważny i ma świetny zmysł równowagi. No i widzisz. Jesteś gnojem i cię nienawidzę, ale przyjrzyj się swojemu synowi, bo czy to nie wspaniałe? Chwila ohydy stworzyła taką doskonałość”.

Wmawiała sobie, że przywiozła Ziggy’ego do Pirriwee na jeden dzień, zobaczyła tablicę i „spontanicznie” postanowiła się tu przenieść. Udawała tak gorliwie, że prawie sama w to uwierzyła, a gdy mijały miesiące i traciła nadzieję, że Saxon Banks tu mieszka, iluzja stała się ciałem. Przestała go szukać.

Kiedy opowiedziała Madeline o tamtym wieczorze z Saxonem, nawet nie przyszło jej do głowy, aby wspomnieć o prawdziwych powodach, które skłoniły ją do przyjazdu tutaj. Były krępujące i absurdalne. „Chciałaś na niego

wpaść?”, zapytałaby Madeline, usiłując zrozumieć. „Chciałaś go zobaczyć?” Jak Jane miała wytłumaczyć, że chciała, a zarazem nie chciała? Przecież naprawdę zapomniała o tamtej ulotce. Spontanicznie przeniosła się do Pirriwee.

Saxona nie było.

Ale teraz był. Mąż Celeste. Wtedy musieli być już małżeństwem.

„Długo nie mogliśmy mieć dzieci”, powiedziała Celeste w czasie spaceru. To dlatego wtedy posmutniał.

Jane poczuła, że pomimo chłodu policzki pieką ją z upokorzenia.



– To nic nie znaczyło – powtórzył Perry.

– Dla niej tak – odpowiedziała Celeste. Wzruszenie ramionami. To ono przelało czarę. Prawie niezauważalne, jakby chciał powiedzieć: „A kogo to obchodzi?”. Uważał, że chodzi o niewierność. Sądził, że został przyłapany na skoku w bok w czasie delegacji. I że to nie ma nic wspólnego z Jane. – Myślałam, że jesteś... – Nie dokończyła.

Myślała, że jest dobry. Że jest dobrym człowiekiem o wybuchowym usposobieniu, a łącząca ich przemoc to coś nierozdzielnie z nimi związanego. Uważała go za niezdolnego do przypadkowego okrucieństwa. Zawsze był taki miły dla kelnerek, nawet tych niezdarnych. Myślała, że go zna.

– Porozmawiamy o tym w domu – uciął Perry. – Nie róbmy widowiska.

– Nie patrzysz na nią – szepnęła Celeste. – Nawet na nią nie patrzysz.

I chlusnęła mu w twarz zawartością kieliszka.



Szampan spłynął po twarzy Perry’ego.

Uniósł rękę natychmiast, odruchowo i z gracją. Jakby chciał złapać piłkę, tyle że nic nie łapał.

Wierzchem dłoni uderzył Celeste w twarz.

Jego ręka zatoczyła bezbłędny, wyćwiczony łuk, który odrzucił ją do tyłu, aż spadła ze stołka, poleciała przez taras i ciężko wylądowała na boku.

Ed skoczył na równe nogi, przewracając stołek.

– Hej! Hej, co to ma znaczyć?!

Madeline podbiegła do Celeste i przyklękła przy niej.

– O Jezu, Jezu, czy ty...

– Jestem cała. – Celeste przycisnęła rękę do twarzy i dźwignęła się nieco. – Nic mi nie jest.

Ed stał z rozrzuconymi ramionami i uniesioną jedną ręką, jakby chciał powstrzymać Perry’ego; drugą zasłaniał Celeste.

Jane upuściła kieliszek, który roztrzaskał się o kafelki.

Renata szperała w torebce.

– Dzwonię na policję – oznajmiła. – I to natychmiast. To napaść. Jestem świadkiem, że uderzyłeś żonę.

Nathan trzymał Bonnie za łokieć. Strząsnęła jego rękę. Cała płonęła, jakby coś podświetlało ją od wewnątrz.

– Już to robiłeś – oznajmiła.

Perry ją zignorował. Wpatrywał się w Renatę, która trzymała telefon.

– Nie róbmy nic pochopnie – powiedział.

– To dlatego twój syn krzywdzi małe dziewczynki – ciągnęła Bonnie. W jej głosie zabrzmiała chropowata nuta, którą Madeline słyszała wcześniej, tyle że teraz była bardziej wyczuwalna. Mówiła jak... jak dziewczyna „z niewłaściwej dzielnicy”, jak ujęłaby to matka Madeline. Mówiła jak pijaczka. Palaczka. Chuliganka. Jej głos brzmiał prawdziwie. Ochryple dźwięki z ust Bonnie dziwnie podnosiły na duchu. – Brał z ciebie przykład. Widział, jak to robisz, prawda?

Perry odetchnął.

– Słuchaj, nie wiem, co sugerujesz. Moje dzieci nic nie „widziały”.

– Twoje dzieci widzą! – wrzasnęła Bonnie. Miała twarz zniekształconą z gniewu. – My widzimy! My, kurwa, widzimy!

I popchnęła go, uderzając w pierś obiema drobnymi rękami.

Spadł.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

Gdyby Perry był kilka centymetrów niższy.

Gdyby barierka znajdowała się kilka centymetrów wyżej.

Gdyby stołek stał pod nieco innym kątem.

Gdyby nie padało.

Gdyby nie pił.

Madeline myślała potem o wszystkich „gdyby”, które pozwoliłyby temu zapobiec.

Ale stało się to, co się stało.



Celeste analizowała minę Perry’ego, kiedy Bonnie na niego krzyczała. Wyrażała lekkie rozbawienie, jak wówczas, gdy to ona podnosiła głos. Lubił, kiedy kobiety się na niego wściekają. Lubił prowokować ich reakcję. To go kręciło.

Zobaczyła, jak łapie barierkę i ręka mu się ześlizguje.

Jak leci do tyłu z nogami wysoko, jakby skakał na łóżku z chłopcami.

A potem zniknął, nie wydając przy tym żadnego odgłosu.

Zostało po nim puste miejsce.



Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jane stała jak ogłuszona. Kiedy próbowała zrozumieć, jej uwagę przykuły odgłosy zamieszania: wrzaski, huk, kotłowanina.

– Boże jedyny! – Ed wychylił się przez balkon, oburącz ściskając balustradę. Złota peleryna Elvisa wydeła się za jego plecami niczym kretyńskie skrzydła.

Bonnie przysiadła w kucki i zastygła skulona, z rękami splecionymi na potylicy, jakby czekała na wybuch bomby.

– Nie, nie, nie, nie... – Nathan drobił wokół żony. Dotknął jej pleców, po czym się wyprostował i przycisnął palce do skroni.

Ed obrócił się na pięcie.

– Sprawdzę, czy on...

– Ed! – Renata opuściła rękę, w której wciąż trzymała telefon. Światło odbijało się od jej okularów.

– Dzwon po karetkę! – odkrzyknął.

– Tak... Już dzwonię. Za chwilę. Ale, uhm... Ja nie widziałam, co się stało. Nie widziałam, jak spadł.

– Słucham? – Eda zatkało.

Madeline nadal klęczała przy Celeste. Jane zobaczyła, jak przenosi wzrok z Eda na byłego męża. Nathan spocił się pod peruką i włosy kleiły mu się do czoła. Popatrzył na nią zrozpaczonym błagalnym wzrokiem. Madeline spojrzała na Celeste, która wpatrywała się jak w letargu w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział jej mąż.

– Ja chyba też nic nie widziałam – oznajmiła Madeline.

– Madeline... – Ed szarpnął gniewnie strój, jakby chciał go z siebie zedrzeć. Brokat kleił mu się do rąk. – No co ty...

– Patrzyłam w drugą stronę – dodała silniejszym głosem. Wstała, trzymając przed sobą małą torebkę, wyprostowana i z zadartym podbródkiem, jakby miała wejść na salę balową. – Zaglądałam do środka. Nie widziałam.

Jane odchrząknęła.

Pomyślała o tym, jak Saxon – Perry – powiedział: „To nic nie znaczyło”. Spojrzała na Bonnie, skuloną opodal przewróconego stołka. Poczowała, jak jej gniew stygnie i tężeje w coś wielkiego i niewzruszonego.

– Ja tak samo – powiedziała. – Ja też nic nie widziałam.

– Przestańcie. – Ed spojrzał na nią, a potem znowu na Madeline. – Przestańcie natychmiast.

Celeste ujęła wyciągniętą rękę Madeline i podniosła się lekko. Poprawiła sukienkę i przycisnęła dłoń do twarzy w miejscu, gdzie uderzył ją Perry. Omiotła Bonnie przelotnym spojrzeniem.

– Nic nie widziałam – oświadczyła niemal zwyczajnym głosem.

– Celeste... – Ed zmartwiał ze zgrozy. Uniósł ręce do skroni, a potem je opuścił. Jego czoło rozblęskło setką brokatowych iskier.

Celeste podeszła do skraju balkonu i oparła dłonie o barierkę. Po chwili odwróciła się do Renaty.

– Dzwon po karetkę.

A potem zaczęła krzyczeć.



To było łatwe, po tylu latach udawania. Celeste była świetną aktorką.

Ale później pomyślała o dzieciach i już nie musiała udawać.



Stu: Rozpętało się istne piekło. Dwóch gości biło się o jakąś Francuzkę, a potem jakieś babsko na mnie wsiadło, bo powiedziałem, że nie odróżniłoby dupy od rogu. I że niby ją obraziłem czy coś w tym rodzaju. Tak się tylko mówi, na litość boską.

Thea: Faktycznie dyskusja na temat systemu ocen trochę rozgorzała. Mam czworo dzieci, więc posiadam pewną wiedzę.

Harper: Thea darła się jak przekupka.

Jonathan: Stałem z rodzicami czwartoklasisty i pokłóciliśmy się o podstawy prawne i wymiar moralny tej petycji. Ktoś podniósł głos. Może doszło do przepychanek. Nie ma się czym chwalić.

Jackie: Dajcie mi firmę, to ją rozwalę.

Gabrielle: Rozwazałam kanibalizm. Carol wyglądała do schrupania.

Carol: Właśnie sprzątałam kuchnię, kiedy usłyszałam mrozący krew w żyłach krzyk.

Samantha: Ed pędził do schodów i krzyczał, że Perry White wypadł

z balkonu. Spojrzałam w tamtą stronę i ujrzałam, jak dwaj ojcowie piątoklasistów lecą przez otwarte drzwi.



– Zdarzył się wypadek – mówiła Renata do telefonu. Jednym palcem zatykała ucho, żeby słyszeć osobę po drugiej stronie, bo Celeste krzyczała wniebogłosy. – Wypadł człowiek. Z balkonu.

– Czy to był on? – Madeline ujęła rękę Jane i przyciągnęła ją do siebie. – Czy to był Perry...

Jane utkwiała wzrok w obwiedzionym różową szminką zarysie jej górnej wargi. Idealny łuk.

– Myślisz, że on...

Nie dokończyła, bo w tej samej chwili dwóch Elvisów w białej satynie, splecionych jak w miłosnym uścisku, wpadło na nie z impetem, aż poleciały w przeciwną stronę.

Jane odruchowo wsparła się na jednym ramieniu, coś chrupnęło jej w barku i runęła ciężko na bok.

Pod policzkiem miała wilgotne kafelki. Wrzaski Celeste zlały się z syrenami i cichym szlochem Bonnie. Jane poczuła w ustach smak krwi. Przymknęła oczy. O losie!



Bonnie: Tamci pobili się na balkonie i wtedy biedne Madeline i Jane zostały tak poważnie ranne. Nie widziałam, jak wypadł Perry White. Ja... przepraszam na chwilę, Sarah. Zaraz. Sarah, prawda? Nie Susan. Miałam zaćmę. Przepraszam, Sarah. Sarah. Ładne imię. Zdaje się, że to znaczy „księżniczka”. Posłuchaj Sarah, muszę iść po córkę.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Przeglądamy zapisy z kamer, zdjęcia zrobione w trakcie wieczoru oraz filmiki zarejestrowane telefonami. Oczywiście przyjrzymy się wynikom badań laboratoryjnych, kiedy już do nas dotrą. Przesłuchujemy wszystkich stu trzydziestu dwoje rodziców, którzy się wówczas zjawili. Z całą pewnością ustalimy, co się wtedy wydarzyło, a jeśli będę musiał, to zapuszczuję wszystkich.



RANEK PO WIECZORKU INTEGRACYJNYM

– Chyba nie dam rady – powiedział cicho Ed. Siedział na krześle przy łóżku szpitalnym Madeline. Leżała w jedyńce, ale i tak zerkał nerwowo przez ramię. Wyglądał, jakby dręczyła go choroba morska.

– Ja cię o nic nie proszę – oznajmiła Madeline. – Jeśli chcesz powiedzieć, to powiedz.

– Powiedz? Na miłość boską. – Ed przewrócił oczami. – Tu nie chodzi o kablowanie w szkole! To złamanie prawa. To podchodzi pod... Dobrze się czujesz? Coś cię boli?

Madeline przymknęła oczy i się wzdrygnęła. Miała złamaną kostkę. Doszło do tego, kiedy dwaj ojcowie piątoklasistów wpadli na nią i Jane. W pierwszej chwili myślała, że zdoła utrzymać równowagę, ale potem jedna noga zaplątała się za drugą na mokrym balkonie, jak w tanecznym kroku. Na dodatek była to jej dobra kostka, nie ta, przez którą się potykała.

Musiała leżeć w męczarniach, zdawałoby się, godzinami, podczas gdy Celeste wrzeszczała, Bonnie łkała, Nathan przeklinał, Jane leżała na boku z krwią na twarzy, a Renata wydzieriała się na szcepionych ojców

piątoklasistów, żeby „zachowywali się jak dorośli, na miłość boską!”.

Po południu miała mieć operację. Założą jej gips na cztery do sześciu tygodni. Później fizjoterapia. Minie długi czas, zanim znów włoży buty na wysokich obcasach.

Nie tylko ona wylądowała w szpitalu. Z tego co zrozumiała, bilans szkód minionego wieczoru obejmował jedną złamaną kostkę (jej wkład), jeden złamany obojczyk (biedna Jane), złamany nos (Geoff, mąż Renaty – zasłużył na więcej), trzy pęknięte żebra (Graeme, mąż Harper, który też sypiał z nianią), troje podbitych oczu, dwa paskudne rozcięcia wymagające szwów oraz dziewięćdziesiąt cztery łupania w czaszce.

Oraz jedna śmierć.

W umyśle Madeline przepływały strzępy obrazów. Jane z pomalowanymi na czerwono ustami stojąca przed Perrym. „Mówiłeś, że nazywasz się Saxon Banks”. W pierwszej chwili Madeline wzięła to za pomyłkę, Perry musiał być podobny do kuzyna. Ale potem on oznajmił: „To nic nie znaczyło”. Mina Celeste, kiedy ją uderzył. Żadnego zaskoczenia. Tylko zakłopotanie.

Jakąż tępą, egocentryczną przyjaciółką trzeba być, żeby nie zauważyć czegoś takiego? To, że Celeste nie obnosiła się z limem i pękniętą wargą, wcale nie znaczyło, że nie było sygnałów, Madeline po prostu je przegapiła. Czy Celeste kiedykolwiek próbowała jej się zwierzyć? Madeline paplała zapewne o kremie pod oczy albo czymś równie powierzchownym i nie dopuściła jej do głosu. Pewnie weszła jej w słowo! Ed zawsze jej to wypominał. „Daj mi skończyć”, mówił, unosząc rękę. Tylko trzy krótkie słowa. „Perry mnie bije”. A ona nie dała przyjaciółce trzech sekund na ich wypowiedzenie. Tymczasem Celeste słuchała, jak ona nadaje bez końca o wszystkim, począwszy od trenera, którego nie cierpi, na relacjach Abigail z ojcem skończywszy.

– Przyniosła nam dziś wegetariańską lazanię – oznajmił Ed.

– Kto? – zapytała. Mdlilo ją z poczucia winy.

– Bonnie! Bonnie, na miłość boską. Kobieta, którą podobno chronimy. Była zdumiewająco normalna, jakby nic się nie stało. Ona jest kompletnie szajbnięta. Od rana rozmawiała z „bardzo miłą dziennikarką Sarah”. Bóg jeden wie, co jej nagadała.

– To był wypadek – zaznaczyła Madeline.

Przypomniała sobie twarz Bonnie, zniekształconą gniewem, kiedy krzyczała na Perry’ego. Dziwny, gardłowy głos. „My widzimy! My, kurwa, widzimy!”

– Przecież wiem – odparł Ed. – Tylko dlaczego nie powiemy prawdy? Nie

opowiemy policji, co się stało? Nie pojmuję tego. Ty jej nawet nie lubisz.

– Nieważne.

– To Renata zaczęła. A reszta podchwyciła. „Ja nie widziałam. Ja też nie widziałam”. Nie wiedzieliśmy nawet, czy on jeszcze żyje, a już knuliśmy, jak to zatuszować! Jezu, czy Renata w ogóle zna Bonnie?

Madeline zdawało się, że rozumie, dlaczego Renata postąpiła tak, a nie inaczej. Ponieważ Perry zdradził Celeste, tak jak Geoff zdradził Renatę. Widziała jej minę, kiedy Perry powiedział: „To nic nie znaczyło”. W tamtej chwili sama chciała go zepchnąć z drugiego piętra. Po prostu Bonnie ją uprzedziła.

Gdyby Renata nie powiedziała: „Nie widziałam, jak wypadł”, Madeline nie zdążyłaby zapewne pomyśleć, co grozi żonie jej byłego męża, lecz na dźwięk słów Renaty pomyślała o Skye. O tym, jak mrugała, jak się zawsze chowała za spódnicą mamy. Jeśli istniało dziecko, które potrzebowało matki, była to Skye.

– Bonnie ma córeczkę – zaznaczyła.

– A Perry miał dwóch synków... I co z tego? – Ed utkwiał wzrok w ścianie nad łóżkiem Madeline. W ostrym świetle jego twarz wyglądała na znękaną. Ujrzała w nim starca, którym się kiedyś stanie. – Po prostu nie wiem, czy potrafię z tym żyć, Madeline.

On pierwszy zszedł do Perry’ego. Pierwszy zobaczył połamane, skręcone ciało człowieka, z którym jeszcze przed chwilą żartował. Nie mogła go o to prosić. Była tego świadoma.

– Perry nie był dobrym człowiekiem – oznajmiła. – To on skrzywdził Jane. Nie rozumiesz tego? To ojciec Ziggy’ego.

– Nieważne.

– Rób, co uważasz. – Ed miał rację. Oczywiście, że miał rację, jak zawsze, lecz zły postępek czasem okazuje się jedynym słusznym. – Myślisz, że chciała go zabić? – spytała po chwili.

– Nie – odpowiedział Ed. – Ale co z tego? Nie jestem sędzią ani ławą przysięgłych. Moim zadaniem nie jest...

– Myślisz, że to powtórzy? Że stanowi zagrożenie dla otoczenia?

– Nie, ale... Powtórzę raz jeszcze: co z tego? – Z jego oczu biła nieudawana zgryzota. – Nie jestem pewien, czy potrafię świadomie złożyć fałszywe zeznanie.

– A przypadkiem już nie złożyłeś? – Wiedziała, że rozmawiał krótko z policją, zanim pojechał do szpitala, do którego sprzed wejścia do szkoły

zabrała ją karetka.

– Nieoficjalnie. Jakiś policjant sporządził krótką notatkę, a ja mu powiedziałem... Boże, sam nie wiem, co mu powiedziałem. Byłem pijany. Nie wspominałem o Bonnie, to na pewno, ale umówiłem się z nim dzisiaj o pierwszej na posterunku i mam złożyć formalne zeznanie. Oni to nagrają, Madeline. Będę świadomie kłamał w obecności dwóch funkcjonariuszy. Złożę zeznanie pod przysięgą. Mogą mnie oskarżyć o współudział...

– Cześć wam. – Nathan wszedł do sali z bukietem kwiatów i szerokim uśmiechem, jakby wkraczał na scenę z jakąś krzepiącą mówką.

Ed aż podskoczył.

– Jezu, Nathan, ale mnie wystraszyłeś!

– Wybacz, stary. Jak się czujesz, Maddie?

– Nieźle. – Dziwnie było leżeć w łóżku, kiedy tak nad nią stali, mąż był i aktualny. Ten widok lekko wzburzył Madeline. Wolałaby ich spławić.

– To dla ciebie, biedulko! – Nathan rzucił jej bukiet na kolana. – Ponoć jakiś czas masz chodzić o kulach.

– Tak, no cóż...

– Abigail zapowiedziała, że wraca do domu, żeby ci pomóc.

– Och – sapnęła. – Och. – Dotknęła różowych płatków. – Hm, porozmawiam z nią o tym. Dam sobie radę. Nie musi się o mnie troszczyć.

– Owszem, ale chyba po prostu chce wrócić do domu – oświadczył Nathan.

– Szuka tylko wymówki. – Madeline i Ed wymienili spojrzenia. Ed wzruszył ramionami. – Zawsze wiedziałem, że jej to spowszednieje – dorzucił Nathan.

– Tęskniła za mamą. Nie jesteśmy jej prawdziwym życiem.

– No tak.

– To ja już pójdę – oznajmił Ed.

– Mógłbyś zostać jeszcze chwilę, stary? – poprosił Nathan. Nagle przestał się uśmiechać, wyglądał teraz jak pokrzywdzony w wypadku drogowym. – Chciałbym zamienić z wami dwa słowa o... o tym, co się wczoraj stało.

Ed się skrzywił, ale przysunął krzesło i dał znak Nathanowi, aby usiadł obok niego.

– O, dziękuję, dziękuję, stary. – Nastąpiła długa cisza. Ed odchrząknął. – Ojciec Bonnie był agresywny – zaczął w końcu Nathan. – Bardzo agresywny. Zdaje się, że nie wiem nawet połowy. Nie krzywdził Bonnie. Krzywdził jej matkę. Ale Bonnie i jej młodsza siostra wszystko widziały. Miały bardzo ciężkie dzieciństwo.

– Ja chyba nie powinienem... – wtrącił Ed.

– Nigdy go nie poznałem – przerwał mu Nathan. – Umarł na zawał, zanim spotkałem Bonnie. Bonnie ma... Pewien psychiatra nazwał to zespołem stresu pourazowego. Zwykle jest w porządku, ale miewa koszmary oraz, uhm, pewne trudności.

Utkwił puste spojrzenie w ścianie. Madeline zrozumiała, że jego małżeństwo wcale nie jest usłane różami.

– Nie musisz nam wszystkiego mówić – powiedziała.

– Ona jest dobrym człowiekiem, Maddie – dorzucił desperackim tonem. Teraz wpatrywał się w Madeline. Odwoływał się do ich przeszłości. Odwoływał się do wspomnień i dawnej miłości; mimo że ją zdradził, prosił, aby puściła to w niepamięć i przypomniawszy sobie czasy, kiedy szaleli na swoim punkcie i budzili się rano zapatrzeni w siebie jak nastolatki. To było szalone, ale wiedziała, że właśnie o to ją prosi. Prosił o przysługę dwudziestoletnią Madeline. – Jest wspaniałą matką. Najlepszą. I daję wam słowo, że nie chciała go zepchnąć, po prostu zobaczyła, jak walnął Celeste, i...

– Coś w niej pękło – dokończyła Madeline. Przypomniała sobie rękę Perry'ego, ten zgrabny, wyćwiczony ruch. Usłyszała gardłowy głos Bonnie. Przyszło jej do głowy, że zło ma wiele płaszczyzn. Bywa małe, jak jej własne krzywdzące uwagi. Niezaproszenie dziecka na urodziny. I większe, jak zostawienie żony z nowo narodzonym maleństwem czy romans z opiekunką własnej pociechy. Było też zło, z jakim Madeline nie miała doświadczenia: okrucieństwo w pokojach hotelowych, przemoc w domach na przedmieściu oraz traktowanie małych dziewczynek jak towar na sprzedaż.

– Wiem, że nie jesteś mi nic winna – powiedział Nathan – bo to, co ci zrobiłem, kiedy urodziła się Abigail, było kompletnie niewybaczalne i...

– Nathan – przerwała mu. To było czyste wariactwo, ponieważ mu nie wybaczyła i nigdy nie wybaczy, będzie ją zadręczał do końca życia. Któregoś dnia poprowadzi Abigail do ołtarza, a Madeline będzie zgrzytała zębami. Ale był rodziną i musiała go umieścić na brystolu z drzewem genealogicznym. Jak mogła wytłumaczyć Edowi, że niezbyt lubi Bonnie i jej nie rozumie, ale będzie dla niej kłamać tak samo, jak kłamałyby dla Eda, dzieci czy swojej matki. O dziwo, wychodziło na to, że Bonnie też należy do rodziny. – Nie powiemy nic policji – obiecała. – Nie widzieliśmy, co się stało. Nic nie widzieliśmy.

Ed wstał, szurając krzesłem. I wyszedł z sali.



Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Ktoś tu nie mówi prawdy na temat tego, co zaszło na tarasie.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

Policjant wyglądał jak młody, sympatyczny ojciec, ale z jego zmęczonych, zielonych oczu biły chłód i pełne skupienie. Siedział przy łóżku Jane w szpitalu, z długopisem wycelowanym w żółty notatnik.

– Powtórzmy raz jeszcze. Stała pani na tarasie, ale zaglądała do środka?

– Tak – potwierdziła Jane. – Z powodu hałasu. Ludzie rzucali przedmiotami.

– A potem usłyszała pani krzyk Celeste White?

– Tak mi się zdaje. Wszystko mi się miesza. Pamiętam jak przez mgłę. To przez te koktajle.

– No tak – westchnął policjant. – Koktajle. Wiele o nich słyszałem.

– Wszyscy byli pijani.

– Na jakiej pozycji względem Perry’ego White’a pani stała?

– Hm, zdaje się, że nieco z boku. – Pielęgniarka wspomniała, że niedługo wezmą ją na prześwietlenie. Rodzice i Ziggy już tu jadą. Jane spojrzała na drzwi w nadziei, że ktoś wejdzie i uwolni ją od tej rozmowy.

– Na czym polegał pani związek z Perrym? Byliście przyjaciółmi?

Przypomniała sobie chwilę, kiedy zdjął perukę i stał się Saxonem. Nie zdążyła mu powiedzieć, że ma syna o imieniu Ziggy, który lubi dynie. Nie doczekała się przeprosin. Czy po to przyjechała do Pirriwee? Żeby się pokajał? Czy faktycznie miała na to nadzieję?

Przymknęła oczy.

– Poznaliśmy się wczoraj. Widziałam go po raz pierwszy.

– Myślę, że pani kłamie. – Policjant odłożył notatnik. Jane wzdrygnęła się, gdy jego głos zaciążył nad nią jak rozkołysany młot. – Kłamie pani?

Rozdział osiemdziesiąty

– Przyszedł ktoś do ciebie – powiedziała matka Celeste.

Celeste siedziała na kanapie, z bliźniakami po obu stronach, i oglądała kreskówki. Nie chciało jej się ruszać. Ciepłe ciała chłopców przyjemnie ciążyły jej po bokach.

Nie wiedziała, co myślał. Płakali, gdy powiedziała im o ojcu, ale nie wiedziała, czy to nie dlatego, że Perry miał ich dziś zabrać na ryby i przeżyli rozczarowanie. „Dlaczego tatuś nie poleciał?”, wyszeptał Josh. „Kiedy spadł z balkonu. Dlaczego nie poleciał?” „Wiedziałem, że nie umie”, dodał Max z goryczą. „Wiedziałem, że zmyśla”.

Podejrzewała, że teraz mają w głowach pustkę tak jak ona, a migające kolory na ekranie to jedyna rzecz, która zdaje się rzeczywista.

– Mam nadzieję, że to nie kolejny dziennikarz? – zapytała.

– Ma na imię Bonnie – odrzekła matka. – Mówi, że znacie się ze szkoły i że chciałaby chwilę z tobą porozmawiać. Twierdzi, że to ważne. Przyniosła to. – Wskazała na formę do zapiekania. – Wegetariańska lasania. – Uniosła brwi, co miało wyrazić jej zdanie na temat „wegetariańskiej” lazanii.

Celeste wstała i delikatnie odsunęła chłopców. Zaoponowali niemrawo, ale nie oderwali wzroku od telewizora.

Bonnie czekała na nią w salonie. Stała nieruchomo i patrzyła na ocean, a jasny warkocz wisiał pośrodku jej wyprostowanych pleców. Celeste stanęła w progu i obserwowała ją przez chwilę. Oto kobieta odpowiedzialna za śmierć jej męża.

Bonnie odwróciła się powoli i uśmiechnęła markotnie.

– Celeste.

Nie sposób było wyobrazić sobie tej spokojnej kobiety o świetlistej cerze, jak krzyczy: „My widzimy! My, kurwa, widzimy!”.

– Dziękuję za lasagne – powiedziała szczerze Celeste. Wiedziała, że dom wkrótce wypełni się zrozpaczonymi krewnymi Perry’ego.

– Chociaż tyle mogłam... – Opanowaną twarz Bonnie na chwilę wykrzywiła udręka. – Żadne przeprosiny nie naprawią tego, co zrobiłam, ale przyszłam prosić cię o wybaczenie.

– To był wypadek – oznajmiła stanowczo Celeste. – Nie chciałaś, żeby wypadł.

– Twoi chłopcy. Jak oni...?

– Chyba jeszcze nie rozumieją.

– Nie. No przecież. – Bonnie powoli wypuściła powietrze przez usta, jakby demonstrowała jogiczny oddech. – Idę na policję – dodała. – Złożę zeznanie i opowiem dokładnie, co się stało. Nie musicie za mnie kłamać.

– Już im wczoraj powiedziałam, że nie widziałam...

Bonnie uniosła rękę.

– Wrócą po formalne zeznanie. Tym razem powiedz im prawdę. – I jeszcze raz wzięła powolny, głęboki oddech. – Chciałam skłamać. Widzisz, mam wprawę. Umiem kłamać jak nikt. Kiedy dorastałam, kłamałam cały czas. Policji. Opiece społecznej. Dochowywałam wielkich tajemnic, nie było innego wyjścia. Dziś rano rozmawiałam nawet z dziennikarką i świetnie mi poszło, ale potem, sama nie wiem. Poszłam odebrać córeczkę od mamy, a kiedy tam weszła, przypomniałam sobie ostatni raz, kiedy ojciec pobił przy mnie mamę. Miałam dwadzieścia lat. Byłam dorosła. Przyjechałam do domu w odwiedziny i się zaczęło. Mama coś zrobiła. Nie pamiętam co. Nałożyła mi za mało sosu pomidorowego. Nie tak się zaśmiała. – Bonnie spojrzała na Celeste. – Sama wiesz.

– Tak – odrzekła Celeste zachrypniętym głosem. Oparła rękę na kanapie, w którą Perry wcisnął kiedyś jej twarz. – Wiem.

– I masz pojęcie, co zrobiłam? Pobiegłam do swojego dawnego pokoju i schowałam się pod łóżkiem. – Bonnie zaśmiała się cicho, jakby z niedowierzaniem. – Zawsze tak robiłyśmy z siostrą. Nawet nie myślałam. Tylko pobiegłam. Położyłam się na brzuchu, serce mi waliło, patrzyłam na stary, zielony dywan, czekając, aż to się skończy, i nagle pomyślałam: „Boże drogi, co ja wyprawiam? Jestem dorosłą kobietą i chowam się pod łóżkiem”. Wyszłam i zadzwoniłam na policję. – Bonnie przerzuciła warkocz przez ramię i poprawiła gumkę. – Już nie będę się chować. Nie będę niczego ukrywać i nie chcę, by ludzie robili to z mojego powodu. – Strąciła warkocz z powrotem na plecy. Zresztą i tak prawda wypłynie. Madeline i Renata umiałyby skłamać na policji. Ale na pewno nie Ed. Ani Jane. Ani nawet mój biedny Nathan. Pewnie

wypadłby najgorzej ze wszystkich.

– Skłamałabym dla ciebie – oświadczyła Celeste. – Umiem kłamać.

– Wiem. – Oczy Bonnie rozbłysły. – Myślę, że ty też potrafisz udawać. –
Podeszła bliżej i położyła dłoń na jej ramieniu. – Ale już nie musisz.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

„Bonnie się przyznała”.

Tak brzmiała wiadomość od Celeste.

Madeline mało nie upuściła telefonu, wybierając numer Eda. Nagle poczuła, jakby los jej małżeństwa zależał od tego, czy dodzwoni się do niego, zanim on złoży zeznanie.

Telefon dzwonił i dzwonił.

– O co chodzi? – spytał w końcu.

Zalała ją fala ulgi.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie zaparkowałem. Idę na posterunek.

– Bonnie się przyznała. Nie musisz za nią kłamać. – Cisza. – Ed? Słyszysz, co mówię? Możesz im powiedzieć, co widziałeś. Powiedz im prawdę.

Zabrzmiało to tak, jakby płakał. Ed nigdy nie płakał.

– Nie powinnaś była mnie o to prosić – burknął szorstko. – Za wiele wymagałaś. I to dla niego. Prosiłaś mnie o to dla twojego cholernego byłego.

– Wiem – przyznała Madeline i też się rozplakała. – Przepraszam. Bardzo cię przepraszam.

– Zrobiłbym to.

Nie zrobiłbyś, kochanie, pomyślała, ocierając łzy wierzchem dłoni. Nie zrobiłbyś.



Kochany Ziggy,

Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale w zeszłym roku podczas drzwi otwartych w przedszkolu nie byłam dla Ciebie zbyt miła. Myślałam, że skrzywdziłam moją córeczkę, a teraz wiem, że tak nie było. Mam nadzieję, że mi wybaczysz i że Twoja mama mi wybaczy. Bardzo źle się wobec Was zachowałam

i dlatego bardzo przepraszam.

Amabella wyprawia przyjęcie pożegnalne, zanim przeniesiemy się do Londynu, i byłibyśmy zaszczytzeni, gdybyś zjawił się jako gość honorowy. Tematem przyjęcia są Gwiezdne Wojny. Amabella prosi, żebyś przyniósł swój miecz świetlny.

Z poważaniem,

Renata Klein

(mama Amabelli)

Rozdział osiemdziesiąty drugi

CZTERY TYGODNIE PO WIECZORKU INTEGRACYJNYM

– Próbowała cię nagabywać? – zapytała Jane. – Ta dziennikarka, która robi ze wszystkimi wywiady?

Było przedpołudnie pięknego, rześkiego, zimowego dnia. Ona i Tom stali na promenadzie przed Blue Blues. Przy stoliku obok okna siedziała kobieta ze słuchawką w uchu i marszcząc czoło, przepisywała na laptopa nagranie z dyktafonu.

– Sarah? – rzucił Tom. – Tak. Dałem jej trzy babeczki i powiedziałem, że nie mam nic do powiedzenia. Mam nadzieję, że wspomni o babeczkach w artykule.

– Zaczęła odpytywać ludzi zaraz na następny dzień – stwierdziła Jane. – Ed twierdzi, że chce podpisać kontrakt na książkę. Ponoć nawet Bonnie z nią rozmawiała, zanim postawiono jej zarzuty. Musi mieć kupę materiału.

Tom pomachał do dziennikarki, a ona mu odmachała i wzniosła toast kubkiem z kawą.

– Chodźmy – powiedział.

Wzięli kanapki i poszli na cypel. Wczoraj zdjęto Jane temblak. Lekarz powiedział, że może zacząć wykonywać lekkie ćwiczenia.

– Myślisz, że Maggie poradzi sobie w kawiarni? – spytała. Maggie była pracownicą na pół etatu.

– Jasne. Parzy lepszą kawę niż ja.

– Nieprawda.

Ruszyli po schodach w stronę miejsca, w którym Jane spacerowała dawniej z Celeste, gdy odprowadziły już dzieci. Pomyślała o pędzącej Celeste, spłoszonej i zakłopotanej, bo znów się spóźniła, i kompletnie nieświadomej tego, że biegacz w średnim wieku mało nie wpadł na drzewo, kiedy ją zobaczył.

Nie spotkała jej od dnia pogrzebu.

Najgorszy był widok chłopców, z jasnymi włosami zaczesanymi na bok, w białych koszulach i czarnych spodenkach, z poważnymi minami. Max napisał list do ojca i położył go na trumnie. „Tatus”, nabazgrał koślawymi literami obok rysunku przedstawiającego dwa ludziki.

Szkoła próbowała wesprzeć rodziców, którzy bili się z myślami, czy puścić dzieci na pogrzeb. Rozesłano maila z przydatnymi linkami do artykułów autorstwa psychologów: *Czy powinienem pozwolić dziecku iść na pogrzeb?*

Rodzice, którzy nie puścili swoich dzieci, mieli nadzieję, że tym, które pójdą, przyśnią się koszmary i będą miały traumę do końca do życia, a przynajmniej zaważą egzaminy do gimnazjum. Rodzice, którzy puścili, liczyli na to, że ich dzieci wyciągną z tego cenną lekcję na przyszłość, nauczą się wspierać przyjaciół w potrzebie i staną się bardziej „odporne”, co pomoże im przetrwać okres dojrzewania bez ryzyka samobójstwa lub wpadnięcia w nałóg.

Jane poszła z Ziggyem, bo tego sobie życzył, a poza tym był to pogrzeb jego ojca, chociaż o tym nie wiedział, a taka okazja więcej się nie powtórzy.

Czy kiedyś zapyta go: „Pamiętasz, jak pierwszy raz byłeś na pogrzebie?”. Ale wtedy spróbuje przypisać temu znaczenie. Będzie szukał czegoś, czego nie ma, w końcu to do niej dotarło. Przez ostatnie pięć lat bezowocnie tropiła znaczenie w pijackim akcie seksualnym, ale go nie znalazła.

Kościół był wypełniony zrozpaczoną rodziną Perry’ego. Jego siostra (ciotka Ziggy’ego, pomyślała Jane, siedząc z tyłu z innymi rodzicami, którzy tak naprawdę nie znali zmarłego) zmontowała krótki film dla upamiętnienia jego życia. Zrobiła to bardzo profesjonalnie, życie Perry’ego zdawało się na nim bogatsze i bardziej treściwe od życia zgromadzonych. Były tam fotografie przedstawiające go jako jasnowłosego bobasa, pulchnego chłopczyka, nieoczekiwanie przystojnego nastolatka, pięknego pana młodego całującego piękną oblubienicę, dumnego tatę z dziećmi w ramionach. Nie zabrakło filmików, na których tańczył z chłopcami w rytm rapu, zdmuchiwał świeczki albo szusował z synami między nogami.

Ścieżka dźwiękowa była piękna i doskonale zsynchronizowana, tak by jak najbardziej chwycić za serce, toteż na koniec łkali nawet rodzice, którym Perry był zupełnie obcy, a jakiś mężczyzna niechcący nawet zaczął klaskać.

Ten film nie dawał Jane spokoju. Zdawał się niezbitnie potwierdzać, że Perry był dobrym człowiekiem. Wzorowym ojcem i mężem. A jej wspomnienia

z pokoju hotelowego i z tarasu – zdawkowa brutalność, z jaką potraktował Celeste – sprawiały wrażenie ulotnych i nierealnych. Człowiek z dwójką chłopców na kolanach, śmiejący się w zwolnionym tempie do kogoś spoza obiektywu, nie mógłby posunąć się do takich czynów.

Kurczowe trzymanie się prawdy zdawało się bezcelowe i pedantyczne, na granicy złośliwości. W znacznie lepszym tonie było pamiętać film.

Nie widziała, żeby Celeste płakała na pogrzebie. Miała spuchnięte, podkrążone oczy, ale chyba nie uroniła ani jednej łzy. Wyglądała, jakby zaciskała zęby, jakby chciała przeczekać jakiś straszny ból. Tylko raz sprawiała wrażenie bliskiej płaczu – kiedy przed kościołem pocieszała wysokiego, przystojnego mężczyznę, który z rozpaczyny ledwo trzymał się na nogach. Jane zdawało się, że Celeste, biorąc go za rękę, powiedziała: „Och, Saxon”. A może słuch płątał jej figle.

– A ty z nią porozmawiasz? – spytał Tom, kiedy weszli na schody.

– Z Celeste?

Ledwo zamieniły kilka słów. Przyjechała matka Celeste i pomagała opiekować się chłopcami, Jane wiedziała też, że pochłania ją rodzina Perry’ego. Czują, że nigdy nie podejmą jego tematu. Z jednej strony miałyby zbyt wiele do powiedzenia, a z drugiej – zupełnie nic. Madeline wspomniała, że Celeste przenosi się do mieszkania w McMahan’s Point. Piękny dom zostanie wystawiony na sprzedaż.

– Nie z Celeste. – Tom spojrzał na nią dziwnie. – Z dziennikarką.

– Aha – zreflektowała się Jane. – Boże, nie. Nie rozmawiałam. I nie mam zamiaru. Ed poradził, żebym powiedziała: „Nie, dziękuję” i trzasnęła słuchawką, jak telemarketerce. Twierdzi, że ludzie czują się w obowiązku rozmawiać z dziennikarzami, całkiem niepotrzebnie. To nie policja.

Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać z dziennikarką. Za dużo tajemnic. Na samą myśl o policjancie, który przesłuchiwał ją w szpitalu, zapierało jej dech. Chwała Bogu, że Bonnie postanowiła zeznawać.

– Dobrze się czujesz? – Tom przystanął i położył jej rękę na ramieniu. – Nie idę za szybko?

– Wszystko w porządku. Straciłam kondycję.

– Odzyskasz dawną tężyznę, już moja w tym głowa.

Stuknęła go palcem w pierś.

– Siedź cicho.

Uśmiechnął się. Nie widziała jego oczu, bo miał okulary przeciwsłoneczne.

Kim teraz byli? Serdecznymi przyjaciółmi, którzy bardziej przypominali rodzeństwo? A może flirtowali ze sobą ze świadomością, że dalej się nie posuną? Nie miała pewności. Ich wzajemna fascynacja na wieczorku była jak pączek, który wymagał szczególnego traktowania, lub jak pierwszy pocałunek na rauszu pod ścianą na szkolnym parkingu. Lecz potem stało się tamto. Mała sadzonka została zdeptana wielkim, czarnym butem: śmierć, krew, połamane kości, policja oraz wszystko to, czego nie opowiedziała mu o ojcu Ziggy'ego. Tamta chwila nie wróciła. Zaburzyli rytm.

W zeszłym tygodniu poszli do kina i na kolację. Było wspaniale, istna sielanka. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili, kiedy przychodziła pracować do Blue Blues. Ale do niczego nie doszło. Wyglądało więc na to, że Tom i Jane są skazani na przyjaźń. Było to lekkie rozczarowanie, ale nie katastrofa. Przyjaźń może trwać całe życie. Statystyki rokują pomyślniej niż w przypadku związków.

Dziś rano ponownie dostała wiadomość od kuzyna koleżanki z pytaniem, czy wybierze się z nim w końcu na drinka. Odpisała: „Tak, chętnie”.

Podeszli do ławki z tabliczką zadedykowaną „Victorowi Bergowi, który lubił tu spacerować. Ci, których kochamy, nie przemijają, lecz dzień w dzień siadają obok nas”. Widząc ją, Jane zawsze myślała o dziadku, który przyszedł na świat w tym samym roku, co Victor Berg.

– Jak tam Ziggy? – spytał Tom, gdy usiedli i rozpakowali kanapki.

– W porządku. – Jane spojrzała na bezmiar błękitu. – Wspaniale.

Ziggy zaprzyjaźnił się z nowym uczniem, który wrócił do Australii po dwóch latach w Singapurze. Ziggy i Lucas byli nierozłączni. Rodzice Lucasa, państwo po czterdziestce, zaprosili Jane i Ziggy'ego na kolację. Chcieli zeswatać Jane z wujkiem syna.

Nagle Tom położył jej rękę na ramieniu.

– O Boże.

– Co? – zapytała. Patrzył na ocean, jakby coś tam dojrzał.

– Chyba odbieram wiadomość. – Przyłożył palec do skroni. – Tak! Tak, jestem. To Victor!

– Jaki znów Victor?

– Victor Berg, który lubił tu spacerować! – rzucił Tom niecierpliwie i stuknął palcem w tabliczkę. – Vic, stary, o co chodzi?

– Chyba ci odbiło – stwierdziła czule Jane.

Tom spojrzał na nią.

– Victor mówi, że jeśli zaraz cię nie pocałuję, to będę skończonym głupcem.

– Ach... – Jane czuła, jak żołądek podskakuje jej z radości, zupełnie jakby wygrała na loterii. Dostała gęziej skórki. Próbowwała mydlić sobie oczy kłamstewkami. O Boże, no przecież, że czuła się zawiedziona, że do niczego nie dochodzi. Taka zawiedziona. – Naprawdę? Serio ci to mó...

Ale Tom już ją całował, jedną dłoń delikatnie trzymał na jej policzku, a drugą zdejmował z jej kolan kanapkę i kładł na ławce obok. Okazało się, że sadzonka jednak ma się dobrze, a pierwsze pocałunki wcale nie wymagają ciemności i alkoholu, można je przeżyć pod gołym niebem, kiedy dmucha wiatr i grzeje słońce, wszystko wokół jest prawdziwe i szczerze. Chwała Bogu, że nie żuła gumy, bo musiałyby ją połknąć cichaczem i jeszcze by jej umknęło, że Tom smakuje dokładnie tak, jak sobie wyobrażała: cynamonowym cukrem, kawą i oceanem.

– Myślałam, że jesteśmy skazani na przyjaźń – oznajmiła, kiedy przerwali, by nabrać powietrza.

Tom odgarnął jej kosmyk z czoła i założył za ucho.

– Przyjaciół mam pod dostatkiem.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

Samantha: Czy to już wszystko? Nic więcej pani nie potrzebuje? Ale historia, co? Wróciliśmy do normalności, tyle że my wszyscy, rodzice, jesteśmy teraz dla siebie bardzo mili. Można pęknąć ze śmiechu.

Gabrielle: Odwołali bal wiosny. Zostaną tylko stragany z wypiekami. Tylko tego mi trzeba. Z tych nerwów przytyłam pięć kilo.

Thea: Renata przenosi się do Londynu. Małżeństwo się rozpadło. Ja walczyłabym na jej miejscu, ale mogę mówić tylko za siebie. To byłoby silniejsze ode mnie, dla mnie dzieci są najważniejsze.

Harper: Naturalnie, że odwiedzimy Renatę w przyszłym roku! Jak tylko się urządzi. Mówi, że to może trochę potrwać. Tak, dałam Graemowi drugą szansę. Jakaś mała zdzira nie zniszczy naszego małżeństwa. Proszę się nie martwić. Dostaje za swoje. I nie mówię tylko o żebrach. Dziś wieczorem idziemy wszyscy na *Króla Lwa*.

Stu: Dlaczego ta mała nigdy do mnie nie startowała? Oto jest pytanie.

Jonathan: Do mnie startowała, ale niech to zostanie między nami.

Panna Barnes: Nie mam pojęcia, co się stało z petycją. Po wieczorku słuch o niej zaginął. Wszyscy czekamy na nowe półrocze i nowy początek. Wpadłam na pomysł zrobienia zajęć o rozwiązywaniu konfliktów. Na pewno się przydadzą.

Jackie: Niech dadzą tym dzieciakom święty spokój i nauczą je czytać

i pisać.

Pani Lipmann: Chyba wszyscy nauczyliśmy się okazywać sobie większą życzliwość. I wszystko zapisywać. Wszystko.

Carol: No więc podobno klub Madeline nie miał nic wspólnego z erotyką! To był tylko żart! Ależ ci ludzie są pruderyjni! I proszę sobie wyobrazić, że nie dalej jak wczoraj koleżanka z kościoła wspomniała mi o Chrześcijańskim Erotycznym Klubie Książki. Przeczytałam już trzy rozdziały naszej pierwszej książki i od razu mówię, że jest świetna i... jak by to nazwać? Pieprzna!

Detektyw sierżant Adrian Quinlan: Szczerze powiedziawszy, stawiałem na żonę. Tak podpowiadała mi intuicja. Założyłbym się o grubą forszę. Widać czasem intuicja zwodzi na manowce. I to byłoby na tyle. Chyba ma pani wszystko co trzeba, nie? Wyłącza pani dyktafon? Bo tak się zastanawiam – nie wiem, czy to wypada – ale czy nie poszłaby pani ze mną na drin...

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

ROK PO WIECZORKU INTEGRACYJNYM

Celeste siedziała przy długim stole przykrytym białym obrusem i czekała, aż zostanie wywołana. Serce waliło jej w piersi. Czuła suchość w ustach. Podniosła szklankę wody i zobaczyła, że ręka jej się trzęsie. Pospiesznie odstawiła szklankę z powrotem; bała się, że ją rozleje.

Ostatnio kilkakrotnie zeznawała w sądzie, ale teraz było inaczej. Nie chciała się rozplakać, chociaż Susi zapewniała ją, że to normalne, zrozumiałe, wręcz prawdopodobne. „Będiesz mówić o bardzo osobistych, bardzo bolesnych przeżyciach”, powiedziała. „Proszę cię o coś niebagatelnego”.

Celeste popatrzyła na widownię, złożoną z niewielkiego grona eleganckich kobiet i mężczyzn. Mieli puste, urzędowe twarze, niektórzy wyglądali na trochę znudzonych.

„Zawsze wybieram kogoś z widowni”, opowiadał jej kiedyś Perry, gdy rozmawiali o wystąpieniach publicznych. „Przyjazną twarz gdzieś pośrodku. I kiedy wstaję, zwracam się do niej lub do niego, jakby prócz nas nie było nikogo innego”.

Pamiętała, że zdziwiło ją, iż w ogóle potrzebował techniki. Zawsze sprawiał wrażenie bez reszty pewnego siebie i odprężonego, gdy przemawiał publicznie, jak charyzmatyczny gwiazdor Hollywood w czasie talk-show. Ale to był Perry. Z perspektywy czasu dochodziła do wniosku, że żył w stanie ciągłego lęku: lęku przed upokorzeniem, lęku, że ją straci i że nie będzie kochany.

Na chwilę pozałowała, że go tu nie ma i nie może jej zobaczyć. Do głowy cisnęła się jej myśl, że byłby z niej dumny pomimo tematu. Prawdziwy Perry byłby.

Mydliła sobie oczy? Bardzo możliwe. Ostatnio w tym celowała, zresztą może nie tylko ostatnio.

Najtrudniejsze w ciągu minionego roku było kwestionowanie każdej przelotnej myśli i emocji. Ilekroć płakała nad jego śmiercią, zdradzała Jane. Opłakiwanie człowieka, który zrobił to, co zrobił, było głupie, złe i chybione. Jak mogła rozczulać się nad rozpaczą swoich synków, skoro istniał jeszcze jeden chłopiec, który nawet nie wiedział, że Perry był jego tatą. Miała czuć nienawiść, złość oraz furję. Właśnie tak powinna się czuć i uszczęśliwiała ją, kiedy tego doświadczała, co zdarzało się dosyć często, gdyż były to właściwe, racjonalne emocje, lecz potem łapała się na tym, że za nim tęskni i wyczekuje jego powrotu z delegacji. I znowu czuła się jak idiotka, przecież Perry ją zdradzał, pewnie wielokrotnie.

W snach krzyczała na niego. „Jak śmiesz! Jak śmiesz!” Biła go raz po raz. I budziła się z twarzą moką od łez.

„Nadal go kocham. Chyba mi odbija”, powiedziała do Susi, jakby wyznawała coś obrzydliwego. „Masz prawo. Musisz przez to przebrnąć”, skwitowała Susi, a potem słuchała cierpliwie, kiedy Celeste opowiadała jej o potknięciach, za które karał ją Perry, ze szczegółami, które musiały męczyć. „Wiem, że mogłam kazać chłopcom posprzątać klocki, ale byłam zmęczona, nie musiałam tego mówić, nie musiałam tego robić”. Z jakichś powodów rozkładała błahę wydarzenia ostatnich pięciu lat na części pierwsze i próbowała je sobie poukładać. „To było niesprawiedliwe, prawda?”, pytała, jakby Susi miała to rozstrzygnąć, a Perry wysłuchać niezależnego arbitra. „A jak ci się zdaje?”, odpowiadała Susi, jak na dobrą terapeutkę przystało. „Myślisz, że na to zasłużyłaś?”

Celeste patrzyła, jak siedzący obok niej mężczyzna sięga po szklanekę. Ręka zdrzała mu jeszcze bardziej niż jej, lecz z uporem doprowadził ją do ust, chociaż lód zagrzechotał, a woda poląła mu się po palcach.

Był wysokim, sympatycznym trzydziestolatkiem o chudej twarzy, nosił krawat i czerwony sweter w niewłaściwym rozmiarze. Pewnie był terapeutą, tak jak Susi, ale chorobliwie nieśmiałym. Celeste miała ochotę położyć mu rękę na ramieniu i dodać otuchy, ale nie chciała go zawstydząć, w końcu był tu służbowo.

Spuściła wzrok i zobaczyła, że nogawka podjechała mu do góry. Do czarnych, wypastowanych butów włożył jasnobrązowe skarpetki. Madeline nie zdzierzyłaby takiej wpadki. Pomogła Celeste w wyborze nowej, jedwabnej bluzki oraz ołówkowej spódnicy i czarnych czółenek. „Pełne buty”, oznajmiła, kiedy Celeste sięgnęła po sandały. „Koniecznie pełne buty”. Celeste ustąpiła.

Pozwalała Madeline wyręczać się w wielu sprawach. „Mogłam się domyślić”, powtarzała przyjaciółka. „Mogłam się domyślić, przez co przechodzisz”. Nie pomagały zapewnienia, że nie mogła, że Celeste nigdy by do tego nie dopuściła, Madeline wiedziała swoje. I Celeste dała spokój, przekonana, że to minie.

Rozejrzała się za kimś przyjaznym na widowni. Wybrała kobietę po pięćdziesiątce, o pogodnej, ptasiej twarzy, która kiwała entuzjastycznie głową, kiedy Susi przeszła do wprowadzenia.

Trochę przypominała jej nową wychowawczynię chłopców w szkole nieopodal domu. Celeste spotkała się z nią przed początkiem roku. „Uwielbiali tatę, a po jego śmierci mają problemy z zachowaniem”, oświadczyła na wstępie. „To całkowicie zrozumiałe”, odrzekła pani Hooper. Wyglądała, jakby nic nie mogło jej zdziwić. „Będziemy się spotykać co tydzień, aby na bieżąco wszystko omawiać”. Celeste musiała się powstrzymać, żeby nie rzucić się jej na szyję i nie zapłakać w kwiecistą bluzkę.

Bliźniacy słabo sobie radzili. Do tego stopnia przywykli do długiej nieobecności ojca, że upłynęło dużo czasu, zanim zrozumieli, że już nigdy nie wróci. Kiedy coś nie szło po ich myśli, reagowali zupełnie jak Perry: agresją i furją. Dzień w dzień próbowali się pozabijać i co wieczór zasypiali w jednym łóżku, z głowami na jednej poduszce.

Widok ich rozpaczy zdawał się dla Celeste karą. Tylko za co? Że została z ich ojcem? Że chciała, aby umarł?

Bonnie uniknęła odsiadki. Uznano ją za winną nieumyślnego spowodowania śmierci i skazano na dwieście godzin pracy społecznej. Ogłaszając wyrok, sędzia zaznaczył, że jej wina moralna plasuje się u dołu skali dla przestępstw tego rodzaju. Wziął pod uwagę fakt, że Bonnie nie była notowana i chociaż było do przewidzenia, że ofiara spadnie z balkonu, nie było to celem sprawcy. Na wyrok wpłynęły także opinie biegłych, którzy wykazali, że wysokość barierki nie odpowiadała obecnym wymogom bezpieczeństwa, a stołki barowe nie nadawały się na taras. Pozostałe czynniki obejmowały pogodę i wynikającą z niej śliskość balustrady, jak również stan upojenia alkoholowego, będący udziałem i oskarżonej, i ofiary.

Jeśli wierzyć Madeline, Bonnie z rozkoszą poddała się karze, Abigail zaś towarzyszyła jej na każdym kroku.

Nastąpiła wymiana korespondencji między firmami ubezpieczeniowymi i prawnikami, ale Celeste nie miała poczucia, że ją to dotyczy. Oznajmiła

kategorycznie, że nie chce żadnych pieniędzy od szkoły, a kwotę otrzymaną z ubezpieczenia przeznaczy na cele charytatywne.

Dom i pozostałe nieruchomości zostały sprzedane, a Celeste wprowadziła się z chłopcami do małego mieszkania w McMahon's Point i podjęła pracę trzy razy w tygodniu w rodzinnej kancelarii. Czerpała wielką radość z faktu, że godzinami może skupiać się tylko na tym.

Chłopcy mieli fundusze powiernicze, postanowiła jednak, że to nie przesądzi o ich przyszłości i kiedyś będą dorabiać do kieszonkowego.

Założyła też fundusz powierniczy dla Ziggy'ego.

„Nie musisz”, powiedziała Jane w czasie lunchu w kawiarni nieopodal mieszkania Celeste. Zmartwiała, jakby zbierało się jej na wymioty. „Nie chcemy jego pieniędzy. Znaczący... twoich”.

„To pieniądze Ziggy'ego. Gdyby Perry wiedział, że Ziggy jest jego synem, potraktowałby go tak samo jak Maxa i Josha”, zapewniła Celeste. „Perry był...” – Zabrakło jej słów, bo jak mogła powiedzieć Jane, że Perry był hojny aż do przesady, a do tego do bólu sprawiedliwy. Zawsze był sprawiedliwy, nie licząc chwil, kiedy taki nie był. Ale Jane sięgnęła przez stół, wzięła ją za rękę i powiedziała: „Wiem”, prawie jakby rozumiała.

Susi stała przy mównicy. Ładnie dziś wyglądała. Nie przesadziła z makijażem oczu, chwiała Bogu.

– Ofiary przemocy domowej często wyglądają inaczej, niż się spodziewamy – zaczęła. – A ich historie nie zawsze są tak czarno-białe, jak można by sądzić. – Celeste odnalazła swoją przyjazną twarz w tłumie lekarzy, pielęgniarek z pomocy doraźnej, terapeutów i lekarzy rodzinnych. – I dlatego zaprosiłam tu dziś tych dwoje wspaniałych ludzi. Wspaniałomyślnie poświęcili swój czas, by podzielić się z wami tym, co przeszli. – Susi wskazała na Celeste i siedzącego obok niej mężczyznę, który oparł rękę o udo, jakby chciał w ten sposób powstrzymać nerwowe podrygiwanie nogi. O Boże, pomyślała Celeste. Mało się nie rozplakała. On nie jest terapeutą, tylko kimś takim jak ja. Spotkało go to samo. Spojrzała na mężczyznę, a on się uśmiechnął. Miał rozbiegane spojrzenie. – Celeste?

Wstała. Ponownie zerknęła na mężczyznę w swetrze, a następnie przeniosła wzrok na Susi, która skinęła głową na zachętę.

Celeste podeszła do drewnianej mównicy. Raz jeszcze poszukała wzrokiem sympatycznej kobiety. Tak. Była tam, z uśmiechem kiwała głową. Nabrała powietrza.

Zgodziła się przyjść tutaj, aby oddać Susi przysługę. Jasne, chciała też zrobić, co do niej należy, i nauczyć tych wszystkich ludzi zadawać właściwe pytania, nie dawać za wygraną. Chciała dać im fakty, ale bez zbędnych zwierzeń. Zachowa swoją godność. Część tajemnicy zostawi dla siebie.

Lecz nagle ogarnęło ją desperackie pragnienie, aby powiedzieć wszystko, odsłonić całą szpetną prawdę, nie zataić żadnego szczegółu. Do dupy z godnością.

Chciała ośmielić przerażonego mężczyznę w brzydkim swetrze, zachęcić go, aby poszedł jej śladem. Powiedzieć mu, że przynajmniej jedna z obecnych tu osób rozumie wszystkie błędy, które popełnił: to, ile razy oddał, ile razy został, choć powinien był odejść, ile razy dał jej drugą szansę, ile razy celowo ją prowokował, ile razy jego dzieci widziały to, czego nie powinny. Chciała zapewnić go, że zna wszystkie kłamstewka, którymi przez lata mydlił sobie oczy. Chciała ująć jego drżące ręce i oznajmić: „Rozumiem”.

Ujęła oburącz mównicę i nachyliła się do mikrofonu. Musieli zrozumieć rzecz tak prostą, a zarazem bardzo skomplikowaną.

– To może spotkać... – Urwała, odstąpiła od mikrofonu i chrząknęła. Spojrzała na Susi, stojącą z boku z miną zaferowanego rodzica, którego dziecko występuje po raz pierwszy; lekko uniosła ręce, jakby chciała wpaść na scenę i odprowadzić Celeste w bezpieczne miejsce. Przysunęła się bliżej do mikrofonu; teraz jej głos zabrzmiał czysto i dźwięcznie: – To może spotkać każdego.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze, chciałabym serdecznie podziękować wszystkim wspinałym, zdolnym ludziom z Pan Macmillan, ze szczególnym uwzględnieniem Cate Paterson, Samantha Sainsbury i Charlotte Ree.

Dziękuję mojej agentce Fionie Inglis i wydawcom z całego świata, zwłaszcza Amy Einhorn, Celine Kelly i Maxine Hitchcock.

Wielkie podziękowania dla Cherie Penney, Marisy Velli, Maree Atkins, Ingrid Bown i Marka Davidsona za to, że wspinałomyślnie poświęcili swój czas i użyczyli mi swojej wiedzy.

Mam paskudny zwyczaj czerpania z rozmów materiału do swoich powieści. Dziękuję Mary Hassall, Emily Crocker i Liz Frizell, że użyczyły mi skrawków swego życia. Zaznaczam przy okazji, że rodzice z cudownej szkoły, do której teraz chodzą moje dzieci, zupełnie nie przypominają rodziców z Pirriwee Public i są do znudzenia dobrze wychowani.

Dziękuję Mamie, Tacie, Jaci, Kati, Fionie, Seanowi oraz Nicoli; specjalne podziękowania dla mojej siostry, wspinałej pisarki Jaclyn Moriarty, która zawsze była i będzie moją pierwszą czytelniczką. Dziękuję mojemu szwagrowi Steve'owi Menasse'owi za nieocenioną pomoc w kwestiach technicznych.

Dziękuję Annie Kuper za ułatwianie mi życia na wszelkie sposoby.

Dziękuję koleżankom po piórze i przyjaciółkom, Ber Carroll i Dianne Blacklock, za zamienianie tournée w babskie wypady. (Ber potrafi umilić nawet zakupy.) Rozsyłałyśmy biuletyn o nazwie *Książkowe Pogaduszki [Book Chat]*. Jeżeli chcecie się zapisać, zajrzyjcie na moją stronę <http://www.lianemoriarty.com>

Dziękuję Adamowi, George'owi i Annie za to, że dopełniają mój świat i wprowadzają do niego szczyptę szaleństwa oraz hałasu.

To powieść o przyjaźni, więc dedykuję ją mojej przyjaciółce, Margaret Palisi, z którą łączy mnie ponad trzydzieści lat wspomnień.

BIBLIOGRAFIA:

Korzystałam z następujących książek: *Not to People Like Us: Hidden Abuse in Upscale Marriages* (2000) Susan Weitzman oraz *Surviving Domestic Violence* (2004) Elaine Weiss.

PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Na początku powieści Madeline złości się, ponieważ Ziggy nie dostaje zaproszenia na urodziny Amabelli. Dlaczego Twoim zdaniem ta pozornie drobna niesprawiedliwość wyprowadza ją z równowagi? Czy uważasz, że Madeline należy do osób, które lubią bić pianę, czy też jej oburzenie jest uzasadnione? I czy poprzez ukazanie skrajności – od szkolnych niesnasek oraz słownych przepychanek rodziców na placu zabaw aż po przemoc domową we wszystkich przejawach – autorka dotyka problemu znęcania się nad innymi, które często ma miejsce na oczach całego świata?
2. W powieści wiele mówi się o kobietach oraz ich aparycji. Z zachowania matki Jane na plaży wynika, że nie ma ona zbyt dobrego zdania na temat swojego wyglądu. Jane zauważa, że kobiety powyżej czterdziestki wciąż nawiązują do swojego wieku. A Madeline „nie chciała przyznać, nawet przed sobą, jak bardzo przygnębia ją to, że się starzeje. Chciała być ponad tak powierzchowne zmartwienia. Chciała się troszczyć o kondycję świata”. Czy uważasz, że ta obsesja na punkcie wyglądu dotyczy kobiet, a zwłaszcza kobiet w pewnym wieku?
3. W powieści zawarto wiele scen, w których bohaterowie chcą komuś coś zrobić: Jane ma ochotę rzucić synem o ścianę, gdy ten jest nieposłuszny w łazience, uderzyłaby Renatę, gdyby przed nią stała, i o mało nie kopie Harper. Myślisz, że autorka chce ukazać nam perspektywę Perry’ego i wzbudzić w nas współczucie do jego osoby? Czy może pokazuje, że skłonność do przemocy to naturalny odruch, który ludzie nauczyli się tłumić?
4. Kiedy Ziggy musi uzupełnić swoje drzewo genealogiczne, Madeline zauważa: „Po co na siłę sklejać rozbite rodziny?”. Wątek Madeline w dużej mierze opowiada o komplikacjach wynikających z łączenia współczesnych rodzin. Czy między współczesnymi rodzinami,

prawdziwymi i „przyszywanymi”, istnieją problemy, które nie występowały za czasów Twojego dzieciństwa?

5. Kiedy Jane wspomina wydarzenia nocy, podczas której zaszła w ciążę, bardziej skupia się na tym, co powiedział, niż co zrobił tamten mężczyzna. Dlaczego czuje się bardziej zbrukana dwoma słowami – „gruba” i „brzydka” – niż samym atakiem? Jej zdaniem odpowiedź wynika z tego, że „żyjemy w społeczeństwie z manią na punkcie urody, gdzie najważniejszą rzeczą dla kobiety jest przypodobanie się facetowi”. Czy zgadzasz się z jej teorią?
6. Motyw przewodni powieści to tajemnice i rola, jaką mogą odgrywać. Jane „nikomu nie pisnęła ani słówka. Przełknęła tę żabę, udając, że jest niczym, i dlatego stała się wszystkim”. Czy sądzisz, że im bardziej coś ukrywasz, tym większej mocy nabiera sekret?
7. Gwen, opiekunka, zdaje się jedyną osobą, która podejrzewa, co dzieje się między Celeste i Perrym. Celeste uświadamia sobie, że nigdy nie słyszała od niej nic na temat jej męża lub partnera. Czy uważasz, że autorka chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że być może Gwen miała agresywnego męża lub partnera i porzuciła go? A w świetle tego, co na końcu dzieje się z Bonnie, tylko ludzie, którzy osobiście doświadczyli przemocy, potrafią wychwycić jej symptomy?
8. W pewnym momencie Jane nabiera przekonania, że będą z Ziggym zmuszeni opuścić Pirriwee, ponieważ „piękni, bogaci ludzie mają święte prawo zostać tam, gdzie są”. Czy myślisz, że bogaczy obowiązują inne zasady? Czy to dzięki pieniądзом Perry’emu tak długo uchodzi na sucho to, co robi?
9. „My widzimy! My, kurwa, widzimy!”, krzyczy Bonnie. Czy zdziwiło Cię, że miała tak trudną przeszłość? Czy zaskoczyło Cię to, że Max wiedział, co Perry robi Celeste?
10. Co sądzisz o urywkach wywiadu wplecionych w powieść? Myślisz, że autorka użyła ich na zasadzie greckiego chóru w celu podkreślenia pewnych rzeczy?
11. Madeline zastanawia się, czy cztery kobiety na balkonie zawarły cichą umowę. Może była to mimowolna, atawistyczna odpowiedź na tysiące lat przemocy wobec kobiet. Kara za każdy gwałt, za każdy brutalny policzek wymierzony przez każdego innego Perry’ego. A potem myśli: „Zły postępek czasem okazuje się jedynym słusznym”. Czy zgadzasz się z tym

stwierdzeniem i z tym, co postanowiły zrobić bohaterki? Czy sądzisz, że kobiety łączą silniejsza więź niż mężczyźni? Zdziwiło Cię, że kobiety, które pozornie się nie lubiły – Madeline i Bonnie, Madeline i Renata – koniec końców mogły na siebie liczyć?

12. W którymś momencie Susi mówi, że w wyniku przemocy domowej co tydzień ginie w Australii jedna kobieta. W Stanach Zjednoczonych z ręki męża lub chłopaka giną codziennie co najmniej trzy. Co dziewięć sekund któraś jest dręczona lub bita. Przemoc domowa to główna przyczyna obrażeń doznawanych przez kobiety – częstsza niż wypadki samochodowe, napady i gwałty razem wzięte. Czy dziwią Cię te statystyki? Uzasadnij swoją odpowiedź. Autorka celowo wybrała Celeste – wzorową matkę/żonę i wykształconą prawniczkę – na ofiarę przemocy domowej. Czy uważasz za prawdopodobne, by spotkało to kobietę jej pokroju?
13. „Zło ma wiele płaszczyzn”, myśli Madeline. Jak rozumiesz to stwierdzenie w świetle powieści i jej wątków?

Spis treści

[Rozdział pierwszy](#)
[Rozdział drugi](#)
[Rozdział trzeci](#)
[Rozdział czwarty](#)
[Rozdział piąty](#)
[Rozdział szósty](#)
[Rozdział siódmy](#)
[Rozdział ósmy](#)
[Rozdział dziewiąty](#)
[Rozdział dziesiąty](#)
[Rozdział jedenasty](#)
[Rozdział dwunasty](#)
[Rozdział trzynasty](#)
[Rozdział czternasty](#)
[Rozdział piętnasty](#)
[Rozdział szesnasty](#)
[Rozdział siedemnasty](#)
[Rozdział osiemnasty](#)
[Rozdział dziewiętnasty](#)
[Rozdział dwudziesty](#)
[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
[Rozdział dwudziesty drugi](#)
[Rozdział dwudziesty rzeci](#)
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)
[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)
[Rozdział trzydziesty siódmy](#)
[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy](#)
[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty szósty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty siódmy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty ósmy](#)
[Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty](#)

[Rozdział sześćdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział sześćdziesiąty drugi](#)
[Rozdział sześćdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział sześćdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty piąty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty szósty](#)
[Rozdział sześćdziesiąty siódmy](#)
[Rozdział sześćdziesiąty ósmy](#)
[Rozdział sześćdziesiąty dziewięty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział siedemdziesiąty drugi](#)
[Rozdział siedemdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział siedemdziesiąty czwarty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty piąty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty szósty](#)
[Rozdział siedemdziesiąty siódmy](#)
[Rozdział siedemdziesiąty ósmy](#)
[Rozdział siedemdziesiąty dziewięty](#)
[Rozdział osiemdziesiąty](#)
[Rozdział osiemdziesiąty pierwszy](#)
[Rozdział osiemdziesiąty drugi](#)
[Rozdział osiemdziesiąty trzeci](#)
[Rozdział osiemdziesiąty czwarty](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)
[BIBLIOGRAFIA:](#)
[PYTANIA DO DYSKUSJI](#)